

Zaloty

Coulter Catherine

Książka V z Panna młoda



calibre 0.9.43

Catherine Coulter

Zaloty

przełożył Janusz Ochab

*Londyn 1811, 14 maja,
tuż przed północą.*

Lord Beecham znieruchomiał, po czym obrócił się tak szybko, że omal nie wpadł na wielką palmę w glinianej donicy.

Nie mógł w to uwierzyć. Musiał się przesyłścić. Przecież nie mogła tego powiedzieć. Rozejrzał się dokoła, szukając kobiety, której słowa tak go zdumiały.

Rozchylił gałęzie palmy i zajrzał do biblioteki Sanderlinga, długiego, wąskiego pokoju przylegającego do sali balowej. Biblioteka tonęła w półmroku, rozpraszanym jedynie przez płomyki kilku świec, podczas gdy sala balowa wypełniona była blaskiem setek świeczników, wspaniałymi roślinami i co najmniej dwiema setkami gości, roześmianych, tańczących i popijających mocny poncz z szampana.

Kobieta, którą słyszał przed chwilą, znów się odezwała. Lord Beecham zbliżył się o krok do zaciemnionej biblioteki. Głos był zmysłowy, kuszący; pobrzmiewał w nim śmiech.

- Przyznaj, Aleksandro - mówiła - czy sama myśl o dyscyplinie, sam dźwięk tego słowa, kiedy powtarzasz je powoli, tak by pieściło twój język, nie wywołuje w twojej wyobraźni ekscytujących scen dominacji? Nie widzisz tego? Jesteś zdana na łaskę i niełaskę drugiej osoby, nie możesz nic na to poradzić. Wiesz, że coś się stanie, spodziewasz się tego, serce bije ci mocno, boisz się, tak bardzo się boisz, ale ten strach jest wręcz rozkoszny. W głębi duszy pragniesz tego, co się wydarzy. Nie możesz się tego doczekać, ale na razie możesz to sobie tylko wyobrażać. O tak, przechodzą cię dreszcze podniecenia, kiedy o tym myślisz.

W bibliotece zapadła cisza. A cóż to? Czyżby słyszał czyjś głośny, nierówny oddech?

Wyobraźnia lorda Beechama pracowała już na pełnych obrotach. Oczami duszy widział, jak stoi nad piękną kobietą, uśmiecha się do niej, przywiązując jednocześnie jej ręce i rozsunięte nogi do poręczy łóżka, wiedząc, że za chwilę zdejmie z niej ubranie, powoli, bardzo powoli...

- O mój Boże, Helen, nie mogę się chyba uspokoić. Brak mi tchu. Potrafisz naprawdę barwnie opowiadać. To, o czym mówiłaś, brzmi... strasznie i cudownie. Robi mi się słabo na samą myśl o podobnych podnietach. Ale wydaje mi się też, że to wymaga wysiłku i starannego planowania.

- O tak, ale to część rytuału. Rzeczywiście, należy to wcześniej dokładnie zaplanować. Ty jesteś częścią rytuału, najważniejszą częścią, jeśli to ty masz kontrolę nad drugą osobą.

Ta gra wymaga od ciebie ogromnej pomysłowości, nie możesz powtarzać wciąż tych samych kar. Pamiętaj, oczekiwanie czegoś nowego i nieznanego to bardzo ekscytująca rzecz. By przynosić efekty, kary muszą się nieustannie zmieniać i czasami przybierać na sile. W wielu przypadkach warto robić to przy świadkach, dzięki czemu osoba karcona, dyscyplinowana, jest jeszcze bardziej przerażona, jej zmysły bardziej wyostrzone, umysł bardziej skupiony. To naprawdę niezwykły proces. Musisz tego spróbować. Raz po jednej, a raz po drugiej stronie.

Znów głęboka cisza.

Spróbować tego? Chciał wbiec do biblioteki i natychmiast spróbować wszystkiego, co mógł

sobie wyobrazić i wymarzyć. Trzymał już dłoń na fularze, gotów natychmiast zerwać go z szyi i spętać nadgarstki tej kobiety nad jej głową. Chciał, by patrzyła nań szeroko otwartymi oczami, przerażona i podekscytowana, z ustami lekko rozchylonymi... Do diabła, miał tylko jeden fular. Potrzebował co najmniej dwóch. Zadrzał, wyobraziwszy sobie gładką skórę jej rąk, kiedy owija wokół nich fular, zaciąga węzeł, unosi je ponad jej głowę...

Usłyszał głębokie westchnienie.

- Wszystko to brzmi bardzo pięknie, moja droga Helen, ale ja chciałabym poznać konkretne kary. Potrzebuję całej listy, od łagodnych do najbardziej surowych.

Uświadomił sobie nagle, że zna ten głos. Dobry Boże, to Aleksandra Sherbrooke. Nie mógł w to uwierzyć. Przypomniał sobie Douglasa Sherbrooke'a, tego wielkiego, silnego mężczyznę, który od ośmiu lat żył w udanym małżeństwie z Aleksandrą. A teraz ona chciała dowiedzieć się czegoś o dyscyplinie i wypróbować to na swoim mężu? Co za cudownie grzeszna myśl.

Ciekawe, kto to jest ta Helen?

- Z drugiej strony - zapytała po chwili Aleksandra - chciała bym wiedzieć, skąd tak dobrze znasz ten temat?

- Przeczytałam każdą książkę, każdy artykuł, każdą pracę naukową na ten temat, jakie tylko się ukazały. Widziałam wszystkie obrazy i rysunki miłosnych tortur, jakie powstały na całym świecie i we wszystkich epokach. Na przykład dyscyplina w Chinach - to jest dopiero coś niesamowitego. Sądząc po rysunkach, Chińczycy są niezwykle sprawni.

Znów chwila ciszy. Potem ponownie odezwała się Aleksandra, tym razem ciszej, jakby nachyliła się do swej przyjaciółki i mówiła jej coś w tajemnicy. Lord Beecham jednak nadal słyszał każde słowo.

- Helen, proszę, nie śmiej się ze mnie. Wiem, że dla ciebie jestem ignorantką. Spróbuj jednak dostosować się do mojego poziomu. Mówiłaś mi już, jak dyscyplinujesz swoich służących. Opowiedziałaś o rytuale, o tym, jak budować napięcie, jak połączyć strach z ekscytacją, by osiągnąć zamierzony efekt. Teraz jednak chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o samej przyjemności, chciałabym poznać szczegóły. Chodzi mi o przyjemność fizyczną, Helen. Powiedz mi, co mam robić, by doprowadzić mężczyznę do szaleństwa. Skoro przeczytałaś wszystko, co napisano do tej pory na ten temat, z pewnością możesz mi pomóc.

Lord Beecham nie ruszyłby się stąd, nawet gdyby jakaś piękna kobieta rozebrała się przed nim do naga i zaczęła go całować. To dopiero było coś. Aleksandra Sherbrooke chciała wiedzieć, jak doprowadzić Douglasa do szaleństwa? To nie miało sensu. By tego dokonać, Aleksandra wcale nie musiała się wysilać. Potrzebowałaby może dziesięciu sekund, nie więcej. Oczywiście, nie chodziło tu tylko o Douglasa, ale o każdego normalnego mężczyznę. Na przykład o niego.

Nagle uświadomił sobie cały absurd tej sytuacji. Na miłość boską, podsłuchiwał damy rozprawiające o dyscyplinie. Chował się za palmą, łowił każde ich słowo, spocony, bliski zerwania z szyi fularu. Nie, tego było już za wiele. Lord Beecham nie mógł się powstrzymać. Roześmiał się - nie czynił tego często, bo był przecież człowiekiem światowym; lekkie skinienie głową czy pogardliwy uśmieszek bardziej pasowały do jego statusu. A tu proszę - z jego ust wyrwał się głośny, zdrowy, serdeczny śmiech.

Natychmiast zrozumiał, że damy mogą go słyszeć. Nie mógł się przecież zdemaskować. Tak mocno próbował powstrzymać śmiech, że nabawił się czkawki. Zakrył więc usta dłonią i szybko umknął za sąsiednią palmę. W samą porę.

- Helen, wydaje mi się, że kogoś słyszałam. Ktoś się śmiał, jakiś mężczyzna. O Boże, chyba nie myślisz, że to był Douglas, co? Na pewno nie, Douglas przyszedłby tutaj i roześmiał nam się prosto w twarz. Potem spojrzalby na mnie z uśmiechem w oczach i powiedział, że nawet nie powinnam myśleć o takich rzeczach, że to on zawsze ma nade mną kontrolę. Już mnie to nuży, Helen. Osiem lat to szmat czasu. Chociaż raz to ja chciałabym panować nad nim i doprowadzić go do szaleństwa.

- Cóż, to nie będzie chyba zbyt trudne. Po prostu nie daj mu się skupić, kiedy będzie czytał „Gazette”. Pocałuj go w ucho, w kark, ugryź. Dlaczego nie robiłaś tego do tej pory?

Martwa cisza.

- O Boże, Aleksandro, jesteś cała czerwona.

- Ja go gryzę, Helen, naprawdę. Tyle że w innych okolicznościach. Nie przy czytaniu gazety.

- W okolicznościach, które stwarza Douglas?

- Tak. Wiesz, wystarczy, że Douglas na mnie spojrzy, dotknie mnie lekko dłonią czy ustami, a ja zapominam o całym świecie, po prostu oddaję mu się cała. To się wcale nie zmienia.

Helen, pomóż mi. O Boże, a jeśli on tam stoi i słucha, to już wie, jaką ma nade mną władzę.

- Jestem pewna, że wie o tym od dawna. Ale masz rację, oczywiście. Gdyby to był on, stałby tu już przed nami i śmiał się do rozpuku. Ale być może jeszcze tej nocy pozwoliłby, byś go karciała - oczywiście, jeśli sam nie zechciałby tego zrobić pierwszy.

Aleksandra westchnęła.

- Mój Boże, Aleksandro, mówisz poważnie? Douglas nigdy nie pozwala, byś to ty panowała nad sytuacją? Osiem lat jednostronnego pożycia? Z tego, co czytałam na ten temat, wynika jednoznacznie, że nie jest to dobry układ. Włosi, na przykład, podkreślają zawsze, że w sprawach miłosnych powinna panować równowaga. Musisz wziąć się w garść, Aleksandro.

- Być może, ale tak trudno mi nad sobą zapanować, kiedy Douglas się mną zajmuje. Ciekawa jestem, co powiedzieliby o tym Włosi.

- Pożyczę ci traktat na ten temat. Nie możesz pozwolić, by tylko Douglas stosował dyscyplinę. To ty musisz mieć nad nim kontrolę.

Aleksandra zadrżała.

- Douglas nigdy o tym nie wspominał. Jestem pewna, że nigdy tego nie robił.

Helen ze śmiechem poklepała ją po policzku.

- Ja jestem pewna, że Douglas już od dawna stosuje miłosne tortury, a ty nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Po prostu dobrze się bawisz.

- Naprawdę tak myślisz? Ciekawe, które z praktyk Douglasa można by nazwać torturą. Może powinnam go o to zapytać?

- Raczej nie, przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Tak czy inaczej, rzeczywiście czasami zupełnie się przy nim zapominam, nie potrafię w ogóle myśleć - wyznała Aleksandra. - Ale to już inny problem, który wcześniej czy później także będę musiała rozwiązać. - Uniosła lekko ramiona, jeszcze mocniej wypychając do przodu swój imponujący biust. - Przede wszystkim chcę się nauczyć, jak zachować kontrolę nad sobą, by potem zapanować nad Douglasem. Będę musiała wytyczyć sobie jakiś konkretny cel i drogę postępowania, którą będę dążyć. W końcu to ja przejmę kontrolę nad nim, doprowadzę go do szaleństwa. Ty musisz mi tylko powiedzieć, co mam robić, by to osiągnąć.

Helen milczała. Wiedziała, że powinna trzymać język za zębami, nie mogła się jednak powstrzymać. Westchnęła ciężko, starając się odepchnąć od siebie wspomnienia sprzed lat, po czym

przemówiła, świadoma, że za moment Aleksandra będzie na nią wściekła:

- Miałam ledwie piętnaście lat, kiedy ujrzałam Douglasa po raz pierwszy i od razu się w nim zakochałam. Wiedziałam, że wyrośnie na wspaniałego mężczyznę. Wiedziałam, że będzie kimś niezwykłym, i chciałam, by wybrał właśnie mnie na towarzyszkę swego życia. - Westchnęła ponownie, zasmucona.

Potem obserwowała spod opuszczonych powiek, jak przyjaciółka mruży groźnie oczy, aż wreszcie odzywa się głosem zimnym i nieprzyjaznym:

- Helen, powtarzam ci po raz ostatni: masz zapomnieć o wszystkim, co łączyło cię z Douglasem. Masz zapomnieć o uczuciach, które żywiłaś dla niego, kiedy byłaś jeszcze zbyt młoda, by zrozumieć, czym naprawdę jest miłość.

- Tak, postaram się. - Helen omal nie parsknęła śmiechem.

Spuściła głowę, żeby przyjaciółka tego nie usłyszała.

Słyszał jednak lord Beecham, ukryty za rozłożystą palmą, wsłuchany w rozmowę dwóch kobiet. Nie miał jeszcze okazji zobaczyć nauczycielki, widział jednak dobrze Aleksandrę Sherbrooke. Rozglądała się dokoła niepewnie, przyciskając dłoń do swych imponujących piersi. Szkoda, że Douglas upierał się, by to wspaniałe ciało było tak szczelnie okryte. Bóg dał kobietom piersi, by olśniewały nimi mężczyzn - i robiły to wszystkie prócz Aleksandry Sherbrooke. Wszyscy widzieli już nieraz, jak Douglas odciąga żonę w kąt sali, by poprawić jej suknię, jeśli odsłaniała, jego zdaniem, zbyt wiele.

Szkoda.

Lord Beecham uwielbiał piersi obfite, jak piersi Aleksandry, które wypełniały bez reszty męskie dłonie, piersi małe, twarde i kształtne, piersi wyczernione kusząco zza zasłony koronek i falban. Uwielbiał zanurzać twarz w kobiecych piersiach.

Potrząsnął głową, odpędzając od siebie te miłe obrazy. Kim była rozmówczyni Aleksandry, samozwańca nauczycielka dyscypliny? Wiedział tylko, że ma na imię Helen.

Lord Beecham nie był zazwyczaj ciekawski, teraz jednak czuł, że musi dowiedzieć się, kim jest ta kobieta. Czekał, ukryty za listowiem, aż wreszcie obie damy wyszły z biblioteki Sanderlinga.

Kiedy ujrzał Helen, omal nie wypuścił z dłoni kieliszka szampana. Widział ją już kiedyś w towarzystwie Douglasa. Obiecał sobie wtedy, że musi przyjrzeć jej się z bliska. Teraz miał ku temu okazję. Była niemal równie wysoka jak on, na tym jednak kończyły się podobieństwa między nimi. W poszukiwaniu właściwych porównań musiał sięgnąć myślami aż do Olimpu. Była zbudowana jak bogini, posągowa i doskonale proporcjonalna, jej skóra była biała jak alabaster, a włosy - z pewnością nawet boginie nie miały takich włosów jak ona, gęstych i prawdziwie blond, bez najmniejszych śladów złota czy czerwieni. Nosila je splecione na czubku głowy, co sprawiało, że wydawała się jeszcze wyższa. Pojedyncze, wąskie kosmyki pieściły biel jej ramion. Jej oczy były bardziej błękitne niż oczy Afrodyty, uśmiech zaś czarujący i tak bardzo kuszący, że mógłby należeć do Heleny Trojańskiej. Lord Beecham był pewien, że ta Helena mogłaby rozpętać jeszcze większą wojnę.

Szybko otrząsnął się z tych rozmyślań. Doprawdy, musiał chyba postradać zmysły, skoro wyobraźnia zaprowadziła go tak daleko. To była tylko kobieta, zwykła kobieta o imieniu Helen. Oczywiście, była niezwykle piękna, nie zmieniało to jednak faktu, że była też tylko kobietą, nikim więcej. Widział już piękniejsze od niej, nawet z nimi sypiał. Nie była boginią ani nawet mityczną syreną. Po prostu wysoka dziewczyna o pięknych włosach i urodzie, która co wrażliwszych mężczyzn

nastawiała lirycznie, mówiąca ze znanostwem o miłosnych torturach.

Mogła być sennym marzeniem każdego mężczyzny.

Patrzył, jak Helen i Aleksandra oddalają się od niego, zmierzając w stronę salonu.

Nie była także niedoświadczoną, niewinną osiemnastolatką, która opuściła właśnie szkołę i szukała męża wśród londyńskich kawalerów. Nie, skończyła szkołę wiele lat temu, co oznaczało, że była już mężatką i wiedziała dokładnie, czego chce - a to jedna z cech, którą lord Beecham cenił u kobiet najbardziej.

Zawsze wolał mężatki. To było bezpieczne. Chciały tego samego, co on - odrobiny emocji, odrobiny ciepła, nowych doznań, które dodałyby ich życiu smaku i pikanterii. Nie rozpaczały i nie obrażały się, kiedy od nich odchodził. Nie musiał obawiać się ich mężów, bo dobrze ich znał i wiedział, że także sypiają z żonami innych mężczyzn. Wiele osób z towarzystwa nie potrafiło zachować dyskrecji, co czasami stwarzało niezręczne sytuacje, lord Beecham nigdy jednak nie rozprawiał publicznie o swoich podbojach. Nie musiał zresztą tego robić; i tak krążyły o nim plotki.

Kiedy obie panie zniknęły w sali balowej, dopił resztę szampana. Odstawił kieliszek i zatarł rękę.

Helen była bardzo wysoką dziewczyną. Rozłożył szeroko palce, wyobrażając sobie jej piersi. Czy miał dostatecznie duże dłonie, by móc je objąć? O tak, pomyślał, z pewnością doskonale do nich pasowały. Spojrzał jeszcze raz na swoje dłonie i ponownie pomyślał o jej piersiach. Gdyby w tej chwili musiał coś powiedzieć, na pewno by się jąkał.

Dlaczego rozmawiały o dyscyplinie? Wyobraził sobie Helen leżącą na plecach, jej białe nadgarstki przywiązane do poręczy łóżka jego dwoma najdelikatniejszymi ularami.

Kobieta, która doskonale znała sztukę miłosnej tortury? Która przeczytała wszystko, co napisano na ten temat? Czy wykorzystywała tę wiedzę? Czy pozwalała, by inni ją przy niej wykorzystywali? Była to upajająca myśl, która przyprawiła go o zawrót głowy.

Wrócił do sali balowej i spróbował odszukać wysoką dziewczynę, ale zniknęła.

Nie martwił się tym. Postanowił, że odwiedzi Aleksandrę, dowie się od niej, gdzie mieszka Helen i kto jest jej mężem.

Miał nadzieję, że Aleksandra zechce mu pomóc. Przestał ją uwodzić co najmniej sześć lat temu, kiedy pewnego wieczoru skwitowała jego zapędy głośnym wybuchem śmiechu. Poczł się wtedy ogromnie urażony. Był przecież wspaniałym kochankiem, przynajmniej tak mówiono.

Lubił Aleksandrę Sherbrooke, choć nie chciała wpuszczać do swego łóżka nikogo prócz własnego męża. Lubił także Douglasa, szczególnie kiedy się okazało, że nie ma zamiaru zabić go za próbę uwiedzenia żony. Amory Beechama były tylko nieszkodliwą zabawą, a to Douglas mógł mu darować, o czym zresztą sam mu kiedyś powiedział. Bogu dzięki, że w Londynie było niewiele takich małżeństw jak Sherbrooke'owie.

No dobrze, ale co właściwie ta wysoka dziewczyna wiedziała o dyscyplinie? Podobnie jak Aleksandra, lord Beecham też chciał poznać szczegóły. Czy znała tylko teorię, czy też uczył ją czegoś mąż? A może kochanek?

Lord Beecham chciał zobaczyć ją w swoim łóżku i to jak najszybciej. Chciał nauczyć ją czegoś zupełnie nowego, nasycić się nią i sprawić, by kiedyś, po nieuniknionym rozstaniu, nigdy go nie zapomniała. By zawsze już, mówiąc o dyscyplinie, wspominała spędzone z nim chwile i uśmiechała się do tych wspomnień.

Zatarł dłonie, zastanawiając się, czy jej włosy są tak długie, że zakrywają piersi.

Lord Beecham miał bardzo bujną wyobraźnię. Już widział ją pod sobą, rozciągniętą na łóżku, uśmiechniętą, jej dłonie gładzą go, pieszczą... Znów przełknął ciężko. Musi ją mieć. I to jak najszybciej.

Najlepiej już jutrzejszego wieczoru.

Zacisnął pięści, kiedy w jego umyśle zaczął rysować się kolejny obraz. Do zapełnienia zostało jednak jeszcze sporo białego płótna.

2

*Miejska rezydencja Sherbrooke'ów
Londyn 1811, 15 maja,
dwanaście godzin po balu u Sanderlinga*

Aleksandra Sherbrooke, księżna Northcliffe, wyprostowała swą ciemnozieloną jedwabną spódnicę i wstała z sofy. Mankin, od ponad osiemnastu lat główny lokaj w domu Sherbrooke'ów, uklonił się nisko. Z upływem lat chodził coraz bardziej przygarbiony, Aleksandra wiedziała jednak, że nie czynił tego ze względu na podeszły wiek, nie był bowiem człowiekiem starym. Nie, Mankin popisywał się swą idealnie gładką, lśniącą łysiną. Aleksandra widziała nawet kiedyś, jak polerował ją, wykorzystując do tego воск sporządzany przez panią Hibble. Dziś, jak zwykle zresztą, jego głowa odbijała światło niczym tafla lustra.

- Lord Beecham, milady - oświadczył Mankin od drzwi salonu na pierwszym piętrze. Pochylił się nisko, by zaprezentować czubek głowy. Aleksandra omal nie oślepla.

- Witaj, Spenserze. - Uśmiechnęła się, podchodząc do gościa z wyciągniętymi rękami. Lubiała Spensera Heatheringtona, choć wiedziała, że Douglasa to irytuje. - Proszę, powiedz, że przyszedłeś szeptać mi do ucha te słodkie głupstwa. Brakuje mi tego, naprawdę. Nie wiem, dlaczego tak nagle przestałeś to robić.

Heatherington uśmiechnął się łobuzersko, błyskając białymi zębami.

- Wyśmiałaś mnie, Aleksandro. Jak mam szeptać czułe słówka damie, która się z tego śmieje? Żaden mężczyzna nie mógłby tego znieść.

- Ach, zapomniałam już o tym. Rzeczywiście, nie było to najrozsądniejsze posunięcie z mojej strony. Musisz zacząć od nowa. Douglas zawsze purpurowiał ze złości, kiedy powtarzałam mu to, co mi powiedziałaś, ale też zmuszało go do większego wysiłku. Starał się udowodnić, że potrafi szeptać słodkie głupstwa nie gorzej od ciebie. Wciąż okropnie złości go fakt, że mówimy sobie po imieniu.

- Potrzebowałam aż pięciu lat, żeby cię do tego przekonać.

- Wiesz dobrze, że Douglas tego nie znosi. Robisz to specjalnie, żeby go zirytować. Twierdzi, że to ja z tobą flirtuję, że to ja podsuwam ci pomysły, o których nie powinieneś nawet wspominać.

Heatherington znów wybuchnął śmiechem. Przydarzyło mu się to po raz drugi w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Po chwili uspokoił się i odchrząknął niepewnie. Miał wrażenie, że w nieprzywykłym do śmiechu gardle czuje lekkie drapanie.

- Spenserze, napijesz się herbaty?

- Z przyjemnością. Właściwie jednak przyszedłem tu, by porozmawiać z tobą o różnych aspektach dyscypliny.

Aleksandra zaczerwieniła się po korzonki włosów. Przycisnęła dłonie do policzków i pomachała nerwowo wachlarzem.

- Co się dzieje? Dostajesz wypieków na sam dźwięk tego słowa?

- Nie drocz się ze mną, Spenserze. Powiedz mi, gdzie o tym usłyszałeś.

Heatherington uśmiechnął się tak złośliwie, że miała ochotę zdzielić go wachlarzem, na szczęście jednak stał za daleko. Oparł się plecami o kominiek i skrzyżował ręce na piersiach.

- Byłaś w bibliotece Sanderlinga i rozmawiałaś o miłosnych torturach z kobietą, która - na co bardzo liczę - ma dość wstążek, by skrępować ręce i nogi mężczyzny. Ona rozprawiała o różnych aspektach tej sztuki, podczas gdy ty, Aleksandro, chciałaś poznać szczegóły, które mogłabyś wypróbować na Douglasie.

- Ojej, myślałam, że jesteśmy całkiem same. Nie, poczekaj.

Pamiętam, że słyszałam śmiech jakiegoś mężczyzny. To byłeś ty? Och, lepiej, że to byłeś ty, niż gdyby to miał być pan Pierpoint, zapewne dostałby ataku apopleksji. Jak ja bym spojrzała w oczy pani Pierpoint, jeśli musiałabym ją zawiadomić, jak zginął jej mąż.

- No i dobrze, że nie był to też Douglas.

- Tego nie byłabym już taka pewna. Usiądź, proszę. Na prawdę, wprowadziłeś mnie w ogromne zakłopotanie. A Douglas pewnie śmiałby się z nas do rozpuku tak jak ty. - Przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się badawczo. - Ale coś mi tu nie pasuje.

Wydaje mi się, że jesteś ostatnim człowiekiem, który potrzebuje instrukcji do zastosowania dyscypliny. Wiesz już chyba wszystko na ten temat, prawda?

Heatherington spojrzał na swe dłonie, długie palce i krótko przycięte paznokcie. Nigdy nie nosił długich paznokci, nie chciał bowiem zadrapać podczas pieszczot delikatnego ciała kochanki. Znow musiał powstrzymać wodze swojej wyobraźni. Odchrząknął głośno i przemówił:

- Dyscyplina to temat bardzo delikatny, a jednocześnie niezwykle zróżnicowany, i można podchodzić do niego na wiele różnych sposobów. Zawsze chętnie zdobywam nową wiedzę, bez względu na to, skąd pochodzi. Aleksandra skinęła głową i zawołała:

- Mankin, wiem, że stoisz tuż za drzwiami! Szczęka opadła ci już pewnie do podłogi, bo podsłuchujesz nas od samego początku. Proszę więc, zabierz swoją szczękę i przywieść nam herbatę, a także te pyszne mielone serca pani Clapper.

Z korytarza dobiegło głośne chrząknięcie, a potem oddalające się kroki.

Lord Beecham uniósł lekko brwi.

- Czy ja się nie przesłyszałem? Powiedziałaś „mielone serca”?

- Tak. Pani Clapper, nasza kucharka, pochodzi z dalekiej północy, z południowego krańca Cheviot Hills. To bardzo stary przepis. Rodzina jej matki, która od pokoleń zajmuje się hodowlą owiec, zna go od niepamiętnych czasów. To oryginalne ciasto z rodzynkami, jabłkami, cynamonem, porzeczkami i pomarańczami. Wszystko to zostaje zmielone i ugniecione na miazgę. Jest naprawdę bardzo smaczne.

- Nie powiem, żebyś mnie przekonała, Aleksandro. Nie boisz się, że w tej przedziwnej mieszance są jakieś części owiec, o których nie powiedziała ci kucharka?

- Jeśli nawet tam są, to w ogóle się ich nie czuje.

- Cóż, piękne dzięki, ale dzisiaj chyba nie skosztuję mielonych serc.

- Och, Spenserze, przed chwilą mówiłeś mi o tym, na jak wiele sposobów można praktykować miłosne tortury. Musisz wiedzieć, że istnieje także wiele różnego rodzaju ciast, których naprawdę warto spróbować. Sądziłam, że zechcesz poszerzyć także swoją wiedzę kulinarną. Krótko mówiąc, mój drogi, nie bądź tchórzem.

- No tak, ostateczna broń, cios w męską dumę. Dobrze, dajcie tutaj te serca.

Dziesięć minut później lord Beecham opychał się z entuzjazmem mielonymi sercami. Nagle do pokoju, bez najmniejszego ostrzeżenia ze strony Mankina, wpadła wysoka dziewczyna.

- Aleksandro, najpóźniej jutro wieczorem będzie się za mną uganiał. Zaaranżowanie spotkania jest dziecinnie łatwe i...

Umilkła raptownie, wpatrzona w gościa z przerażeniem, jakby zobaczyła ducha. Lord Beecham znów się roześmiał, tym razem jednak nie skończyło się to dlań dobrze, zakrztusił się bowiem kawałkiem mielonego serca. Helen natychmiast podbiegła do niego i uderzyła go w plecy z taką siłą, że omal nie zleciał z krzesła.

Zdołał jakoś przełknąć resztę ciasta, ponieważ jednak nadal nie mógł złapać tchu, siedział sztywno na krześle i patrzył na nią.

- Dobrze się pan czuje, lordzie Beecham?

- Helen, on wciąż nie może oddychać. Daj mu jeszcze chwilkę. Połamała ci wszystkie zębra, Spenserze?

Minęły jeszcze całe dwie minuty, nim mógł wydobyć z siebie głos. Spojrzał na wysoką dziewczynę.

- Pani mnie zna?

- Oczywiście. Przypuszczam, że zna pana większość ludzi w Londynie, szczególnie damy.

Wydawała się zakłopotana. Dlaczego? Przecież to on omal nie zakrztusił się na śmierć. Kiedy wreszcie złapał oddech, odchrząknął, wypił łyk herbaty i odstawił filiżankę na stół.

- Większość ludzi w Londynie zna mnie dlatego, że mieszkam tu, odkąd skończyłem osiemnaście lat, i sam znam wszystkich. - Wstał, podszedł do nieznajomej i zatrzymał się o krok przed nią. Spojrzała mu śmiało prosto w oczy.

- Douglas się mylił - powiedziała Aleksandra. - Jesteś co najmniej o pięć centymetrów wyższy od Helen, tak samo jak on. Douglas mówił, że jest od ciebie znacznie wyższy.

Lord Beecham spojrzał w czyste, błękitne oczy nieznajomej.

- Jestem jednym z najwyższych mężczyzn w Londynie.

- Choć z drugiej strony... - zastanawiała się głośno Aleksandra - Douglas chyba rzeczywiście jest od ciebie trochę wyższy. Jakies dwa centymetry. Jestem pewna.

- Cóż - wtrąciła Helen - ja jestem z pewnością jedną z najwyższych kobiet w Anglii.

- Jest pani bardzo dużą dziewczynką - powiedział powoli.

Chciał zmierzyć ją wzrokiem od stóp do głów, uznał jednak, że nie powinien robić tego w obecności Aleksandry. Podniósł więc filiżankę z herbatą i wzniosł toast.

Roześmiała się głębokim, zmysłowym śmiechem, który rozgrzał go niczym kieliszek dobrej whisky. Pomyślał o tym, jak będzie wyglądała w jego łóżku, gdy będą leżeli tam razem. Miał nadzieję, że stanie się to jeszcze dzisiaj wieczorem, za jakieś sześć, siedem godzin.

- Dużą, owszem, ale z pewnością nie dziewczynką - odparła Helen, odsłaniając śnieżnobiałe zęby w czarującym uśmiechu. - Mam dwadzieścia osiem lat, za siedem miesięcy skończę dwadzieścia dziewięć. Jestem już w sile wieku, jak mawia mój tata. Trzy miesiące temu był na mnie tak wściekły - choć żadne z nas nie pamięta już, o co poszło - że nazwał mnie starą panną. Zawsze, gdy go coś zirytuje, wznosi ręce do nieba i pyta Boga, dlaczego obdarzył go takim dziwnym dzieckiem. Ale ja wcale nie jestem dziwaczna, jestem tylko...

Umilkła, zakłopotana. Lord Beecham uśmiechnął się do niej.

- Dużą dziewczynką.

Uśmiechnęła się. Wyciągnęła do niego rękę.

- Otóż to. Jestem Helen Mayberry. Mój ojciec to ekscentryczny wicehrabia Prith, najwyższy mężczyzna w całej Anglii.

Lord Beecham wyprostował się, by pokazać Helen, że rzeczywiście jest od niej wyższy o całe pięć centymetrów - ujął jej dłoń, pochylił się i ucałował jej nadgarstek. Czuł, że jej ręka lekko drży. Wspaniale. Jeśli dobrze to rozegra i jeśli dopisze mu szczęście, jeszcze tego wieczoru będzie leżała naga w jego łóżku, być może nawet jeszcze późnym popołudniem.

- Jestem Spenser Nicholas St. John Heatherington - oświadczył. - Może pani mówić do mnie Spenser, Heatherington albo Beecham. Zostałem tak nazwany na cześć Edmunda Spensera, autora Faerie Queen. Moja matka darzyła królową Elżbietę wielkim podziwem i dlatego postanowiła uczcić w mojej osobie pamięć Edmunda Spensera, człowieka, którego królowa faworyzowała w nieprzyzwoity wręcz sposób. Ojciec mówił mi nawet, że być może nasza rodzina jest spokrewniona z jego potomkami.

- Brzmi to dość niedorzecznie. - Helen parsknęła.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- To prawda, ale historyjka jest zabawna. Chce pani powiedzieć, że nie znalazła pani jeszcze mężczyzny, który byłby pani godzien, panno Mayberry?

- Niestety. Widzi pan, problem polega na tym, że Anglia pełna jest nudnych i niskich mężczyzn, w dodatku wygląda na to, że wszyscy oni znają mojego ojca. Właściwie nie mam nic przeciwko niskiemu wzrostowi, ale nudy nie znoszę i nie akceptuję.

- Ja też nie mam nic przeciwko małym kobietom - zgodził się z nią Beecham.

- A co z nudnymi? Lubi pan nudne damy?

- Damy nigdy nie bywają nudne, panno Mayberry. Trzeba tylko wiedzieć, jak je traktować.

- Nie wiem, czy powinnam zgodzić się z tym, co pan właśnie powiedział.

- Cóż, to pani wybór. Zdaje się, że chciała się pani ze mną zobaczyć, panno Mayberry, prawda?

To był strzał w ciemno. Kiedy jednak wpadła do pokoju, mówiąc o kimś, kogo wkrótce pozna, i stanęła jak wryta, ujrzawszy go za stołem, był niemal pewien, że chodziło właśnie o niego.

Zamiast udawać zakłopotanie czy oburzenie, panna Mayberry skinęła tylko głową.

- Nie wiem, skąd pan o tym wie, ale to prawda. Miło mi pana poznać, milordzie. Cieszę się też, że nie muszę uciekać się już do jakichś wymyślnych planów i machinacji, choć ten, który chciałam zrealizować, był całkiem przyjemny.

Spojrzał na nią, zafascynowany. Mniej więcej sześć i pół godziny dzieliło ich od wieczora, a pięć od późnego popołudnia. Miał dość czasu.

- Co pani zamierzała zrobić?

- Chciałam pana wyciągnąć na konie.

- Chciała mnie pani ciągnąć za koniem?

- Och, nie. Nie chcę pana skrzywdzić. - Przez chwilę milczała, spoglądając nań spod lekko opuszczonych powiek, potem dodała: - Przynajmniej nie w ten sposób.

Czy naprawdę to powiedziała, zupełnie otwarcie, w obecności jego i Aleksandry? Pomyślał o tym, jak będzie wyglądać naga, na białych prześcieradłach, w ciepłych promieniach popołudniowego słońca. Czy będzie chciała go torturować? Bardzo na to liczył.

- Zamierzałam udać, że straciłam równowagę, i po prostu spaść na pana.

- Gdyby działało się to przy dużej prędkości, mogłaby pani zgnieść mnie na miazgę.

- Ojej, nie pomyślałam o tym. Mogłabym wbić pana w ziemię jak palik albo połamać panu zębra.

Ach, ale wtedy uklęknęłam przy panu i trzymała pana za rękę, aż odzyskałby pan przytomność. Wszystko dobrze by się skończyło. Pan uśmiechnąłby się do mnie i powoli, z trudem podniósł rękę, by dotknąć mego policzka. Tak, to bardzo przyjemny obrazek.

- Tylko ostatnia część. Wolałbym raczej nie przechodzić przez poprzednie etapy. Mężczyźni nie lubią przegrywać, panno Mayberry.

Aleksandra odchrząknęła głośno.

- Wiem, że doskonale się bawicie, ale muszę ci powiedzieć, Spenserze, że Douglas dostaje białej gorączki, kiedy Helen tylko wspomina o tobie. Wścieka się. Obraża cię. Zgrzyta zębami. Kazał jej trzymać się od ciebie z daleka.

Helen roześmiała się perliście.

- Douglas obawia się o moją cnotę, kiedy pan jest w pobliżu, lordzie Beecham.

Po południu będzie bardzo ciepło. Nie musi nawet rozpalać ognia w kominku, kiedy oboje będą nadzy. W wyobraźni całował już jej usta i pieścił ciało. Opanował się i wyciągnął do niej rękę.

- Cóż, by oszczędzić zęby Douglasa, po prostu zabiorę pannę Mayberry ze sobą, nim on wróci do domu.

- Dokąd mnie pan zabierze, lordzie Beecham?

- Do Gunthera. Na lody.

Nigdy nie widział równie rozradowanej kobiety.

- Ach, to cudownie. To mój ulubiony przysmak, odkąd przyjechałam do Londynu. Skąd pan o tym wiedział?

Lord Beecham spojrzał na Aleksandrę.

- Powiedz jej, Aleksandro, że jestem ogromnie doświadczony. Wystarczy, że spojrzę na kobietę, a już potrafię odgadnąć jej najskrytsze marzenia.

- Być może to i prawda - odparła Aleksandra, wgrzając się w słodkie ciasto - nie wiedziałam jednak, że potrafisz odgadnąć pragnienie skryte tak głęboko, jak słabość Helen do lodów Gunthera.

- Teraz już wiesz. - Wciąż wyciągał do niej rękę. - Pójdziemy?

Oparła dłoń na przedramieniu Spensera i mrugnęła do Aleksandry.

- Powiedz Douglasowi, że mi się udało.

- O czym pani mówiła? - spytał lord Beecham, kiedy Mankin otworzył przed nimi drzwi i uklonił się nisko. Promienie słońca odbiły się od jego łysiny, roztaczając dokoła wspaniałe, złoty blask.

Niestety, ani lord Beecham, ani panna Mayberry nie zwrócili na niego uwagi.

- Co się pani udało? Ma pani na myśli nasze spotkanie?

Z pewnością nie musiała mnie pani w tym celu wyciągać na konną przejażdżkę.

- Czy zna pan Graya St. Cyre, barona Cliffe?

- Oczywiście. Co z nim?

- Niedawno się ożenił.

- Tak, wiem. I co?

- On i jego narzeczona przejeżdżali niedaleko mojej gospody wkrótce po tym, jak Jack uciekła Arthurowi Kilburnowi.

Niestety, Gray spadł z konia i rozbił sobie głowę o pień dębu.

- Pani jest właścicielką gospody?

- Tak. Nazywa się Lampa Króla Edwarda. To najlepsza gospoda w Court Hammering, miasteczku targowym, oddalonym o godzinę jazdy na północny wschód od Londynu.

- Arthur porwał narzeczoną Graya? Nie słyszałem o tym.

Nazywa się Jack? Dziwne imię dla kobiety.

- Zgadza się. Tak czy inaczej, kiedy już wszystko dobrze się skończyło, przyjechałam z tatą do Londynu na ich ślub. To było bardzo miłe, kameralne przyjęcie, dlatego nie miał pan okazji tam być. Znow zobaczyłam wtedy Douglasa.

- A podkochiwała się w nim pani, kiedy miała piętnaście lat - dodał, spoglądając na nią z coraz większą fascynacją.

Zapomniał na moment, że chciał kochać się z nią jeszcze o drugiej po południu. Najpóźniej o trzeciej.

- Więc to pan podsłuchiwał naszą rozmowę w bibliotece Sanderlinga?

- O tak, dyscyplina to temat bardzo bliski mojemu sercu.

- Wcale się nie dziwię.

Uśmiechał się do niej, zastanawiając się jednocześnie, czy może ją już pocałować, musnąć czubkami palców jej szyję, by poczuć, jak szybko bije puls.

- Tak. Douglas był bardzo przystojnym młodym mężczyzną.

Ale to było wiele lat temu. Zapewniłam Aleksandrę, że nie żywię już do jej męża żadnych niewłaściwych uczuć.

- To dobrze. Pani obecny kochanek nie byłby zachwycony, wiedząc, że nadal podkochuje się pani w Douglasie Sherbrooke'u. Czy on był pani pierwszym kochankiem?

3

Uśmiechnęła się doń przekornie. Wcale nie wyglądała na zakłopotaną. Heatherington coraz bardziej ją podziwiał.

- Jest pan bardzo bezpośredni, lordzie Beecham.

- Oczywiście. Wydaje mi się, że jest pani kobietą, która ceni sobie bezpośredniość. - Pomógł jej wsiąść do powozu i zwrócił się woźnicy: - Babcock, zawieź nas do Gunthera.

Muszę nakarmić tę piękną panią lodami, nim padnie nam z głodu.

- Tak jest, milordzie - odparł Babcock, spoglądając z respektem na Helen, była bowiem wyższa od niego ponad dwadzieścia centymetrów. Lord Beecham zauważył, że Babcock wyprostował ramiona, kiedy wskoczył na siedzenie woźnicy.

- Pospiesz się, Babcock! - zawołała Helen przez okno. - Jestem coraz słabsza. Nie jadłam dzisiaj lunchu.

Lord Beecham nie mógł się powstrzymać i roześmiał się. Z pewnością jednak to, co powiedziała Helen, nie było aż takie śmieszne. Odkaslnął dwukrotnie, potem znow odchrząknął.

Helen usiadła naprzeciwko i wygładziła spódnice.

- Co się stało?

- Nic, nic takiego. Więc nie pozwoliła pani Douglasowi zaciągnąć się do łóżka?

- Obawiam się, że wcale nie był tym zainteresowany. - Westchnęła. - Byłam dla niego tylko małą dziewczynką. Dla mnie, z kolei, on był bogiem. Z radością ocierałabym jego czoło chustką skropioną różanym olejkiem, zrywała dlań wino grona i wkładała mu do ust. Z radością też...

- Wystarczy - przerwał jej lord Beecham, naciągając na dłonie rękawiczki z cielecej skóry.

Uśmiechnęła się bezwstydnie.

- Zaczęła mi pani tłumaczyć, dlaczego Douglas będzie wściekły, kiedy dowie się, że mnie pani znalazła. Nadal jednak nie dotarła pani do sedna sprawy. Co ma z tym wszystkim wspólnego Gray?

- Douglas, Aleksandra i ja składaliśmy im wizytę. Aleksandra przywołała pańskie nazwisko, twierdząc, że jest pan zepsuty i czarujący, innymi słowy, że jest pan doświadczonym i utalentowanym kochankiem. Miała nadzieję, że zajmie pan w moich myślach miejsce Douglasa. Ale Douglas powiedział, że pańska reputacja to rzecz mocno przesadzona, i choć uchodzi pan za kogoś, kto przerasta umiejętnościami dziesięciu innych mężczyzn razem wziętym, to nie ma w tym ziarna prawdy. Że jest pan, krótko mówiąc, znacznie gorszy od niego. Kiedy okazałam jeszcze większe zainteresowanie, Douglas dodał, że mam się trzymać od pana z daleka, bo zepsuje mnie pan, a potem porzuci. Gdy zauważyłam, że on, rzekomo kochanek lepszy, a więc i bar dziej rozpustny od pana, nie porzucił Aleksandry, odparł, że po prostu wzbudzała w nim zbyt wielką litość, nie miał więc innego wyboru, jak poślubić ją i uszczęśliwić. I udaje mu się to.

- Co mu się udaje?

- Wciąż ją uszczęśliwia. Aleksandra pana lubi. Opowiedziała mi o tym, jak chciał pan być jej pasterzem.

Beecham uderzył laską w drzwi powozu.

- Przekłete kobiety. Nie mogą się doczekać, kiedy opowiedzą innym o porażce jakiegoś mężczyzny, i nigdy nie zapominają, nawet jeśli ta sprawa zdarzyła się osiem lat temu. Była wtedy świeżo poślubioną żoną Douglasa. On był oferumą, nic niezwykłego w jego przypadku. Pomyślałem, że już dojrzała i że mogę ją zerwać dla siebie. Ale ona mocno trzymała się drzewa. Była zupełnie zielona, naiwna i, niestety, cudowna. - Zamyślił się na moment i wzruszył ramionami. - Od tego czasu nasze rozmowy zamieniły się w przyjacielskie pogaduszki. Nie irytuje mnie to już tak jak na początku. Ja też lubię Aleksandrę.

- Chce pan powiedzieć, że nie jest rzeczą normalną sympatia dla kobiety, której nie udało się panu uwieść?

Spojrzał na nią z dezaprobatą i skrzyżował ręce na piersiach. Wiedział, że ten gest działa na innych deprymująco.

- Otóż to. Mogę teraz spędzić w jej towarzystwie dobre pół godziny, ani razu nie patrząc na jej piersi. - Proszę, pomyślał, zadowolony z siebie. Będzie równie bezczelny jak ona. Nie pozwoli, by pobiła go jego własną bronią. Miał coraz mniej czasu. Do drugiej po południu została już tylko godzina. Nie, nie zdąży. Musi zmienić nieco plany. Pomyślał o zmierzchu. To wspaniała pora na miłość, delikatne światło zachodzącego słońca podkreśla kobiece kształty. Odchrząknął lekko.

- Trzydzieści minut? - zdumiała się Helen. - I ani jednego spojrzenia? Cóż, mężczyzna, który potrafi tego dokonać, jest niemal świętym. - Posłała mu kolejny olśniewający uśmiech. - Widzi pan więc, dlaczego chciałam pana poznać. Potrzebuję mężczyzny, który potrafi nad sobą panować, który wie, czego chce. Kogoś z klasą, inteligentnego i doświadczonego, który umie postawić sobie cel i potrafi go zrealizować, i wie, jak oddzielić ziarna od plew.

- Co to znaczy?

- To była metafora, lordzie Beecham. To znaczy, że wie pan, co jest ważne, a co nie. Aleksandra poleciła mi pana.

Pokazał pan już, że potrafi rozprawiać przy damach o różnych częściach kobiecego ciała ze swobodą, na jaką nie byłoby stać żadnego z moich znajomych, to zaś dowodzi, jak sądzę, że jest pan na tyle biegły w sztuce prowokacji, by poruszyć rozmówców, a jednocześnie nie przekroczyć granic

dobrego smaku.

Prawdę mówiąc, robię to samo w obecności mężczyzn i także nigdy nikogo nie obraziłam.

- Chce pani powiedzieć, że oboje jesteśmy biegli w tej sztuce?

- Tak sądzę.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Uświadomił sobie nagle, że Helen nie patrzy na widoki za oknem, lecz na niego. Mierzyła go wzrokiem od stóp do głów, przyglądała się uważnie każdej części jego ciała.

- Aleksandra powiedziała mi, że jest pan przystojny, nie tak przystojny jak Douglas, oczywiście, ale niczego sobie.

Powiedziała też, że nie ma pan nadmiaru tłuszczu, w odróżnieniu od większości mężczyzn po trzydziestce. Pan już skończył trzydzieści lat, prawda?

- Mam trzydzieści trzy lata, o dwa lata mniej niż Douglas.

- Douglas też nie ma nadmiaru tłuszczu. To miłe, że można znaleźć choć dwóch dżentelmenów atrakcyjnych na tyle, by dama patrzyła na nich z prawdziwą przyjemnością, a być może nawet zechciała położyć dłoń na ich brzuchu i poczuć twardą gładkość ich mięśni.

Musiał wyteńczyć całą siłę woli, by nie rzucić jej na podłogę w tej samej chwili. Mógłby uwolnić jej piersi z sukni w ciągu kilku sekund. Do diabła - nie w powozie, nie za pierwszym razem. Chciał, by była zadowolona, a nie obolała i poobijana. Po raz kolejny musiał odchrząknąć, by się uspokoić. Chyba podchodził do tego ze zbyt wielkim entuzjazmem. W wieku trzydziestu trzech lat potrafił już nad sobą panować. Więc co się z nim działo?

- Musi pani pochodzić z prowincji, gdzie mężczyźni paradują z brzuchami na wierzchu.

- O tak. Nawet pan nie wie, jakie to ekscytujące być tutaj, w Londynie - odparła, przykładając dłoń do piersi.

Zaaplikowała mu pokąźną dawkę ironii, na którą bez wątpienia sobie zasłużył.

Po chwili milczenia pochyliła się do przodu i powiedziała cicho:

- Jestem przekonana, że będzie się pan doskonale nadawał do moich planów, lordzie Beecham.

Był mężczyzną. Był łowcą. Doświadczonym i biegłym w swej sztuce kochankiem. Czy ta kobieta nie miała wstydu? Żadnych zahamowań? Jej zachowanie naprawdę go przerażało.

Wiedział, że jeśli Helen wyjdzie kiedyś za mąż, jej wybranek będzie równie przerażony. Co by powiedział, dowiedziawszy się, że jego żona próbowała uwieść innego mężczyznę? By nieco pohamować jej zapędy i zbić ją z tropu, oświadczył chłodnym tonem:

- Proszę na mnie spojrzeć. Oczywiście, że nie jestem gruby.

Tylko bezrozumni mężczyźni hodują sobie brzuchy. Damy tego nie lubią.

- To prawda.

- Jak właściwie wyglądają te plany, do których, pani zdaniem, tak dobrze się nadaję?

Babcock zatrzymał powóz przed cukiernią Gunthera na St. James. Był to wąski budynek o pomalowanych na biało ścianach, lśniących jasno w promieniach słońca, które wszyscy przywitani z ogromną radością, bo przez ostatnie trzy dni niebo nad Londynem zasnuwane było deszczowymi chmurami. Wyciągnął dłoń i pomógł Helen wysiąść z powozu.

- Ogromnie się cieszę, że mnie pan tu zabrał, milordzie.

Naprawdę, jestem panu wdzięczna. Uwielbiam lody.

Miała na sobie szmaragdową suknię z grubego sukna, prostą i elegancką. Włosy kryła pod czepkiem ozdobionym tylko trzema listkami jakiejś nieznanej Heatheringtonowi rośliny. Wyglądała

dystyngowanie i wyniośle, prawdziwa dama, choć wystarczyło spojrzeć w jej oczy, by znaleźć tam poczucie humoru, inteligencję i wiedzę. Zapewne dotyczącą mężczyzn? Lubił inteligentne kobiety, ale tylko w małych dawkach. Zbyt często interesowały się jego życiem, analizowały je tak drobiazgowo, że miał ochotę jak najszybciej je pożegnać. Cenił także ich poczucie humoru i złośliwość, oczywiście jeśli nie była skierowana przeciwko niemu.

Wieczór, pomyślał. To był jeszcze całkiem realny termin.

Wprowadził Helen do cukierni. Młody mężczyzna odziany w wielki biały fartuch natychmiast zaproponował im miejsce przy małym okrągłym stoliku. Lord Beecham pomógł swej towarzysze usiąść. Uśmiechnął się do niej i oświadczył tonem człowieka, który ma ogromną wiedzę na temat kobiet:

- Proszę nie jeść zbyt dużo. Mężczyźni również nie lubią otyłych dam.

- Ja nigdy nie tyję - odparła Helen. Patrzyła na sąsiedni stół, nie na ludzi jednak, lecz na porcję lodów. - Wanilia - westchnęła. - Uwielbiam wanilię.

Był to także jego ulubiony smak. Zamówił lody czekoladowe.

Milczał, czekając, aż kelner przyniesie im lody. Nie powiedział nic, kiedy pochłonęła pół swojej porcji, przymykając oczy z rozkoszy. On też się nie odzywał, dopóki nie zjadł lodów.

Nie miał nic przeciwko temu, by znów nakarmić ją tym przysmakiem, kiedy już skończą się kochać. W ten sposób przynajmniej zatkałby jej usta. Nie był tylko pewien, czy potrafi dać jej więcej przyjemności niż lody.

- Jak wyglądają pani plany? - spytał nagle, kiedy Helen rozglądała się po sali.

- Cieszy się pan dużym powodzeniem, prawda?

- Tak.

- Dlaczego?

Znów próbowała to zrobić, znów próbowała zbić go z tropu. Nie mógł pozwolić, by przejęła inicjatywę.

- Proszę na mnie spojrzeć - odrzekł. Nie chciał, by wiedziała, jak bardzo go porusza, uśmiechnął się więc nonszalancko, błyskając białymi zębami. - Proszę mnie posłuchać. Sama wspominała pani o mojej biegłości. Nie jestem głupim mężczyzną.

- O tak, nie jest pan głupi. - Westchnęła z roztargnieniem.

Wpatrywała się tęsknie w wielką porcję lodów owocowych stojących przed jakimś bruchaczem.

- Proszę nawet o tym nie myśleć - pokręcił głową Beecham. - I tak zjadła już pani całkiem sporo.

- To dziwne - odparła Helen, pozornie bez związku. - Czy wie pan, że czuję się bardzo zrelaksowana, kiedy jem lody u Gunthera?

Lord Beecham natychmiast podniósł rękę i przywołał kelnera. Zamówił dla niej jeszcze dwie porcje lodów. W połowie trzeciej spytała:

- Kim jest ta para, w rogu? Dama ma jaskrawoniebieską sukienkę, a jej towarzysz wydaje się na nią obrażony.

Lord Beecham spojrział we wskazanym kierunku, potem przeniósł spojrzenie na własne dłonie. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie pobrzmiwała nuta starannie skrywanej pogardy:

- Państwo Crowne. Pobrali się zaledwie rok temu, a bez przerwy się kłóca, nawet przy ludziach. Dlatego właśnie, panno Mayberry, rozsądny mężczyzna nigdy nie wskakuje do tej czarnej dziury. Małżeństwo to koniec drogi, koniec rozsądku, koniec przyjemności, jakie można czerpać z życia.

Wyglądał tak, jakby sama myśl o małżeństwie sprawiała mu przykrość. Helen tylko się doń

uśmiechnęła; doskonale go rozumiała i czuła nie tylko zadowolenie, ale i ogromną ulgę. Wzięła do ust kolejną porcję, smakując jedwabisty chłód lodowego przysmaku.

- Całkowicie się z panem zgadzam, lordzie Beecham. Małżeństwo jest dobre dla głupców i słabeuszy.

Nie podobało mu się to. Mężczyzna z natury powinien unikać małżeństwa, ale nie kobieta. Udało mu się jednak ukryć grymas dezaprobaty.

- Powie mi pani wreszcie, jakie miejsce zajmuję w pani planach?

- Wciąż odbiegamy od tematu, prawda?

- Tak, ale nie będziemy tego więcej robić. Proszę ze mną rozmawiać. Proszę powiedzieć mi, co mogę dla pani zrobić.

Helen nie była głupia. Widziała wyraźnie w jego lśniących, ciemnych oczach, że Beecham myśli tylko o tym, by zedrzeć z niej suknię i kochać się z nią.

- Twierdzi pan więc, że małżeństwo napawa pana wstrętem.

- To oczywiste, podobnie myśli każdy rozsądny mężczyzna.

Niestety, kobieta musi urodzić mu dziedzica, więc wcześniej czy później on musi spłodzić dziecko. Nie zamierzam robić tego wcześniej niż przed pięćdziesiątką. Kiedy będę miał co najmniej czterdzieści dziewięć lat, ożenię się i spłodzę potomka.

Potem umrę z uśmiechem na twarzy. Być może moja ciężarna żona także będzie się wtedy uśmiechać. W moim majątku w Devon. To bardzo piękne miejsce.

- Zauważyłam już, że każdy arystokrata ma jakiś dom na wsi i że każdy z tych domów ma swoją nazwę. Jak nazywa się pański majątek w Devon?

- Paledowns.

- Dość niezwykła nazwa. - Pochyliła się ku niemu przez stół. - Dla kobiety jest to trochę trudniejsze, nie uważa pan, lordzie Beecham? Nie ma ona takiej wolności jak mężczyzna, chyba że ignoruje jego nakazy i nie przejmuje się tym, co ludzie o niej mówią.

- Wy rządźcie światem, panno Mayberry. Jeśli jesteście dość sprytne, możecie kierować nami, jak tylko zechcecie.

- A jeśli któraś z nas nie jest dość urodziwa, lordzie Beecham?

- Cóż, wtedy nie będzie rządzić wieloma mężczyznami.

- A jeśli nie ma pieniędzy?

- Wtedy szuka sobie kogoś, kto będzie za nią płacił.

Helen słuchała go, zapominając o lodach.

- Nie spotkałam chyba jeszcze bardziej cynicznego mężczyzny - powiedziała.

- Jestem tylko realistą, panno Mayberry. Mam nadzieję, że nie będzie pani skarżyć się na ciężki los kobiet. W pani przypadku byłaby to czysta hipokryzja. Pani ojciec jest bogatym arystokratą, z pewnością nie narzeka pani na brak zalotników, jest pani młoda i niezależna, a do tego niezwykle piękna. Nie, nie chcę słyszeć od pani ani słowa o smutnej doli kobiet na tym ziemskim padole. Krótko mówiąc, panno Mayberry, zarówno pani wygląd, jak i zachowanie świadczą o tym, że jest pani bardzo zadowolona ze swego życia.

- Cóż, pokazał mi pan, gdzie jest moje miejsce.

- To bez wątpienia bardzo dobre miejsce.

- A co z tą biedną kobietą, którą poślubi pan w wieku pięćdziesięciu lat? Nie będzie miała nic do powiedzenia. Chce pan tylko spłodzić z nią dziecko, potraktować ją niczym klacz zarodową. Z

pewnością będzie miała pragnienia i marzenia, a pan potraktuje ją jak przedmiot. Heatherington roześmiał się głośno.

- Co też pani opowiada, panno Mayberry. Proszę nie ignorować faktów. Ta dama będzie chciała mnie poślubić.

Dostanie mój tytuł, moje pieniądze i będzie miała wszystko, czego zapragnie, może prócz kochanka, ale to tylko do czasu mojej śmierci. Będzie panią Paledowns i trzech innych posiadłości. Kiedy mnie już pogrzebie, jej syn przejmie tytuł wicehrabiego Beecham, a ona sama będzie bogata i będzie mogła kochać się z każdym mężczyzną od Pall Mail po Russell Square. Nie, proszę nie żałować przyszłej wicehrabiny Beecham. Zgodzę się z panią jednak, panno Mayberry, że większość kobiet, podobnie jak większość mężczyzn, nie jest szczególnie bogata, szczególnie urodziwa ani szczególnie inteligentna, a ich życie jest generalnie trudniejsze od życia mężczyzn. Ponieważ jednak nie jestem kobietą i nie mam wpływu na ich pozycję w społeczeństwie, staram się tylko dbać o tych, którzy są ode mnie zależni. Jestem odpowiedzialny za ich los i myślę, że sumiennie wypełniam swoje obowiązki. Staram się też nie krzywdzić innych ludzi, mężczyzn czy kobiet, i jestem przekonany, że pani postępuje tak samo.

- Proszę podać mi choć jeden przykład pańskiej dobroci, lordzie Beecham.

- Znów atakuje mnie pani ironią? Proszę bardzo. W zeszłym miesiącu jedna z moich służących została zgwałcona przez lokaja z sąsiedniego domu. Spotkałem się z panią tego majątku, ta zaś oświadczyła mi, że moja służąca jest bezprzykładną ladacznicą i że to ona uwiodła biednego lokaja. Stłukłem go na kwaśne jabłko. Moja służąca miała okazję osobiście kopać go po żebrach. Opluła go. Teraz czuje się już całkiem dobrze. Bogu dzięki, nie zaszła w ciążę.

Helen patrzyła nań w milczeniu, długimi palcami gładząc krawędź srebrnej łyżeczki.

Beecham zmarszczył brwi.

- Nie wiem, dlaczego to pani powiedziałem. Proszę o tym zapomnieć, to sprawa prywatna. Czy skończyła pani już jeść?

Lody całkiem się roztopiły.

Helen poczekała, aż jej towarzysz zapłaci. Kiedy wrócili do karety, spytała:

- Możemy pojechać do parku, lordzie Beecham?

- Dlaczego? Ach, pewnie nie zdecydowała pani jeszcze, czy chce mnie wykorzystać, tak?

- Jest pan bardzo bystry. Rzeczywiście, o to mi chodzi.

4

- Babcock, do parku. Jedź powoli! - krzyknął Beecham do woźnicy.

- Tak jest, milordzie.

Kiedy po kilku minutach dotarli do parku, Helen powiedziała:

- Chciałabym trochę pospacerować.

Lord Beecham wychylił się przez okno i zawołał:

- Babcock, zatrzymaj się!

- Tak jest, milordzie.

Było wczesne popołudnie, o tej porze w parku panował jeszcze niewielki ruch. Choć od samego rana słońce niestrudzenie ogrzewało wilgotne ulice Londynu, wciąż było dość chłodno.

- Widzę, że pani drży. Zimno pani? - spytał Beecham, naciągając rękawiczki.

- Nie, nie, zastanawiałam się tylko. Wie pan, lordzie Beecham, już od tygodnia chciałam się z panem spotkać.

- Nadal jednak nie chce mi pani powiedzieć dlaczego.
 - Może mam po prostu ochotę na dłuższą pogawędkę?
- Rozmawialiśmy o kobietach i o tym, jak pan je traktuje.
- To mój ulubiony temat.

Helen miała wrażenie, że w jego głosie pojawiła się nutka goryczy. Nie skomentowała tego jednak. Beecham wzruszył ramionami.

- Prawda wygląda tak, panno Mayberry, że Bóg postawił nas na scenie, byśmy odgrywali tam swoje role. Zazwyczaj nie wychodzi nam to najlepiej, ale staramy się robić, co w naszej mocy.

- Każdy z nas odgrywa wiele ról, lordzie Beecham. Ma pan rację, potykamy się i jąkamy, ale wciąż próbujemy.

- A jaką rolę odgrywa pani teraz, panno Mayberry?

- Jestem Dianą.

- I poluje pani na mnie. Nie jestem pewien, czy chcę zostać schwytany. Pani jest niezamężna. Ja preferuję mężatki. To upraszcza wiele spraw.

- Dobry Boże, dlaczego? Ach, rozumiem. Uważa pan, że każda niezamężna kobieta chce pana usidlić i zmusić do małżeństwa.

- Cóż, często tak bywa w przypadku bogatych mężczyzn.

- Przemawia przez pana ogromna gorycz, milordzie. A gdy bym powiedziała panu, że chcę jedynie pańskiego towarzystwa i pomocy w pewnej działalności, automatycznie uznałby pan to za oszustwo?

- Gdyby chodziło pani o to, bym został jej kochankiem, rzeczywiście nie uwierzyłbym pani.

- Więc myliłby się pan, lordzie Beecham.

Znów dojrzała w jego oczach niedowierzanie, jakby głęboko skrywaną pogardę, powiedziała jednak tylko:

- Czas pokaże.

Przy alejce stała drewniana ławeczka. Helen podeszła do niej i usiadła.

Lord Beecham pochylił się ku niej.

- Do czego mnie pani potrzebuje, panno Mayberry?

Wiedziała doskonale, czego od niej chce. Wiedziała, o co ją podejrzewa. Przesunęła językiem po dolnej wardze. Beecham wbił wzrok w jej usta i pochylił się jeszcze niżej.

- Proszę tego nie robić - powiedział. - Jeśli nie chce pani, żebym położył ją na ziemi obok tej ławki, proszę tego więcej nie robić.

- Dobrze. Przepraszam. Jest pan uważany za wspaniałego kochanka, kochał się pan zapewne z setkami kobiet. Czy ma pan jakieś dzieci, lordzie Beecham?

- Nie. Ani jednego. Nigdy nie zrobiłbym tego kobiecie ani dziecku, jeśli już o tym mówimy.

- Wydaje mi się, że nie zawsze można zapobiec poczęciu, bez względu na to, jak ostrożni są mężczyzna i kobieta.

- Ja jestem wyjątkowo ostrożny, panno Mayberry. Prędzej słońce zamieni się miejscami z księżycem, niż ja zapłodnię jakąś kobietę. Znów pani to zrobiła, znów wysunęła pani język, a przecież prosiłem.

Przyciągnął ją łagodnie do siebie i pocałował. Od czasów Gerarda tylko raz jakiś mężczyzna próbował pocałować ją w usta. Nie, nie będzie myśleć o Gerardzie. Przypomniała sobie, że wówczas odgryzła kawałek języka tego dżentelmena, a potem jednym ciosem w szczękę pozbawiła

go przytomności. Lecz ten pocałunek był delikatny, kuszący. Cóż, taki powinien być. Beecham był mistrzem w tej sztuce.

To on odsunął ją od siebie.

Nie chciała, by przestawał, ale kiedy to zrobił, nie próbowała go zatrzymać.

- Proszę mi powiedzieć, panno Mayberry - przemówił najgłębszym, najbardziej zmysłowym głosem, jaki w życiu słyszała - do czego mnie pani potrzebuje?

Helen nigdy nie traciła panowania nad sobą. Nie zamierzała też dopuścić do tego teraz, choć miała wielką ochotę rzucić go na ziemię i całować, aż zacznie ją błagać, by przestała.

- Chyba - zaczęła, przełykając ukradkiem - chyba nie znam pana jeszcze dość dobrze, by panu to powiedzieć. Po prostu nie jestem pewna. Douglas powiedział mi o panu coś jeszcze.

- Ach, rozumiem. I cóż to była za obelga?

- To wcale nie była obelga. Powiedział, że kryją się w panu cienie. Że ma pan mroczną duszę.

Odwrócił wzrok i wstał.

- Już nie. Czas wciąż płynie, zmienia różne rzeczy, zacierając wspomnienia, panno Mayberry. Nie, moja dusza nie jest już mroczna. Gdzie się pani zatrzymała? Chętnie podwiozę panią do domu.

- Jest pan zły, bo nie poddałam się panu od razu. - Helen stanęła obok niego i spojrzała mu prosto w oczy. - Nie przystoi dżentelmenowi wpadać w złość tylko dlatego, że coś nie układa się po jego myśli. To dziecinne.

Roześmiał się po raz trzeci w ciągu dwóch dni. A może czwarty?

- Co się stało?

- Nic takiego - odparł, spoglądając w jej piękne niebieskie oczy. - Nic. Wcale się nie złościę.

Żle mnie pani zrozumiała.

Kobiety często źle interpretują nasze zachowanie.

Parsknęła lekceważąco.

- Może być pani piękna jak bogini, panno Mayberry, ale zapewniam panią, że doskonale poradzę sobie i bez pani.

- Jak bogini?

- Także kobiety słyszą czasami tylko to, co chcą usłyszeć.

- Ma pan rację. Aha, mieszkam wraz z ojcem w hotelu Grillon.

Beecham odwrócił się i zawołał:

- Babcock!

- Leonine Octavius Mayberry, szósty wicehrabia Prith, przyglądał się badawczo swemu jedyńemu dziecku.

- Znam cię od urodzenia, pamiętam jeszcze, jak poruszałaś się w brzuchu matki. Znam wszystkie twoje podstępny i gierki, a przynajmniej znałem je do teraz. Powiedz mi, dlaczego zaprosiłaś na kolację człowieka o takiej reputacji jak lord Beecham?

Helen podniosła rękę i delikatnie pogładziła ojca po policzku.

- Zamówiłam szampana.

- Przynajmniej przekonamy się, czy jest prawdziwym mężczyzną. Jeśli będzie wolał tę paskudną brandy, osobiście go stąd wyrzucę.

- A ja ci pomogę i przetrzępię mu skórę własnym butem.

- Śmiejesz się ze mnie, dziewczyno. No dobrze, dlaczego on tutaj przychodzi?

Helen odsunęła się od ojca, wyższego od niej co najmniej o głowę. Właściwie był on

najwyższym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Nie mogła się już doczekać chwili, kiedy lord Beecham będzie musiał zadzierać głowę, by spojrzeć mu w oczy. Podeszła do okna i odciągnęła na bok zasłonę. Maj jest piękny nawet w Londynie, pomyślała. A przynajmniej taki był dzisiaj. Tak wielu ludzi pędziło gdzieś w pośpiechu. Miała nadzieję, że przynajmniej wiedzą, dokąd tak pędzą. Czasami łatwo o tym zapomnieć.

- Tato, mam względem niego pewne plany, ale nie znam go jeszcze dość dobrze. Prawdę mówiąc, chciałabym zobaczyć, co ty o nim sądzisz. Jeśli uznasz, że nie powinnam się już więcej z nim spotykać, powiesz mi to, a ja pożegnaj się z nim raz na zawsze.

Wicehrabia uniósł wąskie, jasne brwi.

- Sporo słyszałem o lordzie Beechamie. Wydaje się, że to człowiek honoru, choć zarazem znany satyr. Przynajmniej jest wysoki, trzeba mu przyznać. Jest także bogaty, ale to nie ma dla ciebie znaczenia. Chcesz za niego wyjść, Neli?

- Wiesz, że nie chcę wychodzić za męża, papo.

Przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu, potem odwrócił się i rzucił przez ramię:

- Zamówię dwie butelki szampana.

Oczywiście nie pomyślał o tym, by prócz szampana zamówić także kolację. Helen uśmiechnęła się do siebie i pociągnęła za dzwonek, przywołując głównego lokaja. Flock, tak niski, że bez trudu mogłaby schować go pod pachą, poradziłby sobie doskonale z samym księciem regentem, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Panno Helen, słyszałem, że lord Beecham jest bardzo inteligentnym mężczyzną - powiedział Flock, zjawivszy się u jej boku.

- Tak, ja też o tym słyszałam, ale czasami plotki kłamią.

- Proszę się tym nie martwić. Porozmawiam z nim, gdy tylko się tu pojawi. Jeśli zrobi na mnie dobre wrażenie, puszcę do pani oko. Jeśli nie, otworzę okno, żeby lord Prith mógł go wyrzucić.

- Ja też mogłabym to zrobić - odparła łagodnie Helen.

- Tak, wiem, ale pani będzie miała na sobie piękną suknię, a nie chciałbym, żeby ją pani pomięła.

- Dobrze, Flock, umowa stoi. - Była bardzo ciekawa, jak wypadnie ocena Flocka.

Tego wieczoru spędziła przed lustrem więcej czasu niż zazwyczaj. Kiedy Teeny założyła jej naszyjnik z pereł, Helen spytała:

- Zdecydowałaś się już, czy wyjdiesz za Flocka?

Odpowiedziało jej ciężkie, bardzo ciężkie westchnienie.

- Och, panno Helen, nie mogę tego zrobić, po prostu nie mogę.

- Dlaczego? To wspaniały mężczyzna. Jest miły, odpowiedzialny. Widziałam, jak drżysz z rozkoszy, kiedy mówi, że cię ukarze, jeśli nie będziesz spełniać jego życzeń. Na pewno byłoby ci z nim dobrze.

- Wiem, panno Helen. Ale widzi pani, nazywałabym się wtedy Teeny Flock. Bolą mnie zęby, gdy tylko próbuję to wymówić.

- Dobry Boże. - Helen wstała i wygładziła spódnicę. Po chyliła się, by uściskać Teeny. - Nie pomyślałam o tym. Ale nie trać nadziei. Owszem, to poważna przeszkoda, jednak nie taka, której nie dałoby się pokonać.

Kiedy Flock obwieścił przybycie lorda Beechama, Helen była już dawno gotowa. Dlaczego, do diabła, tak się denerwowała? To absurdalne.

Flock puścił do niej oko.

Lord Beecham, odziany w elegancki wieczorowy strój, doskonale do niego pasujący, wszedł energicznym krokiem do salonu, odszukał wzrokiem Helen i natychmiast znalazł się przy niej. Skłonił się nisko nad jej ręką, nie pocałował jednak jej nadgarstka ani palców. Uśmiechnął się tylko i uściśnił dłoń lorda Pritha.

- Miałem kiedyś przyjemność widzieć pana u White'a.

Mogę spytać, jak wysoka była pańska żona?

- Ach, moja słodka Maty Ida... Nazwano ją tak na cześć żony Wilhelma Zdobywcy, rozumie pan. Była drobną dziewczynką, kiedy ją poznałem. Gdy braliśmy ślub, sięgała mi ledwie do łokcia. Przysięgam jednak, że rosła potem jeszcze przez wiele lat i dorównała swej córce. Helen, jak wysoka była twoja matka?

- Moja matka, lordzie Beecham, była o dwa centymetry wyższa ode mnie. Niejeden dżentelmen błagał ją, by za niego wyszła, jednak od czasu gdy poznała tatę, nikt się dla niej nie liczył.

- Ten sam los spotyka ciebie. - Lord Prith westchnął, po czym zwrócił się do Beechama. - Wielu mężczyzn chciałoby poślubić moją córkę. Niestety, większość z nich jest od niej znacznie niższa. Wystarczy, że na nią spojrzą, i mdleją z wrażenia. Oczywiście ani ja, ani Helen nie widzimy, kiedy upadają na podłogę.

- Bo są tacy niscy.

- Otóż to. - Lord Prith skinął głową. - Flock, przynieś szampana.

No tak, pomyślała Helen, uśmiechając się do ojca. Wkrótce przekonają się, co wart jest lord Beecham. Nie wiedziała, jakimi kryteriami posługuje się Flock, oceniając czyjąś inteligencję, lecz ojciec zawsze poznawał to po stosunku do szampana.

Lord Beecham spojrział na piękny kielich wypełniony po brzeg idealnie schłodzonym trunkiem. Uśmiechnął się do Flocka i pokręcił głową.

- Proszę wybaczyć, ale wolałbym brandy.

Lord Prith zakrzuszył się tak, że aż parsknął kropelkami szampana.

Helen potrząsnęła głową. Posmutniała.

- Jest pan pewien, lordzie Beecham? Nie lubi pan szampana?

- Wręcz przeciwnie, bardzo cenię sobie jego smak. Problem polega jednak na tym, że po szampanie; szczególnie tak dobrym jak ten, bardzo źle się czuję. Kiedy po raz pierwszy napiłem się szampana, w Oxfordzie, byłem niemal bliski śmierci. Od tej pory spróbowałem go jeszcze tylko raz. Zapewniam panią, że był to pożałowania godny widok. I jeszcze gorsze wspomnienie.

- Brandy dla pana, milordzie - oświadczył Flock. - To najlepsza francuska brandy, przemycona z Francji na specjalnie zamówienie lorda Pritha.

- Flock, lord Beecham może na nas donieść - zauważyła Helen, popijając szampana.

- Nie, nie zrobi tego - odrzekł powoli lord Prith. - Potrafi być niebezpieczny, ale jest uczciwy. I wysoki. Szkoda tylko, że nie pija szampana. Sześć kieliszków tego trunku może przeprowadzić człowieka przez najmroczniejsze nawet chwile.

- Tak powiadają, sir. Ale i brandy potrafi wspomóc potrzebującego w ciężkich momentach. Choć w moim życiu takich chwil nie brakuje, nie jestem niebezpieczny, sir. Przynajmniej nie na co dzień.

- Myślę, że nie powinien pan oponować. Tak będzie lepiej dla pańskiej reputacji - powiedziała Helen, trącając go lekko w ramię. Wyglądała cudownie w sukni w kolorze kości słoniowej i naszyjniku z pereł. Włosy zebrane na czubku głowy sprawiały, że wydawała się wyższa od Beechama, co go szczerze bawiło.

- Rzeczywiście. - Pokiwał głową. - Jestem tak niebezpieczny, że na sam widok mojej karety rozbójnicy oddają się w ręce policji. - Zastanawiał się, jak będzie smakować. Dekolt jej sukni nie był zbyt duży, odsłaniał jednak kuszące krągłości piersi.

- Proszę przestać - szepnęła doń.

- Jeśli kobieta nie chce, by mężczyzna podziwiał jej ciało, to dlaczego nosi suknię z dekoltem do kolan?

- Ja sam wybrałem tę suknię, sir - wtrącił lord Prith, spoglądając na swą córkę, a po krótkiej pauzie dodał: - Może rzeczywiście jest nieco nieskromna. Powinnaś chyba okryć czymś ramiona. Flock, przynieś mój wełniany szal.

- Sam jestem sobie winien. - Beecham pokręcił głową, wziął szklanekę i dopił resztę brandy.

- Papa ma doskonały słuch. Trzeba bardzo uważać w jego obecności. Słyszy nawet najcichszy szept.

- W przyszłości będę ostrożniejszy. - W przyszłości? Może widział ją tego wieczoru po raz ostatni, choć miał nadzieję, że ta znajomość nie skończy się tak szybko. Chciał się z nią kochać, to wszystko. Słodkie, proste pożądanie, coś, co mężczyzna może zaspokoić bez większego trudu, a potem przez jakiś czas ze spokojną głową zajmować się swoimi sprawami.

- Zapraszam do stołu, panno Helen.

Kiedy Flock otworzył drzwi jadalni, z jego gardła wyrwał się okrzyk przerażenia.

Pokój wypełniony był czarnym dymem.

- O Boże - jęknął Flock. - O Boże.

Lord Beecham natychmiast stanął u jego boku.

- Pali się pieczeń wołowa - stwierdził. Podniósł butelkę wina i wylał zawartość na pieczeń. Potem zdjął srebrną pokrywę z innego dania i położył ją na mięsie. Spod pokrywki dobiegło najpierw głośne syczenie, potem w górę buchnął kłęb dymu, wreszcie pieczeń przygasła.

- Flock, otwórz wszystkie okna - polecił lord Prith. - Jak to się stało?

- To obsługa hotelowa, milordzie - odrzekł Flock, rozsuwając zasłony i otwierając okna. - Szeff kuchni to Francuz, bardzo rozmowny i uczuciowy. Nazywa się monsieur Jerome.

Kiedy zobaczył pannę Helen, zupełnie stracił głowę i błagał mnie, bym pozwolił mu dla niej gotować. Tym daniem chciał jej zaimponować. Nazywa je feu du monde.

- Ogień świata? - zdziwił się Beecham i zakasłał. Podniósł serwetkę i próbował rozgonić nią dym. - Szeff kuchni jest niski, nieprawdaż?

- Tak, milordzie. Jerome nie sięga pannie Helen do brody.

To samo jednak można powiedzieć o mnie.

- Hę? Co chcesz przez to powiedzieć, Flock?

Lokaj pochylił się nad stołem i przyjrzał się czarnym plamom na śnieżnobiałej połaci obrusa.

- To znaczy, milordzie, że z mojej strony nic pannie Helen nie grozi. Za niskiego mężczyznę uważam takiego, który sięga pannie Helen poniżej nosa.

Helen także próbowała rozgonić dym.

- Flock, miałeś mu powiedzieć, że jestem mężatką, i ostudzić w ten sposób jego zapały.

- Zrobiłem to, ale stwierdził, że jeśli pani mężem nie jest Francuz, to nie ma pani pojęcia o sztuce kochania.

Lord Beecham roześmiał się i podniósł pokrywę znad przypalonego mięsa.

- Panno Mayberry, proszę spojrzeć na francuskie arcydzieło.

Ogień świata... nie, tego już za wiele.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze będę mogła patrzeć na pieczeń wołową. - Helen westchnęła.

Na jej nosie widniała maleńka plamka, druga znajdowała się na policzku. Lord Beecham starł je delikatnie czubkiem palca.

Pochylił się do jej ucha i wyszeptał:

- Widzę nie tylko plamki na pani nosie, ale i wstążki, które wplotła pani we włosy.

Flock odchrząknął głośno.

- Proponuję, by wrócili państwo do salonu. Przenieść tam pozostałe dania. Najpierw jednak muszę wyjść na zewnątrz, gdzie czeka zdenerwowany monsieur Jerome, i poinformować go, że feu du monde nie tyle zachwyciło, co zaskoczyło pannę Helen.

- Przynieś jeszcze szampana - polecił lord Prith. - To właśnie jedna z tych trudnych chwil.

5

Lord Beecham przeciągnął się na łóżku, podłożył ręce pod głowę i zapatrzył się na sufit, gdzie leniwy płomyk świecy rysował dziwaczne, egzotyczne cienie.

Dziwne... Przez cały czas pośród tych chwiejnych, zmiennych kształtów widział Helen Mayberry z szyją i ramionami owiniętymi szalem ojca, związanym dokładnie między piersiami. Gdy patrzył wtedy na nią, miał ochotę wybuchnąć śmiechem, zdołał się jednak powstrzymać.

Nosiła ten idiotyczny szal przez cały wieczór, gruby węzeł zasłaniał jej piersi, a zdobione frędzlami końce sięgały niemal do kolan. Na kolację zjedli ziemniaki, ugotowane i uwędzone, trzy potrawy z ostryg, również mimowolnie uwędzone, a do tego fasolę, która po dłuższym przebywaniu w dymie wydawała się dziwnie szara. Lord Prith, ciężko wzdychając, stwierdził, że francuski kucharz wciąż podawał Helen potrawy z ostryg, by rozbudzić w niej temperament. Wprawdzie lord Prith przypuszczał, że Helen nie jest pozbawiona takich cech, jednak z oczywistych względów wolał nie myśleć o swej ukochanej córeczce w tych kategoriach.

- Biedny Jerome. - Helen uśmiechnęła się, komentując słowa ojca. - Podobno napisał do wszystkich swych krewnych we Francji, by przysłali mu nowe przepisy na ostrygi. Ponieważ jesteśmy w stanie wojny z Francją, w najbliższym czasie nie otrzyma odpowiedzi. Mam nadzieję, że zdążymy przedtem opuścić ten hotel.

Lord Beecham znów omal nie wybuchnął śmiechem, w porę się jednak opanował.

- Może potrzebuje odrobinę dyscypliny - powiedział, prze łykając kawałek bułki, która po uwędzeniu była niemal całkiem czarna.

- He? - zdziwił się lord Prith. - Dyscypliny, powiada pan?

Pan się na tym zna?

- Oczywiście, sir. Jestem Anglikiem.

Nie zdążyli jednak rozwinąć tego tematu, w tej samej chwili do salonu wkroczył bowiem Flock i poinformował swego pana, że nadeszła pora spaceru. Lord Prith uściskał dłoń lorda Beechama, życząc mu dobrej nocy, potem ucałował na dobranoc swą córkę, poprawił szal wokół jej szyi i wyszedł z salonu, pogwizdując cicho. Katastrofa wydawała się bliska, lecz głowa lorda Pritha minęła poprzeczną belkę futryny o kilka centymetrów.

- Flock i mój ojciec co wieczór wychodzą na dwudziestominutowy spacer. Robi się już późno, a Flock potrzebuje dużo snu. Co najmniej dziewięciu godzin, jak twierdzi.

Helen roześmiała się i pokręciła głową. Niecałe pięć minut później odprowadziła go do drzwi.

Teraz leżał w łóżku i wpatrywał się w jej sylwetkę pomiędzy chwiejnymi cieniami na suficie sypialni. Wciąż miała na sobie czerwony wełniany szal, a on myślał o tym, by wsunąć dłoń pod jedwabną tkaninę jej sukni i dotknąć ciepłego ciała.

- Przeżyjemy razem cudowne chwile - powiedział, przesłał pocałunek ukrytej wśród cieni Helen i zdmuchnął świecę.

Lord Beecham znał się na kobietach. Wiedział, jak z nimi postępować. Był mistrzem w tej sztuce.

Przez następne trzy dni nawet nie próbował zobaczyć się z panną Helen Mayberry.

Niewielki park przed miejską rezydencją lorda Beechama przy Grosvenor Square pokryty był bujnym kobiercem wiosennych kwiatów - słonecznych żonkili, bladoniebieskich lilii, kremowoczerwonych azalii. Tu i ówdzie przebłyskiwały inne, równie kolorowe kwiaty, lord Beecham nie znał jednak ich nazw. Było piękne, czwartkowe popołudnie, a Beecham uznał, że pracował już dość długo nad księgami rachunkowymi swego majątku. Poinformował Pliny'ego Blundera, swego sekretarza (dość niefortunne określenie, zważywszy na to, że Blunder pracował ciężiej niż trzej zwykli sekretarze razem wzięci), że zostawia go samego, bo ma już dość przebywania w zamknięciu, a z braku słońca jest chorobliwie blady i że wybiera się na przejażdżkę.

Pliny wcale jednak nie chciał puścić go wolno. Obłożył go całą stertą dokumentów, które wymagały osobistej uwagi jego lordowskiej mości; byłoby naprawdę lepiej, gdyby jego lordowska mość przesunął o godzinę czy dwie tę zupełnie niepotrzebną przejażdżkę.

- Milordzie, wcale nie jest pan blady. Proszę tylko spojrzeć na dokumenty z Paledowns. Część to rachunki z ubiegłych miesięcy, ale sporo tu też zamówień wymagających pańskiej akceptacji.

- Zamówień?

- Tak, milordzie. Pańska ciotka Mabel stała się tak oszczędna, że nie chce kupić nowych prześcieradeł, chociaż w zeszłym miesiącu lord Hilton, nocując w majątku, przebił jedno piętą.

- Hm... Napisz więc do ciotki, że zamówiłeś w Londynie nowe prześcieradła i że prześlesz je prosto do niej.

- Ależ milordzie, ja nie znam się na bieliźnie pościelowej.

- Dlatego właśnie Bóg stworzył gospodynie. Blunder, porozmawiaj z panią Glass. A teraz daj mi już spokój. Możesz torturować mnie jutro rano, ale nie wcześniej niż o dziesiątej, rozumiesz?

- Rozumiem, milordzie, nie powiem jednak, żebym był z tego powodu zadowolony.

- Każ Burneyowi osiodłać Luthera. I przejdź się do stajni.

Potrzebujesz ruchu i słońca jeszcze bardziej niż ja. Nie zamierzam już dzisiaj dłużej pracować, bolą mnie oczy, mam zdrętwiałe palce i zamęt w głowie. Daj mi już spokój.

Pliny Blunder westchnął ciężko i wyszedł z pokoju. Lord Beecham po raz pierwszy zauważył, że sekretarz jest dość niski. Czy tak niski, by zakochać się w pannie Helen Mayberry od pierwszego wejrzenia, jak czyniła to większość niskich mężczyzn, którzy ją widzieli?

Lord Beecham parsknął głośno, zirytowany własnymi myślami, potem wziął bicz i kapelusz do jazdy konnej od Claude'a, głównego lokaja. Jego poprzednik, pan Crittaker, który pełnił tę rolę w domu Heatheringtonów, nim jeszcze lord Beecham przyszedł na świat, umarł w zeszłym roku w swym pięknym pokoju na trzecim piętrze. Lord Beecham trzymał go wtedy za prawą rękę, pani Glass za lewą. Pozostali służący stali w jednym rzędzie u podnóża jego łóżka, ustawieni podług rangi od lewej do prawej. Ostatnie słowa pana Crittakera brzmiały: „Pokojówka z piętra nie powinna stać obok pomocy kuchennej, milordzie. Claude, musisz się bardziej starać”.

- Miłej przejażdżki, milordzie.

- Dziękuję, Claude. Jak ci idzie polerowanie sreber?

Claude westchnął ciężko.

- Bolał mnie już od tego palce, milordzie. Nie mam pojęcia, co robił z nimi stary Crit, ale za jego czasów można się było przeglądać w każdej łyżeczce, a dzisiaj... Szkoda gadać.

- Nie poddawaj się, Claude. Porozmawiaj z panią Glass.

- Stary Crit ZAWSZE mówił, że gospodyni, jako kobieta i w ogóle, nie ma pojęcia o tym, jak polerować srebra.

- Stary Crit był człowiekiem zeszłego wieku, Claude. Ty musisz dostosować się do współczesności.

- Pani Glass mnie nie lubi, milordzie. Nie powie mi, jak to robić.

- Po prostu brakuje jej Crittakera. Na pewno ci pomoże, jeśli potraktujesz ją z odpowiednim szacunkiem.

- Ale Crit mówił...

Boże, istny dom wariatów, pomyślał lord Beecham, odprawiając Claude'a machnięciem ręki. Wyszedł na zewnątrz i skręcił w prawo, w stronę stajni położonych niedaleko od domu, obok starych, rozłożystych dębów.

Lord Beecham musiał przyznać, że kiedy Blunder już się za coś zabrał, robił to naprawdę szybko. Luther, wielki narowisty ogier, czekał już osiodłany i gotowy do drogi.

Kilka minut później jechał powoli przez park, wystawiając twarz do słońca i sycąc oczy wiosenną zielenią. Pozdrowiał przyjaciół, zatrzymywał się od czasu do czasu, by porozmawiać z damami, które śmiały się do niego i machały ze swych odkrytych powozów. Potem zauważył wielbego Oldera. Obaj dżentelmeni jechali przez jakiś czas obok siebie. Wielbny Older był znanym i popularnym pastorem, świetnym mówcą, ekscentrykiem i wielbicielem wyścigów konnych. Kościelny z parafii pod wezwaniem św. Judy, wyrzucony przez pastora z tejże posady, twierdził, że pastor wydaje na zakłady pieniądze zbierane na tacę. Wielbny Older nazwał to obrzydliwym kłamstwem i rozbił kościelnemu nos.

- Zastanawiam się, czy nie wybrać się w przyszłym tygodniu do McCaulty'ego - zagaił wielbny Older. - Oczywiście nie w niedzielę. To jedyny dzień w tygodniu, kiedy jestem na to zbyt zajęty.

- To prawda - zgodził się z nim lord Beecham, z trudem tłumiąc śmiech. Czyżby zapadł na jakąś przedziwną chorobę?

Czy będzie teraz wybuchał śmiechem przy każdej okazji?

Właściwie mógłby się do tego przyzwyczaić. - Nie wiedziałem, że interesuje się pan wyścigami kotów. Myślałem, że fascynują pana wyłącznie konie.

- Ach, te małe bestie potrafią pędzić szybciej niż wiatr, mój chłopcze. Trzeba tylko wiedzieć, jak przyciągnąć ich uwagę.

Nie jest to łatwe, bo są bardzo ciekawskie i byle, co może je rozproszyć. Widziałeś kiedyś wyścigi kotów?

Lord Beecham pokręcił głową.

- Jeszcze nie. Może kiedyś... Mój przyjaciel, Rohan Carrington, baron Mountvale, bardzo się tym interesuje.

- Tak, ja też go znam. Jego koty często wygrywają. Dwaj spośród najlepszych kocich trenerów, bracia Harkerowie, są też ogrodnikami w jego posiadłości. Na pewno działa to na jego korzyść.

Wszyscy słyszeli o kocich wyścigach na słynnym torze McCaulty'ego. Wydawano tam całkiem

spore sumy, lord Beecham nie mógł jednak wyobrazić sobie czegoś podobnego. Tylko raz w życiu widział wyścigi konne - na torze w Yorku - i okropnie się wtedy wynudził. Wygrał nawet sto funtów, postawiwszy na konia, o którym nigdy wcześniej nie słyszał - po prostu spodobało mu się jego imię. Ubłocony Urwis był wielkim, chudym ogierem, który wyglądał nawet groźniej niż ciotka Honoraria, kiedy przyłapała go, jeszcze jako małego chłopca, na wyciąganiu wypchanych ptaszków z jej ogromnej, bogato zdobionej peruki.

- Tak, pamiętam, jak zostałem kiedyś u Rohana Carringtona na kocie wyścigi. Omal nie dostałem zawału, kiedy jakiś dachowiec wyprzedził na ostatniej prostej faworyta, na którego postawiłem pięćdziesiąt gwinei.

Jechali razem jeszcze przez kilka minut, kiedy nagle wielebny Older ściągnął wodze i zawołał:

- A niech to! Omal nie zapomniałem. Te miłe damy z Montpelier Place zaprosiły mnie dziś na herbatkę. Nie mogę ich rozczarować. Może nawet ożenię się z jedną z nich.

To było spore zaskoczenie. Wielebny Older nie był oczywiście lubieżnikiem, jak lord Beecham, cieszył się jednak zasłużoną opinią flirciarza.

- Z którą, jeśli można spytać?

- Cóż, myślałem o Lilac Murcheson, lady Chomley. Pamiętasz Chomleya, co? Lubieżnik i prostak, na szczęście nie żył dość długo, by zepsuć jeszcze swoją córkę. O ile pamiętam, zalecał się do jakiejś damy w nawie mojego kościoła, a jej mąż zmuszony był wyzwać go na pojedynek. Strzelił mu w sam środek czoła. Syn Lilac podarował jej bardzo przyjemną stadninę w Wessex. Cóż, kiedy już zabraknie mi dobrych pomysłów na kazania, wyjadę tam i zajmę się hodowlą koni.

Lord Beecham pokręcił tylko głową, widząc, jak wielebny ponagla konia do kłusu i podskakuje w siodle niczym szmaciana lalka. To musiało być bolesne. Beecham westchnął z żalem, myśląc o płomiennych kazaniach wielebnego, w których ten z ogromnym zapalem piętnował grzeszników. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś wielebny wybuchnął śmiechem w środku przemowy, gdy dyrygent chóru potknął się o skraj szaty i przewrócił na organistę, ten zaś wydobył z instrumentu tak przerażający dźwięk, że wszyscy wierni musieli zakryć uszy.

Nigdy nie potrafił też zrozumieć, jak wielebny Older i jego ojciec mogli się zaprzyjaźnić. Wielebny uchodził za ekscentryka i być może trochę za bardzo lubił wyścigi i zakłady, miał jednak poczucie humoru i wiedział, co to honor, czego nie dało się powiedzieć o ojcu lorda Beechama, Gilbertcie Heatheringtonie.

Ściągnął lekko wodze, kierując Luthera ku mniej uczęszczanym obszarom parku, gdzie mógł trochę pogalopować.

- No dobrze, Luther - powiedział do ucha ogiera. - Rób, co chcesz.

Rozradowany koń wyciągnął mocno szyję i wystrzelił do przodu niczym pocisk. Lord Beecham zaniósł się czystym, krystalicznym śmiechem. Potem pochylił się nad karkiem zwierzęcia i wyszeptał mu do ucha:

- Z przyjemnością popatrzyłbym, jak biegiesz na wyścigach. Bez trudu pokonałbyś tego przekłętą Brutusa. Ale jeśli rzeczywiście kiedyś wystartujesz, to sam cię będę dosiadał.

Zaczął się właśnie zastanawiać, czy nie powinien jednak zainteresować się wyścigami, kiedy nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, spadło na niego kobiece ciało, które zważyło go z siodła prosto na ziemię.

Ujrzał eksplozję białego światła. Nie mógł oddychać. Jakiś ciężar przyciskał go do ziemi.

Światło powoli przygasło. Przełknął ciężko i uchylił powieki, choć nie mógł jeszcze podnieść ich

całkiem. Leżała na nim panna Helen Mayberry, jej gruby blond warkocz zakrywał mu twarz. Kapelusz do jazdy konnej przekrzywił się mocno, zasłaniając jej prawe oko. Niemal dotykali się nosami.

- O Boże, nic panu nie jest, lordzie Beecham? Proszę coś powiedzieć. Może pan na mnie patrzeć?

Wciąż nie mógł pozbierać myśli, nie mógł też swobodnie oddychać, a do tego nie był pewien, czy przy upadku nie złamał nogi. Był jednak silnym i wytrzymałym mężczyzną, toteż po chwili doszedł do wniosku, że noga nie jest złamana, a tylko lekko zwichnięta. Wreszcie, po jakiś dwóch minutach, zamrugał kilkakrotnie i zdołał skupić wzrok na ślicznej twarzy Helen Mayberry.

- Czy nie mówiłem już pani, że sam proces zrzucania mnie na ziemię wcale mi się nie podoba, panno Mayberry? Że interesuje mnie tylko końcowy rezultat?

- Ale, milordzie, poniósł mnie koń. Jechałam sobie spokojnie, gdy dostrzegłam pana kątem oka i zaczęłam do pana machać. W tej samej sekundzie pszczoła użądliła moją biedną klacz, która natychmiast rzuciła się do biegu i wjechała prosto w pana. To był po prostu nieszczęśliwy wypadek. Nie złamałam panu nic, prawda?

- Trochę boli mnie noga, ale kości są chyba całe. Proszę odsunąć się ode mnie, panno Mayberry. Jeśli pani tego nie robi, za chwilę zacznę panią pieścić. Moje dłonie już teraz są bardzo blisko pani bioder. Chciałaby pani, bym pieścił panią w parku? A może nie ma pani nic przeciwko temu?

- Byłaby to zupełnie nowa forma dyscypliny - odparła Helen powoli, wciąż pochylona nad jego twarzą. Czują pod sobą całe jego ciało. Było to całkiem miłe uczucie.

Delikatnie dotknął jej brody czubkami palców.

- Właściwie nazwałbym to dyscypliną tylko wtedy, gdyby przyjemność, jaką mógłbym pani dać, została zrównoważona przez nagłe przybycie jednej z londyńskich matron, powiedzmy, Sally Jersey. Poznała pani Sally?

- Nie, ale przypuszczam, że chciałby ją poznać mój tato.

Na pewno uwielbia szampana.

- To prawda. Bez trudu mogę sobie wyobrazić tych dwoje.

Pański ojciec niesie ją pod pachą, a ona dzierży w dłoni butelkę szampana. Moje ciało otrząsnęło się już z pierwszego szoku, panno Mayberry, i chętnie podda się pani dyscyplinie.

- Nie miałam wyboru, lordzie Beecham. Musiałam podjąć jakieś działania. Przez trzy dni nawet się pan ze mną nie skontaktował. Rozumiem, że chciał mnie pan ukarać.

Dotknął palcami jej ust. Drgnęła, potem jednak zastygła w bezruchu.

- Wcale nie, panno Mayberry. To psychologiczna tortura.

Jestem w tym mistrzem.

Czują go pod brzuchem, czują, jak jego dłonie dotykają jej pośladków, i szybko się stoczyła. Tak, z pewnością był mistrzem w wielu dziedzinach. Usiadła prosto i objęła kolana ramionami.

Lord Beecham wziął głęboki oddech, potem zagwizdał. Luther, który pasł się zaledwie trzy metry dalej, podniósł łeb i zarżał.

- Zostań tam - zawołał Beecham. - A gdzie jest pani koń, panno Mayberry?

Gwizdnęła przez zęby jak chłopiec, znacznie głośniej od niego. Po chwili podbiegła do nich kasztanowa klacz z białą gwiazdką na czole i białymi skarpetkami.

Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która umiałaby gwizdać przez zęby. Na dodatek gwizdała głośniej niż on jeszcze jako chłopiec, kiedy nikt nie potrafił pobić go w tej sztuce.

Nie, tak być nie może. Owszem, była wyjątkowo dużą dziewczyną, ale on był mężczyzną.

Postanowił ćwiczyć.

- Włosy się pani rozplotły - zauważył, pogryzając źdźbło trawy.

Helen w milczeniu splotła gruby warkocz na czubku głowy, a potem przykryła go kapeluszem.

- Moja klacz ma na imię Eleanor, została tak nazwana na cześć żony króla Edwarda I.

- Pani jest historykiem, panno Mayberry?

- W pewnym sensie, sir.

- Miałem sporo szczęścia, panno Mayberry. Chyba nic mi się nie stało podczas tego upadku. Co pani naprawdę zrobiła?

Skoczyła na mnie z grzbietu Eleanor?

- Tak, choć przyznam, że trochę się bałam. To dziwne, że mnie pan nie słyszał.

- Byłem przytulony do szyi Luthera, myślałem o mojej kochance i o jej słodkich pieszczotach.

Miała głos zimniejszy niż drewniana podłoga pod bosymi stopami w środku zimy, gdy odparła:

- W tej chwili nie ma pan żadnej kochanki.

- Skąd ma pani takie dokładne informacje na mój temat?

Machnęła tylko ręką i odpowiedziała innym pytaniem:

- Dlaczego mnie pan nie odwiedził? Dlaczego nie przysłał mi pan kwiatów ani wierszy wychwalających mą urodę, jak robią to inni dżentelmeni? Przez trzy dni nie dał pan żadnego znaku życia.

Beecham znów przygryzł trawkę, uśmiechnął się leniwie i odchylił do tyłu, oparty na łokciach.

- Jestem mężczyzną, panno Mayberry. Ja poluję, a pani jest zwierzyną.

Powoli podniosła się z ziemi i stanęła nad nim, opierając ręce na biodrach.

- To nie było żadne polowanie. Pan nic nie robił.

- Psychologiczna tortura. Zacząłbym działać wtedy, kiedy uznałbym to za stosowne. Znam się znacznie lepiej na tej odmianie dyscypliny niż pani, panno Mayberry. Nigdy nie naraziłbym na szwank życia mojej ofiary, jak zrobiła to pani przed chwilą. Każdy fizyk powiedziałby pani, że masa tak dużej dziewczyny przy takiej prędkości mogłaby poważnie uszkodzić większość zwykłych śmiertelników. Proszę spojrzeć na mnie. Nawet ja ledwie to przeżyłem, a jestem bardzo dużym śmiertelnikiem.

- Nieprawda. To znaczy, owszem, jest pan duży, ale nie wygląda pan na kogoś, kto ledwie uszedł z życiem. Robi pan z siebie ofiarę, lordzie Beecham, a mnie to wcale nie wzrusza.

Beecham westchnął.

- Obawiam się, że ma pani rację. Mam jednak do pani jedną prośbę: kiedy znów zechce pani na mnie zapolować, proszę wybrać rozwiązanie bardziej intelektualne, mniej fizyczne.

- Nie miałam czasu, by wymyślić coś innego. Widzi pan, ojciec poinformował mnie dziś przy śniadaniu - tak, uprzedzę pańskie pytanie, w jadalni wciąż czuć dym - że w przyszłym tygodniu chciałby wrócić do domu.

- Ach, to zmienia postać rzeczy. - Wstał, otrzepał się i poprawił kapelusz Helen, wsuwając pod rondko zabłąkany kosmyk włosów. Trzy małe wisienki zdobiące kapelusz wisiały, naderwane, obok jej policzka. Beecham oderwał je do końca i schował do kieszeni. - No dobrze, panno Mayberry, przejdźmy do rzeczy. Czy chciałaby pani zostać moją kochanką i poznać nowe formy dyscypliny, nim wróci pani na wieś, do swoich grubych i niskich mężczyzn, którzy mdleją na pani widok?

Kasztanowa klacz trąciła ją lekko nozdrzami w plecy. Helen roześmiała się i odwróciła, by poklepać ją po szyi.

- W porządku, Eleanor, on tylko próbuje mnie zirytować i zaintrygować. Byłabym zresztą rozczarowana, gdyby zachowywał się inaczej. - Ponownie odwróciła się do niego. - Nie, panie Beecham, nie chcę, by został pan moim kochankiem.

Jego ciemne brwi powędrowały do góry.

- Jak to, panno Mayberry? Chciała mnie pani poznać, rzuciła się pani na mnie, z niezwykłą swobodą rozprawia pani o mężczyznach oraz ich upodobaniach. Oczywiście, nie jest już pani tak młoda, miała więc pani czas na doskonalenie różnych umiejętności. Skoro nie chce pani, bym został jej kochankiem, to kim mam dla pani być?

- Chcę, by został pan moim partnerem.

-

6

A. to ci dopiero. Miał zostać partnerem kobiety? Nie mógł sobie tego wyobrazić.

- Zadziwiająco. Partnerem, powiada pani, panno Mayberry, nie kochankiem? Czy uderzyła się pani w głowę, kiedy spadła pani ze mną z konia?

- To wcale nie jest takie dziwne. Myślałam o tym, odkąd tylko Aleksandra Sherbrooke opowiedziała mi o panu. Byłam przekonana, że mężczyzna prowadzący tak aktywne życie musiał opanować do perfekcji umiejętność planowania i organizacji, by nigdy nie znaleźć się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Musi pan przez cały czas mieć się na baczności, by nie wypaść z tego, że tak to określe, biznesu.

- A może jestem po prostu niezwykle utalentowany?

- Och, nie wątpię w to. Jest to talent, za który większość mężczyzn chętnie oddałaby wszystkie swoje ziemskie posiadłości. Z pewnością nie brakuje panu różnych talentów, lordzie Beecham. Ale to tylko początek. Musi pan mieć także wszystkie inne przymioty, by utrzymać swoją reputację na tak wysokim poziomie.

- Chwileczkę, muszę to uporządkować. Chce pani, bym został jej partnerem, bo jestem dobrym strategiem, równie dobrym organizatorem i jeszcze lepszym wykonawcą. Zgadza się?

- Tak.

- Rozumiem, że odnosi się pani do moich relacji z płcią piękną?

- Naturalnie. Najważniejsze jest jednak to, że kiedy postawi pan sobie jakiś cel, lordzie Beecham, nie spocznie pan, dopóki go nie osiągnie. Nie myślę się, prawda?

- Nie może pani tego wiedzieć - odparł powoli, patrząc jej prosto w oczy. Poczul się nagle tak, jakby szedł ulicą zupełnie nagi, trzymając tylko nad głową rozłożony parasol. Wszyscy wytykali go palcami. Wszyscy wiedzieli, kim jest i co robi. - To absurdalne. Mówi pani tylko o swoich domysłach.

- Widzi pan, dwa dni temu widziałam się z pańskim sekretarzem, panem Blunderem. Nie, proszę nie wyrzucać go z pracy. Mister Blunder darzy pana ogromnym szacunkiem, chwalał pana tak, że aż zbierało mi się na wymioty. Potrzebuje tylko słuchacza, któremu mógłby to wszystko opowiedzieć.

- Ten człowiek chciałby, żebym pracował od rana do nocy.

- Mówił, że pojmuję pan w lot wszelkie tajniki księgowości.

- Czuję, że i mnie zaczyna się robić niedobrze.

- Mówił też, że zazwyczaj, kiedy chce pan czegoś dokonać czy zdobyć, to w grę wchodzi jakaś piękna dama. Bywa jednak i tak, że jest to jakiś problem do rozwiązania, trudna sytuacja, nieprzyjaciele, których chce pan pogodzić, polityczny kompromis, który może zażegnać groźny

konflikt, cokolwiek. Mówił, że nigdy się pan nie waha, nie uznaje półśrodków, nie poddaje.

Mister Blunder uważa, że może pan zrobić praktycznie wszystko.

- Ach, domyślam się już, jak namówiła go pani do zwierzeń.

Zabrała go pani do Gunthera, prawda?

- Owszem, uwielbia lody malinowe. Spotkałam go, gdy stał przed wystawą z miną człowieka, który oddałby ostatnią gwineę za jedną łyżeczkę lodów. Prawdę mówiąc, wcale nie musiałam go namawiać do zwierzeń. Po prostu jadł i cały czas mówił. Ja go tylko słuchałam. Najwyżej zjadłam przy tym jedną czy dwie porcje lodów...

- Kiedy przyjechałem tu przed godziną - mówił powoli lord Beecham, patrząc na przechadzających się w pobliżu ludzi - nie przypuszczałem nawet, że spotka mnie coś podobnego.

Nawet walebnny Older, przemiły dziwak, nie może się równać z panią. Nie przywykłem do tego rodzaju niespodzianek, panno Mayberry.

- Proszę tylko poczekać do swoich urodzin, milordzie.

Zaniósł się radosnym, głębokim śmiechem, który przeniknął otaczające ich stare dęby i klony. Przychodziło mu to coraz łatwiej, śmiech stawał się coraz bardziej naturalny, coraz bardziej oczyszczający. Luther podniósł łeb, parsknął głośno i Eleanor ruszyła w jego stronę. Lord Beecham podniósł rękę, a klacz potarła nozdrzami o jego otwartą dłoń.

Spojrzał na pannę Helen Mayberry - na jej pomiętą suknię do jazdy konnej, na przekrzywiony kapelusz - i spytał:

- A jeśli powiem pani, że wolałbym raczej być jej kochankiem niż partnerem?

Podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w oczy.

- Nie jest pan ciekawy, milordzie? Nie chce pan wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? Nie zastanawia się pan, dlaczego ja, kobieta samodzielna i inteligentna, potrzebuję partnera?

- Nie.

Tym razem to ona musiała się roześmiać.

- Jedno muszę panu przyznać: z pewnością nie jest pan niski.

- Bo nie padłem jeszcze do pani stóp?

- Nie wyobrażam sobie, by padł pan do stóp jakiegokolwiek kobiety.

- Rzeczywiście, nigdy do tego nie doszło. A teraz proszę mi powiedzieć, co miałbym robić jako pani partner.

Przez chwilę przyglądała mu się badawczo, jakby chciała się upewnić, czy rzeczywiście uważnie jej wysłucha.

- Proszę mówić, panno Mayberry.

- To trochę potrwa. Może usiądziemy na ławce?

Szła obok niego, stawiając kroki równie długie jak on. Spod jej kapelusza wysuwały się kosmyki włosów. Zatrzymał ją i wsunął je z powrotem pod kapelusz. Patrzył na nią przez chwilę, a potem otarł jej zabrudzony policzek. Przeciągnął dłonią po jej plecach, wygładzając nieco pomiętą suknię; suknia pomięta była także z przodu, zdołał się jednak pohamować.

- Proszę, teraz może pani już pokazać się ludziom. Partner... nigdy o tym nie myślałem. Do jakiegoż to przedsięwzięcia kobieta może potrzebować partnera?

Usiadła na ławce i wygładziła suknię z przodu.

- Potrzebuję nie tyle partnera, co pary nowych oczu, za którymi kryłby się przenikliwy umysł, pełen nowych pomysłów, nowych koncepcji. Jestem pewna, że pan będzie mi to w stanie zapewnić.

- Proszę mi powiedzieć, czego mają dotyczyć te nowe pomysły i koncepcje.

- Mówiłam już panu, że jestem właścicielką gospody w Court Hammering, gospody o nazwie „Lampa Króla Edwarda”.

- Owszem, mówiła pani. Dość nietypowe zajęcie dla damy, podejrzewam jednak, że chce pani spróbować wszystkiego, co panią interesuje. Dlaczego tak właśnie nazwała pani swoją gospodę?

- Wiedziałam, że od razu przejdzie pan do rzeczy. Trafnie pana oceniłam. Otóż istnieje taka lampa nazywana właśnie Lampą Króla Edwarda. Przynajmniej ja z całego serca wierzę w jej istnienie. Poznałam tę opowieść, kiedy byłam jeszcze dziewczynką. Mój ojciec znalazł ten tekst w starej skrzyni, upchniętej w kącie biblioteki jego przyjaciela. Działo się to wkrótce po śmierci tego człowieka - ojciec przejął po nim w spadku cały księgozbiór. Opowieść została zapisana w języku starofrancuskim, w końcu jednak udało mi się ją przetłumaczyć.

Lord Beecham obserwował ją kątem oka. Widział, że myśli teraz wyłącznie o tym starym manuskrypcie i lampie. Wpatrzona była w coś, co kryło się daleko poza tym parkiem, coś, co ogromnie ją poruszało.

- Proszę mówić dalej - zachęcił.

- Opowieść została spisana przez jakiegoś templariusza pod koniec trzynastego wieku. Człowiek ów złamał śluby zakonne z miłości do swego syna. Król Edward uratował chłopca oraz jego służących z rąk Saracenów. Chłopiec został jednak ciężko ranny. Król posadził go na swego konia i zawiózł do obozu, położonego niedaleko potężnej twierdzy templariuszy. Templariusz pisze potem, że kiedy wrócił do obozu, znalazł chłopca w ramionach królowej, opatrzonemu i nakarmionemu. Jego wdzięczność była tak wielka, że złamał ślub milczenia i po darował królowi lampę, która miała go uczynić najpotężniejszym człowiekiem na świecie. Potem zabrał syna i opuścił obóz. W ostatnim zdaniu manuskryptu prosi zakon o przebaczenie.

- Słyszałem kiedyś opowieść o złotej lampie - powiedział powoli lord Beecham. - Bardzo starej lampie, która przywędrowała do Anglii wiele stuleci temu, a potem zaginęła. Mówił mi o niej pewien uczonec z Oxfordu. Potem zupełnie o tym zapomniałem. Ale nawet ów uczonec wcale nie był pewien, czy nie jest to tylko jeszcze jeden mit, jedna z wielu legend, jakie przywieźli ze sobą rycerze powracający z Ziemi Świętej.

- To prawda, większość z tych opowieści to tylko bajki.

Ale nie ta. Tu w grę wchodzi prawdziwe czary.

- Nie wierzę w czary.

- Ale ja wiem, że ta lampa istnieje - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu i pochylając się bliżej. - Nie mam pewności, że jest czarodziejska, ale mocno w to wierzę.

Czy ów templariusz podarowałby ją królowi Edwardowi, gdyby tak nie było? Przecież dla wyrażenia wdzięczności za uratowanie syna nie użyłby zwykłej lampy. Pozostaje tylko pytanie, gdzie ona jest.

Beecham patrzył na nią w milczeniu, unosząc lekko jedną brew.

Helen wzięła głęboki oddech.

- Sześć lat temu, po długich poszukiwaniach, znalazłam wreszcie kolejną wzmiankę o lampie. To było w Aldeburgh, w starym normańskim kościele na szczycie urwiska. Przez lata zaprzyjaźniłam się z wieloma duchownymi i uczonymi, a ci wiedzieli, że interesuję się krucjatą zorganizowaną przez króla Edwarda I. Pastor kościoła w Aldeburgh, pan Gilliam, powie dział mi, że po tym, jak osunęła się część urwiska, przeprowadził wraz ze swym wikarym porządki w archiwum. Znalazł jakieś stare

dokumenty, które, jego zdaniem, mogły mnie zainteresować.

Dokumenty owe napisane zostały po łacinie. Kiedy je przetłumaczyłam, okazało się, że dotyczą właśnie lampy. Mówię panu, lordzie Beecham, byłam tak podekscytowana, że serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Napisał je Robert Burnell, sekretarz króla Edwarda. Wiem sporo o tym człowieku. Był bardzo inteligentny i cyniczny, ale jednocześnie tolerancyjny, a przy tym bardzo oddany swemu władcy. Burnell pisał, że król nie wiedział, co zrobić z lampą, że z jednej strony obawiał się wykorzystać jej moc, z drugiej nie do końca wierzył, że jest to coś więcej niż zwykła saraceńska lampa, która z jakichś nieznanых mu powodów została ukryta przez templariuszy. Nie mógł uwierzyć w jej niezwykle właściwości aż do chwili gdy-

- Co my tu mamy?

Oboje podnieśli wzrok. Jason Fleming, baron Crowley, stał przed nimi i uderzał lekko pejczem o cholewę buta.

Lord Beecham nie lubił Crowleya; ten starszy mężczyzna wiedział zbyt wiele i wykorzystywał tę wiedzę, by się wzbogacić. Do tego za dużo pił, za dużo wydawał na hazard i zbyt często zadawał się z kobietami o wątpliwej reputacji. Beecham był pewien, że w końcu umrze na jakąś paskudną francuską chorobę, na razie jednak wyglądał całkiem zdrowo. Jego twarz niemal zawsze wykrzywiał pogardliwy uśmiezek, który irytował Beechama do tego stopnia, że miał ochotę rozbić Crowleyowi nos.

Spojrzał nań beznamiętnie, skłonił głowę i powiedział krótko:

- Witaj, Crowley.

- Kim jest ta piękna dama, Beecham?

- Nie powinno cię to interesować. Crowley, twój koń chce już jechać dalej.

- Widziałem panią już kiedyś. Zdaje się, że na balu u Sanderlinga. Była pani z Aleksandrą Sherbrooke. Wszyscy chyba zwrócili uwagę na pani, powiedziałabym, rzucające się w oczy... przymioty.

Helen, która nie знаła dotąd Crowleya i nie zdążyła jeszcze wyrobić sobie opinii na jego temat, odparła natychmiast:

- Być może moje przymioty rzucają się w oczy, ale pańska gburowatość jest wręcz natrętna, powiedziałaabym, wręcz nachalna.

Lord Crowley cofnął się o krok. Jego usta ułożyły się w tak typowy dlań pogardliwy uśmiezek.

- Czy to pani pierwsze spotkanie z lordem Beechamem, moja droga? Proszę zachować ostrożność, Beecham to niebezpieczny człowiek. Nie potraktuje pani tak dobrze, jak zrobiłbym to ja.

- Ukłonił się. - Jestem Crowley, jak już pani słyszała.

A pani?

Uśmiechnęła się doń, pokazując piękne, śnieżnobiałe zęby.

- A ja jestem damą, sir.

- Odejdź, Crowley. Jesteśmy zajęci.

- Czym?

Lord Beecham powoli podniósł się z ławki. Przez dłuższą chwilę patrzył na Crowleya w milczeniu, aż ten zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę.

- Dobrze, Crowley, powiem ci. Ta dama i ja jesteśmy partnerami.

- Tak? A w czym?

- To już nie twoja sprawa. Odejdź, Crowley.

- Beecham, zaczynasz mnie intrygować. - Crowley zasalutował Helen pejczem, odwrócił się i dosiadł konia.

- Radzę trzymać się od niego z daleka - powiedział lord, kiedy Crowley już się od nich oddalił. - Ja uchodzę za uwodziciela, staram się jednak nie robić nikomu krzywdy. Ten człowiek potrafi być naprawdę zły.

- W jaki sposób?

- Karmi się cudzą bezradnością - odparł krótko lord Beecham. - No dobrze, na czym to stanęliśmy?

- Robert Burnell i lampa. Burnell twierdził, że choć król i królowa całymi godzinami pocierali lampę, jednak w żaden sposób nie objawiała ona swych niezwykłych możliwości. Aż wreszcie, jesienią roku tysiąc dwieście siedemdziesiątego dziewiątego, Eleanor ciężko się rozchorowała. W Londynie szalała wtedy jakaś zaraza, na którą zapadła królowa i jej trzy damy dworu. Wszystkie damy umarły. Król był zrozpaczony. Wziął lampę - traktował to jak ostatnią deskę ratunku, bo lekarze już się poddali - i włożył ją w ramiona Eleanor. - Helen zadrżała.

- I co się stało?

- Przeżyła.

- O ile dobrze pamiętam - mówił powoli lord Beecham - królowa Eleanor wydała na świat całą armię dzieci. Skoro przeżyła tyle porodów, to mogła sobie także poradzić z zarazą.

- Zachodziła w ciążę niemal co roku - przyznała Helen. - Ale ta choroba była bardzo groźna, zabiła wszystkie trzy damy, które na nią zapadły. Niech pan nie będzie taki cyniczny, sir.

- Co napisał o tym Burnell?

- Król owinał lampę w karmazynowy aksamit z Genui i umieścił ją pod szkłem. Ogłosił wszem i wobec, że lampa ma magiczną moc, i postawił przy niej strażę. Jakiś czas później odwinął sukno, by jeszcze raz jej się przyjrzeć. Ale magiczna lampa zniknęła; na jej miejscu pojawiła się całkiem zwyczajna, nowa i do tego brzydka lampa ze srebra. Król wpadł we wściekłość. Kazał przesłuchać wszystkich strażników, nikt jednak nie przyznawał się do kradzieży. Tymczasem następnego ranka złota lampa wróciła na swoje miejsce. Wszyscy uznali, że złodziej, najprawdopodobniej któryś ze strażników, przestraszył się tortur i oddał ją. Lecz następnego tygodnia historia się powtórzyła; zamiast złotej lampy pod suknem była inna, srebrna i brzydka. Następnego ranka znów wszystko wróciło do stanu pierwotnego.

- Więc co działo się z tą lampą? - spytał lord Beecham. - Dlaczego regularnie znikwała i pojawiała się na nowo?

- Burnell pisze, że król Edward sprowadził wielu uczonych, żaden z nich jednak nie potrafił wyjaśnić natury tego zjawiska.

Król przez tydzień osobiście pilnował lampy, spał przy niej.

Niczego to jednak nie zmieniło; lampa zniknęła, potem wróciła na swoje miejsce. Teraz już wszyscy wierzyli, że to magiczny przedmiot. Przedstawiciele Kościoła uznali lampę za dzieło szatana i kazali zniszczyć. Król odmówił, twierdząc, że urato wała jego żonę. Naciski ze strony Kościoła były jednak coraz silniejsze i po jakimś czasie król postanowił lampę zakopać.

Zrobił to właśnie w Aldeburgh, na wybrzeżu. Kiedy królowa znów zapadła na zdrowiu, posłał po lampę swych ludzi, ci jednak wrócili z niczym. Twierdzili, że nie mogli jej znaleźć.

Królowa umarła. Wygląda na to, że lampa zniknęła wtedy na dobre.

- Myśli pani, że to prawda?

- Nie wiem, ale jestem przekonana, że król rzeczywiście zakopał lampę w Aldeburgh. Burnell chyba sam tego nie wymyślił? Przypuszczam też, że ludzie wysłani przez króla szukali jej po prostu w niewłaściwym miejscu. To chyba całkiem rozsądne, prawda?

- Być może lampa po prostu zniknęła wtedy zupełnie, nie zostawiając po sobie nawet brzydkiej, srebrnej imitacji. Szukała jej pani?

- Kupiłam ten stary normański kościółek i ziemię wokół niego.

Lord Beecham uniósł lekko brwi.

- Nie, nie kupił tego dla mnie mój ojciec. Sama zarabiam na siebie, lordzie Beecham. Prowadzę świetną gospodę.

- Więc jakie kroki powinniśmy teraz podjąć, pani zdaniem?

Zakładam, że lampa rzeczywiście istniała, trudno mi jednak uwierzyć w jej magiczne właściwości. Z pewnością przeszukała pani już każdą piędź ziemi na wybrzeżu w Aldeburgh. Co teraz?

- Jest coś jeszcze, ale nie chcę panu o tym mówić, dopóki nie zgodzi się pan zostać moim partnerem. Nie powiedziałam tego nawet mojemu ojcu.

Dał się złapać na przynętę. Siedział, wpatrzony w jej twarz, chłonał każde jej słowo. Naprawdę, doskonale sobie z nim poradziła.

- Co to takiego?

Helen przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, wreszcie spytała:

- Zostanie pan moim partnerem? Pomoże mi pan odnaleźć lampę?

Pomyślał o całym swoim życiu, o długich trzydziestu trzech latach. Niektóre z tych lat zasnuły ciemnymi chmurami, szczególnie lata młodości, kiedy żył jeszcze jego ojciec. Z pewnością jednak w życiu każdego człowieka kryły się takie ciemne plamy, tragedie czy trudne sytuacje, z którymi każdy musiał radzić sobie na swój sposób. Być może w jego przypadku te cienie były głębsze, wryły się głębiej w jego duszę. Być może to nieustanne poszukiwanie rozkoszy, któremu oddawał się od wielu lat, było rodzajem samoobrony, może tylko dzięki temu utrzymywał się na skraju przepaści, która ziała tuż pod jego stopami.

Co za nedorzecznosci. Panował teraz nad sobą i nad swoim życiem - a przynajmniej tak mu się wydawało. Uwielbiał kobiety, zwłaszcza te, które obdarzały go swymi względami i swym ciałem.

Powrócił myślami do pytania Helen. Magiczna lampa, którą jakiś nieznany rycerz zakonny podarował królowi Edwardowi? Sam nie wiedział, czy ma w to wierzyć, czy też nie. I czy to możliwe, by ta lampa istniała gdzieś jeszcze teraz, we współczesnej Anglii?

Nie, to absurd. Chimera, marzenie, nic więcej. Kiedy jednak przemówił, sam był zaskoczony własnymi słowami:

- Zostanę pani partnerem, panno Mayberry. Proszę mi powiedzieć, czego jeszcze dowiedziała się pani o tej lampie.

Helen wyciągnęła do niego rękę, a on uściśnął ją mocno.

- No dobrze, proszę mówić.

7

Przysunęła się bliżej i wyszeptała:

- Trzy miesiące temu znów pojechałam do Aldeburgh, by prowadzić poszukiwania. Tydzień wcześniej szalał tam straszliwy sztorm, który zniszczył nie tylko część plaży, ale i urwiska.

Dzięki temu znalazłam małą jaskinię, ukrytą do tej pory pod ziemią. Na półce w głębi jaskini

leżała metalowa szkatuła.

W szkatule znajdował się zwitek pergaminu z jakimiś napisami.

Nie wiem, w jakim języku zostały sporządzone te napisy, wiem jednak, że są bardzo, bardzo stare, podobnie zresztą jak sama szkatuła i skóra.

- Nie pokazała pani tego żadnemu z mediewistów z Cambridge?

- Och, nie, to byłaby ostateczność. Chciałam, by pan rzucił na to okiem, lordzie Beecham. Mam nadzieję, że uda się to panu przetłumaczyć. To byłoby pańskie pierwsze zadanie w roli mojego partnera.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Skąd pani wie - spytał, akcentując każde słowo - że przez dwa lata zajmowałem się w Oxfordzie odczytywaniem starych manuskryptów, szczególnie tych, które przywieziono do Anglii z Ziemi Świętej? Chyba nie zamierza pani zrzucić tego na Blundera, co? On nie mógł pani o tym powiedzieć. Nie wie, że studiowałem w Oxfordzie.

- Dowiedziałam się o tym od jednego z pastorów. Jego brat uczył pana przed laty w Oxfordzie. Sir Giles...

- Gilliam - dokończył za nią Beecham, wracając myślami do tamtych ekscytujących dni, kiedy nowe odkrycie czekało nań na każdym kroku, na każdym skrawku pergaminu, który sir Giles wydobyl z przepastnych uniwersyteckich archiwów.

- Tak. Jego brat, Lockleer Gilliam, jest pastorem w Dereham.

Udzielał kiedyś ślubu moim rodzicom, jakieś dwa lata przed śmiercią matki.

- O czym pani mówi?

- Och, zapomniałam, pan nie zna jeszcze tej historii. Mój ojciec jest bardzo romantyczny, zenił się z MAMĄ przy trzech różnych okazjach. Pastor Gilliam to człowiek wielkiego serca, a przy tym bardzo tolerancyjny. Ojciec bardzo się z nim zaprzyjaźnił.

- Więc dlaczego nie zawiozła pani tego pergaminu do Oxfordu, do sir Gilesa Gilliama?

- Umarł w zeszłym roku.

- Nie wiedziałem. - Lord Beecham poczuł nagle ogromne wyrzuty sumienia; uderzyły weń niczym potężna pięść, która niemal zgięła go w pół. Nie słyszał o tym. Nikt mu o tym nie powiedział, bo był tylko zadufanym w sobie arystokratą, poszukiwaczem miłosnych przygód. Spuścił wzrok i zobaczył, jak Helen kładzie rękę na jego dłoni.

- Przykro mi - powiedziała cicho. - Poznałam kiedyś sir Gilesa, odwiedzał właśnie swego brata w Dereham. Wciąż coś mówił, tyle że nie do nas. Rozmawiał z ludźmi, którzy żyli w tamtych czasach, w trzynastowiecznej Anglii. Tłumaczył im, że chciałby dowiedzieć się czegoś więcej na taki czy inny temat. Potem, przysięgam, że tak właśnie było, milczał przez chwilę, jakby słuchając kogoś, kogo tam nie było. Pastor powiedział mi, że bym nie zwracała na to uwagi. Twierdził jednak także, że właśnie po takich rozmowach sir Giles pisał najlepsze prace.

Helen umilkła na moment, przypominając sobie, jak sir Giles stał z lekko przekrzywioną głową, wsłuchany w jakieś głosy z zaświatów.

- To było naprawdę dziwne uczucie. Kiedy wreszcie sir Giles uświadomił sobie, że stoimy obok niego, powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę: „Wspaniale, że tu jesteście. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze, byście nie zamienili swych umysłów w śmietniki”.

Lord Beecham roześmiał się głośno; jego dźwięczny głos jeszcze przez dłuższą chwilę brzmiał w powietrzu. Słowa Helen przywiodły mu na myśl wspomnienia sprzed lat, kiedy tak bardzo chciał

nauczyć się wszystkiego, co wiedział sir Giles. A ten powiedział mu kiedyś, poklepując go po ramieniu, że jest bardzo bystrym młodzieńcem i że postąpił bardzo rozsądnie, powierzając swój umysł właśnie jemu. Ach, średniowieczny umysł, nic nie może się z nim równać, wzdychał sir Giles, popijając doskonały francuski koniak z przemytu. Ale Spenser nie zrobił kariery naukowej. Kiedy umarł jego ojciec, został siódmym baronem Valesdale i piątym wicehrabią Beecham.

Opuścił Oxford w wieku dwudziestu jeden lat. I został arystokratą.

- Pamiętam - mówił lord Beecham, zatopiony we wspomnieniach - jak sir Giles przekonywał mnie kiedyś, że Kościół katolicki trwa w błędzie. Uważał, że mężczyzna nie musi rezygnować z cielesnych żądz, by być posłusznym, świętym i oddanym Bogu. Ważne jest tylko to, by dotrzymywał ślubów zarówno względem Boga, jak i swej kobiety, a jego życie będzie wtedy zrównoważone i owocne.

- Cóż, jego brat, pastor Lockleer, z pewnością bardzo się cieszy, że jest duchownym Kościoła anglikańskiego. Ma dwoje dzieci. Jego żona umarła w zeszłym roku, ale wiem, że bardzo ją kochał. W odróżnieniu od swego uczonego brata, jest także człowiekiem praktycznym, twardo stąpającym po ziemi. Niestety, nie umiał przetłumaczyć tego tekstu i wtedy właśnie polecił mi pana. Co pan o tym myśli, lordzie Beecham?

Milczał przez długi, długi czas. Helen wstała, poklepała Eleanor po pysku i usiadła z powrotem. Zaczęła miarowo stukać butem o ziemię, potem pogwizdywać.

- Niewiele już pamiętam - powiedział wreszcie.

- To nieważne. Widzi pan - mówiła Helen, wpatrzona weń jak w obrazek - pastor ma bardzo dużo starych tekstów i notatek, które jego brat przywiózł z Oxfordu. Na pewno po jakimś czasie wszystko pan sobie przypomni.

Odwrócił się do niej i ujął jej dłonie.

- Nigdy nie byłem partnerem kobiety. Na pewno będzie to bardzo interesujące. Chciałbym zobaczyć ten pergamin.

- Szkatuła jest bardzo, bardzo stara, prawdopodobnie średniowieczna. Pergamin jest w znacznie gorszym stanie, obawiam się, że jeśli będziemy go zbyt często dotykać, całkiem się rozpadnie.

- Będziemy bardzo ostrożni.

Wstała, otrząsnęła suknię i uśmiechnęła się doń promiennie.

- W takim razie jedźmy do domu, do Court Hammering.

Lord Beecham i panna Mayberry postanowili jechać konno, dzień był bowiem wyjątkowo piękny. Lord Prith i Flock jechali za nimi w karecie. W kolejnym powozie siedział Nettle, służący lorda Beechama, oraz Teeny, pokojówka Helen. Beecham dał Blunderowi krótki urlop i przykazał, by ten chadzał na długie nadmorskie spacerunki w Folkstone, gdzie mieszkali jego rodzice. Przed samym wyjazdem zauważył, że Nettle raz po raz spogląda z zainteresowaniem na Teeny, co z kolei ogromnie irytowało Flocka. Na szczęście Flock jechał w karecie ze swoim panem, przynajmniej chwilowo Nettle był więc bezpieczny.

Helen niemal przez cały czas radośnie sobie podśpiewywała. Wszystko układało się po jej myśli. Jej entuzjazm był zaraźliwy, bo nawet lord Prith powiedział do Flocka:

- W powietrzu czuć wiosnę i wiosenną radość życia. Wiesz, Flock, przywodzi mi to na myśl szampana i zabawę. Chętnie wybrałbym się na jakieś wesele. To ostatnie było naprawdę czarujące, a szampan wręcz wyborny. Szkoda tylko, że nie pamiętam, kto się z kim żenił.

- Lord i lady St. Cyre, milordzie.

- Ach tak, oczywiście, Gray i Jack. Flock, musisz znaleźć mi wesele, na którym będę dobrze znał parę młodą i będę mógł sobie z nimi pożartować przy lampce szampana. Potem będę tańczył i śpiewał na cały głos, jak robi to właśnie moja śliczna córka. Zawsze tak jest. Wystarczy w słoneczny dzień posadzić ją na koniu, by zaczęła śpiewać.

- Załatwione, milordzie - odparł Flock, wyglądając przez okno. Panna Helen położyła właśnie rękę na ramieniu lorda Beechama i śmiała się głośno. Flock przypuszczał, że słoneczna pogoda to nie jedyna przyczyna tak dobrego nastroju panny Helen. Lord Beecham był doświadczony, wiedział co i jak, zwłaszcza gdy rzecz dotyczyła kobiet. Z drugiej jednak strony, rozmyślał Flock, Helen Mayberry nie jest kimś, o kogo trzeba by się nieustannie martwić. W jej gospodzie pracowało trzech mężczyzn - wszyscy czuli przed nią ogromny respekt. Gdyby doszło do jakiejś sprzeczki między panną Mayberry a lordem

Beechamem, Flock postawiłby wszystkie pieniądze właśnie na nią.

Odwrócił się ponownie do swego pana. Lord Prith niemal dotykał głową sufitu powozu. Gdy koła trafiały na jakąś koleinę czy kamień, lord pojękiwał tylko cicho i masował obolałe ciemię.

- Mam nadzieję, że ten przekłety kucharz nie pojedzie za nami, co, Flock?

- Zostawiłem Jerome'a w kuchni, milordzie. Nie sądzę, by jeszcze kiedyś nas niepokoił.

- Choć trzeba przyznać, że robił naprawdę wyborne potrawy z ostryg. - Lord Prith, skrzyżował ręce na piersiach.

- Nie chodziło mu jednak o to, by sprawić nam przyjemność, milordzie. Chciał raczej wkraść się w ten sposób w łaski panny Helen.

- Wiem o tym, Flock. Biedak. Mój ojciec mawiał, że zawsze trzeba uważać na swoje pragnienia. Wyobraź sobie tylko, że Helen zaczyna się interesować tym żabojadem tylko dlatego, że on dobrze przyrządza ostrygi.

- Na samą myśl o tym cierpnie mi skóra, milordzie.

Lord Prith wzdrygnął się tylko.

Tymczasem jakieś dwadzieścia stóp z przodu lord Beecham mówił do Helen:

- Co powiedziała pani ojcu, by wytłumaczyć tę wspólną podróż?

- Prawdę, oczywiście. Nie mamy przed sobą tajemnic, choć raz rzeczywiście nie powiedziałam mu o tym, jak zdzieliłam pejcem młodego Coltona Masona, kiedy próbował się do mnie dobierać. Miałam wówczas osiemnaście lat. To było naprawdę dziwne; spodobało mu się, prosił, żebym uderzyła go jeszcze parę razy.

- Słyszałem, że niektórzy ludzie, w szczególności mężczyźni, lubią tego rodzaju perwersje. W Londynie można znaleźć domy uciech oferujące nawet bardziej, że tak powiem, wyrafinowane zabawy.

- Zdaje się, że biedny Colton trafił w końcu do jednego z takich przybytków.

- Mam nadzieję, że nie myli pani tej dziwnej seksualnej aberracji z dobrą dawką zdrowej, czystej dyscypliny?

- Och, nie. - Uśmiechnęła się szelmowsko. - Choć kiedy miałam osiemnaście lat, zrozumiałam, że jest w tym coś pociągającego. Z pewnością jednak nie chodzi tu o ból ani o samo biczowanie, prawda?

Pomyślał, że chciałby, by mu to kiedyś dokładniej wytłumaczyła.

- Powiedziała pani ojcu, że jestem mediewistą, i że prze tłumaczę tekst z pergaminu, który znalazła pani w metalowej szkatule?

- Tak. Spojrzał na mnie wtedy i powiedział: „Lord Beecham wygląda na człowieka o sporym zasobie wiedzy, choć nie wiem, dokąd ta wiedza sięga. Może być dla ciebie kimś cennym, ale może być także niebezpieczny, musisz o tym pamiętać. Jestem przekonany, że chciałby czegoś więcej niż tylko jakiejś starej pogiętej lampy.

Lord Beecham roześmiał się.

- Cóż, moja wiedza nie jest już wcale taka duża.

- Mam nadzieję, że się pan myli. Naprawdę chciałby pan ode mnie czegoś więcej niż tej lampy?

Lord Beecham zamyślił się i zapatrzył przed siebie. Droga była prosta i płaska. Po obu jej stronach ciągnęły się żółto-zielone plamy pól. Wzdłuż kamiennych płotków rozdzielających poszczególne posiadłości rosły cisowe krzewy. Było ciepło, powiewał lekki, miły wietrzyk. Od czasu do czasu przynosił ze sobą mocny zapach owiec, który przypominał mu, że to rzeczywistość, a nie jakiś piękny, sielankowy obrazek.

- Prawdę mówiąc, kiedy się poznaliśmy, chciałem, by jeszcze tego samego popołudnia znalazła się pani w moim łóżku. To był słoneczny dzień, a ja wyobrażałem sobie, jak leży pani naga na plecach i wyciąga do mnie ramiona. Kiedy jednak do tego nie doszło, wcale się nie przejąłem. Pomyślałem, że równie dobrze możemy kochać się o zmierzchu. Kiedy i to się nie wydarzyło, zmuszony byłem poprzestać na wędzonych ostrygach biednego Jerome'a.

Helen śmiała się tak głośno, że Eleanor zarżała w odpowiedzi i odskoczyła w bok.

- Panią to bawi, panno Mayberry? Ja cierpiałem, a pani się śmieje. Nie żałuje pani, że nie uczyniła zadość moim życzeniom i nie ugasiła, jakże zrozumiałego, pragnienia?

- Jestem starą panną, lordzie Beecham. Proszę nie żartować ze mnie w ten sposób.

- Dawno nie słyszałem większego absurdu. Pani doskonale wie, moja droga, że jest jedną z najpiękniejszych kobiet w tym kraju. Naprawdę przemawia przez panią fałszywa skromność.

- Wcale nie jestem skromna, mówię po prostu to, co myślę.

Nie będę opowiadać panu słodkich bajek o pocałunkach w blasku księżyca czy o brzasku. Nie, powiem panu dokładnie to, co pomyślałam, kiedy zobaczyłam pana po raz pierwszy.

Ściągałam po kolei wszystkie elementy garderoby, która okrywała wtedy pana wspaniałe ciało, poczynając od tego eleganckiego fularu. Byłam już przy butach, kiedy zdołałam wreszcie powściągnąć wyobraźnię.

Beecham omal nie zaczął się ślinić.

- Gdzie jest powóz pani ojca?

- Kilka metrów za nami.

- Po lewej stronie jest spory zagajnik. Moglibyśmy się tam ukryć. - Westchnął ciężko, potem pokręcił głową. - Nie, to absurdalne. Jestem mężczyzną i panuję nad sobą. Nie dam się wciągnąć w pani kobiece fantazje. Mam swoje własne.

- Dobrze - odparła pokornie. - Boże, kiedy tylko zamknę oczy, widzę pana siedzącego na trawie. Ja stoję, odwrócona do pana tyłem, i trzymając pańską nogę, ściągam z niej but.

Oglądam się przez ramię, uśmiecham się do pana i...

- Niech pani natychmiast przestanie albo przyślę tu Flocka, a sam będę podróżował z pani ojcem.

- Zwycięstwo nad mężczyzną to żadna sztuka - powiedziała i zaczęła gwizdać. - Jesteście takimi prostymi stworzeniami.

Wystarczy opisać wam jeden obraz, a wy już drżycie, oblewacie się potem i jesteście bliscy utraty przytomności.

Roześmiał się, nie mógł zrobić nic innego. Potem odwrócił się w siodle i uśmiechnął leniwie.

- Proszę mi wierzyć, panno Mayberry. Kiedy już uwolnimy się spod opieki pani szanownego rodzica, pokażę pani takie aspekty dyscypliny, o jakich nie miała pani nawet pojęcia.

Tym razem to jej oczy zaszyły mgłą. Przełknęła ciężko. Lord Beecham strząsnął jakiś niewidzialny pyłek ze swego surduta.

- Zawsze uważałem, że kobiety to taki nieskomplikowany gatunek. Wystarczy, że wyobrażą sobie, jak je zniewalam, a już znajduję w ramionach podekscytowaną damę, która błaga mnie, bym był jej oprawcą. - Uśmiechnął się do Helen. - Być może jest pani mistrzynią dyscypliny w Court Hammering, panno Mayberry, ale ja jestem mistrzem w Londynie. Niech pani nie próbuje ze mną konkurować. Przegra pani.

- Będę z panem konkurować - odparła powoli. - Ale jeszcze nie teraz.

- Dobrze. Zgoda, jeszcze nie teraz. Przekonajmy się najpierw, dokąd zaprowadzi nas ten stary pergamin. Co do reszty, dam pani znać, co chcę z panią zrobić i kiedy.

- Mężczyźni lubią być zniewalani bardziej niż kobiety.

Ciemne brwi lorda Beechama powędrowały do góry.

- Gdzie słyszała pani taki nonsens?

- To prawda.

- Bez wątplenia przekonamy się... kiedyś. Jeśli zechcę.

Pokonał ją. Helen nigdy dotąd nie czuła się tak upokorzona.

Nigdy też nie spotkała takiego mężczyzny jak on. Zrobił z niej idiotkę. Wiedziała, że cokolwiek teraz powie, pogorszy to tylko jej sytuację, ściągnęła więc cugle i poczekała na karetę, którą jechał ojciec.

Lord Beecham słyszał, jak lord Prith pyta, czego też Helen chce od takiego starucha jak on, skoro może dręczyć młodego i przystojnego lorda Beechama. Nie słyszał odpowiedzi Helen, przypuszczał jednak, że ta nie wyrażała się o nim w równie pochlebny sposób.

Zaczął cicho pogwizdywać. Dopiero po ujechaniu półtora kilometra zdołał zapanować nad myślami i skupić je na czymś innym niż kusząca osoba panny Helen Mayberry.

Lampa króla Edwarda.

Czym była? Przypuszczał, że taka lampa rzeczywiście kiedyś istniała, wątpił jednak, by przetrwała aż do dzisiaj.

Templariusz podarował królowi lampę, twierdząc, że ta uczyni zeń najpotężniejszego człowieka na świecie. Tymczasem jedynym świadectwem magicznych właściwości lampy był fakt, że królowa Eleanor przeżyła ciężką chorobę.

Lord Beecham słyszał tylko o jeszcze jednej magicznej lampie, lampie Aladyna z Baśni z tysiąca i jednej nocy. Zgodnie z legendą była to jedna z baśni, które królowa Szeherezada opowiedziała swemu mężowi, by odwlec wykonanie wyroku śmierci. Król był tak zachwycony jej wyobraźnią i pięknem bajek, że w końcu darował jej życie.

Kiedy Helen po pewnym czasie ponownie dołączyła do lorda Beechama, powiedział jej, o czym właśnie rozmyślał:

- Jeśli chodzi tu o lampę Aladyna, to historycznie wszystko się zgadza. W średniowieczu tego rodzaju opowieści były ogromnie popularne w całej Europie. Wiem, że jest stara, choć nie pamiętam dokładnie, z którego wieku pochodzi.

- To bajka perska - odparła Helen. - Prawdopodobnie opiera się na prawdziwej historii, która

przez długi czas przekazywana była z ust do ust, nim wreszcie została spisana. Przypuszczam także, że lampa, która należała do króla Edwarda, była właśnie przedmiotem tej opowieści.

Czuł, jak budzi się w nim coś, o czym dawno już zapomniał, i co, jak sądził, dawno już obumarło. Była to ekscytacja wywołana nowym odkryciem, poszukiwaniem czegoś niezwykłego i niedostępnego.

Pochylił się i podrapał Luthera za uchem. Koń zarżał i potrząsnął swym wielkim łbem.

- Lubi to, a ja ciągle zapominam to robić. Prawdziwa lampa Aladyna, z uwięzionym w niej dżinem, złym duchem czy też czarodziejem, trafiła do templariuszy w Ziemi Świętej, a potem znalazła się w rękach króla Edwarda. Odbyła naprawdę bardzo długą podróż.

- Lordzie Beecham, jest pan żywym dowodem na to, że rozpusta nie niszczy mózgu, przynajmniej jeszcze nie w wieku trzydziestu trzech lat.

- Panno Mayberry, czy pani sobie ze mnie żartuje?

- Ależ skąd. - Helen pomyślała, że wygląda naprawdę intrygująco, kiedy spogląda na nią z powątpiewaniem, unosząc lekko brew.

- Cóż, w takim razie będziemy kontynuować naszą uczoną dyskusję, a ja spróbuję pani zaimponować moją erudycją. Czy wie pani, że czytałem Baśnie z tysiąca i jednej nocy wiele razy, bo próbowałem nauczyć się arabskiego?

- Pastor Gilliam nic o tym nie wspominał. Arabskiego?

Naprawdę jestem pod wrażeniem.

- Znów pani ze mnie żartuje. Miałem nadzieję, że po krótkiej rozmowie z ojcem zapomni pani o tym rozkosznym obrazie, w którym ściąga pani mój but i uśmiecha się do mnie przez ramię.

- Staram się.

- Czy moja druga stopa oparta jest o pani pośladki?

- Jeszcze nie. Ale zastanowię się nad tym.

- Dobrze. A teraz spróbujmy sobie wyobrazić, panno Mayberry, że prócz pożądania istnieją na tym świecie jeszcze inne przyjemności. - Roześmiał się i zatarł ręce. - A niech mnie, naprawdę cieszę się, że znów muszę trochę rozruszać umysł.

Helen obdarzyła go zagadkowym spojrzeniem.

- Naprawdę wydaje się pan trochę inny. Ciekawszy, w pewien sposób. Oczywiście, znam wszystkie te fakty, o których pan mówił, badałam je od wielu, wielu lat.

- Mogę nawet uwierzyć, że tajemnicza lampa ma, rzeczywiście, jakieś magiczne właściwości - mówił lord Beecham. - Czemu nie? Jak powiedział Hamlet: „Są na tym świecie rzeczy, o którym nie śniło się filozofom”. - Zrobił krótką pauzę, po czym dodał: - Wierzę także w świętego Graala i jego niezwykłą moc, choć nie możemy jej doświadczać, odkąd przepadł bez wieści. Z drugiej jednak strony, istnieje ogromna różnica pomiędzy kielichem, w którym nasz Pan podawał swym uczniom wino podczas Ostatniej Wieczerzy i do którego Józef z Arymatei zebrał potem krew z jego boku, a lampą ukrytą w jaskini, odnalezioną przypadkowo przez jakiegoś chłopca.

Nie otacza jej nimb wielkości przypisywany Graalowi, potęgi Wszechmocnego. Nie stała się też przedmiotem aż tak wielu legend i domysłów.

- To prawda. - Helen westchnęła. - Muszę się z tym zgodzić.

Ale kto, i w jakim celu, miałby przypisywać magiczne właściwości jakiejś starej lampie? Tego nie potrafię wyjaśnić.

Wcale mu się nie podobało, że Helen tak szybko składa broń.

- Być może jednak i ten mit można wyjaśnić racjonalnie.

Może ów tajemniczy przedmiot tylko zewnętrznie przypomina lampę, a w rzeczywistości jest czymś znacznie więcej.

- Och, mam nadzieję - odparła z powagą. - Zresztą, jakie to ma znaczenie? Tak czy inaczej, ja wiem, że lampa istnieje i że jest warta mojej uwagi.

Lord Beecham uśmiechnął się.

- Zgadzam się z panią. Jeśli jednak nawet udowodnimy światu, że lampa istnieje, to jak ją znajdziemy?

8

Lord Beecham obserwował z boku, jak Flock odpycha Nettle'a od Teeny. Nigdy jeszcze nie widział, by Nettle dawał tak sobą pomiatać. Odwrócił się, kręcąc głową, i wyciągnął ręce do góry, by ująć pannę Mayberry w talii i pomóc jej zejść z konia.

Kiedy już stanęła na ziemi, pochylił się do niej i wyszeptał: - Jest pani naprawdę dużą dziewczyną, panno Mayberry, ale podniosłem panią bez większego wysiłku. Czy to tylko przypadek, czy też naprawdę jest pani taka lekka? Przekonajmy się. - Ponownie ujął ją w talii i unióś nad ziemię. Stęknął cicho, po czym szybko opuścił ją na miejsce. - Co najmniej pięć centymetrów nad ziemią. Tym razem poczułem pani ciężar nieco wyraźniej, ale mój kręgosłup nadal jest cały, nadal się do pani uśmiecham i patrzę na pani usta, a nie stoję zgięty wpół, niczym starzec, który dźwigał zbyt wiele worków z mąką. A teraz proszę mi powiedzieć, czy będę musiał bronić biednego Nettle'a przed Flockiem? Myśli pani, że Flock wyzwie go na pojedynek, bo ten zerka co chwilę na Teeny? Nigdy jeszcze nie byłem sekundantem własnego lokaja. To może być interesujące doświadczenie.

- Flock jest bardzo czuły na punkcie swojej własności, a zakochał się na zabój. Jednak Teeny nie chce za niego wyjść.

- A czemuż to?

- Proszę tylko pomyśleć, lordzie Beecham. Nazywałyby się wtedy Teeny Flock*[* Małe stado (ang.)]. - Zdołała jakoś wypowiedzieć głośno te dwa słowa, choć było to dla niej trudne doświadczenie. - Muszę przyznać, że rozumiem jej wahanie.

- Może zmienić imię na Elizabeth. Elizabeth Flock brzmi całkiem nieźle.

- Sugerowałam jej podobne rozwiązanie. Odparła, że nosi imię Teeny na cześć swej zmarłej babki i że jeśli je zmieni, staruszka przeklnie ją z zaświatów.

- A jak brzmi jej panieńskie nazwisko?

- Bloodbane*[* Krwawa zmora (ang.)].

Spojrzał na Helen za zdumieniem.

- Bloodbane? Nazywa się Teeny Bloodbane? - powtórzył powoli.

- Tak, to bardzo stare i czcigodne nazwisko, jak twierdzi Teeny. Proszę się więc nawet nie zastanawiać, które z tych dwu zestawień brzmi gorzej.

- Teeny Bloodbane - powtórzył raz jeszcze, jakby smakując tę kombinację dźwięków. - Proszę mi powiedzieć, panno Mayberry, czy, pani zdaniem, Teeny będzie żyć z Flockiem w grzechu?

- O nie, oboje są bardzo religijni. Słyszałam, jak kiedyś Flock mówił mojemu ojcu, że tworzą parę podobną do Tristana i Izoldy, że łączy ich nieszczęśliwa miłość, której niedane będzie znaleźć małżeńskiego spełnienia.

- Wydaje mi się, że zarówno Flock, jak i Nettle są dla Teeny o wiele za starzy. Ile ona ma lat, osiemnaście?

- Tak. Powiedziała mi jednak kiedyś, że starsi mężczyźni, tacy jak Flock, patrzą na nią inaczej niż młodzieńcy. Ona lubi starszych panów.

- Starszych panów? Dobry Boże, czy ja też zaliczam się do tej kategorii, panno Mayberry?

- Powiedziałabym, że brakuje panu do tego jeszcze jakichś piętnastu lat, lordzie Beecham.

Podszedł do nich Nettle.

- Milordzie?

- Tak, Nettle? O co chodzi?

- Błagam pana, niech mnie pan nie opuszcza w potrzebie.

- Oczywiście, Nettle, że tego nie zrobię. A cóż cię tak przerażyło?

- Flock, milordzie. Powiedział, że wyciągnie mi wszystkie wnętrzności przez ucho, jeśli ośmielę się jeszcze raz uśmiechnąć do panny Teeny.

- Nie martw się, Nettle - wtrąciła Helen. - Utemperuję Flocka, jeśli zrobi coś niewłaściwego.

Lord Beecham spojrział na nią z zainteresowaniem.

- Jak pani to robi, panno Mayberry?

- Nie zwykłam tak łatwo zdradzać swych tajemnic, lordzie Beecham - odparła, po czym zwróciła się do Nettle'a. - Wróć do swoich zajęć, Nettle, i nie uśmiechaj się do Teeny, bo nie wykluczam, że to lord Prith, a nie Flock wyzwie cię na pojedynek. Mój ojciec bardzo lubi Flocka. Nie gap się też tak ciągle na Teeny. Radziłabym ci nie narażać się na gniew mojego ojca, bo może cię zgnieść jedną ręką.

- Nettle nie da się tak łatwo zastraszyć. - Lord Beecham patrzył, jak jego służący wchodzi do gospody w centrum Henchly. Było to małe miasteczko nieopodal Court Hammering.

Zatrzymali się tu, bo lord Prith chciał spróbować piwa, które pan Clappe, właściciel gospody, uwarzył przed trzema tygodniami i które według jego zapewnień miało przewyższać smakiem wszystko, co udało mu się wyprodukować do tej pory.

- Ojciec lubi nie tylko szampana, ale i piwo - oznajmiła Helen, wchodząc za lordem Prithem do gospody.

Kiedy znaleźli się w środku, zobaczyli, że Flock siedzi rozparty pod ścianą i toczy dokoła groźnym wzrokiem, dając wszystkim do zrozumienia, że jego pan ma być traktowany z najwyższym szacunkiem.

- Całkiem przyjemna gospoda - orzekła Helen, popijając piwo, które postawił przed nimi pan Clappe, zażywny i sympatyczny jegomość. - Stoły są może trochę brudne, ale większości mężczyzn to nie przeszkadza. Pan Clappe jest bardzo uprzejmy, choć w twoim przypadku, ojczy, chyba trochę przesadza z tą uprzejmością.

- Chcesz powiedzieć, że płaszczy się przede mną?

- Tak, ojczy. Właśnie to miałam na myśli.

- Może się płaszczyć, ile tylko zechce - odparł lord Prith, ocierając dłonią usta - byle tylko robił takie dobre piwo.

Clappe! Chcę beczkę tego piwa. Dwie beczki. Zajmij się tym. - Rozpromieniony, odwrócił się do Helen i lorda Beechama. - To najlepsza gospoda w Anglii, zaraz po gospodzie mojej drogiej córki, oczywiście. Chociaż, moja droga, nie pozwalasz mężczyznom pić tyle, ile by chcieli. Zakręcasz kurek, gdy tylko zaczynają się dobrze bawić.

- Nonsens, ojczy. Gdybym na to pozwoliła, upijaliby się do nieprzytomności.

- Helen, nie powinnaś zmieniać czyichś nawyków.

- Wolalabym raczej wyrzucić ich za drzwi, niż pozwolić, by wymiotowali w mojej gospodzie. Nie chcę też, żeby wydawali wszystkie pieniądze na piwo. Większość z nich ma rodzinę na utrzymaniu, wiesz o tym.

- Skoro wciąż tam wracają - wtrącił lord Beecham - to znaczy, że postępowanie panny Helen przynosi właściwe skutki.

- W żadnej innej gospodzie w Court Hammering nie podają tak dobrego jedzenia i piwa - stwierdził lord Prith.

- Rzeczywiście. Dobrze ich karmię i nie pozwalam, żeby zniszczyli sobie wnętrzności zbyt dużą ilością alkoholu. Wyrządzam tym samym wielką przysługę wszystkim żonom w Court Hammering. Właściwie można by mnie uznać za swego rodzaju świętą patronkę jedzenia i picia w naszej okolicy.

Gdy tylko dwie wielkie beczki piwa zostały bezpiecznie umocowane na dachu karety lorda Pritha, ruszyli w dalszą drogę.

- Właściwie nie mieszkamy w samym Court Hammering, tylko w Shugborough Hall, na wschód od miasta.

- Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

- Mój pradziadek zbudował Shugborough Hall na początku zeszłego stulecia. To naprawdę bardzo piękne miejsce, zwłaszcza, gdy świeci słońce. Widzi pan, cały dom zbudowany jest z jasnokremowej cegły, sprowadzanej specjalnie z Pelton Abbott. W miarę upływu czasu ten kolor staje się coraz delikatniejszy. Jeśli dodać do tego dzikie winorośle porastające większą część ścian, to trudno się dziwić, że dom uchodzi za najpiękniejszą rezydencję w okolicy. Równie piękny jest park, bo mój ojciec kocha kwiaty i zieleń. Wokół domu ciągną się ogromne trawniki, tak zielone, że człowiek nie może oderwać od nich oczu.

- Ilu ogrodników zatrudnia pani ojciec?

- Ostatnio było ich trzynastu. Mamy, oczywiście, głównego ogrodnika i czterech zwykłych. Trzech innych zajmuje się wyłącznie pielęgnacją trawników. Ach, mamy nawet dwa pawie, które przechadzają się po ogrodzie. Tato nazywa je po prostu

Paw i Pawica, a kiedy robią za dużo hałasu, wrzeszczy: „Pawie, zamknijcie dzioby!”.

Wkrótce lord Beecham mógł się przekonać, że Shugborough Hall jest rzeczywiście tak piękne, jak opowiadała Helen. Elegancki dworek stał na szczycie łagodnego wzgórza o zboczach pokrytych soczysto zielonymi trawnikami. Trawniki te sięgały aż do strumienia u podnóży wzgórza. Brzegi strumienia porastały potężne stare wierzby, trawniki zaś zdobiły pojedyncze dęby i lipy. Przed samym domem stał szpaler rozłożystych klonów. Podjazd był wyjątkowo wąski - lord Beecham przypuszczał, że żaden z dotychczasowych właścicieli nie chciał po prostu niszczyć pięknych trawników. Winorośl porastająca kremowe ściany była starannie przycięta, tak by zdobiła dom, a nie przytłaczała go.

- Bardzo tu ładnie - powiedział do lorda Pritha, kiedy obaj stanęli przed wejściem do rezydencji.

- Dziękuję ci, mój chłopcze. Miły, przytulny domek, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Jestem tu naprawdę szczęśliwy.

Matylda, moja żona, też się tu dobrze czuła, niech Bóg ma w opiece jej duszę. - Westchnął ciężko, potem jednak wyprostował ramiona i krzyknął: - Hinkel! Rusz swój kościsty tyłek i pomóż nam przenieść bagaże.

- Hinkel to nasz długoletni służący - wyjaśniła Helen szeptem. - Jest bardzo chudy, zwłaszcza z tyłu.

- A do tego płaski jak deska, tak? - Odwrócił się i uśmiechnął. Wciąż w zdumienie wprawiał go fakt, że nie musi spuszczać wzroku, kiedy rozmawia z kobietą. Stała tuż przy nim, jej usta były tak blisko.

- Otóż to.

Nie zdawał sobie sprawy, że wpatruje się w nią, dopóki nie przysunęła się jeszcze bliżej i nie

wyszeptała mu prosto do ucha:

- Czy chce pan wiedzieć, co robi pan w moich marzeniach, kiedy ściągam pańskie buty?

- Tak. - Obrzucił ją rozplómiennionym spojrzeniem.

Roześmiała się głośno i weszła do środka.

Godzinę później, po lekkim lunchu złożonym z pieczonego kurczaka polanego sosem morelowym, chrupkiego pieczywa z najdelikatniejszym masłem, jakie lord Beecham kiedykolwiek miał okazję jeść, częstkami pomarańczy i brzoskwiń posypanych pieczonymi migdałami, a także doskonałego szampana, lord Beecham zasiadł za eleganckim złożonym biurkiem w stylu Ludwika XV, które to biurko stało w zalanym słońcem pokoju panny Mayberry. Helen powiedziała mu wcześniej, że niewielu mężczyzn miało dotąd okazję odwiedzić to miejsce. Był to jej gabinet, w którym załatwiała wszelkie sprawy związane z prowadzeniem gospody i majątku, a także biblioteka, w której czytała i rozmyślała o lampie oraz jej niezwykłych właściwościach.

Postawiła na biurku metalową szkatułę.

- Jest bardzo stara, ale solidna. Po wszystkich tych latach wciąż mocno się trzyma.

- Szkoda, że nie możemy określić, ile naprawdę ma lat - powiedział. Powoli, bardzo ostrożnie, odciągnął skórzany zaczep i uniósł wieko szkatuły. Wziął głęboki oddech. Czuł zapach starości, minionych stuleci i... czegoś jeszcze. Ze szkatuły wydobywał się ledwie wyczuwalny zapach oliwek.

Zdawało się też przy tym, że przedmiot ten nie należy do współczesnego świata, w którym wszystko zostało już wyjaśnione przez naukę, w którym nie ma już tajemnic, nie ma czarów ani dziwnych zjawisk intrygujących ludzkie umysły.

Oliwki, pomyślał. Tak, bardzo delikatny, ale wyraźny zapach oliwek. Ale to jeszcze nie wszystko. Przeczował, że szkatułka sama w sobie jest ważna, bardzo ważna. W głębi duszy był o tym przekonany. Wydało mu się to nieco przerażające, odnosił bowiem wrażenie, że nie pochodzi ona z tego świata.

Co chciał przez to powiedzieć? Że przybyła z innej planety? Z jednej spośród milionów gwiazd, które widział na nocnym niebie? Nie, oczywiście, że nie. Po prostu zapach tej starej szkatułki pobudzał jego wyobraźnię znacznie mocniej niż fantazje, o których opowiadała mu Helen.

- Dobrze byłoby znaleźć kogoś, kto zajmuje się magią, czymś zupełnie innym od wszystkiego, co znamy - powie dział. - Może taki człowiek mógłby nam wyjaśnić, ile lat ma ta szkatułka i skąd pochodzi.

- I co tutaj robi, ukryta w jaskini nad brzegiem morza.

- Czuje pani oliwki?

Skinęła głową.

- Kiedy wyniosłam ją z jaskini i postawiłam na kamieniu, przypatrywałam się jej przez długi czas, nim wreszcie znalazłam w sobie dość odwagi, by ją otworzyć. Nie wiem, może spodziewałam się, że wyleci z niej jakiś dżin. Gdy w końcu uniosłam wieko, uderzył mnie przede wszystkim zapach oliwek.

Był bardzo mocny. Potem osłabł i pojawiły się obok niego także inne zapachy.

- Zapach historii.

- Tak, ja także czułam się tak, jakbym przebywała w obecności czegoś bardzo starego i potężnego, czegoś niesamowitego i wyjątkowego. Wciąż czuję to wyraźnie, ten zapach i to uczucie. Nie uważa pan, że to dość dziwne?

Powoli skinął głową. Helen z największą ostrożnością wyjęła ze szkatuły zwitek pergaminu.

- Sam pan widzi, jakie to delikatne.

Odwinęła go powoli, podczas gdy lord Beecham przytrzymywał jeden koniec. Po rozwinięciu pergamin zajmował jedną trzecią powierzchni biurka. Helen i Beecham położyli na wszystkich czterech rogach przyciski do papieru.

- Zmierzyła to pani?

Skinęła głową.

- Trzydzieści na dwadzieścia pięć centymetrów.

Delikatnie, niczym ślepiec, dotykał pergaminu czubkami palców.

- Prawdopodobnie rulon był czymś obwiązany?

- Tak, choć ta wstążka czy sznurek już dawno uległy zniszczeniu. Tak czy inaczej, pergamin musiał przez długi czas leżeć zwinięty, bo właśnie w takiej postaci go znalazłam.

Dopiero teraz ośmielił się spojrzeć na stary pergamin. Miał kolor zaschniętej krwi. Litery napisane zostały czarnym atramentem. Ktoś tak mocno wciskał czubek pióra w powierzchnię skóry, że nawet gdyby stała się całkiem czarna, można by było odczytać pismo, wodząc po nim palcami.

Oczywiście, jeśli ktoś umiał je przeczytać.

- Ma pani szkło powiększające?

- Tak, proszę.

W pokoju na dłuższy czas zapadła cisza. Helen podeszła do przeszklonych drzwi wychodzących na otoczony murem ogród.

Kiedy się obejrzała, lord Beecham pochylał się nisko nad biurkiem, wpatrzony w pergamin. Jego czoło przecinały głębokie bruzdy.

- O co chodzi, lordzie Beecham?

- Chyba najwyższy czas - odparł po chwili, podnosząc na nią wzrok - byśmy zaczęli mówić sobie po imieniu. Jestem Spenser.

- Zgoda. Może pan mówić do mnie Helen.

- To bardzo ładne imię. Co do pergaminu, to nie jest łacina, nie jest to też starofrancuski ani nic w tym rodzaju.

- Więc co?

- Jakiś język zbliżony do perskiego. - Wyprostował się. - Czy pani ojciec ma jakieś książki o językach?

- Owszem, wątpię jednak, by którakolwiek z nich opisywała perski.

Lord Prith nie miał w swej bibliotece niczego, co powstało na wschód od Niemiec.

- Czas chyba, żebyśmy odwiedzili pastora Giliama - po wiedziała Helen. - To tylko godzinę drogi stąd.

Lord Beecham spojrział na pergamin rozłożony na biurku.

- Myślę, że powinniśmy to naoliwić. Dzięki temu pergamin stanie się elastyczniejszy i nie popęka, kiedy znów będziemy go rozwijać. - Przez chwilę milczał, potem dodał: - Wiesz, Helen, całkiem możliwe, że to nie ma nic wspólnego z lampą.

Powiedziałbym nawet, że to bardzo prawdopodobne.

- Nie, nie wierzę w to. - Pokręciła głową. - Jestem pewna, że król Edward zakopał lampę w Aldeburgh, a właśnie tam znalazłam szkatułę. Lampa jest gdzieś w pobliżu, czuję to.

Czego mogłoby dotyczyć to pismo jak nie lampy? To musi być to, rozumiesz?

- Więc dlaczego zostało sporządzone w języku perskim, a nie francuskim?

- Robert Burnell, sekretarz króla, był człowiekiem o ogromnej wiedzy. To on musiał to napisać.

Chciał mieć pewność, że lampa nie trafi w niepowołane ręce.

Lord Beecham nie sądził, by tak właśnie było, wołał jednak milczeć.

Do konserwacji wykorzystali olejek migdałowy, którego Helen dolewała sobie do kąpieli.

- Teraz już wiem, dlaczego ten zapach wydał mi się znajomy - rzucił przez ramię, delikatnie rozcierając olej na pergaminie. Podniósł palec do nosa: - To twój zapach.

- Spenser, zajmij się wcieraniem.

- Spójrz tylko - powiedział po chwili. - To działa.

Powoli wcierali olej w stary pergamin, aż wreszcie udało im się zakonserwować całą jego powierzchnię. Tylko w kilku miejscach widniały rozdarcia, które mogły utrudnić odczytanie tekstu.

Przykryli naoliwiony pergamin gazą, zamknęli gabinet na klucz, po czym dosiedli koni i udali się do Dereham, by porozmawiać z pastorem Lockleerem Gilliamem.

Nie dotarli jednak do celu.

9

W ciągu kilku zaledwie chwil - jak często dzieje się to w Anglii bez względu na porę roku - niebo zasnuły czarne ciężkie chmury, pogrążając ziemię niemal w zupełnych ciemnościach.

- Ojej! - Helen z przerażeniem popatrzyła w górę. - To nowa suknia. Uszyła ją dla mnie pewna z londyńska krawcowa, ledwie tydzień temu. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile kosztują pawie pióra.

- Która krawcowa?

- Madame Flaubert.

- Jest dość tradycyjna, ale zna się na rzeczy. Biorąc pod uwagę twoje rozmiary, naprawdę dobrze dobrała fason. Prostota to... - Niedane mu było dokończyć tej myśli, w tej samej chwili bowiem piorun uderzył w konar dębu stojącego przy wiejskiej drodze. Gruba gałąź złamała się z trzaskiem i upadła na ziemię, nie dalej niż trzy kroki od nich, wyrzucając przy tym w górę kłęby gęstego dymu. Powietrze przeszył ogłuszający grzmot. Luther, oszalały ze strachu, stanął na tylnych nogach.

- Helen, trzymaj się mocno! - zdołał jeszcze krzyknąć lord

Beecham, sam nie miał jednak najmniejszych szans, by utrzymać się w siodle. Kiedy Luther odskoczył na bok i poderwał do góry tylne nogi, lord Beecham poleciał do przodu niczym wystrzelony z katapulty i wylądował w krzakach na skraju drogi.

Helen krzyknęła coś do niego, miała jednak własne problemy. Luther, przewracając oczami i potrząsając łbem, uderzył w Eleanor, która przysiadła ze strachu na zadzie, a potem ugryzł ją w kark. Klacz wierzgnęła gwałtownie, a wyrzucona z siodła Helen przeleciała z krzykiem nad głową konia i wpadła do rowu; zatrzymała się dopiero na grubym dywanie rozkwitłych żonkili.

Lord Beecham, który zdążył się już podnieść z ziemi i upewnić, że ma wszystkie kości całe, podbiegł do niej i uklęknął na trawie. Delikatnie poklepał ją po policzkach.

- Helen? Nic ci nie jest?

Leżała nieruchomo na plecach, spomiędzy jej nóg wystawały żółte główki żonkili. Nowa suknia rozdarła się tuż pod prawym ramieniem.

Kiedy w końcu zdołała unieść powieki, ujrzała nad sobą dwóch lordów Beechamów wymachujących energicznie rękami.

- Przestań się ruszać, robi mi się od tego niedobrze.

- Już, już. Jestem nieruchomy jak skała. Tak lepiej?

- Owszem, dziękuję. O Boże, moja suknia. Jak ona wygląda?

- No tak, to ja się tu zamartwiam, że złamałaś sobie kręgosłup, a ty płaczesz nad sukienką. Kupię ci nową. Osobiście nawet wybiorę materiał i fason. Zapomnij już o sukni. Owszem, masz wielką dziurę po pachą. Nic wielkiego. A teraz powiedz mi, jak się czujesz.

- Masz jakąś plamkę na twarzy. - Podniosła rękę, by ją zetrzeć. -1 drobne skaleczenie za prawym uchem. Ja nie czuję żadnego bólu. Nie uderzyłeś się w głowę?

- Nie, Luther rzucił mnie prosto w krzaki, miękkie jak poduszka. Widziałem, jak wyleciałaś z siodła. Teraz pewnie oba nasze wierzchowce wracają spokojnie do Shugborough Hall. Mam nadzieję, że Eleanor zaprowadzi tam Luthera.

- Luther był tak przerażony, że ugryzł ją w kark. A może się w niej zakochał? Jeśli tak jest w istocie, to będzie szedł za nią krok w krok.

Nie potrafił potem wyjaśnić, dlaczego to zrobił. Być może był to wynik zdenerwowania i ogromnej ulgi, że oboje wyszli z opresji cali i zdrowi. Nieważne. Krew pulsowała mu dziko w skroniach, serce waliło jak młot. Czuł się tak, jakby miał wyskoczyć z własnego ciała. Pochylił się nisko i delikatnie ugryzł ją w kark, tuż nad koronkowym kołnierzem białej bluzki.

Potem odsunął się szybko, próbując zapanować nad sobą.

- Rzeczywiście, widziałem, jak Luther wpatrywał się dzisiaj w zad Eleanor.

- Wcale nie. Nie próbuj więcej naśladować swojego konia.

Nie pozwolę ci się tam ugryźć. Zaraz zresztą podniosę się z ziemi. O już, siedzę. Jak ci smakował mój kark?

W tym momencie nad ich głowami otworzyły się czarne chmury.

- Och, nie, moja biedna suknia. - Helen złapała Spensera, próbując przyciągnąć go do siebie, by ochronić suknię. Lord Beecham śmiał się tak mocno, że wpadło mu do ust kilka kropli deszczu. W końcu jednak wylądował na Helen i teraz leżał, czując ją całą pod sobą. Pasowała doń idealnie, jak jeszcze żadna kobieta w jego życiu.

- Wspaniała dawka naturalnej dyscypliny - powiedział, a potem pochylił się i ucałował jej usta.

Zamieniła się w kamień.

Podniósł lekko głowę, by móc spojrzeć w jej oczy.

- Co się stało? Nie wsunąłem ręki pod spódnicę, żeby dotykać twoich ud. Nie ugryzłem cię znowu w kark. Nie próbowałem nawet zbliżyć się do innych części twojego ciała. Nie, po prostu cię pocałowałem. Nic takiego, naprawdę, po prostu dotyk ust. Co się z tobą dzieje, Helen?

Leżał na niej, wsparty łokciami o ziemię. Z nieba lały się strumienie wody. Helen wiedziała, że wkrótce rów wypełni się deszczówką, nic jednak nie powiedziała, patrzyła tylko w jego oczy.

- Znowu myślisz o tym, żeby ściągnąć mi buty?

Pokręciła głową.

- To absurdalne - powiedziała, po czym objęła go wpół i przycisnęła z całej siły. Zdarł z jej głowy zgnieciony kapelusz, rozczochrał włosy i namiętnie ją pocałował. Dyszał ciężko, rozpalony, ale Helen była chyba jeszcze bardziej podniecona niż on. Zdołała rozsunąć nogi, a on wpadł pomiędzy nie, gotowy do dzieła. Pomyślał, że Helen ma rację, że to rzeczywiście idiotyczne.

Zerwał się, chwycił ją za rękę i podniósł z ziemi.

- Pada coraz mocniej. Musimy poszukać jakiegoś schronienia. Jeśli tylko uda nam się znaleźć choćby skrawek dachu, nie uciekniesz przede mną. Będę w tobie w ciągu kilku sekund.

Zaczął ciągnąć ją w górę fosy.

- Gdzie my właściwie jesteśmy? - Patrzyła nań nieprzytomnym wzrokiem.

- Helen, weź się w garść. Przestań myśleć o tym, co z tobą zrobię. A może zastanawiasz się, co ty zrobisz ze mną?

Nieważne, powiedz mi tylko, gdzie znajdziemy tu jakieś schronienie.

Podniosła rękę i wskazała na wschód.-

- Tam, w lesie, jest stara chata. To jakieś czterysta metrów stąd.

Wydostali się wreszcie z rowu i przeszli przez zagajnik na skraju drogi. Listowie było tutaj tak gęste, że choć przez chwilę chroniło ich przed deszczem.

Lord Beecham zatrzymał się, zaniepokojony bólem w prawej nodze.

- Do diabła - syknął. Prawdopodobnie było to skręcenie, na szczęście dość lekkie. Spojrzał na zdyszana Helen, jej piękne wilgotne włosy przyklejone do twarzy i ramion.

- Jak się czujesz? - spytał, ujmując jej twarz w dłonie.

- Lepiej niż ty. Pomóc ci?

Pokręcił głową.

- Nie, nie jest tak źle, to tylko lekkie skręcenie. Które?

Przedzierali się przez las, aż Helen przystanęła i rozejrzała się dokoła.

- To gdzieś tutaj, na prawo. Powinna tam być mała polanka.

Trzy minuty później weszli na polanę.

- Bogu dzięki, że jeszcze się całkiem nie zawaliła. - Helen podbiegła do ruiny, która niegdyś była drewnianą chatą. - Dobrze, że chociaż część dachu jest jeszcze na miejscu.

- Zostań tutaj - polecił lord Beecham i ostrożnie otworzył przegniłe drzwi. Zardzewiałe zawiasy jęknęły przeraźliwie.

- Chodź za mną - rzucił przez ramię, wchodząc do wnętrza czegoś, co tylko z nazwy mogło uchodzić za schronienie. Nad połową budynku nie było już dachu, resztę podtrzymywały trzy lekko przekrzywione belki. Ziemię wciąż pokrywały deski, najprawdopodobniej jednak były już mocno przegniłe, a tym samym niebezpieczne.

Na szczęście jednak ostał się jeden suchy kąt. Śmiejąc się z własnej niedoli, ostrożnie usiedli na drewnianej podłodze i oparli plecami o ścianę - skrzypnęła głośno i ucichła.

Siedzieli w milczeniu. Krople deszczu bębniły o dach nad ich głowami, po drugiej stronie pomieszczenia widać było tylko szarą zasłonę wody.

Spojrzał na jej usta.

- Chodź tutaj. Chcę cię w tej chwili.

- Zastanawiałam się nad tym. - Helen nie ruszyła się z miejsca. - Uważam, że nie jest to dobry pomysł. Jesteśmy part nerami, tworzymy zespół. Wiem z doświadczenia, że kiedy mężczyzna jest już znużony kobietą, i vice versa, nie mają dłużej ochoty przebywać ze sobą.

Uniósł lekko brwi, przybierając wyjątkowo bezczelną i arogancką minę, i objął kolana ramionami.

- Opowiedz mi o tym swoim doświadczeniu.

- Mężczyźni nie zawsze są rozsądni i logiczni.

- Kobiety również.

- Otóż to. Nie komplikujmy sprawy fizycznymi relacjami.

- Więc jak wygląda to twoje doświadczenie, Helen? Wiem, że jesteś mistrzynią dyscypliny w Court Hammering. Wiem, że mężczyźni, którzy dla ciebie pracują, drżą przed tobą w rozkosznym

strachu. Wiem też, że wyobrażasz sobie, jak ścigaszesz mój lewy but, odwrócona do mnie tyłem. A kiedy patrzysz na mnie przez ramię, uśmiechasz się chytrze, bo wiesz, jak rozbudzić mężczyznę i jak go zadowolić.

Patrzyła prosto przed siebie, na szarą zasłonę deszczu. Woda waliła o ziemię zaledwie pół metra od miejsca, w którym teraz siedzieli. Helen była zziębnięta i przemoczona, a jednak pragnęła tylko tego, by znów ugryzł ją w kark, może nawet w pośladek. Odwróciła się, chcąc coś powiedzieć, nie zdążyła jednak wydobyć z gardła ani jednego słowa. Beecham już był przy niej, przyciskał ją do ściany. Dobrze, że nie przeciekał chociaż sufit nad ich głowami.

Teraz nie było jej już zimno, nie czuła chłodu, gdy pieścił jej ramiona i szyję, gdy napierał na nią ustami, wciągając ją w wir swego pożądania, ona zaś zrobiła to, o czym myślała od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła. Oddała mu swe usta, oddała mu całą siebie, przygarnęła go mocno, wbijając palce w jego plecy, potem przesunęła je na piersi, a wreszcie na guziki bryczesów.

Siła jego pragnienia zdumiała ją, wciągnęła jeszcze głębiej. Helen wygięła się w łuk, gdy położył dłonie na jej piersiach, a potem przesunął je w dół sukni.

- Helen, nie mogę w to uwierzyć - wyszeptał prosto w jej usta. Dysząc ciężko, wyprostował się, zastygł na moment w bezruchu, a potem podsunął do góry suknię i halki. Kiedy od pasa w dół była już zupełnie naga, przysiadł na piętach i patrzył na nią. Powoli, czując na sobie jej wzrok, wyciągnął rękę i położył ją delikatnie na jej podbrzuszu.

Przez chwilę patrzył na swe palce, bardzo powoli przesuujące się w dół, sycąc się każdym fragmentem jej ciała, wreszcie delikatnie nacisnął.

Wygięła się w łuk i pochwyciła go za ramiona, próbując przyciągnąć do siebie.

- Nie, Helen, jeszcze nie. Dobry Boże, jeszcze nie. Kiedy pocałuję cię w usta, stracę nad sobą panowanie i skończę sam, a ty uznasz mnie za największego prostaka w całej Anglii.

- Spenser.

Wypowiedziała jego imię i delikatnie westchnęła, kiedy wsunął w nią palce. Omal się wtedy nie zatracił, w tej pierwszej chwili. Oddychał szybko, serce biło mu młotem. Z całej siły starał się opanować. Była taka rozpalona, taka delikatna, i chciała go. Jej twarz okrywał rumieniec, usta były lekko rozchylone. Patrzyła nań tak, jakby był jedynym mężczyzną na świecie, jedynym, którego naprawdę pragnie.

- Helen - powtórzył, po czym zsunął spodnie, uniósł jej biodra i wszedł w nią, głęboko i mocno.

Krzyknęła z bólu, a po chwili z rozkoszy. Leżał teraz na niej, zamykając jej usta w pocałunku. Wsunął język między jej wargi, ona zaś przyjęła go i całowała z całej siły, przejęta mocą uczuć ukrytych głęboko w jej wnętrzu. Poruszał się w niej, wypełniał ją tak cudownie, że chciała, by został tam już na zawsze.

Tymczasem on był już u kresu wytrzymałości. Nie dał jej jeszcze największej rozkoszy. Próbował, naprawdę próbował z niej wyjść, by pieścić ją palcami i ustami, lecz po raz pierwszy od wielu, wielu lat po prostu stracił nad sobą panowanie. Odrzucił głowę do tyłu i krzyknął z całych sił, jakby chciał zagłuszyć szum deszczu.

Opadł na nią bezsilnie, wtulając twarz w jej mokre włosy. Z trudem odzyskiwał świadomość, oszołomiony największą rozkoszą, jakiej doświadczył w swym dorosłym życiu. Został całkowicie pozbawiony kontroli. Wzbił się ku niebiosom sam - krótko mówiąc, zachował się jak smarkacz.

- Przepraszam - powiedział, podnosząc się na łokcie. - Bardzo cię przepraszam, Helen. Jesteś taka piękna. - Nie mógł się powstrzymać; pochylił głowę, by jeszcze raz ją pocałować, i poczuł, że

znów jest twardy.

- Mam trzydzieści trzy lata - mówił pomiędzy pocałunkami. - Chcę cię jeszcze raz, natychmiast. Jesteś czarodziejką.

Jesteś niesamowita. - Wysunął się z niej, nabrzmiały i twardy.

Dyszając ciężko, całował jej twarz i szyję, wpadając w rytm, który znał tak dobrze, lecz dotyk jej ciała, jej wilgoć, jej żar przeniknęły go całego, pragnął znów znaleźć się w jej wnętrzu. Nie, nie, jeszcze bardziej chciał dać jej prawdziwą rozkosz, zobaczyć szczęście na jej twarzy. Całował ją i pieścił, aż poczuł, jak rośnie w niej coraz większe napięcie. Podniósł głowę i spojrzał na nią w chwili, gdy wygięła się w łuk pod jego palcami, jej oczy zasnuła mgła. Krzyknęła, przeszyta upojnym bólem, skupiona w tym jednym miejscu, pod jego dłonią. Za chwilę krzyknęła jeszcze raz, tym razem wprost w jego usta.

Całował ją dalej, początkowo nieświadom, że próbuje się od niego uwolnić. Kiedy wreszcie to zrozumiał, zamrugał gwałtownie, oszołomiony, ona zaś krzyknęła raz jeszcze:

- O Boże!

Objęła go mocno, przycisnęła do siebie i przetoczyła się razem z nim po przegniłej podłodze. Usłyszał trzask pękających belek, a po sekundzie na ziemię spadł wielki fragment dachu - dokładnie w to miejsce, gdzie leżeli jeszcze przed chwilą.

Kiedy przebrzmiał już huk spadających dachówek i desek, znów otulił ich jednostajny szum deszczu.

Leżeli na sobie, ciasno przytuleni.

- Mój Boże - wyszeptał Beecham. - Mogliśmy oboje zginąć.

Jej oczy były zamknięte. Kiedy pochylił się, by ją ucałować, nawet nie drgnęła.

- Helen?

Odchylił głowę do tyłu.

Była nieprzytomna. A niech to... on wciąż tkwił w niej w środku.

10

Lord Beecham zsunął się z Helen i ostrożnie uniósł jej głowę. Dopiero teraz zauważył krew, ciemną plamę na włosach, tuż nad uchem.

Coś uderzyło ją w głowę. Spojrzał do góry. Deszcz lał teraz tuż obok nich, rozpryskujące się krople spadały mu na buty. Obciągnął w dół jej spódnicę, zapiął spodnie i przysiadł na piętach. Potem zdjął surdut i okrył ją. Nie wiedział, co jeszcze może zrobić. Bał się ją poruszyć. Z drugiej jednak strony, wiedział, że jeśli będzie tak leżeć, przemarznie, a to mogło się dla niej źle skończyć. Odsunął ją od deszczu najdalej, jak mógł. Sam oparł się plecami o ścianę. Po chwili jednak ponownie ułożył się obok niej i przytulił ją do siebie.

- Tak mi przykro, Helen. Uratowałaś mnie, rozpustnika, a sama zostałaś ranna. Ale wszystko będzie dobrze. Zostaniemy tutaj, dopóki nie odzyskasz przytomności. - Pocałował ją w policzek i otulił szczelniej surdudem.

Jechali do Dereham, by znaleźć księgę opisującą język starożytnych Persów. Teraz leżeli przytuleni do siebie, doszczętnie przemoczeni. Helen była nieprzytomna, on zaś nie wiedział, jak jej pomóc.

Dopiero w tej chwili uzmysłowił sobie, że jest już późne popołudnie. Będzie robiło się coraz zimniej. A jeśli nie przestanie padać? Zamknął oczy, przyciskając policzek do jej twarzy.

Mógłby spróbować ją nieść, z pewnością jednak nie był w stanie zanieść jej aż do Shugborough

Hall. Nie wiedział nawet, czy będzie mógł wrócić do drogi. A jeśli deszcz nie ustanie, jeśli przybierze jeszcze na sile?

Nie, musieli zostać tutaj. Nie mieli wyboru. Położył rękę na jej piersi. Odetchnął z ulgą, gdy wyczuł mocne, równe bicie serca. Cóż, nie pozostało mu nic innego, jak czekać.

Pomyślał o tym, jak na nią reagował, i wciąż nie mógł się temu nadziwić. To było naprawdę nieprawdopodobne. Nigdy w życiu nie czuł tak przemożnego, tak silnego pożądania, które przesłaniało mu cały świat. Myślał wtedy tylko o Helen, tylko o tym, by tulić ją do siebie, by złączyć się z nią w jedno i nigdy już się nie rozłączać.

Kiedy myślał o tym, co wydarzyło się przed kilkoma minutami, kiedy patrzył na to chłodnym okiem, dochodził do wniosku, że była to tylko chwila słabości, uczucie wywołane niezwykle okolicznościami - ten deszcz, zrujnowana chata, jej piękne blond włosy. Podejrzewał, że Helen potraktuje to w ten sam sposób. Obcował już z wieloma pięknymi kobietami. To on zawsze nadawał rytm ich zbliżeniom, tym razem jednak stracił panowanie nad sobą. I spełnił się w niej, czego nigdy dotąd nie robił. Nie chciał, by jakaś kobieta zaszła przez niego w ciążę. Tym razem jednak po prostu całkowicie się zapomniał, rzucił się w otchłań rozkoszy i nie dbał o to, co się z nim dzieje.

Tak nim zawładnęła.

Kobieta rzadko kiedy zachodzi w ciążę po jednym błędzie mężczyzny. Właściwie spełniłby się w niej po raz drugi, gdyby dach nie zawalił im się na głowę.

Dobrze, że przynajmniej zdążył ją zaspokoić, nim do tego doszło.

Ucałował jej skroń.

Nagle poczuł, jak się porusza, i odetchnął z ulgą. Była nieprzytomna tylko przez kilka minut.

- Helen - wyszeptał jej do ucha. - Helen.

Z jej gardła wydobył się cichy jęk.

- Helen, otwórz oczy. Helen, wróć do mnie.

Uniosła powieki.

Dotknął czubkami palców jej policzka.

- Witaj.

Nie mówił nic więcej, czekając, aż pozbiera myśli. Jej oczy zasłane były mgłą, jak w chwili, gdy przeżywała orgazm. Odsunął się nieco do tyłu, by lepiej ją widzieć i by ona mogła skupić wzrok na jego twarzy.

- Co się stało?

Jaki słaby głosik, pomyślał i uśmiechnął się do niej.

- Wszystko w porządku. Uratowałaś nas przed przygnieceniem, ale coś uderzyło cię w głowę, tuż za uchem. Powiedz mi, iloma palcami poruszam przed twoją twarzą?

- Nie wiem, ale z pewnością jest ich za dużo.

- Zamknij oczy, spróbuj przez chwilę o niczym nie myśleć.

Jestem przy tobie, nic nam już nie grozi. Tylko nie zasypiaj, bo znów możesz stracić świadomość. Powiedz mi, kiedy znów będziesz mogła policzyć palce.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam.

Pochylił się nad nią i ucałował jej blade usta.

- Nigdy nie uciekałaś przed spadającym dachem? Czy też nigdy nie ratowałaś mężczyzny, który stracił dla ciebie głowę?

- To też. Przykro mi, ale w najbliższym czasie nie będę chyba w stanie wrócić do drogi. Spenser,

co my teraz zrobimy?

- Na razie nie będziemy robić nic. Niczym się nie martw, Helen, ja będę się martwił za ciebie. Powiedz mi tylko, jak daleko stąd do najbliższej wioski albo chaty jakiegoś farmera?

Czując, że drży z zimna, przygarnął ją mocniej do siebie.

- Wiem, że jesteś przemoczona. Niestety, ja również jestem mokry, więc nie mogę ci pomóc. - Zamyślił się na chwilę. - Wiem, co zrobimy. Zdejmę z ciebie całe ubranie i sam też się rozbiore. Potem przytulimy się do siebie tak mocno, że będzie nam ciepło jak pod pierzyną.

Jęknęła tylko w odpowiedzi. Rozebrał ją, jak rozbierał już wiele kobiet w swym dorosłym życiu, tym razem jednak nie robił tego dla zabawy. Jej ubranie było mokre i ciężkie, drżała z zimna i szczękała zębami, pojękując od czasu do czasu, kiedy jakiś nieostrożny ruch sprawiał jej ból.

- Przykro mi, Helen, że muszę ci to robić, ale wkrótce już skończymy. Czy mówiłem ci już, jaka jesteś piękna? Nie, może to jednak nie najlepsza pora, by rozmawiać o takich rzeczach.

Jeszcze chwileczkę, a przytulimy się do siebie i będzie nam ciepło.

Wreszcie oboje byli nadzy i mogli się przykryć halką. Była wprawdzie wilgotna, ale w tej sytuacji wydawała się niemal sucha. Na wierzch naciągnęli resztę ubrań.

Wcale nie było im źle.

- Jesteś cieplejsza niż kaflowy piec, który mój ojciec zbudował w swojej chacie myśliwskiej pod Leeds.

Obdarzyła go dziwnym spojrzeniem. Nagle uświadomił sobie, że jest twardy jak kamień i przywiera do jej brzucha. Nie mógł na to nic poradzić.

- Helen, nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu nie kontroluję tej części swojego ciała. Zignoruj to. Ciepłej ci już?

- O tak - odparła, owiewając mu szyję ciepłym oddechem. -

Muszę przyznać, że ta część twojego ciała jest niezwykle intrygująca, ale to nie ma teraz znaczenia. Jestem bardzo zmęczona.

- Zamrugaj i spójrz na mnie, Helen. Tak jest, prosto na mnie. Nie jesteś już delikatną małą dziewczynką. Nie wolno ci zasnąć. Obejmij mnie. O, tak właśnie. Ciepło ci w plecy?

Ponieważ gładził bez ustanku jej plecy, pośladki i uda, robiło jej się coraz cieplej. A że był mężczyzną, więcej uwagi poświęcał jej biodrom i pośladkom niż plecóm.

- Nie mogłeś tego przewidzieć, prawda, Spenser?

- Tego, że zawali się na nas dach?

- Nie, mówię o tym, co zaszło między nami. Wszystko łączyło się ze sobą tak, jakbyś zastosował jakąś bardzo złożoną, a jednak spójną formę dyscypliny. Oczywiście prócz tego uderzenia w głowę. Mistrz dyscypliny nie dopuściłby do tego.

- Nie, z całą pewnością. - Położył dłoń na jej pośladku i przycisnął ją do siebie. Znowu był twardy, niemal drżał z podniecenia. Co się z nim działo? - Nie zwracaj na mnie uwagi - wyszeptał jej do ucha.

- To raczej niemożliwe, skoro tak mnie przyciskasz. Czuję się już lepiej. Tak, i jest mi ciepło. Boże, to absurdalne. Nigdy dotąd nie zachowywałam się w ten sposób, nie traciłam głowy.

Nie podoba mi się to, Spenser, nie podoba mi się wcale. - I bez najmniejszej zachęty z jego strony zaczęła się poruszać.

Nie dbał wcale, czy jej się to podoba, czy też nie. Pragnął jej, równie mocno jak za pierwszym razem, więc szybko przetoczył się na nią.

- Helen - wyszeptał i zaczął ją całować. Już po chwili był między jej nogami, a potem w środku. Kiedy kilka minut później zaczęła krzyczeć z rozkoszy, odchylił głowę i przyłączył się do niej.

Nie chciał jej zostawiać i nie zrobił tego. Otulił ją tylko szczelniej mokrymi ubraniami i zasnął, przytulony do niej i wciąż w niej zanurzony.

Helen patrzyła na wąski skrawek dachu, który chronił ich przed deszczem. Nie było jej już zimno, nie odczuwała też bólu. Była tak zaskoczona, tak oszołomiona tym, co zaszło między nimi, że gdy to niesamowite uczucie zaczęło budzić się w niej po raz kolejny, westchnęła tylko głęboko i pocałowała go. Wbił mocniej palce w jej plecy. Uśmiechnął się do niej i począł ruszać się powoli, coraz mocniej. Nawet teraz, za trzecim razem, trzeba było ledwie kilku chwil, by oboje wspięli się na wyżyny uniesienia. Kiedy znów spełnił się w niej, pomyślał, że to nie jest normalne, że nie można tak wciąż pragnąć i pragnąć. Nie był przecież rozpalonym nastolatkiem. Miał trzydzieści trzy lata i ogromne doświadczenie w relacjach z kobietami.

Kiedy wreszcie odzyskał trzeźwość umysłu, pochylił się i wyszeptał jej do ucha:

- Naprawdę nie chcę umrzeć w zrujnowanej chacie z zimna i wyczerpania.

- Nic mi nie jest, tylko lekko boli mnie głowa. Za godzinę zacznę zmierzchać. Powinnam być zmęczona, ale nie jestem.

Czuję się wspaniale. Możemy wstać i iść dalej.

To dziwne, ale on także czuł się wyjątkowo dobrze. Mógłby zerwać się na równe nogi i odtńczyć jakiś radosny irlandzki taniec. Jego ciało pulsowało niesamowitą energią. Choć niechętnie, w końcu jednak zdołał jakoś odsunąć się od niej. Kiedy na nią spojrzał, promieniał radością. Podał Helen rękę i pomógł jej wstać z podłogi.

- Nie, Helen - pokręcił głową. - Nie patrz na moje usta, bo znowu rzucę cię na ziemię. Musimy się ubrać. Musimy znaleźć jakieś schronienie.

Z obrzydzeniem wciągała na siebie kolejne warstwy mokrych i zimnych ubrań. Kiedy usiadła, by dociągnąć sznurówki, Beecham, zgięty w pół, próbował właśnie włożyć buty z cholewami.

Roześmiała się. Spojrzał na nią i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Kiedy wrócili do drogi, nie padało już tak mocno, powrót do Shugborough Hall zajął im jednak jeszcze ponad godzinę.

- O mój Boże - jęknął lord Prith, kiedy przemoczeni do suchej nitki weszli wreszcie do holu. - Każe natychmiast podgrzać butelkę szampana.

Lord Beecham poprosił o koniak i dostał go. Lord Prith kazał zanieść butelkę do jego sypialni, gdzie Nettle przygotowywał już gorącą kąpiel. Służący natychmiast ściągnął zeń mokre ubrania i otulił go ciepłym szlafrokiem. Potem lord Beecham grzał się przez chwilę przy kominku, osobiście dokładając dREW do ognia, podczas gdy Nettle oplakiwał głośno stan jego butów. Kiedy już Beecham leżał w wannie, wspierając głowę na krawędzi, pod zamkniętymi powiekami znów ujrzał Helen naga, wygiętą w łuk i krzyczącą z rozkoszy.

Wziął ją trzy razy.

Co on narobił, do diabła?

Helen znacznie wcześniej uświadomiła sobie, czego się dopuściła, i klęła teraz, na czym świat stoi. Teeny krążyła po pokoju, załamując ręce i próbując zrozumieć, dlaczego pani jest taka wściekła.

- Nie powinna się pani denerwować tą raną na głowie - mówiła. - Ja będę się martwić za nas obie. To prawdziwa krew, panno Helen. Wezwę lekarza.

- O nie, Teeny, ani mi się waży. Wolalabym umrzeć, niż dopuścić do siebie Ozziego.

- Ale sama pani mówiła, że on nigdy nie krzywdzi ludzi.

- Owszem, ale wydaje mu się, że jest we mnie zakochany.

Nie, nie może zbliżyć się do mnie. Chodź tutaj, pomożesz mi umyć włosy. Zmyjemy tę krew, nie martw się.

Tak, Helen dobrze wiedziała, co zrobiła. Co zrobiła trzy razy. I jak wspaniale się wtedy czuła. Gdy schodziła do jadalni na kolację, przeklinała w myślach własną słabość.

Luther i Eleanor były już w stajniach, okazało się jednak, że wróciły później niż Helen i lord Beecham - dlatego też nikt z domowników nie martwił się, że stało się coś złego.

- Co robiły te przekłete konie, skoro nie przybiegły tutaj od razu? - zastanawiał się głośno lord Beecham, przetykając kolejną łyżkę gorącej, pysznej zupy żółwiowej. Czy wyczuwał w niej smak cytryn, czy też było to tylko złudzenie?

Helen odchrząknęła głośno i wbiła wzrok w ziemniaki na swoim widelcu:

- Pewnie schroniły się gdzieś przed deszczem, tak jak my, lordzie Beecham. Nie rób takiej ponurej miny, tato, nie ma się czym martwić. Wypiłam kieliszek podgrzanego szampana i czuję się tak, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło. - Spojrzała prosto w oczy kochanka. - Prawdę mówiąc, już teraz przeżycia minionych trzech godzin ulatują z mej pamięci.

Pamiętam tylko, że jechałam z lordem Beechamem do Dereham.

Potem wszystko ginie w mroku. Pewnie złapał nas deszcz, bo wróciliśmy przemoczeni, ale co wydarzyło się w tym czasie?

Naprawdę, mój umysł niczego nie zarejestrował. Wszystko jest takie samo jak przedtem. Nic się nie zmieniło. Zupełnie nic.

Lord Beecham powinien był przyjąć te słowa z ulgą, ale wcale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie, ogarnęła go złość. Zapomniała, że trzykrotnie dał jej prawdziwą rozkosz? Zaklął w myślach.

Po kolacji Helen wstała od stołu i spojrzała na swego ojca.

- Idę do łóżka. Mam nadzieję, że i beze mnie, drodzy panowie, będziecie się dobrze bawić. Jestem już bardzo zmęczona. Lordzie Beecham, zobaczymy się rano. Jeśli nie będzie padać, spróbujemy jeszcze raz wybrać się do Dereham.

Co miał jej odpowiedzieć? Miał ochotę odsunąć krzesło, wstać powoli od stołu, podejść do niej i położyć ręce na jej białej szyi. Nie wiedział sam, jak mocno zacisnąłby palce. Z pewnością dość mocno, by zwrócić jej uwagę. Zaciskając pięści w bezsilnej złości, patrzył, jak Helen wychodzi z jadalni. Miała na sobie szarą suknię z delikatnego jedwabiu, który układał się bardzo wdzięcznie na jej kuszących krągłościach.

Kochał się z nią trzy razy, dał z siebie wszystko, całkowicie jej zaufał. Opętała go, pozbawiła sił, a teraz chciała o tym zapomnieć?

Cóż, nie mógł jej tego zabronić.

Po kolacji grali z lordem Prithem w wista. Lord Prith mówił o tym, jak bardzo jego słodka mała Helen przypomina swą matkę. Gdyby nie obecność Flocka, który w porę pospieszył mu z pomocą, lord Beecham zakrztusiłby się na śmierć swoją brandy.

Nim Flock zabrał swego pana na wieczorną przechadzkę, Beecham przegrał sześćdziesiąt funtów i wypił o wiele za dużo doskonałego francuskiego koniaku.

11

Na miłość Boską, Helen, porozmawiaj o tym ze mną. Kobiety zawsze lubią rozmawiać o mężczyznach, których doprowadziły niemal do kompletnego wyczerpania. Zwykle robią to od razu,

kiedy delikwent leży jeszcze bez sił, kompletnie oszołomiony. Przyznaję, że okoliczności nam wczoraj nie sprzyjały, nie dziwię się więc, że wolałaś poczekać z tą rozmową do dzisiaj. Teraz nadeszła właściwa pora. Możesz mówić.

Milczenie.

Nie dawał za wygraną.

- Śmiało, możesz powiedzieć, co ci się nie podobało. Możesz wytknąć mi wszystkie błędy i niedociągnięcia.

Cicho pogwizdywała.

Lord Beecham tak gwałtownie ściągnął wodze, że jego koń przysiadł na zadzie, omal nie wyrzucając go z siodła, i wrzasnął:

- Do diabła, przestań już. Przyznaję, że nie wszystko, co wydarzyło się między nami wczoraj, i czego rzekomo nie pamiętasz, było doskonałe.

- Na miłość boską, Spenserze, o czym ty mówisz?

Zignorował tę uwagę. Był rozsądny. Wiedział, że czasami trzeba zachęcić kobietę do zwierzeń, aby mu ufała. Powinna też wiedzieć, że on ją podziwia, zwłaszcza jeśli chciała go pochwalić. Na pewno wiedziała, że uważa ją za niezwykle piękną i atrakcyjną. Wiedziała także, do stu diabłów, że dał jej prawdziwą rozkosz. Wciąż czuł na ustach jej gorący oddech, kiedy jęczała w uniesieniu. Czuł to całym ciałem. Być może po prostu wstydziła się powiedzieć mu, jakim wspaniałym jest kochankiem. Tak, na pewno chodziło właśnie o to.

- Jeśli chcesz porozmawiać o tym, jak bardzo do siebie pasujemy, możesz to teraz zrobić. Chętnie cię wysłucham.

Helen nie przestawała gwizdać. Po chwili odpowiedział jej ruzdzik ukryty w gałęziach przydrożnego klonu. Beecham czuł, jak rośnie w nim coraz większa złość, nadal jednak przemawiał spokojnym, opanowanym tonem. Był przecież rozsądny.

- Posłuchaj mnie. Jesteśmy tu sami, mamy piękny dzień, słońce świeci, konie spokojnie truchtają, a ja jestem gotów cię wysłuchać.

Milczenie.

- W porządku, Helen. Rozumiem. Chcesz, żebym opowie dział o wszystkim, co nas wczoraj spotkało, w romantyczny, poetycki sposób.

Obdarzyła go rozbawionym spojrzeniem, które mogło każdego mężczyznę doprowadzić do furii.

- Ponieważ wczoraj po południu nie robiliśmy nic, co warto by wspominać, możesz zachować dla siebie te romantyczne opowieści.

- Przestań wodzić mnie za nos. Ta twoja nagła utrata pamięci jest śmiechu warta. Kiedy posiadę jakąś kobietę, to ona nigdy o tym nie zapomina. Nigdy. A jeśli posiadę ją trzykrotnie, zmienia się całe jej życie.

Do stu tysięcy diabłów! Ona się śmiała! Spojrzała nań przez ramię i roześmiała się. Beecham zagotował się z wściekłości.

Potem nagle umilkła i przybrała znudzoną, wręcz obojętną minę. Spojrzał na swe dłonie okryte rękawiczkami z miękkiej skóry, a potem na ręce Helen. Obejrzał też jej czarne, niezbyt dobrze wypolerowane buty do jazdy konnej. Cóż, nie miała takiego lokaja jak Nettle. W ogóle odniósł wrażenie, że jest już znudzona drogą i jego towarzystwem.

Gotów był zeskoczyć z Luthera, ściągnąć ją na ziemię i... Wolał nie myśleć o tym, co zrobiłby potem. Odwróciła się, spojrzała na niego i powiedziała spokojnym, zrównoważonym tonem, w

którym pobrzmiwała nuta udręczonej, kobiecej cierpliwości - coś, czego jeszcze nigdy nie słyszał w swym dorosłym życiu.

- Proszę się tak nie dąsać, lordzie Beecham. Powinien pan już wiedzieć, jak radzić sobie ze zranioną męską próżnością.

- Do diabła, mam na imię Spenser.

- Zgoda, Spenserze. Będę mówić do ciebie po imieniu, dopóki znów nie zaczniesz się zachowywać jak idiota.

- Helen, chcesz, bym zrzucił cię na ziemię i udowodnił ci raz jeszcze, że to, co spotkało cię wczoraj, było jedną z najwspanialszych rzeczy w twym nudnym prowincjonalnym życiu?

- Dobry Boże! - Pokręciła głową, wciąż zachowując stoicki spokój. - Ma pan naprawdę wysokie mniemanie o sobie, lordzie Beecham. Chciałabym, aby zapomniał pan o tych wczorajszych niedorzecznościach, a pamiętał tylko o tym, że jest moim partnerem, nie kochankiem.

- Chcę być jednym i drugim. Jestem jednym i drugim. Nie widzę powodów, dla których miałbym zrezygnować z którejś z tych ról. Chcę kontynuować to, co wczoraj zaczęliśmy.

Żałuję, że zostałaś ranna w głowę, że byłaś przemoczona i zziębnięta, że zgniłe deski nie były tak wygodne jak twoje łóżko, ale przecież i tak było ci bardzo dobrze. Trzy razy. I to ja dałem ci tę przyjemność.

- Owszem, to wszystko prawda. I co z tego?

I co z tego? Wpatrywał się w nią, osłupiały. W całym swym dorosłym życiu nie słyszał takich słów z ust żadnej kobiety.

I co z tego? Naprawdę to powiedziała?

Miał ochotę krzyknąć z wściekłości, powstrzymał się jednak. Wziął głęboki oddech. Zdobył się nawet na uśmiech, kiedy w końcu odpowiedział:

- To było bardzo zabawne. Co miałaś na myśli?

- Miałam na myśli to, milordzie, że wczorajsze popołudnie to bardzo krótka chwila w porównaniu z wiekiem wszechświata na przykład. Ledwie kropla w oceanie czasu. Owszem, coś nas ze sobą łączy, nie jest to jednak jakaś trywialna przygoda.

Łączy nas mistyczne poszukiwanie. Wczoraj daliśmy się na moment odwieść od naszego planu, zawiniła jednak pogoda.

Dziś pogoda jest piękna, nie ma więc powodu, dla którego nadal mielibyśmy zaprzętać sobie głowy takimi głupstwami.

Proszę patrzeć na drogę, lordzie Beecham. Luther wyraźnie ma ochotę na tę soczystą kępkę trawy w rowie.

- Luther - powiedział cicho Beecham do swego konia. - Nie będziesz zachowywał się jak kobieta i chadzał własnymi ścieżkami, zwłaszcza gdy wieszysz mnie na grzbiecie.

Luther parsknął głośno, a Helen się roześmiała.

Czasami mężczyzna nie ma innego wyjścia, jak poddać się i umilknąć. Przez resztę drogi do Dereham lord Beecham milczał wymownie.

Pastor Lockleer Gilliam, dystyngowany starszy dżentelmen, ojciec dwojga dorosłych dzieci, wdowiec i obiekt małżeńskich zabiegów pewnej czterdziestolatki z jego parafii, wprowadził ich do swego małego gabinetu. Obecnie przechowywał tu zbiory swego brata, zmarłego uczonego z Oxfordu, oraz księgi panny Helen Mayberry, pięknej młodej kobiety, którą z pewnością próbowałby adorować, gdyby tylko był o dwadzieścia lat młodszy.

Lord Beecham i panna Mayberry zajęli się przeglądaniem starych manuskryptów. Pogrążeni w pracy, kręcili od czasu do czasu głowami, nie mogli bowiem znaleźć tego, na czym im zależało. W smugach słonecznego blasku, które wpadały do wnętrza gabinetu, widać było drobiny kurzu strząsanego ze starych ksiąg.

Helen klęczała przed wielkim zwojem pergaminu rozwiniętym na pięknym flamandzkim dywanie. Pastor otrzymał go niegdyś w podarunku od lady Winifred Althorpe, która, dzięki Bogu, niedawno ponownie wyszła za mąż.

- To nie to. - Westchnęła. - Podobne, ale nie wystarczająco.

Lord Beecham zajrzał jej przez ramię.

- Tak, to aramejski. Rzeczywiście, podobny.

- Filiżankę herbaty, moja droga?

- Bardzo chętnie, panie Gilliam - odparła, podnosząc nań wzrok. - Jest pan bardzo uprzejmy.

Ojej, ależ tu nakurzyliśmy.

Machnął ręką, kiedy zaczęła podnosić się z podłogi.

- Nie, nie, zajmujcie się swoją pracą. Ja powiem kucharce, żeby przygotowała herbatę.

Trzydzieści minut później, odstawivszy pustą filiżankę, lord Beecham krzyknął:

- Helen, mam! Eureka, mam!

Natychmiast znalazła się przy nim. Pochylony nad biurkiem pastora, pokazywał na stronicie jakiejś bardzo starej księgi.

- Co to takiego?

Kiedy podniósł na nią wzrok, jego ciemne oczy płonęły z podniecenia. Nic nie zostało ze zblazowanego, aroganckiego arystokraty. Lord Beecham był teraz zafascynowany, urzeczony.

- Znalazłem to pismo, jestem tego pewien. Spójrz, Helen, spójrz tylko i powiedz mi, czy nie mam racji.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała się pismu na stronicach księgi.

- Tak, to chyba będzie to - orzekła wreszcie. - Widzisz tę dziwną literę? Powtarza się wiele razy.

Co to za język?

- Nazywany jest pahlawi. Alfabet pochodzi od aramejskiego, dlatego są do siebie takie podobne. Pahlawi było pismem Persów od początku drugiego wieku przed naszą erą, zarzucone zostało dopiero wraz z początkami islamu, w siódmym wieku naszej ery. Awesta, święta księga zoroastryzmu, spisana została właśnie w odmianie pahlawi, zwanej awestan. O Boże, Helen, to niesamowite. Znaleźć coś takiego... - Urwał w pół zdania, uśmiechnął się szeroko, a potem pochwycił ją wpół i zawirował w miejscu. - Znaleźliśmy to. Wyobraź sobie tylko: pahlawi, język tak stary, że cały świat zdążył już o nim zapomnieć. Na samą myśl o tym chce mi się skakać i krzyczeć z radości. Ktoś sporządził to pismo ponad tysiąc lat temu, a teraz trafiło w nasze ręce prawie nienaruszone.

Opuścił ją na ziemię, ucałował i natychmiast odwrócił się do biurka. Już po chwili z powrotem pochylał się nad tekstem.

Spoglądała nań przez jakiś czas, a potem wpatrzyła się w dziwne litery, przypominające te z pergaminu. Lord Beecham wodził palcami po pożółkłych stronicach i mówił coś do siebie.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła. - Możesz przetłumaczyć nasz pergamin?

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. To będzie trudne, bardzo trudne, bo język pahlawi często wykorzystuje słowa aramejskie. Weźmy, na przykład, słowo król. W języku pahlawi król to shah, w

piśmie jednak, za pomocą liter z tego języka, używa się aramejskiego słowa malka. Trzeba więc znać oba te języki i domyślać się, gdzie chodzi o słowo perskie, a gdzie aramejskie. Ale zrobię to, Helen. Trzeba mi tylko czasu, a poradzę sobie z tym. - Uśmiechnął się uszczęśliwiony.

- A jeśli ten pergamin nie ma nic wspólnego z lampą? - zapytała.

- Daj spokój, Helen, wiedziałaś od początku, że tak może być. Ale nie trać nadziei. Wiemy, że lampa pochodzi z Ziemi Świętej, pozostajemy więc mniej więcej w tym samym obszarze geograficznym. Bez względu na treść ten pergamin będzie z pewnością rzeczą fascynującą, niezwykłym znaleziskiem, a to właśnie ty, Helen, dałaś go światu. Kiedy przedstawimy go szerszemu gronu, będą zjeżdżać się doń uczeni z całej Europy. - Poklepał ją po ramieniu i pochylił się nad księgą.

- Dlaczego perski pergamin został zakopany na wschodnim wybrzeżu Anglii? Gdyby przywieźli go tu Rzymianie, z pewnością zostałby napisany po łacinie.

- Nie wiem, ale mam nadzieję, że wkrótce się tego dowiemy.

Nie martw się, twój partner to zdolna bestia.

Przez następne dwie godziny szukali manuskryptów, które pomogłyby Spenserowi przetłumaczyć starożytny tekst.

- No dobrze - powiedział wreszcie, wstając i wycierając zakurzone dłonie w nogawki spodni. - Mamy już trzy źródła.

To i tak więcej, niż spodziewałem się znaleźć. Wystarczy.

Było późne popołudnie, kiedy opuścili gościnne mury domu pastora, ukrytego tuż za starym kamiennym kościołem w pięknym, dzikim ogrodzie. Pastor podejmował właśnie herbatą trzy starsze damy.

- Biedak. - Helen cicho westchnęła. - Nie ma ani chwili spokoju. Jego żona umarła ledwie trzynaście miesięcy temu, mniej więcej w tym samym czasie co jego brat, a twój mentor, sir Giles Gilliam.

- Mam wrażenie, że pastor Giliam doskonale się bawi.

Tego wieczoru lord Beecham nie przegrał ani jednej gwinei, zaraz po kolacji bowiem Helen powiedziała ojcu, że Spenser jest jej partnerem i że potrzebuje jego pomocy. Lord Prith odparł tylko:

- Wiem, że pomaga ci odnaleźć lampę, ale tak cudownie przegrywa w karty.

- Ojcie, możesz oskubać go do ostatniej gwinei, kiedy nie będzie mi już potrzebny.

- Ha - zdumiał się lord Beecham, nie zamierzał jednak wdawać się w żadne dyskusje. Nie mógł się już doczekać chwili, gdy zacznie pracę nad tekstem. Po przybyciu do Shugborough Hall zdążył tylko porównać pergamin z księgą znaną u pastora i upewnić się, że to ten sam język.

Kiedy Helen opuszczała gabinet o jedenastej w nocy, wciąż siedział pochylony nad manuskrytem, od czasu do czasu notując jakieś słowa czy frazy, czasem przeklinając, a czasem podśpiewując radośnie. Helen podejrzewała, że nawet nie zauważył, kiedy wyszła.

Położywszy się do łóżka, natychmiast zasnęła. Śniło jej się, że przyciska lampę do piersi. Nie mogła oddychać. Przycisnęła ją mocniej. Nagle stało się coś dziwnego. Lampa zamieniła się w mężczyznę, dużego mężczyznę, który pieścił ją i uśmiechał się uwodzicielsko. To był Spenser.

Usiadła prosto na łóżku. O Boże, pomyślała, oszołomiona. Nagle przed oczami stanęły jej wszystkie wydarzenia poprzedniego popołudnia. Zadrżała, ogarnięta falą emocji, i przerzuciła nogi przez krawędź łóżka.

Była pierwsza w nocy, gdy wśliznęła się do gabinetu. Lord Beecham spał z głową opartą na

biurku. Tuż obok leżał tajemniczy pergamin oraz trzy księgi, które pożyczyli od pastora Gilliama. Pojedyncza świeca dogasała powoli, rzucając na ściany chwiejne cienie.

Na podłodze obok biurka leżały jakieś kartki. Przykucnęła i podniosła je. Rozpoznała mocne, stanowcze pismo Spensera. Nie wierząc własnym oczom, czytała:

Od króla Favala do jego...?...w Aleksandrii...?...święty mąż chciał ocalić mą duszę dla swego pana...?...lampa nie jest rzeczywista, jest z innego...?...to dar od Boga czy diabła?...umarł z bluźnierstwem na ustach, przeklinał mnie za swą śmierć, ale zabił się sam...

- Helen, dlaczego płaczesz?

- Spenser, to jest o lampie. Ten manuskrypt mówi o lampie.

Płaczę ze szczęścia. Jest dobra czy zła? Nie jest rzeczywista, jest z innego... Spójrz tylko, co udało ci się osiągnąć.

Zerwała się z klęczek i rzuciła na niego. Krzesło przewróciło się pod ich ciężarem, tak, że oboje wylądowali na podłodze. Helen siedziała na nim okrakiem.

Beecham śmiał się tak głośno, że nie mógł złapać tchu.

- O Boże, dawno się tak nie uśmiełem. Zejdź ze mnie, dziewczyno. - Ujął ją w pasie. - Nie, zmienilem decyzję. Nie ruszaj się. - Złapał ją za włosy i przyciągnął do siebie. Pocałował ją, delikatnie, potem przetoczył się na nią. Czułość przerodziła się jednak szybko w coś innego, w coś gwałtownego. Pragnął jej tak bardzo, wiedział, po prostu wiedział, że padnie bez życia, jeśli nie będzie mógł mieć jej teraz, natychmiast. Nie przestając całować jej twarzy, podciągnął w górę jej nocną koszulę. Jego ciepłe dłonie dotykały ud, brzucha, pieściły ją.

- O mój Boże, Helen, muszę cię mieć. - Odsunął się i rozpiął spadnie.

Jego palce były już w niej. Zdołał przez moment skupić wzrok na jej twarzy. Jej oczy lśniły niczym rozpalone słońcem niebo w pogodny letni dzień. Usta były lekko rozchylone, wilgotne od pocałunków. Piersi falowały.

Wygięła się w łuk, przywarła do jego dłoni i wyszeptała jego imię.

Omam nie stracił panowania nad sobą, słysząc, jak je wymawia. Zaciśnął zęby, uniósł jej biodra i wszedł w nią, mocno, głęboko, najgłębiej, jak mógł. Tuliła go do siebie, miał jednak dość rozsądku, dość doświadczenia, by wysunąć się z niej i pieścić ją palcami. Dyszał ciężko, serce biło mu jak szalone, jakby chciało wyrwać się z piersi. Patrzył na nią. Jego spojrzenie było tak intensywne, wypełnione tak wielkim uwielbieniem, że po niecałej minucie wykrzyknęła jego imię, napierając mocniej na jego palce, on zaś, patrząc na nią, sycił się jej rozkoszą. Wszedł w nią ponownie, głęboko i mocno, zastanawiając się, jak przeżył bez niej wszystkie te lata. Wkrótce było już po wszystkim, on zaś wiedział, że dał jej siebie całego, że nie próbował się przy niej kontrolować - i był szczęśliwy. Leżeli przytuleni do siebie, zdyszani, a on wciąż ją całował, nie mógł się powstrzymać.

Po chwili Helen wyszeptała mu prosto do ucha:

- Nie wierzę w to.

Uniósł się nad nią, oparł na łokciach i odparł:

- Dla mnie to też coś zupełnie nowego. A może właściwie nie tyle nowego, co... - Urwał nagle w pół zdania i spojrzał na nią z przerażeniem. Wciąż był w niej. Skrzywił się, jakby ogarnięty nagłym bólem. - Och, Helen... - Westchnął i znów zaczął się w niej poruszać. Potem gwałtownie, w pośpiechu, wysunął się z niej, podniósł jej biodra i przywarł do niej ustami.

Helen zadrżała, wygięła się w łuk, jakby ktoś podciął ją batem. Trzymał ją mocno, aż całkiem się poddała, z jękiem wyszeptała jego imię i opadła na podłogę. Natychmiast z powrotem znalazł się w

niej.

- Nie - mówił, dysząc ciężko, jakby przybiegł tu na piechotę z Court Hammering. - Nie mogę w to uwierzyć. To szaleństwo.

Wpędzę się do grobu. Nie, muszę się bardziej kontrolować.

Nie, Helen, nie ruszaj się, proszę. O nie, tego już za wiele.

- Minęły co najmniej trzy minuty - odparła. Nie ruszała się jednak. Podejrzewała, że nie mogłaby się ruszyć, nawet gdyby za chwilę miał spaść na nią cały sufit. Leżała pod Beechamem, przygwożdżona do podłogi ciężarem jego ciała. Zacisnęła ręce na jego karku, przyciągnęła głowę i zamknęła mu usta namiętym pocałunkiem.

-

12

Minęło co najmniej dziesięć minut, nim znów zaczął się w niej poruszać, początkowo wolniej, spokojniej niż poprzednio. Później jednak znów przyspieszył, znów zamienił się w szaleńca, jego umysł skupiał się tylko na niej, myślał tylko o tym, że nie może się nią nasycić. Chciał osiągnąć ją w pełni, naznaczyć sobą, odcisnąć w niej swe piętno, tylko tyle i aż tyle. Stłumił jej krzyk pocałunkiem, kiedy wbiła palce w jego plecy, wstrząsana kolejnym spazmem, on zaś w tej samej chwili dołączył do niej i wzbił się wraz z nią pod samo niebo.

- Za chwilę umrę - oznajmił, opadając bezwładnie obok niej. Włosy miała splątane, rozrzucone po podłodze, usta czerwone i obrzmiałe, koszulę nocną podsunęta na wysokość piersi. Wciąż był w niej, teraz jednak nie wypełniał jej tak szczelnie - wcześniej czy później każdy mężczyzna musi się wycofać.

W jego przypadku było to zdecydowanie później.

- Tak - odparła, wzdychając. - Ja też. - Nie słyszała już tak wyraźnie bicia swego serca. Jego serce uderzało miarowo, powoli, czuła je na swych piersiach. - Nigdy nie wyobrażałam sobie, że to może tak wyglądać - powiedziała, zdumiona i wciąż niedowierzająca. - Czytałam tak wiele książek na ten temat, oglądałam tyle rysunków. Nigdy jednak nie spotkałam się z opisem czegoś, co zrobiłeś tak wiele razy w ciągu kilkunastu zaledwie minut.

- Co zrobiliśmy razem - poprawił ją. - Przysięgam ci, że bez ciebie nigdy bym tego nie dokonał. - Wydawał się równie oszołomiony jak ona, słyszała jednak w jego głosie coś jeszcze.

- Nie rozumiem - wyszeptwała.

- Czego? Że jesteś kobietą namiętą? Że ja jestem wspaniałym kochankiem? - Nagle znów powróciła doń zwykła męska arogancja, zadowolenie z siebie. Widziała to wypisane na jego twarzy, słyszała w jego głosie.

- Nie - odrzekła powoli, przesuwając dłońmi po jego plecach, dotykając jego mięśni, sycąc się ciepłem jego skóry. - Nie rozumiem, czego się boisz.

Natychmiast odsunął się od niej i zerwał na równe nogi, naciągnął spodnie i zapiął je. Patrzył na nią, na jej rozłożone nogi, długie i szczupłe, tak piękne, tak delikatne w nikłym blasku świecy.

- Do diabła, niczego się nie boję. Jesteś kobietą. Wyciągasz jakieś absurdalne wnioski, opierając się jedynie na swojej kobiecej intuicji. Niczego się nie boję.

Usiadła prosto i obciągnęła koszulę nocną tak, by przykryła nogi. Była przy nim bardzo wilgotna. To było dziwne. Nie doświadczała tego już od wielu lat.

Aż do wczoraj.

Przeciągnęła palcami przez włosy, by choć trochę je uporządkować. Podniosła głowę i napotkała

jego wzrok, Trzymał dłonie zaciśnięte w pięści.

- Niczego się nie boję. To absurdalne. To nonsens.

Spojrzała na przewrócone krzesło, śliczny antyk z czasów

Ludwika XV należący jeszcze do jej babki. Jedna noga złamała się przy samym siedzeniu, druga pękła na pół. Być może uda się to naprawić, krzesło jednak już nigdy nie będzie wyglądało tak jak przedtem.

Przeniosła spojrzenie na kartki rozrzucone po podłodze. Oboje byli tak skupieni na sobie, tak rozpaleni, że w ogóle nie ruszyli się z miejsca i nawet nie dotknęli tych kartek.

- Nie podoba mi się to, Helen.

Westchnęła i wstała z podłogi. Omal nie upadła z powrotem, gdy nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Przytrzymała się biurka, odczekała chwilę, a potem ponownie się wyprostowała. Wpatrzona w półkę z książkami tuż nad jego lewym ramieniem, powiedziała:

- Wracam do sypialni. Uważam, że dokonałeś naprawdę wspaniałej rzeczy, tłumacząc ten tekst. Rzeczywiście, dotyczy lampy. Wiedziałam, że tak będzie. Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami i wsunął koszulę w spodnie.

- Nie mam pojęcia. Można by pomyśleć, że skoro jest na temat lampy, to powinna ona leżeć wraz z nim w metalowej szkatule. Dlaczego ten list został zamknięty w szkatule sam?

W jakim celu? Gdzie jest ta przeklęta lampa?

- Może - mówiła powoli, dotykając pergaminu czubkami palców - ktoś znalazł tę szkatułę znacznie później, kiedy lampa była już w Anglii, przywieziona przez króla Edwarda. Może ten ktoś wiedział, gdzie król mógł zakopać lampę, i sam ukrył szkatułę w pobliżu. Może pergamin objaśniał, czym jest lampa i jak działa, co pozwalało z niej w pełni korzystać. W jaskini, w której znalazłam szkatułę, z pewnością nie było nic więcej.

Przeszukałam ją dokładnie centymetr po centymetrze. Ale być może gdzieś w pobliżu...

- Helen.

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Wydał jej się nagle posępny, męski i niebezpieczny. Miała ochotę rzucić się na niego, przewrócić i przygnieść do podłogi. Wiedziała, że nigdy już nie będzie patrzeć na tę podłogę w ten sam sposób. Uśmiechnęła się lekko. Kochał się z nią, nie zdejmując nawet butów.

- Nie uśmiechaj się do mnie. Słuchaj, niczego się nie boję.

Ale powiem ci coś: to musi się skończyć. Coś podobnego nie przydarzyło mi się nigdy wcześniej, nigdy wcześniej nie straciłem nad sobą kontroli. Ani razu nie pomyślałem o tym, by się z ciebie wycofać, ani wczoraj, ani dziś. Jeśli nie przestaniemy, wkrótce zajdziesz w ciążę. - Zadrżał na sam dźwięk tego słowa, choć nie był to dreszcz strachu. Nie, w tej chwili ujrzał oczami wyobraźni jej zaokrąglony brzuch, śmiała się i mówiła doń coś, co także spowodowało go do śmiechu i do czułego pocałunku. Położył dłoń na jej brzuchu, na ich dziecku. Potem obraz zniknął.

Nie wiedział, co się z nim dzieje. To ta przeklęta lampa. To ona czyniła zeń szaleńca.

Helen odwróciła wzrok w stronę okna, przesłoniętego ciężkimi żółtymi draperiami. Przygarbiła się, pochyliła lekko głowę.

- O to nie musisz się martwić - powiedziała cicho.

Nie miał pojęcia, o czym mówi. Znow ję zobaczył, jej krągły brzuch, oczy roziskrzzone radością.

- Czym nie muszę się martwić?

- Że zajdę w ciążę.

- Uważasz, że to żaden problem? - Rzeczywiście, pomyślał, to wcale nie jest problem. Głośno jednak powiedział: - Czyś ty oszalała? Oczywiście, że muszę uważać. Nie mam dzieci, bo zawsze byłem bardzo ostrożny. Tym razem jednak jest inaczej.

- Jestem bezpłodna.

Nie, pomyślał, to nie może być prawda. Wciąż miał przed oczami jej obraz, jej radosny uśmiech, zaokrąglony brzuch. Wkrótce mogła spodziewać się dziecka.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Miałam kiedyś męża, bardzo dawno temu, kiedy skończyłam osiemnaście lat. Ojciec uważał, że jestem za młoda na małżeństwo, ale ja byłam szaleńczo zakochana, więc ustąpił.

Mój mąż, mężczyzna w twoim wieku, bardzo chciał mieć dziedzica. - Wzruszyła ramionami. - Zginął na wojnie, tuż po tym, jak zerwano traktat z Amiens.

- To było dawno temu.

- Tak. Nasze małżeństwo trwało tylko dwa lata. Potem wróciłam do domu ojca i ponownie przybrałam jego nazwisko.

- Nie wiedziałem o tym.

- A dlaczego miałbyś wiedzieć? Nie rozpowiadam tego wszem i wobec.

- Zapytałem cię kiedyś, czy byłaś mężatką. O ile pamiętam, nie odpowiedziałaś wtedy Wprost.

- Teraz też bym ci o tym nie powiedziała, gdybyś nie bał się tak bardzo niechcianej ciąży. Cóż, nie musisz się niczego obawiać. Jestem bezpłodna.

Odwróciła się bez słowa i wyszła z gabinetu.

Lord Beecham schylił się powoli, by pozbierać kartki rozrzucone po podłodze. Nawet nie spojrzał na przekład, nad którym pracował przez cały wieczór. Zgasił świecę i opuścił pokój.

Dochodziła trzecia nad ranem. Kiedy zasnął, znów ujrzał Helen, bardzo wyraźnie. Była naga, całował jej usta i piersi, głaskał jej duży brzuch, potem całował ten brzuch, czuł ruchy dziecka, kiedy przyłożył doń policzek.

Obudził się i usiadł prosto na łóżku. Nie był przesądny. Nie wierzył w prorocze sny i wizje. Potem pomyślał, że gdyby Helen urodziła córeczkę, byłaby to amazonka, piękna i inteligentna amazonka. Syn zaś z pewnością byłby potężnym, pewnym siebie mężczyzną, o cechach przywódcy.

Uśmiechnął się w ciemności.

Zupełnie straciłem rozum, pomyślał, kładąc się ponownie na poduszkach. Helen była jego partnerką. Cała reszta to 'tylko majaczenia. Zgoda, była jego partnerką i kochanką; nawet ona musiała to teraz zaakceptować. Przede wszystkim jednak musieli się zająć poszukiwaniem lampy.

Było w niej coś, co doprowadzało go do szaleństwa. Kiedy był jeszcze chłopcem, wydawał się nienasycony jak większość młodych mężczyzn. Teraz jednak był dorosłym, dojrzałym mężczyzną, doświadczonego i opanowanego.

Tyle że nie panował nad sobą w obecności Helen. Nie mógł się temu nadziwić. Zazwyczaj, kiedy zaspokoił już swe żądze, zapadał w słodki sen. Lecz nie teraz, nie przy Helen. Dawno już zaspokoił pragnienie, prawie tracił świadomość ze zmęczenia, a jednocześnie czuł, że gdyby weszła w tej chwili do jego sypialni, pożałoby jej równie mocno jak wtedy, gdy wziął ją za pierwszym, za drugim, za trzecim razem na podłodze gabinetu.

Kiedy znów zapadł w sen, nie śnił o Helen. Śnił mu się mężczyzna, który trzymał pistolet w bardzo jasnej, niemal białej dłoni. Spenser nie wiedział, na kogo skierowana jest broń, czuł jednak strach. Potem mężczyzna odwrócił się do niego - jego twarz zakrywała czarna maska. Roześmiał się,

wycelowował w Spensera i pociągnął za spust.

Beecham obudził się z bijącym sercem i usiadł prosto. Tuż obok jego łóżka stał Nettle i krzyczał przeraźliwie, co sił w płucach.

- Nettle, zamknij się. Dobry Boże, co się stało?

- Milordzie, proszę mi pomóc, szybko, szybko! Ten szaleniec będzie tu lada chwila, wiem, że niesie ze sobą siekiere i że chce mi odrąbać głowę. Proszę mi pomóc, milordzie, błagam.

Nie czekając na odpowiedź lorda Beechama, Nettle wskoczył pod łóżko.

Niecałe dwie minuty później w otwartych drzwiach sypialni stanął Flock. Nie miał ze sobą siekiery, trzymał jednak w dłoni pistolet, a jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Gdzie jest ten szczur, milordzie?

Nagle w drzwiach stanęła Helen.

- Flock, wiesz, która jest godzina? - spytał łagodnie lord Beecham.

- Odpowiednia, żeby wysłać tego drania, którego zatrudnia pan jako lokaja, do jego stwórcy, czyli diabła.

- Flock, wyjdź z mojej sypialni.

- Flock, natychmiast przestań albo odeślę cię do gospody i ukarzę razem z całą resztą.

- Panno Helen - mówił Flock z godnością, co nie było łatwe, bo przewyższała go o całą głowę. - Lokaj jego lordowskiej mości, człowiek pozbawiony kręgosłupa moralnego, całował Teeny na schodach kuchennych. Niosła właśnie wiadro z ciepłą wodą dla pani. Odstawiła to wiadro, żeby oddać mu pocałunek. Muszę go zabić, panno Helen.

- Nie widzę go tutaj - odrzekła Helen. - Zakłóciłeś sen jego lordowskiej mości, a musisz wiedzieć, że lord Beecham pracował wczoraj do późnej nocy.

- Nie nazwałbym tego pracą - wtrącił Beecham.

- Tak czy inaczej, obudziłeś go tym swoim melodramatem.

Wynoś się stąd, Flock. Chcesz, żebym ukarała cię w sposób, który wcale ci się nie spodoba?

Broń w ręce w Flocka zadrzęła lekko. Po chwili wyszeptał:

- Nie, panno Helen. Stajenny z gospody powiedział mi, co zrobiła mu pani po tym, jak wdał się w bójkę z kuzynem rzeźnika i rozbił mu nos.

- To dobrze. Ciebie spotka coś znacznie gorszego, jeśli nie oddasz mi natychmiast tego pistoletu i nie zajmiesz się przygotowaniem śniadania dla lorda Pritha. Wiesz, jaki jest głodny o siódmej rano. Jeśli się nie pospieszysz, ze złości skręci ci kark.

- Dobrze, panno Helen, ale muszę powiedzieć, że wcale nie jestem z tego zadowolony. Ostrzegalem już tego łajdaka, pani o tym wie. Jeśli uwiedzie moją Teeny, będę skończony.

- Flock, porozmawiam o tym z Teeny. Dowiem się, jak wygląda sytuacja, a potem wszystko ci przekażę. Nie będziesz skończony. A teraz idź już stąd.

Kiedy tylko Helen zamknęła drzwi za Flockiem i odłożyła na stół jego pistolet, spojrzała wymownie na lorda Beechama, okrytego jedynie prześcieradłem, zaspanego i rozczochranego, po czym zawołała:

- Nettle, wyłaź natychmiast albo spotka cię coś bardzo niemiłego!

Nettle wygramolił się spod łóżka.

- Świetna kryjówka. - Pokiwała głową. - Flock nigdy nie ośmieliłby się tam zajrzeć. Chodź tutaj i usiądź.

Lord Beecham nie miał jeszcze okazji oglądać równie zabawnej komedii. Oparł się o ścianę,

skrzyżował ręce na piersiach i czekał na dalszy ciąg przedstawienia.

- Tak jest, otrzep się trochę. Widzę, że będę musiała porozmawiać z panią Stockley. Tyle kurzu pod łóżkiem. Oj, dostanie się pokojówce, dostanie. Wystarczy już, Nettle. Usiądź. - Wskazała na krzesło przy łóżku lorda Beechama.

Nettle posłusznie usiadł, nie patrzył jednak na Helen, tylko na drzwi za jej plecami.

- Całowałaś Teeny na schodach kuchennych, kiedy niosła wiadro z ciepłą wodą?

Nettle przyłożył swe drobne dłonie do piersi. Wyglądał żałośnie lub romantycznie, zależnie od tego, kto nań patrzył.

- Jestem zakochany, panno Helen - oznajmił z uczuciem.

- Jak się nazywasz?

- Nettle, panno Helen.

- Pytam o twoje nazwisko.

- Bloodworm, proszę pani. Nettle Bloodworth.

- Żartujesz sobie.

- Nie, proszę pani.

Helen z trudem zachowywała powagę.

- Nazywalibyście się więc Teeny i Nettle Bloodworth. Nie, to niemożliwe.

Lord Beecham niemal tarzał się ze śmiechu. Prześcieradła okrywały go teraz tylko do pasa. Helen odwróciła wzrok. Musiała zachować trzeźwość umysłu, by rozwiązać ten problem.

- Powiadasz więc, że nazywasz się Bloodworth, czyli „krwi wart”, tak?

- Tak, proszę pani. Jego lordowska mość żartuje sobie czasem ze mnie, mówi do mnie „krwawy Nettle” czy coś w tym rodzaju.

- Rozumiem.

- Ale Teeny wcale by to nie przeszkadzało.

- Owszem, przeszkadzałoby. W jej nazwisku też jest krew.

Za dużo tej krwi. Ile masz lat, Nettle?

- Tylko trzydzieści pięć, proszę pani.

- Flock ma trzydzieści osiem - Helen westchnęła.

- Niewielka różnica - powiedział lord Beecham. - No i co ma teraz zrobić ta biedna dziewczyna?

Helen ruszyła do drzwi.

- Przedstawię jej Waltera Jonesa, młodego człowieka, który pracuje w sklepie tekstylnym swego ojca, w Court Hammering. Ma tylko dwadzieścia dwa lata i żadnej krwi w nazwisku.

- Och, nie, panno Helen!

- Proszę tego nie robić, panno Helen!

Nettle zerwał się na równe nogi. Flock otworzył gwałtownie drzwi sypialni, omal nie uderzając nimi Helen.

Lord Beecham wyskoczył z łóżka, zupełnie nagi.

Helen spojrzała na niego, zamrugła i szybko odwróciła wzrok.

- Lordzie Beecham - rzuciła przez ramię. - Proszę wrócić do łóżka. Panuję nad sytuacją. - Wyprostowała się, wygładziła spódnicę i przemówiła do obu służących. - Mam tego dość.

Żaden z was nie zdobędzie Teeny. Flock, twoje nazwisko zupełnie się nie nadaje. Teeny Flock, „maleńkie stado”. To brzmi idiotycznie. W twoim przypadku, Nettle, sytuacja nie wygląda wcale lepiej. Teeny Bloodbane i Nettle Bloodworth zupełnie do siebie nie pasują. Jak już powiedziałam

jego lordowskiej mości, za dużo tu krwi. Nie, obaj powinniście poszukać sobie żony gdzie indziej. Teeny Jones brzmi doskonale i tak już powinno zostać. Teeny i Walter Jones. Poza tym doszłam do wniosku, że obaj jesteście dla Teeny za starzy.

Walter jest w odpowiednim wieku. A teraz wynoście się stąd.

- Chwileczkę, panno Mayberry, czy mój służący nie może tu zostać i pomóc mi?

- Jest pan dorosłym mężczyzną, lordzie Beecham. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego dorosły mężczyzna potrzebuje pomocy przy ubieraniu.

- Więc dlaczego korzysta pani z pomocy Teeny?

- W przypadku kobiet to zupełnie co innego. Nawet pan nie wie, ile guzików na plecach ma zwykła suknia. No już, wychodź, Flock. Nettle, ty możesz zostać jeszcze przez chwilę, ale nie włącz już pod łóżko. Spróbuj zachować choć odrobinę godności.

Z tymi słowami Helen wymaszerowała z pokoju Beechama, powiewając jasnoniebieską suknią z muślinu.

Lord Beecham założył ręce pod głowę i spojrzał na swego służącego, który wyglądał tak, jakby lada moment miał wybuchnąć głośnym płaczem.

- Nigdy jeszcze nie bawiłem się tak dobrze o siódmej rano.

Przynieś mi ciepłą wodę, Nettle. I nie płacz, człowieku, wkrótce o tym zapomnisz. Widziałeś tę pokojówkę z parteru?

- Nie, milordzie. Teraz i tak bym jej nie zobaczył, bo mam złamane serce, a łzy przesłaniają mi cały świat.

Lord Beecham przewrócił tylko oczami.

Przy śniadaniu udało mu się nie spróbować dziwnej mieszanki szampana z sokiem jabłkowym. Lord Prith wypił ze smakiem cały kieliszek, zamyślił się na moment, po czym oznajmił:

- Muszę przyznać, że to połączenie jest bardzo orzeźwiające.

A co powiedzielibyście na mieszankę wina z czarnego bzu i szampana?

Lord Beecham omal się nie zakrztusił.

13

Jaskinia była tak niska, że oboje przez cały czas musieli się pochylać. Helen, która szła pierwsza i niosła przed sobą kaganek, powiedziała przez ramię:

- Kilka metrów dalej podłoga trochę się obniży. Wtedy będziemy się mogli wyprostować.

Spenser nienawidził jaskiń, unikał ich jak zarazy. Kiedy miał dziewięć lat, dziewczynka z sąsiedztwa zgubiła się w wielkiej pieczarze, on zaś musiał jej szukać. Jej przerażone okrzyki, przypominające jęki dręczonych dusz, na zawsze już wryły się w jego pamięć.

- Jak duża jest ta jaskinia? - Jego głos brzmiał dziwnie głucho, odbijał się echem od kamiennych ścian i cichnął w oddali.

- Jeszcze jakieś sześć metrów. Jest wąska, ale długa. Nie łączy się z żadnymi innymi jaskiniami. - Wydawała się rozczarowana tym faktem, lord Beecham zaś przyjął jej słowa z ogromną ulgą. Dziewczynka z jego dzieciństwa trafiła właśnie do takiej bocznej, mniejszej jaskini, i tam ją znalazł, skuloną pod skalną półką. Obok niej leżał ludzki szkielet. Był to widok, który oboje mieli zapamiętać już do końca życia. Wyblakłe poszarpane ubranie zwieszało się z pożółkłych kości, tak starych, że gdy próbowano wyciągnąć je na powierzchnię i pogrzebać, rozleciały się w proch.

W tej jaskini nie było aż tak wilgotno i zimno, lecz mimo to wolałby jak najszybciej ją opuścić.

Helen zatrzymała się na moment. Widział, jak przechyla lekko głowę, nasłuchuje czegoś. On także

się zatrzymał. Słyszał bicie własnego serca jak wtedy, przed wielu, wielu laty.

- To nic takiego - oświadczyła w końcu Helen. - Nietoperze.

Ruszyła ponownie do przodu, podnosząc wyżej kaganek.

Nietoperze. Często myślał o tych stworzeniach, jak o wielu innych rzeczach, które pozostawały dla człowieka zagadką. Jak nietoperze orientowały się w ciemnościach? Pamiętał, że pytał o to kiedyś sir Gilesa. Znał on odpowiedzi na wiele pytań, na to jednak nie potrafił mu odpowiedzieć. Żaden z uczonych w Oxfordzie tego nie wiedział.

Grunt zaczął się powoli obniżać. Jeszcze dwa, trzy kroki i lord Beecham mógł wreszcie swobodnie podnieść głowę, nie uderzając przy tym w sufit jaskini.

Helen znów się zatrzymała. Przykucnęła i ostrożnie ustawiła lampę na ziemi.

- Po tym wielkim sztormie, o którym już wspominałam, przeszukałam jaskinię kilkakrotnie. Jak widać, jedna ze ścian przesunęła się nieco do środka, wyrzucając z siebie odłamki skał i szkatułę. - Jej głos wydawał się niski i głęboki, echo czyniło go jeszcze bardziej tajemniczym, wręcz nieziemskim. Po plecach lorda Beechama przebiegł zimny dreszcz.

- To echo jest niesamowite - odezwał się głośno. - Przenika mnie na wskroś i wpadam w jakiś mistyczny nastrój. Helen, za chwilę zacznę mówić w obcych językach.

Podniosła nań wzrok. W bladym świetle kaganka jej twarz wydawała się śmiertelnie biała.

- Wiem, zawsze czuję się w jaskiniach podobnie. Kiedy jestem tu sama, głośno śpiewam, żeby odpędzić strach. Kiedy nie drzę z przerażenia, śmieję się z samej siebie.

- Będę musiał tego spróbować. - Lord Beecham przykucnął obok niej. - Więc sztorm naruszył skałę i dzięki temu z jakiejś sekretnej skrytki wypadła szkatuła. Spójrz na to. - Wzdłuż ściany biegła wąska skalna półka, niecałe pół metra nad ziemią. - Jest idealnie płaska, a to znaczy, że ktoś wykuł ją tutaj, by coś podtrzymywała. - Przyjrzał się jej uważnie i do dał: - Nie, ta półka nie jest częścią ściany. Być może ktoś umocował ją tutaj, by postawić na niej szkatułę, a potem zmienił zdanie, bo uznał, że jest zbyt widoczna i lepiej ukryć ją w skale. Półkę jednak zostawił, prawda?

Skalny regał podtrzymywały dwie wąskie płytki z kamienia.

- Mój Boże! - zawołała nagle Helen, omal nie przewracając się ze zdumienia. - Nie zauważyłam tego wcześniej. - Podniosła wyżej kaganek i przysunęła go do ściany. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła ścierać z półki kurz. - Spenser, tu jest coś wyryte, jakieś napisy.

Natychmiast podszedł bliżej. Helen podtrzymywała światło, on zaś dokładnie wytarł półkę, odsłaniając wyryte w niej znaki.

- No tak - powiedział powoli. - To z pewnością nie jest pahlawi ani łacina. To starofrancuski.

- Język, którym mówił Edward I?

- Tak.

- Chwileczkę. - Helen odstawiła lampę i ponownie sięgnęła do kieszeni. Tym razem wyjęła z niej jakieś kartki, związane wstążeczką, i kawałek węgla owinięty w białą szmatkę.

- Zawsze jesteś tak dobrze przygotowana?

- Lubię rysować. - Spojrzała nań z ukosa. - Myślałam, że może potem narysuję ciebie na plaży, przy urwisku.

- Byłbym zachwycony - odparł. Helen spuściła wzrok.

Może się obawiała, że jej umiejętności nie są wystarczające i że nie podoła temu zadaniu. Naprawdę bardzo chciał jej pozować.

- Nagiego. Z rękami opartymi na biodrach, wpatzonego w dal. Co o tym myślisz?

Przez długą chwilą patrzył na nią w milczeniu, jak zahipnotyzowany.

- Wolę chyba ten obraz, w którym ściągasz mi buty - wyznał wreszcie.

Uśmiechając się pod nosem, wygładziła kartkę papieru i wzięła węgiel. Zastygła w bezruchu, czekając, aż Beecham zacznie tłumaczyć.

- Litery są bardzo małe. To nie będzie łatwe. - Czytał powoli, zastanawiając się niemal nad każdym słowem: - „Jest błogosławieństwem lub niczym. Jest tutaj, a jednak jej nie ma.

Jest światłem jego świtu”. - Umilkł na moment. Z namysłem zmarszczył brwi. - Tak - powiedział po chwili. - Napisane jest wyraźnie: „światło jego świtu”, a nie po prostu „światło świtu”.

Helen pociągnęła go za rękaw.

- Pospiesz się, Spenser.

- Daj mi pomyśleć... Już wiem: „Jest potężna, ale nie da się tego udowodnić. To coś innego, ale nikt nie wie co. Nie rozumiemy prawd, jakie w sobie kryje. Boimy się jej mocy.

Zakopujemy ją i mamy nadzieję, że jej duch przetrwa. Jeśli jednak jest zła, niech wróci do piekła”. - Spenser podniósł na nią wzrok. - To wszystko. Chyba nie zrobiłem żadnego błędu.

Zapisałaś?

- Jeszcze chwileczkę. Chciałabym też skopiować oryginał.

Obserwował, jak w skupieniu przepisuje starofrancuskie litery. Kiedy skończyła, spojrzała nań i zadrżała.

- Zimno mi. Co mogą oznaczać ten napisy? Dlaczego znalazły się właśnie tutaj, przy szkatule?

Lord Beecham podał jej rękę. Pokręcił tylko głową.

- Gdzie jest lampa? Dlaczego nie została tutaj? Ten tekst z pewnością mówi właśnie o niej.

- Tak, to raczej oczywiste.

- Więc gdzie ona jest?

- Zaczynam podejrzewać, że templariusz, który podarował królowi Edwardowi lampę, oddał mu ją wraz z pergaminem właśnie w tej metalowej szkatule. Przypuszczam też, że nikt nie potrafił w tamtym czasie odczytać tego perskiego tekstu.

Kiedy król, naciskany przez Kościół, postanowił ukryć lampę, włożył ją zapewne z powrotem do szkatuły, wraz z pergaminem, i zamurował w ścianie. Kazał też wyryć ten napis na półce, jako swego rodzaju wyjaśnienie czy też ostrzeżenie.

- Ale to oznaczałoby, że lampa była dla nich taką samą zagadką, jaką jest dla nas.

- Całkiem możliwe. Choć może jednak coś o niej wiedzieli, dość dużo, by się przestraszyć. Kto wie? Podobno umysł człowieka średniowiecznego był prawdziwym labiryntem, pełnym mrocznych zakamarków i zakrętów, labiryntem, który dopiero teraz zaczynamy rozumieć. Być może ktoś znalazł lampę już wiele lat temu, a zostawił szkatułę i pergamin, bo myślał, że nie mają żadnej wartości.

- Tak, to brzmi rozsądnie - odparła powoli. - Głos drżał jej lekko, jakby bliska była płaczu. - Lampa zniknęła, trafiła w jakieś niepowołane ręce i przepadła bez śladu.

- Może, ale to wcale nie jest pewne. Może została po prostu ukryta gdzie indziej. Może pergamin nakazywał, by nie trzymać jej w tej samej szkatule. To oznaczałoby, że ktoś jednak przetłumaczył tekst z pergaminu. Jeśli to prawda, to my także powinniśmy to odczytać.

Widział, że Helen chce mu wierzyć, choć wcale nie był pewien, czy sam sobie wierzył. Starofrancuska zagadka wyryta na skalnej półce w jaskini. A tuż nad tą półką, w skale, ukryta była szkatuła z pergaminem sporządzonym być może jeszcze przed narodzinami Chrystusa.

Zrobiło mu się zimno. Wilgoć i chłód jaskini przenikały przez cienkie warstwy ubrania.

- Na razie jeszcze nie wiemy niczego na pewno, Helen, nie możemy odrzucić żadnej z możliwości. Wcześniej czy później odkryjemy jednak prawdę, przysięgam ci.

- Jesteś wspaniałym partnerem - przyznała i spróbowała się uśmiechnąć.

Pogładził ją delikatnie po policzku.

- Trzy tygodnie temu, panno Mayberry, nie robiłem nic.

Korzystałem z drobnych przyjemności, jakie podsuwało mi życie. Potem usłyszałem, jak na balu u Sanderlinga rozmawiałaś z Aleksandrą o dyscyplinie, i życie nagle wymknęło mi się spod kontroli.

- Lordzie Beecham - odparła z powagą. - To ja w ciągu ostatnich dwóch dni zostałam zniewolona przez mężczyznę, nie mów mi więc, proszę, że to twoje życie wymknęło się spod kontroli.

Roześmiał się głośno, budząc w jaskini rozliczne echa, demoniczne głosy ciemności. Kiedy jakiś czas później wyszli na zewnątrz, mrużąc oczy przed jasnym światłem dnia, otarł twarz z kurzu i odwrócił się do niej:

- Kiedy zgodziłem się zostać twoim partnerem, nie spodziewałem się takich przygód.

- Mam wrażenie - odparła powoli, patrząc mu prosto w oczy - że to dopiero początek prawdziwej przygody.

Stali przez chwilę na wzgórzu i patrzyli na długą, wąską plażę. Jaskinia znajdowała się teraz trzy metry niżej - ciemna plama na jasnym tle urwiska. Niełatwo było się do niej dostać ze względu na osuwające się kamienie i piasek.

- To najpiękniejsze miejsce na ziemi - wyszeptała Helen.

Zaczynał się przyływ, spienione fale zagarniały coraz większą część plaży. Niezliczone czarne głazy, zarówno pojedyncze, jak i ułożone w większych grupach, pokryte były wodorostami. Tu i ówdzie leżały jakieś namoknięte konary i gałęzie oplecione martwymi kłęczami. Płytkie kałuże, pozostałość po odpływie, wypełnione były mięczakami, anemonami, małżami, pąklami i gąbkami morskimi, które przywarły do kamieni w oczekiwaniu na przyływ. Lord Beecham zastanawiał się, czy Helen każe mu przy pozwaniu wejść do takiej kałuży.

Na zboczach wydm rosły kępy gęstej trawy, a także przytulią i wilżyna, różowe kwiaty, które wydawały się niezwykle delikatne, w rzeczywistości były jednak mocne i wytrzymałe. Te różowe pąki przywiodły mu na myśl usta Helen. Spojrzał na jej wargi, kształtne, pełne, różowe, i zadrżał.

Wziął głęboki oddech i popatrzył dla odmiany na ptaki. Jego uwagę przykuł jeden z piaskowców, nieco wolniejszy od swych braci, skazany na przegraną w walce o życie. Obserwował go i wdychał zapach morza, wodorostów i dzikich kwiatów, starając się przy tym nie zerkać na usta Helen.

- Spójrz tylko na te szablodzioby. - Helen wskazała na ptaki, które przysiadły właśnie na wydmach. - Zanurzają te długie, wąskie dzioby w wodzie i chwytają nimi ryby. Sporo tu też mew czarnogłowych. Najbardziej jednak lubię patrzeć na brodźce, kiedy skaczą po plaży, ścigają fale, a potem przed nimi uciekają.

Lord Beecham słuchał jej w milczeniu i obserwował ptaki. Było tu tak wiele ptasich gatunków, że nie potrafiłby ich zliczyć, wszystkie zaś wydawały z siebie różnego rodzaju wrzaski, skrzeki i popiskiwanie. Rozpoznawał małe ostrygojady i szare siewki brodzące w przybrzeżnej płyciźnie. Kolejna fala wycofała się szybciej niż poprzednie, a piaskowiec, którego obserwował od jakiegoś czasu, spóźnił się o ułamek sekundy i omal nie zarył dziobem w piach.

- Mój rodzinny dom - zaczął lord Beecham - Paledowns, znajduje się niedaleko wybrzeża w północnym Devon. Z nad morskich urwisk widać Lundy Island. Gnieździ się tam tyle ptaków, że nikt chyba nie byłby w stanie ich policzyć. Na wiosnę zakrywają prawie całe niebo. Maskonury - te

lubiłem najbardziej, kiedy byłem chłopcem - alki, mewy... ach, było ich naprawdę bardzo dużo, a wszystkie robiły przy tym okropny hałas, biły się ze sobą. Jeśli ktokolwiek zapuścił się zbyt blisko ich gniazd, nadlatywały nad jego głowę, wrzeszczały, próbowały go dziobać, tak że biedak musiał szybko brać nogi za pas. To było naprawdę fascynujące.

- Nigdy nie byłem w Devon. Gdzie właściwie leży Paledowns?

- Między zatoką Combę Martin i zatoką Woody, obok wioski Bassett. Tamtejsze urwiska upstrzone są gniazdami kormoranów. Pamiętam z dzieciństwa ogromne stada mew.

Było ich tak wiele, że potrafiły zaćmić słońce.

Patrzyła nań jak na zupełnie nieznanego człowieka, jakby ujrzała go po raz pierwszy. Powiedziała powoli, patrząc na jego usta - nie wiedziała dlaczego, ale lubiła na nie patrzeć:

- Nie miałam pojęcia, że znasz się na ptakach. Większość dżentelmenów kojarzy mi się tylko z kartami, butelką brandy i wielkim brzuchem.

- I czerwonym nosem? Pewnie pochyła się nad nim kobieta, której piersi niemal wypadają z sukni?

- Tak, to bardzo bliskie moim wyobrażeniom.

Właściwie nie mógł mieć do niej pretensji. Mało kto przypuszczał, by człowiek o jego reputacji mógł mieć również inne zainteresowania.

- Helen, mężczyzna uznawany za wspaniałego kochanka może także doceniać inne rzeczy. Życie to nie tylko karty, alkohol i kobiety.

Umilkła zaskoczona. Ruszył w stronę stada gęsi, które nie mogły zdecydować się, czy zostać na mokrym piasku plaży, czy wzbić się w powietrze. Nawet gęsi potrzebują przywódcy.

- Kobieta, nawet tak silna kobieta jak ty, potrzebuje mężczyzny, który pomagałby jej na krętych ścieżkach życia.

Patrzyła nań w milczeniu, przechyliwszy lekko głowę. Wskazał do góry.

- Widzisz te gęsi? Lecą w ustalonym szyku. Potrzebują przywódcy, by dotrzeć do celu. Podobnie jak kobieta. Kobieta potrzebuje mężczyzny. To właśnie miałem na myśli.

- Gdybym potrafiła latać - odparła, przysłaniając dłonią oczy i obserwując gęsi - niczego bym nie potrzebowała. Nawet bez przywódcy byłabym wolna.

Spojrzał ponownie na jej usta.

- Być może. Prawdę mówiąc, mężczyzna woli być z kobietą w łóżku, niż toczyć uczone dysputy o zwyczajach gęsi czy kormoranów. Kiedy jednak jest bardzo inteligentny, tak jak ja, może robić wiele rzeczy naraz, a wszystkie doskonale. Wolność dla kobiety, Helen, to słuchanie mężczyzny takiego jak ja.

Schyliła się, zerwała dziki mak i rzuciła nim w niego. Pochwycił kwiat, otrząsnął go z piasku i podniósł do nosa.

- Nie pachnie zbyt mocno. Czas na kolejne wyznanie: wolałbym raczej wdychać twój zapach, całując twój nagi brzuch.

Odwróciła się od niego, on zaś cofnął się o krok, przekonany - nie bez racji - że tym razem chce rzucić w niego coś cięższym. Helen opanowała się jednak i powiedziała:

- Proszę się rozejrzeć, lordzie Beecham. Na południu ląd staje się zupełnie płaski. Przy odpływie tworzą się tam słone bagna, ogromne kałuże ze stojącą wodą o paskudnym zapachu, które przyciągają ptaki brodzące. Nie sądzę, by przypadł panu do gustu ten zapach. Wybrzeże jest jednak znacznie bardziej interesujące. - Rozłożyła szeroko ręce. - Spora część tej ziemi należy do mnie.

Nie jest wiele warta, pomyślał, ale sam także chętnie by ją kupił ze względu na niezwykle piękno tego miejsca.

- Helen, ta ziemia to ugór, nie daje plonów, bo nie można tu niczego zasiać. Nie ma tu ziemi uprawnej ani miejsca pod budowę domu, nie ma nawet pastwiska dla owiec czy krów, tylko wydmy i mokradła.

- Kupiłam ją, bo wiem, że gdzieś tutaj jest lampa.

Skinął głową. Być może zrobiłby to samo. Tyle tylko, że mógł tu przyjść każdy. Ziemi Helen nie otaczało żadne ogrodzenie czy płot, zresztą dla poszukiwaczy skarbów i to nie byłoby przeszkodą.

- Miejscami można tu nawet znaleźć różowe orchidee bagienne - powiedziała Helen. - Nie byłbyś zadowolony, gdy bym rzuciła w ciebie taką orchideą. Rzeczywiście jednak poza tym nie ma tu wiele roślinności. Nie oczekuję od tej ziemi niczego prócz lampy.

- To dość wygórowane oczekiwania.

- Same poszukiwania są tego warte - odparła.

Wierzył jej. Dla niego też poszukiwania stały się wartością samą w sobie. Patrzył, jak Helen pochyła się i zrywa jakiś kwiat.

- To dziki rumianek. Proszę tylko powąchać, lordzie Beecham. Pani Stockley robi z tego doskonałą herbatę.

- Ładnie pachnie, ale wolę pani zapach.

Czy jej ręka zadrżała lekko przy tych słowach? Raczej nie.

- Lordzie Beecham, ma pan mi służyć pomocą - odparła. - To jedna z tych rzadkich chwil w pańskim życiu, kiedy musi pan nagiąć swój błyskotliwy umysł do spraw innych niż cielesne uciechy.

- Chcesz, żebym zapomniał o tej miękkiej, białej skórze pod twoim kolanem?

- Nigdy jej nawet nie dotknąłeś.

- To prawda, byłem zbyt roznamiętniony, zbyt opętany żądzą, toteż zaniedbałem mniej wyeksponowane, a mimo to bardzo smakowite części twojego ciała. Następnym razem spróbuję bardziej nad sobą panować. - Ujął jej dłoń, spojrzał na jej usta i już nie mógł się powstrzymać. - Problem w tym, moja droga Helen, że chcę być w tobie natychmiast. Chcę być w tobie tak głęboko, że kiedy zaciśniesz się na mnie, poczuję się tak, jakbym za moment miał rozpaść się na drobne kawałki, a nie ma rzeczy cudowniejszej, niż rozpaść się na kawałki w tobie. A twoje nogi, Helen, twoje nogi będą mnie obejmować ze wszystkich sił. Kiedy już prawie będziesz krzyczeć z rozkoszy, pocałuję ten pulsujący punkt na twojej szyi.

- Ma pan naprawdę bogatą wyobraźnię i potrafi pan pięknie opowiadać, lordzie Beecham, ale ja pana nie słucham. To, co przed chwilą pan mówił, wleciało mi jednym uchem i natychmiast wyleciało drugim. Nic już z tego nie pamiętam. Nie będzie następnego razu. Dużo o tym myślałam. Będziesz moim partnerem i niczym więcej. Wszystko inne nie miałoby sensu.

Mówię poważnie, lordzie Beecham. Musimy już wracać do Shugborough Hall. Czas na lunch, a potem powinniśmy zabrać się do pracy.

Beecham delikatnie przesunął palcami po jej policzku, wsunął jakiś zabłąkany kosmyk za ucho, pochylił się i pocałował ją w usta. Zaskoczona, nie zdążyła nawet zaprotestować.

Nie zamierzał jej do niczego zmuszać. Odsunął szybko głowę, uśmiechnął się, poklepał ją po policzku i pogwizdując wesoło, zaczął się od niej oddalać.

- Przydałoby ci się więcej dyscypliny! - zawołała za nim.

Przystanął i obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem.

- Dyscyplina umiejętnie dawkowana przez prawdziwego eksperta to prawdziwa przyjemność, panno Mayberry. Może jednak powinniśmy jeszcze raz zastanowić się nad tym pojedyńkiem. Co pani o tym myśli? Czy mogłaby pani wymyślić coś równie oryginalnego jak to, co ja przygotowuję dla pani?

- Prawdopodobnie zastrzeliłabym cię, nimby do tego doszło.

Lord Beecham zaniósł się głośnym śmiechem. Stawało się to jego drugą naturą. Śmiech sprawiał mu coraz większą przyjemność, rozgrzewał wnętrzości, sprawiał, że czuł się mocniej stąpający po ziemi. Przybliżał to coś, co - choć wciąż nieznanne - wydawało mu się miłe i pożądane.

Helen zatrzymała się na rozstaju dróg w pobliżu Shugborough Hall.

- Muszę znaleźć Waltera Jonesa, tego młodego mężczyznę, którego chciałabym ożenić z Teeny. Powinnam też sprawdzić, czy moi chłopcy w gospodzie dobrze się sprawują i czy pani Toop pilnuje kucharki i Gwen. Wrócę za kilka godzin.

- A jeśli ci twoi chłopcy się obijają?

- To gorzko tego pożałują. - Umilkła na moment, potem zaś obdarzyła go uśmiechem, który rozpałił go niemal do czerwoności. - Dobrze wiedzą, co może ich spotkać. Dlatego bardzo rzadko się zdarza, by zaniedbali swoje obowiązki.

Robią to tylko wtedy, gdy usłyszą o jakimś nowym rodzaju kary i chcą się przekonać, jak ona wygląda.

Omam nie spadł z konia. Pomachała mu na pożegnanie, szarpnęła za cugle i ruszyła w stronę Court Hammering. Wiatr przyniósł doń jej śmiech.

- Poczekaj! - zawołał. - Pojadę z tobą.

14

Miasto targowe Court Hammering znajdowało się zaledwie o trzy mile na wschód od Oxfordu i dwie mile na południe od Shugborough Hall. Gdyby w pobliżu były jakieś wyższe wzniesienia, rozmyślał lord Beecham, można by było zobaczyć z nich morze. Miasto otaczały jednak tylko łagodne pagórki, gęste dębowe zagajniki i stare kamienne murki.

Court Hammering nie było jakimś szczególnie urodziwym miasteczkiem, wyczuwało się tu jednak atmosferę dobrobytu i spokoju. Nie brakowało w nim też urokliwych zakątków.

Obok ślicznego starego kościółka z szarego kamienia rozciągał się niewielki park z oczkiem wodnym. W wierzbach porastających brzegi stawu gnieździły się ptaki przeróżnych gatunków, a ich śpiew przyjemnie urozmaicał miejski gwar. Całkiem miłe miejsce, pomyślał.

Niestety, „Lampa Króla Edwarda”, najlepsza gospoda w Court Hammering, oblegana była właśnie przez grupę hałaśliwych studentów, którzy przenieśli się tu z zabawy w Braintree. Kilku z nich zdążyło się już kompletnie upić; gdyby Helen przybyła wcześniej, z pewnością by do tego nie dopuściła.

Kiedy wchodziła do gospody, widać było w jej oczach żądzę krwi. Lord Beecham uśmiechnął się od ucha do ucha. Bardzo chciał zobaczyć, co się teraz wydarzy.

Główna sala gospody była pomieszczeniem długim i wąskim. Niski sufit wspierały potężne belki z ciemnego drewna. Podłogę pokrywały starannie wypolerowane dębowe deski, a jedną ze ścian niemal w całości zajmował potężny, szeroki kominek. Stały w niej cztery długie stoły z ławami i trzy mniejsze z krzesłami, na tylnej ścianie zaś ciągnął się rząd okien. Po przeciwległej stronie, naprzeciwko wejścia, znajdowały się drzwi prowadzące do kuchni.

Gospoda wydawała się miejscem niezwykle przytulnym, odciętym od całego świata i bezpiecznym jak łono matki. W powietrzu unosił się zapach drożdży i świeżego pieczywa.

Jednak pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę lord Beecham po wejściu do środka, był ogłuszający hałas. Czy on też tak się wydzierał za swoich studenckich czasów w Oxfordzie? Pewnie tak.

Jakiś młodzieniec w koszuli wypuszczonej na spodnie stał na stole i śpiewał co sił w płucach. Inny przeklinał głośno barmankę, podczas gdy jego kolega próbował właśnie posadzić ją sobie na kolanach i włożyć rękę pod jej spódnicę. Jeszcze inny, śmiertelnie blady, opuścił głowę na stół, jakby stracił świadomość. Przy jednym stole grano w kości. Okrzyki triumfu mieszały się z jękami przegranych i śmiechem bezstronnych obserwatorów.

Lord Beecham gotów byłby przysiąc, że kiedy stanął w drzwiach gospody, hałas przybrał jeszcze na sile.

Gdyby przyszedł tu z jakąkolwiek inną kobietą, kazałby jej zostać na korytarzu, sam zaś zająłby się pijanymi młodzieńcami. Przyszedł jednak z Helen, która niepodobna była do nikogo na świecie.

Oparł się plecami o ścianę, skrzyżował ręce na piersiach i z uśmiechem patrzył, jak jego partnerka wchodzi do gospody. Pomyślał, że wyglądałaby wspaniale w zbroi i z mieczem w ręku. Ale, prawdę mówiąc, wcale tego nie potrzebowała.

Podeszła prosto do młodzieńca, który próbował posadzić sobie na kolanach barmankę.

Stała o krok przed nim.

Gwendolyn zobaczyła ją pierwsza i wrzasnęła z całych sił:

- Panno Helen, pomocy!

- Spokojnie, Gwen. - Helen chwyciła studenta za fular i poderwała go w górę. Chłopak wypuścił Gwen i spojrział ze zdumieniem na boginię, która więziła mu szyję.

- Co...?

- Ty głupi smarkaczu - powiedziała spokojnie Helen, szarpnęła za fular i rzuciła młodzieńca na ścianę. Potem złapała go obiema rękami za szyję i dwukrotnie uderzyła jego głową o ścianę. Zrobiła krok do tyłu i spokojnie patrzyła, jak nie przytomny rozrabiaka osuwa się powoli na podłogę. Teraz zwróciła się do Gwen, która poprawiała właśnie garderobę:

- Sprowadź chłopaków ze stajni. Musimy wyrzucić te pluskwy na zewnątrz.

- Hej, kobieto, co ty wyprawiasz?

Był to ten sam młody człowiek, który przed momentem przeklinał barmankę. Helen odwróciła się do niego, chwyciła za ogromne klapy jasnożółtego surduta i poderwała go z ławy.

- Wydaje mi się, że guziki twojego surduta są za duże.

Powinieneś znaleźć sobie innego krawca.

- Wydałem na ten surdut prawie całe kieszonkowe - wrzasnął młodzieniec. - Na pewno jest bardzo modny, bo mój ojciec nie może na niego patrzeć.

- Hm... - mruknęła Helen. - To dobry argument. W takim razie wymień na mniejsze tylko te srebrne guziki.

Podchmielony student stracił nagle pewność siebie i od razu jakby odmłodził o ładnych parę lat.

- Naprawdę uważasz, że są za duże?

- To one noszą ciebie, a nie ty je - odparła, zrozumiałszy zaś, że chłopak jest zbyt oszołomiony piwem, by zrozumieć tę przenośnię, dodała: - Ty jesteś ogonem, a twoje ubrania psem. - Potem odwróciła się, rzucając jeszcze przez ramię: - Kiedy przeklinasz, wyglądasz jak półgłówek.

To powiedziawszy, zwróciła się do pozostałych młodzieńców. Ci patrzyli na nią szeroko otwartymi oczyma: była taka wysoka, piękna i stanowcza. Pewnie wyobrażają sobie, że umarli i

trafili do nieba pełnego wikingów, pomyślał lord Beecham.

W tej samej chwili dojrzał kolejnego studenta. Ten był tak pijany, że z trudem utrzymywał się na nogach, zdołał jednak jakoś zachować równowagę i podejść do Helen. Wydawał się naprawdę rozłoszczony, bo twarz nabiegła mu krwią. Lord Beecham pokręcił z niesmakiem głową, zrobił krok do przodu i powiedział cicho:

- Helen, za tobą.

- Och, tak - odparła, uśmiechając się doń i odwracając powoli. - Masz na myśli tego buraka? Założę się, że jego ojciec robi się równie czerwony jak on, kiedy wpada we wściekłość.

- Mój ojciec nie żyje - odparł młodzieniec. - Za to moja matka robi się jeszcze bardziej czerwona, zanim na mnie nawrzeszczy. - Nagle czerwonolicy student podniósł pięści i rzucił się ku Helen. Widząc to, westchnęła i oświadczyła głośno: - Dlaczego dzieci zachowują fatalne przyzwyczajenia swych rodziców? Ten chłopak jest tak pijany, że nie wie, co robi. - Westchnęła raz jeszcze. Wiedziała, że wszyscy pozostali młodzieńcy patrzą na nią, ciekawi, jak się teraz zachowa. Więc poczekała, aż rozwścieczony student dobiegnie do niej, i w ostatniej chwili zrobiła krok w bok. Kiedy przebiegał koło niej, uderzyła go w plecy. Niesiony własnym rozpędem oraz ciosem Helen, chłopak uderzył w ścianę tuż obok lorda Beechama. Zatrzymał się tam na moment, westchnął cicho i osunął się bezwładnie na ziemię.

- Już nie jest czerwony! - zawołał lord Beecham do Helen.

Wśród pozostałych młodzieńców zapadła na moment cisza.

Patrzyli na nią ze zdumieniem, nie wiedząc, co powinni zrobić w tej sytuacji. Byli otumanieni alkoholem, nie na tyle jednak, by nie wyciągnąć wniosków z lekcji, jaką Helen dała ich towarzyszom. Rozochocony śpiewak umilkł i pospiesznie chował koszulę w spodnie.

Helen wyszła na środek sali, wzięła się pod boki.

- Posłuchajcie mnie wszyscy. Jesteście stadem baranów.

Macie brzuchy wypełnione moim piwem, co mnie bardzo smuci, bo moje piwo zasługuje na brzuchy lepsze niż wasze, łajdaki. - Lord Beecham chętnie powiedziałby jej w tej chwili, że użyła niewłaściwego słowa. Każdy młody mężczyzna chce być nazywany łajdakiem. - Teraz wszyscy grzecznie wyjdziecie na podwórze i zabierzcie ze sobą waszych kolegów, którzy wylegują się na mojej pięknej dębowej podłodze.

Studenci nadal jednak siedzieli na swych miejscach, wpatrując się w nią tępo, jakby nie dowierzając, że mówi poważnie. Lord Beecham uznał, że czas już wkroczyć do akcji.

- Wynocha - powiedział uprzejmym tonem, wychodząc na środek sali. Niestety, pamiętał, że wielokrotnie on sam był równie pijany i równie nieznośny.

- Proszę posłuchać, sir...

- Ona nie ma prawa nas stąd wyrzucać.

- Nie wypilem jeszcze swojego piwa.

- Ma prawo robić tutaj, co tylko jej się spodoba - zwrócił się Beecham do innego czerwonolicego młodzieńca o oczach zasnutych pijacką mgiełką. - To panna Helen Mayberry, właścicielka tej gospody. A teraz wynoście się stąd wszyscy. O, widzę, że nadchodzą już podwładni panny Mayberry. Oni z pewnością pomogą wam podjąć właściwą decyzję.

- Ale my nie chcemy wychodzić! - wrzasnął inny student, po czym zwrócił się do Helen: - Czuję, że piecze się tu świeży chleb, i chcę go spróbować.

Jego kolega oświadczył zaś:

- Jesteś większa ode mnie, ale mógłbym sprawić, że śpiewałabyś z rozkoszy. - Z tymi słowami wstał i ruszył w jej stronę, rozkładając szeroko ręce. - Byłbym jeszcze większym łajdakiem, gdybyś dała mi więcej swojego piwa.

Helen po prostu podstawiała mu nogę i przewróciła. Młodzieniec runął jak długi, leżał przez chwilę w bezruchu, po czym przewrócił się na plecy i spojrzał na nią ogłupiałym wzrokiem.

- Czy to oznacza, że mnie nie chcesz?

- Nie w tej chwili. - Chwyliła go za kołnierz i zawlokła do przedsionka, gdzie czekali już jej trzech pomocnicy. - Wynieście tego pijaka na podwórze. Nie zróbcie mu krzywdy, chłopcy.

Młodzieniec doszedł już nieco do siebie i wrzasnął:

- Muszę być z tą kobietą! Chcę, żeby okryła mnie tymi pięknymi włosami. - Próbował pochwycić Helen za spódnicę, nie był jednak w stanie przeciwstawić się trójce potężnie zbudowanych służących. Kiedy ci rzucili go na porośniętą trawą podwórko, Helen wzięła wiadro z wodą i wylała nań całą zawartość.

Biedak wrzasnął, jakby ktoś przypalił go żywym ogniem.

- Wyprowadźcie ich na zewnątrz, jednego po drugim - zwróciła się do swych pomocników.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłem - powiedział lord Beecham do kelnerki, która obserwowała z satysfakcją, jak dwaj pomocnicy Helen wynoszą młodzieńca, który ją napastował.

- To jeszcze nic takiego. - Gwen podeszła do Helen i wzięła od niej kolejne wiadro z wodą. - Panno Helen, nie myślałam trzeźwo. Niepotrzebnie się bałam. Teraz widzę, że to tylko banda smarkaczy. Obiecuję, że to się już nie powtórzy. A ty następnym razem grzecznie zapytasz o pozwolenie, nim wsadzisz damie rękę pod spódnicę - zwróciła się do oszołomionego studenta i chlusnęła na niego wodą.

Chłopak jeszcze przez dłuższą chwilę leżał na ziemi, krztusząc się, pojękując i osłaniając rękami obolałą głowę.

W ciągu pięciu minut Helen oraz jej parobkowie wyprowadzili na zewnątrz jedenastu pijanych młodzieńców. Wszyscy leżeli teraz na trawie, przemoczeni i półprzytomni. Helen stanęła obok nich i oświadczyła stanowczym, choć uprzejmym tonem, który z jednej strony pobudzał lorda Beechama do śmiechu, z drugiej zaś rozpałał żądzę:

- Macie szczęście, że żaden z was nie zwymiotował w mojej gospodzie. Spotkałaby was wtedy naprawdę sroga kara. Teraz mogę wam już powiedzieć, że podobał mi się śpiew tego młodzieńca. Śpiewał z uczuciem. Cała reszta niezbyt przypadła mi do gustu. Wszyscy potrzebujecie dyscypliny. Niestety, jest was zbyt wielu, bym mogła się tym zająć. Zostaniecie tu, dopóki nie wytrzeźwiejecie i nie wyschniecie na tyle, byście nie zmoczyli mi podłogi. Potem możecie wrócić do gospody, żaden z was nie dostanie jednak więcej niż trzy kufle piwa.

Kiedy Gwendolyn wam go przyniesie, grzecznie jej podziękujecie. Jeśli któryś z was źle się poczuje, natychmiast wyjdzie na zewnątrz. Gospodę zamykamy o północy. Czy wszyscy dobrze mnie zrozumieli?

Odpowiedziały jej niechętnie pojękiwania, pochrząkiwania i warknięcia. Młodzieniec, którego skomplementowała, otworzył usta i znów zaczął śpiewać, ale zamilkł, gdy kolega rzucił weń pustym wiadrem.

Helen otrzepała ręce, uśmiechnęła się promiennie do Spensera i wróciła do gospody. Zostawiła na straży swych trzech pomocników, którzy obserwowali wracających do przytomności studentów.

- Helen - zaczął Beecham, nie kryjąc podziwu - to była naprawdę dobra robota. Dałaś im wszystkim porządną nauczkę, nie naruszając przy tym ich godności. Myślę, że nieprędko zapomną ten dzień.

- Kiedy kupiłam tę gospodę sześć lat temu, ojciec nauczył mnie, jak postępować z młodymi mężczyznami. Nie są źli, tylko młodzi i rozbrykani, a do tego nie brakuje im pieniędzy.

Ta zabawa w Braintree... Zupełnie o tym zapomniałam. Gdybym pamiętała, przyjechałabym tu wcześniej. - Poprawiła suknię, ściągając jego spojrzenie na swe piersi. - Trzydzieści lat temu byłbyś zapewne jednym z nich, prawda?

Uśmiechnął się lekko.

- Tak, tym, który śpiewał. A ty próbowałaś mnie uwieść.

Helen wcale nie była pewna, czy jej partner nie ma w tym momencie racji.

Lord Beecham przechadzał się po gospodzie, podczas gdy Helen rozmawiała z panią Toop, Gwendolyn i panem Hyde, który - jak wyjaśniła mu później - był doskonałym piwowarem, ale niestety także okropnym tchórzem. Kulił się ze strachu, kiedy ktoś przemówił doń ostrzejszym tonem, a gdy na sali dochodziło do jakiegoś zamieszania, krył się za beczkami. Wciąż tam siedział, kiedy lord Beecham podszedł do kontuaru i zamówił piwo.

Gospoda zrobiła na nim spore wrażenie. Wszystko było czyste i zadbane. Prócz sali jadalnej mieściły się tu dwa pokoje gościnne z kominkami i oknami wychodzącymi na podwórze. Gospoda nie był zbyt duża, choć piętrowa. Stajnie znajdowały się w oddzielnym budynku. Podjazd wyłożony był brukiem, ziemię zaś pokrywała gęsta, zielona trawa. Pomiędzy gospodą a stajnią rósł potężny wiąz, nie brakowało także kwiatów. Ojciec Helen powiedział kiedyś, że w jej gospodzie serwuje się najlepsze jedzenie w okolicy. Zapachy dochodzące z kuchni budziły głośnie burczenie w brzuchu.

Godzinę później, pozostawiwszy panią Toop uzbrojoną w pogrzebacz - na wypadek, gdyby młodzi goście nie posłuchali jednak dobrych rad panny Helen - lord Beecham i panna Mayberry opuścili gospodę i pojechali do sklepu rzeźnika. Helen rozmawiała przez dłuższy czas z nim i jego bardzo przystojnym młodym synem. Kiedy wyszła, uśmiechała się od ucha do ucha i zacierała ręce.

- Mam go - powiedziała do Beechama, kiedy pomagał jej dosiąść Eleanor. - Walter to bardzo rozsądny młody człowiek.

Na pewno będzie dobrze traktował Teeny. Jego ojciec bardzo się cieszy, że poprzez to małżeństwo jego rodzina połączy się w pewnym sensie z moją. „Teeny i Walter Jones” to naprawdę brzmi całkiem nieźle.

Po powrocie do Shugborough Hall lord Beecham pracował kilka godzin nad perskim tekstem, aż od ciągłego wpatrywania się w maleńkie literki rozboleły go oczy. Zbliżała się piąta po południu, pora herbaty. Wstał, przeciągnął się i zszedł do salonu.

Kiedy wraz z Helen popijali herbatę, lord Prith raczył się szampanem i ciastem z malinami.

- Nie wiem, czy ten Walter Jones to taki dobry pomysł - oświadczył, kiedy Helen opowiedziała mu o swoich planach. - Podobno w zeszłym roku pozbawił dziewictwa co najmniej sześć młodych dziewcząt z okolicy.

- O Boże. - Helen jęknęła i zakrztusiła się rogalikiem. Lord Beecham pochylił się ku niej i poklepał ją po plecach, ale szybko cofnął rękę, czując, że za chwilę będzie głaskał.

- Jest za ładny - kontynuował lord Prith. - Nie wiem, czy Teeny powinna za niego wyjść.

- Zastanowię się nad tym jeszcze, ojczy. Dziękuję ci za te informacje. Ojej, chyba będę musiała towarzyszyć Teeny jako przyzwoitka, kiedy pójdzie się z nim spotkać.

- Wyślij z nią Flocka - zaproponował lord Prith.

- O tak, on z pewnością obroniłby jej cnotę, choć przy okazji wbiłby nóż między zebra pana Waltera Jonesa. - Od wróciła się do lorda Beechama. - Wygląda pan na zmęczonego, sir. Zechciałby pan pospacerować ze mną po ogrodzie?

- Z miłą chęcią. Chętnie zobaczę altankę.

Popołudnie było ciepłe i słoneczne. Lord Beecham uśmiechnął się chytrze, ujrzawszy śliczną altankę ustawioną na szczycie niewielkiego pagórka, na wschód od domu. Helen wciąż myślała o Teeny i tym rozpustnym młodym mężczyźnie, z którego - nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości - mogła uczynić najwierniejszego i najbardziej oddanego męża na świecie.

- Te altankę zbudował mój nieodżałowany dziadek - po wiedział wcześniej Beechamowi lord Prith, wypiwszy dwa kieliszki szampana. - Podobno moja babcia uwielbiała w niej przesiadywać i przyglądać się dzikimi gęsiom brodzącym w stawie, kiedy robiła koronki. Ale nie wiem, czy to prawda.

Widzi pan, dziadek zawsze dziwnie się uśmiechał, kiedy mówił o tej altance.

Tak, pomyślał lord Beecham, biorąc Helen za rękę i ciągnąc ją w stronę altanki. Uważał, że panna Mayberry także powinna jak najszybciej czymś się zająć, choć wcale nie miał na myśli wyrobu koronek.

15

Helen mówiła tylko o perskim pergaminie i starofrancuskim napisie, który znaleźli na półce w grocie. To znaczy, mówiła o tym, dopóki nie porwał jej w ramiona i nie zaczął całować.

Przesunął dłonie na jej pośladki i przycisnął ją mocno. Nie musiał jej podnosić. Pasowały do niego idealnie.

Nie uświadamiał sobie nawet, że zachowuje się przy niej zupełnie inaczej niż przy innych kobietach. Adorując inną, działałby powoli, czarował swą ofiarę, rozbierał ją pieszczotami i coraz namiętniejszymi pocałunkami. Dotykałby jej wszędzie, sprawdzałby, co sprawia jej największą przyjemność, rozpalałby ją do białości. Potem, już zaspokojona, zaspokoiłaby jego, i oboje zapadliby w głęboki, spokojny sen.

Przy Helen jednak wszystko wyglądało inaczej. Wpijał się w jej usta, całował policzki, nos, znów wracał do ust, pieścił językiem coraz głębiej, jego dłonie były wszędzie, wygłodniałe i niecierpliwe. Potem pchnął ją na ławkę ustawioną w altance, podsunął w górę jej suknię i omal się nie spełnił, ujrzawszy jej długie, białe nogi.

- Po prostu nie mogę sobie z tym poradzić, Helen - powiedział, zadziwiony, że udało mu się sklecić jakieś sensowne zdanie. - Jestem tylko mężczyzną. Nie panuję nad tym.

- Ja też nie - odparła. - Szybko, Spenserze, och, pospiesz się, proszę... - Próbowwała rozpiąć mu spodnie, ale odtrącił jej dłonie. Tym razem chciał przynajmniej ściągnąć buty. Udało mu się to, choć musiał się bardzo starać.

Leżał na niej, wpychał się pomiędzy jej nogi, dyszał ciężko, jakby ukończył właśnie długi, wyczerpujący bieg.

- Zbyt długo tego nie robiliśmy - wydyszał prosto w jej usta. - O wiele za długo. - Przesunął dłoń po jej brzuchu, aż do nasady ud, i objął ją ciasno. Helen jęknęła głośno, przeciągle, pożądliwie. - Jeszcze chwilę, najdroższa, chwileczkę - szeptał, a jego palce już wsuwały się w nią. Czuł, jak rośnie w niej coraz większy żar, jak oddaje mu się bez reszty. Powoli wpadał w tak dobrze mu znany rytm, który stawał się jego drugą naturą.

Wypreżala ciało pod jego naciskiem, wyginała je w łuk, on zaś wyczuwał, że lada moment sięgnie wyżyn rozkoszy. Chciał być z nią, nie tylko na nią patrzeć, nie tylko ją kontrolować, pocałował ją więc mocno, odchylił się do tyłu i wszedł w nią głęboko, mocno, pojękując z cicha, bo teraz było niemal bolesne to gwałtowne pożądanie, to dzikie pulsowanie krwi, coraz szybsze bicie serca, nieopisany żar. Jego ciało napięło się jak struna, gdy wszedł w nią jeszcze głębiej, napał z całych sił. Omal nie zrzuciła go z siebie, wijąc się w rozkoszy. Omal nie spadli oboje na ziemię, zdołał jednak jakoś utrzymać się w miejscu. Kiedy jej mięśnie zacisnęły się na nim, przejmując go upojnym bólem, nie mógł już dłużej tego powstrzymać.

Czuł, jak oboje karmiła się swą rozkoszą, potęgując ją do niewyobrażalnych rozmiarów. Uśmiechnął się, odrzucił głowę do tyłu i krzyczał, aż zabrakło mu tchu.

Helen dyszała ciężko. Wciąż wila się pod nim, wciąż nań napierała. Gdy wreszcie odzyskała panowanie nad własnym ciałem i uspokoiła się, pocałował ją i wplótł palce w jej piękne włosy, rozpuścił je i schował w nich twarz. Potem odsunął je do tyłu i pieścił płatek jej ucha. Leżał na niej, przyciskał ją do wyściełanej miękko ławki. Wreszcie zdołał podnieść się na łokciach i spojrzał na nią. Wystarczyło tylko tyle, ledwie jedno spojrzenie na jej zaczerwienioną twarz, rozchylone usta, rozpalone oczy. Wtedy uniosła rękę i delikatnie dotknęła jego brody.

- Masz tu maleńki dołek. Zawsze podobały mi się dołki w brodzie.

Wystarczyło tylko tyle. Wciągnął głośno powietrze i zaczął ją całować. Po chwili znów poruszał się w niej. Już go to nie dziwiło. Chciał, by tym razem trwało to dłużej i rzeczywiście trwało całą minutę dłużej. Znów oboje zapomnieli się w szalonym miłosnym tańcu, znów złączyła ich chwila nieopisanego upojenia.

- Chcę, byś położyła się na mnie - wyszeptał jej do ucha, kiedy już mógł złapać oddech. Nie odpowiedziała mu, zresztą wcale tego nie oczekiwał. Leżała pod nim rozluźniona, być może już spała. Nagle i on opadł na nią bezwładnie; opuścił głowę, jakby ktoś pozbawił go przytomności jednym ciosem, i w jednej chwili zapadł w głęboki sen. Potem równie gwałtownie się obudził. Wciąż ją obejmował, wciąż był w niej.

Czuł jej dłonie na plecach, ich ciepło przenikało przez ubranie.

Dopiero wtedy do niego dotarło, że co prawda ściągnął spodnie, ale wciąż miał na sobie koszulę i surdut.

Doprawdy, zachowywał się jak prostak. Pomyślał jednak, że zastanowi się nad tym później, po czym znów zapadł w sen. Obudził go dotyk gorącego języka pieszczącego mu ucho.

- Spenser - wyszeptała Helen i znów go polizła. Podniósł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

Wydawała się lekko zaspana, a jednocześnie rozmarzona i podekscytowana; ten widok natychmiast rozbudził w nim płomyki pożądania.

- Spenser - powtórzyła, a kiedy pochylił się, by ją pocałować, powiedziała: - Widziałam rysunki, na których kobieta siedziała na mężczyźnie. Chciałabym tego spróbować. Chyba nie uważasz, że jestem za duża, co?

- O nie - odparł. - Ale jeszcze nie teraz, Helen, jeszcze nie. Przykro mi, ale po prostu nie mogę. Jestem już stary, Helen... - W tej samej chwili zaczął się w niej poruszać, coraz twardszy i twardszy. Gdy ich usta zwały się w pocałunku, gdy zaczęła go gryźć i lizać, znów stracił nad sobą panowanie. - Lada moment umrę, to pewne - wydyszał, kiedy opadł już na nią, zupełnie pozbawiony sił. - Umrę w wieku trzydziestu trzech lat. To prawda, mam ogromne doświadczenie, ale to wykracza poza moje możliwości. Padam ze zmęczenia. Prze śpisz się ze mną choć chwilę?

Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, uśmiechając się błogo. Pocałował ją, po czym oboje zapadli w sen w altanie lorda Pritha.

Lord Beecham obudził się, gdy poczuł dokuczliwy chłód. Zapadał zmierzch. Powoli zsunął się z Helen, naciągnął spodnie na nagie pośladki i włożył buty. Potem stanął i przyglądał się jej przez dłuższy czas. Nogi miała naprawdę wspaniałe, długie, białe i smukłe. Dostrzegł na nich ślad własnego nasienia i jęknął cicho, ogarnięty nową falą pożądania. Nie marzył o tym. Jego życie i tak było bardzo przyjemne.

Oczywiście, że było przyjemne. Nie zrobił niczego, co mogłoby to zepsuć. Doskonale się bawił i zawsze robił to, na co miał ochotę. Nie był podły ani małostkowy, rzadko jednak interesował się czymś, co wykraczało poza jego miłą egzystencję.

Helen chciała, by był jej partnerem. Chciała znaleźć tę przeklętą lampę, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Ani przez moment nie wątpił, że pragnęła lampy bardziej niż jego, prócz tych kilku chwil, kiedy się dotykali, kiedy kochali się szybko i gwałtownie, jakby się bali, że wkrótce zabraknie im na to czasu.

Delikatnie dotknął dłonią jej uda. Powoli, bardzo powoli uniosła powieki. Nie ruszyła się, tylko patrzyła. Potem się uśmiechnęła.

- W końcu nie usiadłam na tobie - powiedziała.

- Następnym razem, obiecuję, następnym razem - odparł, starając się zapanować nad sobą.

- To jest nie do wytrzymania - powiedziała wtedy. - Po prostu nie do wytrzymania. To nie może dłużej trwać.

Przed chwilą myślał o tym samym, nie mogąc się nadziwić pożądaniu, które w nim budziła. Kiedy jednak usłyszał te słowa, kiedy zdał sobie sprawę z ich znaczenia, nieomal zagotował się ze złości.

Wyprostował się gwałtownie, zabierając rękę z jej uda, i odezwał się głosem zimniejszym niż pyszne lody waniliowe u Gunthera.

- Nie wiesz, o czym mówisz. Oczywiście, że to będzie trwać. To prawda, nie wytrzymalibyśmy tego długo, ale wcześniej czy później jakoś nad tym zapanujemy. Helen, zachowaj te przedwczesne pomysły dla siebie. Obiecałem ci, że następnym razem ty będziesz na górze.

Przekrzywiła lekko głowę i patrzyła nań spod półprzymkniętych powiek. Potem usiadła prosto i spojrzała na siebie.

- Ciągłe jestem przy tobie wilgotna - powiedziała bez namiętnym tonem, nie podnosząc wzroku. - Bardzo wilgotna.

- Tak. - Podał jej chusteczkę, odwrócił się i stanął w wąskim wejściu do altanki.

- Oddam ci ją jutro.

- Świetnie, bo jutro prawdopodobnie też będzie ci potrzebna.

Nic nie odpowiedziała. Wstała, przeszła obok niego i wkroczyła na ogromny trawnik, kierując się ku drzwiom biblioteki po wschodniej stronie rezydencji.

Nie ruszał się z miejsca, tylko patrzył. Początkowo szła chwiejnym krokiem, jakby brakowało jej sił. Beecham uśmiechnął się do siebie; to on był sprawcą tego zmęczenia, wysiłku, do którego Helen nie była przyzwyczajona. W tej samej chwili zdał sobie z czegoś sprawę. Otóż ta dumna, niezależna kobieta nieustannie z nim walczyła. To nie może dłużej trwać. Akurat, pomyślał, lecz natychmiast uświadomił sobie, że on sam dawno stracił dystans do tej sprawy.

To było potężne pożądanie. Takiego uczucia nigdy jeszcze nie doświadczył. I być może na tym się kończyło - na nieprawdopodobnym pożądaniu, które mogło rzucić mężczyznę na kolana i

doprowadzić go do śmierci z wycieńczenia.

Musiał coś z tym zrobić. Wiedział, że nie wykona żadnej pożytecznej pracy, dopóki ona będzie przy nim, dopóki będzie mógł bezustannie się z nią kochać.

Musiał poważnie przemyśleć ten problem, nawet gdyby miał dojść do wniosków, które zmieniają całe jego życie.

Myśl o ożenku nie mroziła mu już krwi w żyłach. Sam się temu dziwił. Miał trzydzieści trzy lata. Wydawało mu się, że jego życie od dawna toczy się w ustalonym rytmie i że nic tego nie zmieni. Mylił się jednak, bardzo się mylił.

Życie całkowicie go zaskoczyło, zaczęło się nań za rogiem i uderzyło prosto między oczy.

Gotów był stawić czoło wyzwaniom, jakie niosło ze sobą poszukiwanie lampy, nie mógł jednak robić tego w obecności Helen. Wystarczyło, by na nią spojrział, by ją usłyszał, a zupełnie tracił rozum i zamieniał się w zaślepionego żądzą samca, który pragnie jedynie słyszeć, jak jego partnerka krzyczy i wije się pod nim z rozkoszy. Ach, ta rozkosz, ta głęboka, niemal bolesna rozkosz. Obiecał Helen, że następnym razem to ona będzie na górze. Zupełnie go zatkało, gdy wyobraził sobie tę scenę.

Kiedy lord Prith i Flock udali się na wieczorny spacer - Flock bez ustanku użalał się nad swym losem, to znaczy nad przyszłością bez Teeny - lord Beecham powiedział do milczącej Helen:

- Wracam jutro do Londynu. Muszę pójść do British Museum. Chcę porozmawiać z naukowcami, którzy tam pracują, Znam tych ludzi. Muszę ci wyznać, że moje tłumaczenie utknęło w martwym punkcie.

Nie podobało jej się to, widział to wyraźnie. Ale co właściwie jej się nie podobało? Że ją opuszcza? Chciała być z nim? Zrobiło mu się ciepło na sercu.

- Nie chcę ani na chwilę tracić z oczu tego pergaminu - powiedziała.

Ach tak, ten przeklęty pergamin, pomyślał i uszła zeń cała radość.

- Sporządzę kopię - odparł chłodno, podnosząc się z miejsca.

- Jesteś moim partnerem. Ciebie także nie chcę tracić z oczu.

Partnerem, nie mężczyzną, z którym kochała się dziewięć razy w ciągu ostatnich trzech dni. Ogarnęła go wściekłość. Skoczył do niej, złapał ją za ramiona i potrząsnął z całej siły. Nie próbowała się bronić, choć była niemal równie wysoka i silna jak on. Stała nieruchomo, czekając, aż minie mu złość.

- Nie ufasz mi, tak?

- Nie znam cię dobrze.

- Do diabła, Helen, kochałaś się ze mną dziewięć razy w ciągu trzech dni. - Poczul się znacznie lepiej, powiedziawszy jej to prosto w oczy. - Nie znasz mnie? Helen, znasz mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Myślisz, że mógłbym ukraść ten twój przeklęty pergamin i próbować samemu rozwikłać zagadkę? Sądzisz, że chcę cię oszukać?

- Wiem, że jesteś człowiekiem zapalczym i namiętym.

To, co o tobie słyszałam, potwierdziło się w rzeczywistości.

Jako partner spisywałaś się do tej pory bez zarzutu.

- Ale?

Pokręciła głową.

- To dla mnie naprawdę bardzo ważne, lordzie Beecham.

Ważniejsze ode mnie? - omal nie krzyknął, zdołał się jednak powstrzymać. Zgrzytnął tylko zębami i wyszedł, nawet nie obejrzawszy się za siebie. Przez następną godzinę starannie kopiował tekst z

pergaminu. Kiedy opuścił gabinet, zobaczył Helen stojącą na trzecim stopniu schodów.

- Mam zabrać tę kopię czy nie?

Powoli, bardzo powoli skinęła głową.

Lord Beecham wyjechał z Shugborough Hall następnego ranka, tuż przed szóstą, kiedy ziemię otulała jeszcze zimna, gęsta mgła.

16

Słyszałem, że masz jakieś konszachty z wielebnym Mathersem - powiedział do lorda Beechama wielebny Older, kiedy dwa tygodnie później spotkał go na St. James Street, przed wejściem do White'a. Nachylił się bliżej i rozejrzał ukradkiem dokoła, jakby chciał się upewnić, że nikt ich nie podsłuchuje.

Lord Beecham uniósł lekko brwi. Nie widział jeszcze wielebnego Oldera tak podekscytowanego. Co się z nim działo?

- Nie martw się, mój chłopcze. Stary Clothhead Mathers opowiedział mi o tym twoim odkryciu. Tak, tak, starożytny pergamin w języku pahlawi, mówiący o jakimś magicznym przedmiocie. To naprawdę niezwykle.

No tak. Wielebny Mathers przyrzekł mu, że zatrzyma wszystko w tajemnicy, a nawet sam zaproponował, by obaj złożyli taką obietnicę. „To bardzo cenny pergamin, nagroda za wszystkie te lata jałowych poszukiwań i nudy. Dzięki niemu dowiemy się zapewne wielu niezwykłych rzeczy o starożytnym świecie. Dziękuję panu z całego serca. Może pan być pewny, że nikomu, o tym nie powiem”.

Lord Beecham znał wielebnego Mathersa jeszcze ze swoich studenckich czasów. Człowiek honoru, wybitny naukowiec, zainteresowany bardziej starożytnością niż czasami współczesnymi, które uważał za nudne i trywialne. Teraz jednak Beecham czuł się jak głupiec, w dodatku głupiec zdradzony i oszukany. Ponieważ nie należał do ludzi, którzy poddają się już po pierwszym ataku, zachował obojętną minę, choć nie był w stanie całkowicie ukryć zaskoczenia. Serce waliło mu jak młot.

Wielebny Older pochylił się jeszcze bliżej, poklepał lorda Beechama po ramieniu i zniżył głos do szeptu:

- Nie martw się, mój chłopcze. To nie wyjdzie poza mnie, wielebnego Mathersa i jego brata. Widzisz, wielebny Mathers nie zdradził niczego swojemu bratu, Clothheadowi, nie; wygląda na to, że po prostu nasz drogi przyjaciel mówi dużo przez sen, kiedy jest czymś podekscytowany albo się czymś martwi. Stary Clothhead zdradził mi, że jego brat mówił we śnie o jakichś dziwnych magicznych przedmiotach, o starym perskim pergaminie, który opisywał tę tajemnicę. Jestem przekonany, że wielebny Mathers wcześniej czy później i tak przyszedłby z tym do mnie. Jak wiesz, mam ogromną wiedzę na temat starych mitów i legend. Ale to ja cię odszukałem, mój chłopcze. Jestem tutaj. Możesz poprosić mnie o pomoc. - Wielebny Older odsunął się wreszcie od lorda Beechama i uśmiechnął doń promiennie. - Tak, proponuję, byśmy zostali partnerami - mówił dalej. - Mogę oddać wam nieocenione przysługi. Razem zbadamy wszystkie możliwości. Teraz możesz mi o wszystkim opowiedzieć.

Mathers mówił przez sen. Lord Beecham miał ochotę roześmiać się głośno, rozbawiony złośliwością losu, przede wszystkim jednak czuł ogromną ulgę, że wielebny Mathers nie zdradził go celowo. Najwyraźniej też nie zdradził przez sen wszystkich szczegółów - dlatego właśnie wielebny Older próbował go teraz namówić do współpracy. Lord Beecham uśmiechnął się i odpowiedział

uprzejmie:

- Nie mam panu nic do powiedzenia. To jakieś bajki wymyślone przez Starego Clothheada. Nie powinien pan dawać mu tyle brandy.

Lord Beecham niezwykle rzadko widywał gniewny grymas na twarzy wielbnego Oldera, teraz jednak miał okazję przyjrzeć mu się z bliska.

- Daj spokój, chłopcze, nie baw się ze mną w kotka i myszkę.

Mogę służyć wam ogromną pomocą. Gdzie znalazłeś ten pergamin? Przetłumaczyłeś już cały tekst? Czy jest tam szczegółowy opis jakiegoś magicznego przedmiotu?

Bogu dzięki, wielbny Older wiedział naprawdę bardzo niewiele, miał tylko mgliste pojęcie o treści pergaminu. Wiedział jednak, albo się domyślił, że jest tam mowa o magicznym przedmiocie, a to obudziło w nim chciwość. Lord Beecham czuł się nieco rozczarowany, z drugiej jednak strony nie było to dlań wielkie zaskoczenie. Ludzie z jego środowiska rzadko, kiedy okazywali szlachetność charakteru, bez względu na to, czy byli duchownymi, czy też nie.

Lord Beecham przysłonił oczy i popatrzył w dal.

- Zdaje się, że to lady Northcliffe ze swoim mężem. Pan wybaczy, wielbny, ale muszę się z nimi spotkać.

- Poczekaj! Porozmawiajmy!

Lord Beecham odwrócił się powoli do człowieka, którego zawsze lubił, zawsze podziwiał i który zawsze go bawił.

- Nie ma o czym. Nic nie wiem o żadnym starożytnym pergaminie ani o żadnym magicznym przedmiocie. Stary Clothhead ma po prostu bujną wyobraźnię. Zwrócił się pan do niewłaściwej osoby. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

- Ale Stary Clothhead powiedział mi, że śledził swojego brata i widział, jak spotkał się z tobą w British Museum, w jednej z bocznych sal. Wie, kim jesteś. Proszę, nie odrzucaj mojej pomocy. Ja muszę to zobaczyć, muszę.

- Do widzenia, wielbny.

Lord Beecham uskoczył przed kareta jakiegoś hrabiego, ominął wóz z pustymi beczkami oraz trzech młodzieńców, którzy wybrali się na konną przejażdżkę, i dotarł wreszcie na drugą stronę ulicy. Zastanawiał się, czy wielbny Older nie stracił jakiejś większej sumy na wyścigach konnych i czy nie musi teraz zwracać długów.

Gdy stanął przed Aleksandrą Sherbrooke, uklonił się uprzejmie, po czym zwrócił się do jej męża:

- Witaj, Douglas. Jak się miewasz?

- Uczciłem trzydziestą piątą rocznicę moich urodzin na ciepłym łonie rodziny. Oczywiście, że miewam się doskonale.

Uważasz, że jestem za stary, by cieszyć się dobrym zdrowiem?

Czego chcesz, Heatherington? Przestań gapić się na moją żonę albo rozkwaszę ci tę śliczną buzię.

Aleksandra Sherbrooke, niemal dwa razy mniejsza od swego męża, odepchnęła go na bok i wzięła lorda Beechama za rękę.

- Jak się masz, Spenserze? Nie zwracaj uwagi na biednego Douglasa. Znalazł dzisiaj siwy włos i twierdzi, że to moja wina, bo rozzłościłam go wczoraj, stając podczas dyskusji po stronie Rydera.

- Mój brat nie miał racji, Aleksandro, dobrze o tym wiesz.

Wyobraź sobie tylko: dzieci miałyby same decydować, czy chcą pracować w fabryce, czy nie, czy chcą uczyć się zawodu, czy nie. Wybór należy przecież do rodziców, inaczej na świecie

zapanowałby kompletny chaos. Czy wyobrażasz sobie, że nasi chłopcy mieliby podejmować takie decyzje? To bzdura. Powiesz mu to sama, kiedy znów się spotkamy.

Aleksandra Sherbrooke roześmiała się tylko i nachyliła do lorda Beechama:

- A co do tego siwego włosa... Jeśli podroczysz się z nim jeszcze trochę, może uzna, że to twoja wina. Kto wie?

- Miło znów cię widzieć, Aleksandro - powiedział głośno Beecham.

- Dlaczego ciągle mówisz do tego łajdaka po imieniu?

- Ja też się cieszę z tego spotkania - odparła Aleksandra, poklepując swego męża po ramieniu. -

Nie wiesz, co nowego u Helen Mayberry?

- Z pewnością słyszeliście, że zostałem jej partnerem i że wraz z jej ojcem pojechaliśmy do ich posiadłości, do Court Hammering w Essex.

- Tak, ale ty jesteś tutaj, a nie słyszałam o tym, by Helen także wróciła do Londynu. Gdzie ona jest?

- Została w domu. Ja wróciłem, żeby w British Museum skorzystać z pomocy głów cięższych niż moja.

- O mój Boże, Spenserze, czy to znaczy, że znaleźliście coś związanego z lampą króla Edwarda?

- Ta historia o lampie to wierutna bzdura - wtrącił Douglas, spoglądając na Beechama z wyraźną niechęcią.

- Cóż, wydaje mi się, że jednak nie masz racji - odparł lord Beecham. Tych kilka słów wystarczyło, by Douglas Sherbrooke zamienił się w słuch.

- To tylko legenda - powiedział powoli, wpatrzony w Spensera Heatheringtona. - Wieczna żywa bajka. Nie próbuj mi wmówić, że jest w niej jakieś ziarno prawdy.

- Może jednak jest.

Douglas wybijał laską jakiś niespokojny rytm, co oznaczało, że jest podekscytowany.

- Wczoraj słyszałem, jak ten stary rozpustnik i oszust, lord Crowley, opowiadał swoim kolegom, tak pijanym zresztą, że ledwie trzymali się na nogach, o jakiejś wielkiej tajemnicy, o odkryciu, które może go uczynić bardzo, bardzo bogatym.

Nawet nie przyszło mi do głowy, że to może mieć coś wspólnego z lampą. O czym on mówił?

- A niech to. - Beecham westchnął. - Nie wiem, czy ma to coś wspólnego z lampą, ale znając mojego pecha, mówił właśnie o niej. - W zakłopotaniu podrapał się po głowie.

Aleksandra wyciągnęła rękę i przygładziła mu włosy.

- Przestań, Aleksandro, bo twój mąż wbije mnie w chodnik.

Jestem na to za młody, mam dopiero trzydzieści trzy lata. Przed chwilą udało mi się uciec od wielbnego Oldera. On także słyszał już coś o tej sprawie od brata wielbnego Mathersa, którego nazywa Starym Clothheadem. Oprócz mnie, was i wielbnego Mathersa nikt w Londynie nie powinien o tym wiedzieć.

Okazuje się jednak, że wielbny Mathers mówi przez sen, a jego brat powiedział wszystko, co od niego usłyszał, wielbnemu Olderowi i Bóg wie komu jeszcze. Do diabła, czy nie ma już na tym świecie żadnej świętości? Niczego, co człowiek mógłby nazwać tylko swoim i mieć pewność, że rzeczywiście nikt mu tego nie odbierze?

- Owszem - odparł Douglas w roztargnieniu, gładząc się po brodzie. - Żona. Twierdzisz więc, że wielbny Mathers opowiedział o wszystkim przez sen?

- Na to wygląda. A teraz jeszcze lord Crowley... Po każdym spotkaniu z nim mam ochotę

wyszorować dokładnie całą duszę. Potrafi być gorszy od mojego ojca, a to niełatwa sztuka, mówię wam. Nie podoba mi się to, oj nie. Założę się, że i on wie już o lampie. Może nie zna jeszcze szczegółów, ale mając na względzie jego reputację, można być pewnym, że wkrótce do nich dotrze. Pewnie połowa Londynu wie już to, co on. Nie zdziwiłbym się, gdyby jacyś idioci pojechali do Court Hammering, by wyciągnąć od Helen więcej informacji. Do diabła, trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, by ochronić ją przed takimi łobuzami.

- Ochronić Helen? - powtórzyła Aleksandra, rozchylając lekko poły płaszcza. Mąż natychmiast naciągnął je z powrotem na miejsce i burknął:

- Najpóźniej jutro pójdziesz do krawcowej i każesz jej podnieść ten dekolt o kilka centymetrów. Spójrz tylko na Heatheringtona. Chłopak ma ładne zęby. Nie chciałbym, żeby zbierał je z chodnika, kiedy będzie się gapił na twój dekolt, a z pewnością nie oparłby się takiej pokusie. Jeśli nie prze staniesz go podrywać, za chwilę będzie wił się z bólu i prosił mnie o litość.

- Rozumiem - odparła powoli Aleksandra, ignorując Beechama i spoglądając przeciągle na swego męża. - Upewnię się tylko, czy dobrze cię zrozumiałam. Żal ci innych mężczyzn, bo ja się im narzucam?

- Tak - potwierdził Douglas. - Może powinnaś pójść do krawcowej jeszcze dzisiaj po południu.

- Posłuchaj, Douglas. Jedyne, co widzą teraz inni ludzie, to twoja pięść zaciśnięta na moim płaszczu. Czy możemy już powrócić do bardziej interesujących tematów?

- Ten dekolt wcale nie jest taki duży - powiedział Beecham łagodnym tonem.

- A skąd ty możesz to wiedzieć, draniu?

- Drażnię się tylko z tobą, nic więcej.

- Nie wierzę ci. A jeśli tak jest naprawdę, to znaczy, że ty nie jesteś do końca sobą, Heatherington. Coś ci się stało. No już, powiedz mi, co to takiego. Wiem, że nie chodzi ci o tę lampę. Nie wierzę, by ona naprawdę istniała, a już na pewno nie ma żadnej magicznej mocy.

- Ja też nie bardzo w to wierzę, ale złość mnie bierze, kiedy pomyślę, że jakieś dranie węszą wokół tej sprawy. Znasz Crowleya. Dla pieniędzy gotów jest zrobić wszystko. Wiem, że wcześniej czy później trafi do Helen.

Douglas przyjrzał mu się uważnie.

- Naprawdę się tym martwisz?

Aleksandra parsknęła głośno i oświadczyła:

- O ile znam Helen, gdy tylko zobaczy Crowleya, wsadzi go w dyby, które ustawiła za stajniami.

- Dyby? - zdumiał się lord Beecham. - Takie urządzenie, w którym zamyka się człowiekowi ręce, nogi lub głowę i zostawia go uwięzionego na środku ulicy, gdzie wszyscy mogą zeń szydzić i mu dokuczać?

- Och, nie - zachichotała Aleksandra. - Owszem, są to prawdziwe dyby, ale nie stoją na środku ulicy, tylko za stajniami.

Helen uważa, że szyderstwo to żadna kara. Po to, by zapewnić sobie posłuszeństwo, trzeba czegoś znacznie mocniejszego.

Obaj mężczyźni dziwnie się nagle rozmarzyli, zwłaszcza, gdy oblicze Aleksandry pokrył gorący rumieniec.

- O dybach podyskutujemy wtedy, kiedy skończy się już ta historia - zaproponowała. - Teraz powinniśmy się zastanowić nad jakimś planem działania. Ja też martwię się o Helen. A jeśli naprawdę coś jej grozi? Jeśli jakiś szaleniec zakradnie się do jej domu i zmusi ją, by opowiedziała

mu o lampie? Spenser ma rację. Powinniśmy zapewnić Helen ochronę. Czy ona nadal jest u siebie w domu?

- Tak. Pilnuje gospody i próbuje zaaranżować małżeństwo między synem rzeźnika i swoją służącą. Flock, wierny sługa lorda Pritha, bardzo cierpi z tego powodu. Mój służący także zakochał się w Teeny i teraz chodzi jak struty. A sama Helen...

Cóż, właściwie otaczają tylu ludzi, że nie ma się czego obawiać.

Zapewne próbuje teraz odczytać tekst ze starego pergaminu. - Umilkł na moment, a po chwili dodał, mrużąc oczy: - Jest bardzo inteligentna. Założę się, że w końcu dopnie swego.

- Helen złamałaby kark największemu nawet draniowi, jakiego można znaleźć w Soho - powiedział Douglas, uśmiechając się od ucha do ucha. - Co do tych dyb, Aleksandro, to chciałbym dowiedzieć się o nich czegoś więcej. Może porozmawiamy dziś wieczorem w łóżku... - Douglas opanował się w porę, odchrząknął i dokończył: - Helen jest nie tylko piękna i silna, ale i inteligentna. Całkowicie się z tobą zgadzam, Heatherington.

- Douglas, co to ma znaczyć? - Aleksandra stanęła na wprost męża i spojrzała nań groźnie. - Znów mówisz o Helen, a to wcale mi się nie podoba. Wiem, że ją podziwiasz, ale zachowaj lepiej te uwagi dla siebie. Zresztą znam cię na tyle dobrze, że nawet jeśli nie będziesz o niej mówił, ale bez ustanku myślał, i tak będę o tym wiedziała. Zapomnij więc o Helen i o dybach, jasne? Słyszysz, co do ciebie mówię?

Douglas zapatrzył się na biust swej żony, który ponownie wychynał spod rozchylonego płaszcza. Przełknął głośno, musnął palcami czubek jej nosa i powiedział:

- Wiem, gdzie jest mój skarb, kochanie. Staram się tylko wesprzeć Heatheringtona.

- Nie potrzebuję niczyjego wsparcia - mruknął lord Beecham, po czym natychmiast zmienił zdanie. - A właściwie potrzebuję. Jeszcze dziś napiszę do Helen i poproszę, by uważała na siebie. Poza tym przez te dwa tygodnie sporo się dowiedziałem. Może czas już wrócić do Court Hammering. Wtedy oboje zadecydujemy, co dalej.

- O nie, najpierw powiesz nam, co odkryliście razem z Helen. - Douglas pchnął lekko lorda Beechama w stronę swojej karety. - Możesz nawet pojechać ze mną i z Aleksandrą.

- Powiedz mi, dlaczego Helen nie przyjechała tu z tobą - wtrąciła się Aleksandra. - Nie mogę zrozumieć, czemu puściła cię samego, skoro tak interesuje się historią tej lampy.

- Właśnie dlatego. Zależy jej na informacjach, które mogłem zdobyć tylko tutaj. - Lord Beecham nie zamierzał nikomu tłumaczyć, że przyjechał bez Helen, żeby móc skupić się jedynie na pracy. Sam podjął tę decyzję. Nie chciał się jeszcze żenić, a ponieważ Helen była damą i nie mógł nadal kochać się z nią po trzy razy dziennie, postanowił się od niej odsunąć i być wyłącznie jej partnerem. Niczym więcej. Dużo o tym myślał i wiedział już, co robić.

Do diabła. Nie widział Helen już od dwóch tygodni i choć niemal bez ustanku poświęcał się pracy, wciąż czuł się tak, jakby zostawił część siebie w Court Hammering, i to część najważniejszą. Cóż, cierpiał po prostu z powodu rozstania, co na dłuższą metę nie miało żadnego znaczenia. Mimo to czuł się nieswojo. Poderwie dzisiaj jakąś aktoreczkę i będzie kochał się z nią, dopóki nie padnie ze zmęczenia. Tym razem nie zrobi tego trzy razy, tylko pięć, może nawet sześć, co wreszcie nasyci jego rozbuchany apetyt.

To świeżość Helen, jej niezwykła uroda, piękne nogi i... właściwie widział jej piersi tylko raz, w zrujnowanej chacie, kiedy pomagał jej ściągnąć mokre ubranie. Omal nie zachłystnął się na to wspomnienie. Był wtedy tak rozpalony, że nawet ich nie pocałował. Musi jak najszybciej z tym

skończyć. Jeszcze tego wieczoru znajdzie sobie kogoś innego. I zrobi to co najmniej trzy razy.

Miłość fizyczna, niegdyś jego ulubiona rozrywka, szybko traciła swój urok. Miłość nie powinna być ciężką pracą, on zaś uświadomił sobie nagle, że wcale nie ma ochoty na nową dziewczynę. Westchnął ciężko i opuścił głowę na piersi, przygniatając fular - nie tak doskonale związany jak zazwyczaj, Nettle cierpiał bowiem z powodu Teeny i chciał, by jego pan był tego świadom.

- Spenserze, co się z tobą dzieje? Patrzysz na latarnię i masz przy tym taką dziwną minę...

- Pewnie myśli o swoich ostatnich podbojach - podsunął Douglas.

- Trafiłeś w dziesiątkę - odrzekł lord Beecham. - Mam spotkanie z wielbnym Mathersem w British Museum. Skoro wielbny mówi tyle przez sen, to rozsądnie będzie wysłać go do hotelu Grillona, gdzie nikt nie będzie słuchał jego majaczeń.

Douglas, suknia Aleksandry nie wymaga żadnych poprawek.

Jeśli chcecie, możemy spotkać się później. Opowiem wam wtedy o tej przeklętej lampie.

- O nie, nie ma mowy, Heatherington. Zrób tylko jeden krok, a zgniotę cię na miazgę.

-

17

Aleksandra odchrząknęła głośno.

- Douglas chciał powiedzieć, że chętnie wybierzemy się z tobą do wielbnego Mathersa. Chcielibyśmy mieć udział w waszej przygodzie.

Douglas popatrzył na żonę z politowaniem.

- Przecież on dobrze wie, co chciałem powiedzieć. Tak, wolimy pojechać z tobą niż do Richmond. Lady Blakeny, kiedy indziej będzie mi rzucać te swoje powłóczyście spojrzenia.

- Lady Blakeny jest wysoka - zauważyła Aleksandra. - Nie tak wysoka jak Helen, ale całkiem spora. Niech ją...

Douglas uśmiechnął się promiennie do żony i pomógł jej wsiąść do karety. Potem zrobił miejsce dla Beechama, wreszcie sam wskoczył do środka.

Kiedy lord Beecham spojrział w okno, zobaczył, że wielbny Older stoi w tym samym miejscu, w którym zostawił go przed chwilą, i wpatruje się w ich powóz. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Może powinienes znaleźć innego naukowca. - Aleksandra starannie poprawiała suknię.

- On jest najlepszy. Wielbny Mathers i mój nauczyciel z Oxfordu, sir Giles Gilliam, byli dobrym przyjaciółmi. Pamiętam, jak siadywałem czasem w rogu pokoju sir Gilesa i słuchałem, jak spierają się o jakiś starożytny tekst. To było fascynujące. - Mógł słuchać tych rozmów całymi godzinami.

- Nie podoba mi się to twoje nowe oblicze, Heatherington.

Aż trudno uwierzyć, że potrafisz też pracować głową i że podziwiasz coś, co nie jest ciepłe, miękkie i delikatne.

- On mówi o damach, Spenserze.

- Domyślam się, Aleksandro.

- Wolę postrzegać cię, jako łajdaka bez czci i wiary. Nie cierpię zmieniać zdania, zwłaszcza gdy jestem przekonany, że mam rację.

Lord Beecham pokiwał głową.

- Wiem, ale nie przejmuj się. Te inne części mojej osobowości pozostawały w uśpieniu przez bardzo długi czas. Teraz powoli wracają do życia. Na razie nie musisz się tym martwić.

Nie zmienię się tak szybko.

Douglas odchrząknął, nieco zakłopotany.

- Postanowiłem pomóc ci w tej sprawie, Heatherington.

Pomogę ci nawet przyprowadzić wielebnego Mathersa do hotelu.

Tak, potrzebujesz mnie, Heatherington. Niewykluczone, że wmieszają się do tego jacyś dranie, a ty możesz sobie nie poradzić w pojedynkę. Chcę też mieć pewność, że nikt nie wykorzysta Helen. Tak, dopilnuję, żeby nie przechytrzyli cię jacyś szarlatani, dopilnuję też, żebyś sam nie palnął jakiegoś głupstwa. Znam wielebnego Mathersa od wielu lat, odkąd jeszcze byłem chłopcem. Nie będzie miał nic przeciwko temu, bym ci pomógł. Poradzę mu nawet, co ma robić, by nie mówić przez sen.

- Douglas, doceniam to, naprawdę. Jestem też pewien, że Helen nie będzie miała nic przeciwko temu, byście do nas dołączyli. Na początek spytam was więc, czy nie słyszeliście, by wielebny Older miał ostatnio jakieś kłopoty finansowe, jakieś zaległe długi do spłacenia.

- Ten pocziwiec zadłużony? - Douglas znów poprawił płaszcz swej małżonki, po czym dodał, marszcząc brwi: - Boisz się, że nadal będzie próbował wkręcić się w ten interes?

- Jestem tego pewien.

- Jakiś czas temu był w Ascot i stracił ponad pięćset funtów, które postawił na ogiera ze stadniny Rothermere. Ogier, owszem, wygrywał, ale na ostatniej prostej złamał nogę. Hawksberry'owie byli bardzo rozczarowani; oczywiście ze względu na konia, a nie na wielebnego Oldera. Wielebny zna wielu ludzi. Musimy mieć go na oku. Każę go śledzić. Zobaczmy, czy spotyka się z Crowleyem lub kimś z jego otoczenia. Co ty na to?

- Myślę, że to świetny pomysł. Któryś z moich służących będzie zmieniał twój, co drugi dzień. Może dzięki temu wielebny Older nie połapie się w tym zbyt szybko.

- Chyba powinniście śledzić także lorda Crowleya - wtrąciła Aleksandra. - Wydaje mi się, że z tej dwójki to on jest bardziej niebezpieczny.

- Ona ma rację. - Lord Beecham pokiwał głową. - Niestety, tylko jeden z moich służących nadaje się do tego rodzaju zadań.

Drugiego po prostu wynajmę.

- Ja zrobię to samo - przyłączył się Douglas.

- Podobno wielebny Older ma talent do wyszukiwania dochodowych interesów - zauważyła Aleksandra.

- Ma wiele talentów - przytaknął lord Beecham. - To bardzo inteligentny człowiek, a przy tym chyba najlepszy mówca, jakiego kiedykolwiek słyszałem. Zawsze go lubiłem. Mam nadzieję, że nie okaże się łajdakiem.

- Powinniście zobaczyć, jak zaleca się do dam. Jest w tym naprawdę dobry. Przyznam, że kiedyś zalecał się także do mnie.

- Kiedy widziałem się z nim po raz ostatni - opowiadał

Beecham - mówił, że zamierza się ożenić, przejść na emeryturę i prowadzić stadninę swej przyszej małżonki w Wessex. Miał zamiar zająć się hodowlą koni.

- Stary rozpustnik... Nie, nie chodzi mi o ten pomysł ze stadniną, ale kiedy pomyślę, że zalecał się do mojej żony...

- Z kim on się chce żenić?

- Z lady Chomley.

- Piękna kobieta. - Aleksandra pokiwała głową, a po chwili zmarszczyła brwi.

- Co? O co chodzi?

- Słyszałam, że Lilac lubi nieco bardziej wyrafinowane formy miłości fizycznej.

Douglas spojrział na nią groźnie.

- Co znaczy „bardziej wyrafinowane”? Czy to coś, czego my nie robimy regularnie? Moja droga, czy ukrywasz przede mną jakąś nową, perwersyjną odmianę przyjemności?

Aleksandra zaczerwieniła się po czubki uszu. Przyłożyła dłonie do policzków i po dłuższej chwili odrzekła:

- Nie chciałabym poruszać teraz tego tematu. Spenserze, pozwól, że opowiem ci o naszych bliźniakach.

Wysłuchawszy długiej opowieści o najmądrzejszych i najpiękniejszych dzieciach w Anglii, lord Beecham powiedział:

- Gdybym był inny, sam chętnie zostałbym ojcem bliźniaków. Po jednym na każde kolano.

Sherbrooke'owie patrzyli nań w osłupieniu.

- A gdyby darli się, co sił w płucach - przemówił wreszcie Douglas - co byś zrobił?

- A co ty robisz?

- Zabieram ich na przejażdżkę.

Lord Beecham zmarszczył brwi i odwrócił się do okna. Nie miał pojęcia, dlaczego właściwie to powiedział. Zresztą i tak nie miało to znaczenia. Nie odnosiło się w żaden sposób do jego życia, przynajmniej jeszcze przez kilkanaście lat. Czterdzieści pięć lat to dobry wiek, by zostać ojcem.

W ogromnym gmachu British Museum panował przygnębiający półmrok. Każdy krok niósł się echem po wielkich, kamiennych przestrzeniach. W dodatku było tu zimno i wilgotno. Douglas nie musiał przypominać żonie, by zapięła płaszcz, bo Aleksandra sama szczelnie się nim otuliła.

- W bocznych salkach jest znacznie przyjemniej - zapewnił ich lord Beecham. - Są tam kominki i dużo świec. Pokój, w którym pracuję z wielebnym Mathersem, jest wręcz przytulny.

- Wystarczyłoby kilka dodatkowych okien, żeby to miejsce nie było takie ponure - stwierdziła Aleksandra. - Może jakieś zasłony w ciepłych kolorach.

- Przychodzą tutaj tylko bardzo poważni naukowcy - odparł Douglas. - Potrzebują atmosfery skupienia i odpowiada im surowy wystrój muzeum. Z pewnością nie życzyliby sobie żadnych zasłon w ciepłych kolorach.

Przechodzili przez kolejne wielkie sale, wszystkie niemal zupełnie puste. Zatrzymywali się co jakiś czas, by obejrzeć eksponaty wystawione w gablotach, jednak ze względu na chłód nie bawili przy nich długo. We wszystkich salach przebywało razem nie więcej niż kilkanaście osób, pochylonych nad księgami lub rozprawiających o czymś szeptem.

Lord Beecham wprowadził ich do bocznego korytarza. Drzwi pokoju, w którym pracował wielebny Mathers, były zamknięte. Beecham zapukał lekko, potem je otworzył. Z wnętrza napłynęła fala ciepła. W kominku płonął ogień, na ścianach kładły się chwiejne cienie.

- Wielebny?

Milczenie.

Wszyscy weszli do środka. Przez cały pokój ciągnął się jeden długi stół, oświetlany przez wielkie kandelabry rozstawione w równych odstępach. Na blacie leżały dziesiątki książek, niektóre porozrzucane, inne starannie ułożone przez pracowników biblioteki. Wielki stary tom leżał otwarty na środku stołu, jakby ktoś przed momentem szukał w nim właściwej strony.

- O Boże - szepnęła Aleksandra i cofnęła się o krok.

Po drugiej stronie sali, w cieniu, siedział wielebny Mathers, nisko pochylony nad wielką,

czerwoną księgą oprawną w skórę. Nie czytał jednak ani nie pisał niczego piórem, które trzymał luźno w opartej na stole dłoni.

Wyglądał tak, jakby zasnął, wiedzieli jednak, że to nieprawda.

Rył martwy. W jego plecach tkwił sztylet.

Lord Hobbs będzie tu lada moment - powiedział cicho lord Beecham do Aleksandry i Douglasa. - Niedawno został komisarzem. To bardzo inteligentny człowiek, wie przy tym, kiedy powinien skorzystać z pomocy innych, bardziej doświadczonych policjantów. Ale nie poddaje się też łatwo. Pamiętacie kradzież rabinowego naszyjnika lady Melton? To było jakieś pół roku temu. Lord Hobbs osobiście przybył na miejsce, porozmawiał ze wszystkimi obecnymi, a potem posłał swojego człowieka na przeszpiegi.

- I co, odzyskał ten naszyjnik? - spytała Aleksandra, pociągając kolejny łyk bardzo mocnej indyjskiej herbaty. Siedziała obok swojego męża na obitej jasnozielonym brokatem sofie. Lord Beecham patrzył, jak Claude wprowadza do salonu wysokiego, bardzo szczupłego mężczyznę w szarym ubraniu. Lokaj starał się być uprzejmy, lecz jego ponura mina zdradzała, że wcale nie jest zadowolony z tej wizyty. Beecham słyszał, jak wcześniej Claude mamrotał do samego siebie:

- Morderstwo. Co się stanie z nami wszystkimi, kiedy pan zostanie wmieszany w morderstwo?

Lord Beecham podniósł się z miejsca, odpowiadając jednocześnie Aleksandrze:

- O tak. Londyńscy policjanci są bardzo sprytni, znają wszystkich rzezimieszków i zbrodniarzy grasujących po ulicach miasta. Lord Hobbs to dżentelmen, który kieruje działaniami naszej policji.

- Lordzie Hobbs.

Nastąpiła zwyczajowa wymiana uprzejmości. Nie obyło się, oczywiście, bez krótkiego komentarza na temat aktualnej sytuacji politycznej, wyboru nowego regenta, który miał sprawować władzę w imieniu szalonego króla Jerzego. Kiedy mieli już przejść do sprawy wielebnego Mathersa, w drzwiach salonu znów pojawił się Claude.

- Milordzie...

- Tak, Claude?

- Na miłość boską, Claude, wpuść mnie. To bardzo ważna sprawa. No, rusz się!

Za plecami Claude'a pojawiła się Helen, ubrana w jasnoniebieską pelisę i dobrany kolorem czepek. Była zarumieniona i niecierpliwie odpychała lokaja od drzwi.

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście, kiedy wpadła do salonu jego piękna dziewczyna, jego walkiria, jego anioł i amazonka. Naprawdę tu była. Nawet nie TASSNSA sobie sprawy, jak bardzo się za nią stęsknił.

Patrzył na nią w milczeniu, ogarnięty wielką radością. Wiedział, że musiało się wydarzyć coś naprawdę ważnego, nie chciał jednak rozmawiać o tym w obecności lorda Hobbsa.

- Witam, panno Mayberry - powiedział wreszcie.

Helen natychmiast ruszyła w jego stronę, jakby w ogóle nie dostrzegła innych ludzi obecnych w salonie.

- Och, Spenserze, musiałam przyjechać tu osobiście. Nie uwierzysz, ale... - urwała raptownie, ujrzawszy wysokiego mężczyznę w szarym ubraniu. Zmierzyła go wzrokiem, za mrugała, po czym oświadczyła: - Piękny uniform.

Lord Hobbs, który uchodził za człowieka o żelaznych nerwach, znieruchomiał na moment, zakrztusił się, a potem wybuchnął śmiechem.

- Cóż, dziękuję pani.

- Panno Mayberry - zaczął lord Beecham swobodnie - pozwoli pani, że przedstawię jej lorda Hobbsa, komisarza policji. Jest tu z nami, bo wydarzyło się coś strasznego.

- Miło mi panią poznać, panno Mayberry - powiedział lord Hobbs, uśmiechając się do tej niezwyklej istoty, która patrzyła mu prosto w oczy. Pochylił się i ucałował jej dłoń.

Lord Hobbs był całkiem przystojnym i wysokim mężczyzną. Lord Beecham nie wiedział jeszcze, czy powinien się tym martwić.

- Witam, milordzie. Jest pan policjantem? Co pana tu sprowadza? Spenserze, nic ci się nie stało?

- Dziękuję, Helen. Jestem cały i zdrowy.

- Owszem, panno Mayberry, jestem policjantem.

- Douglas? Aleksandra? Co wy tu robicie? Co się stało?

Douglas wstał i poklepał ją uspokajająco po ramieniu, podczas gdy Aleksandra mówiła:

- Jesteśmy tu, by ci pomóc. Razem pokonamy każdą prze szkodę Helen, nie martw się.

Douglas dodał swym niskim, kojącym głosem, który zawsze osadzał rozbrykane bliźniaki:

- Helen, uspokój się.

- Dobrze już, dobrze, jestem spokojna. A teraz powiedzcie mi, co się stało.

Lord Beecham przerwał im na moment, posadził wszystkich przy stole i posłał Claude'a po herbatę.

- No dobrze - zaczął spokojnym, lecz stanowczym tonem, ściągając na siebie uwagę wszystkich osób obecnych w pokoju. - Opowiem teraz o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Lordzie Hobbs, proszę mi przerwać, jeśli będzie pan miał jakieś pytania.

Ty także, Helen. Otóż wraz z Aleksandrą i Douglasem wybrałem się na spotkanie z wielbnym Mathersem. Kiedy weszliśmy do jego pokoju w British Museum, wielbny leżał martwy na stole, a w jego plecach tkwił sztylet. Ciało wielbnego było jeszcze ciepłe, co nie musi jednak oznaczać, że zmarł tuż przed naszym przybyciem, w pokoju bowiem było bardzo ciepło.

Helen siedziała w milczeniu, mocno zaciskając dłonie złożone na kolanach, i nie spuszczała z niego wzroku. Była zarumieniona. Z podpiętych do góry włosów wymknął się pojedynczy kosmyk, który opadał teraz swobodnie na plecy. Wyglądała na zszokowaną. Nie była przerażona, raczej krańcowo zdumiona. Rozumiał, co czuje.

- Wiem, że pozostał pan na miejscu zbrodni aż do przybycia moich ludzi, lordzie Beecham - wtrącił lord Hobbs. - Wiem też, że pracował pan z wielbnym Mathersem, sprawdził pan więc

zapewne, czy nie zginęły jakieś materiały, które wielebny miał w swojej pieczy. Czy wszystko zostało na miejscu, czy też morderca zabrał coś ze sobą?

- Niestety, zabrał - odrzekł lord Beecham, uznawszy, że nie ma żadnego powodu, by taić prawdę przed lordem Hobbsem. - Wielebny Mathers i ja pracowaliśmy nad przekładem pewnego tekstu z bardzo starego pergaminu, który panna Mayberry odkryła w pobliżu swego domu w Essex. Wielebny Mathers miał kopię tego tekstu. I właśnie ta kopia zniknęła.

Helen zbladła jak ściana.

- Och, nie - jęknęła. - Och, nie.

- Czy ten tekst zawierał jakieś cenne informacje?

- Być może - odparł lord Beecham. - Przede wszystkim jednak był cenny ze względu na swój wiek. To niezwykle odkrycie archeologiczne, sir, wydarzenie o niebagatelnym znaczeniu dla całego świata nauki.

- A może... - zastanawiał się głośno lord Hobbs, nie mogąc oderwać wzroku od panny Mayberry - może jakiś kolega wielebnego Mathersa pozazdrościł mu tego znaleziska? Może pokłócili się o nie, a wtedy ten wbił mu nóż w plecy?

- Gdyby to był naukowiec - odrzekła Helen, siadając pros to - z pewnością wolałby zabrać oryginał, a nie kopię.

- Ma pani rację, oczywiście - pokiwał głową lord Hobbs, patrząc na Helen z podziwem, co wcale nie zachwyciło lorda Beechama.

- Przypuszczalnie chodzi raczej o to, że tekst ten może dopomóc w odkryciu wielkiego skarbu - przemówił lord Beecham, starając się odwrócić od Helen uwagę lorda Hobbsa. - Nikt z nas nie wie, czy tak jest naprawdę.

Lord Hobbs milczał przez chwilę, potem ponownie spojrzał na pannę Mayberry.

- Gdzie pani znalazła ten pergamin?

- W grocie na plaży.

- Rozumiem. Nie wie pani, jak tam trafił? I co może zawierać?

- Nie. Tekst napisany został w starożytnym języku, którego nie byłam w stanie odczytać.

- Dlatego właśnie pracowałem nad nim z wielebnym Mathersem - wtrącił Beecham.

- Rozumiem. - Lord Hobbs pokiwał głową. - Proszę podać mi nazwiska ludzi, którzy, pańskim zdaniem, mogli być zainteresowani tym tekstem.

- Przychodzą mi do głowy tylko dwa nazwiska, sir. Wielebny Titus Older i Jason Fleming, lord Crowley.

Ku zdumieniu wszystkich obecnych lord Hobbs zaklął cicho, lecz widząc malujące się na twarzy lorda Beechama nieme pytanie, wyjaśnił:

- Wielebny Older pewnie znów tonie w długach. A niech to, będę musiał sprawdzić, jak bardzo pograżył się tym razem.

A lord Crowley to dość podejrzana postać. Nawet bardzo podejrzana, jeśli wierzyć różnym plotkom.

- Sądzę, że co najmniej osiem na dziesięć opowieści, jakie pan o nim słyszał, to prawda - wtrącił Douglas. - Jakies trzy lata temu lord Crowley próbował zdefraudować pieniądze konsorcjum zajmującego się budową kanału w okolicach Yorku.

- Co się wtedy stało, milordzie?

- Kiedy zorientowałem się, że Crowley macza w tym palce, natychmiast kazałem przeprowadzić

kontrolę. Sam zainwestowałem w to przedsięwzięcie pięć tysięcy funtów i nie chciałem ich stracić.

- Zdemaskował go pan?

Douglas skinął głową.

- Zdołał jednak uniknąć kary. Wszyscy wiedzieli, co zrobił, ale dowody przestępstwa zniknęły. Zginął też jeden z członków konsorcjum. Sąd uznał, że było to samobójstwo. Mało kto w to wierzył, nikt jednak nie miał żadnych dowodów, nie można więc było oskarżyć Crowleya o morderstwo. Ma pan rację, lordzie Hobbs, to bardzo podejrzana figura. Wiem też, że jest: człowiekiem mściwym i że chętnie skrzywdziłby kilka osób.

- Pan jest jedną z nich?

- O, tak. Cztery lata temu chciał poślubić moją siostrę.

Powiedziała mu, bardzo rozsądnie zresztą, że jest dla niej za, stary i że wydaje zbyt dużo pieniędzy na hazard, ona zaś nigdy nie wyjdzie za hazardzistę. Oczywiście ta odpowiedź nie przypadła mu do gustu. Stwierdził podobno, że żadna kobieta nie może mieć takich poglądów i że z całą pewnością to ja włożyłem te słowa w jej usta. Dlatego też, na szczęście, obwinił mnie, a nie moją siostrę.

- Zawsze brakuje mu pieniędzy - dodał lord Beecham. - Pogrzebał już dwie żony, obie bardzo posażne.

- Uważa pan, że lord Crowley zabił swoje żony? - spytał wprost lord Hobbs.

- Wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby tak było w istocie - odparł zamiast Beechama Douglas. - Nie ma szczęścia do kart, a wciąż gra w pokera. Nie potrafi się powstrzymać.

- Tak - pokiwał głową Beecham. - Zawsze wierzy, że przy następnym rozdaniu szczęście wreszcie się do niego uśmiechnie.

Lord Hobbs wstał i zaczął przechadzać się po salonie.

- Niewykluczone więc, że obaj ci dżentelmeni uważali tekst z pergaminu za klucz do ogromnego bogactwa?

Wszyscy przytaknęli, kiwając głowami.

- Nie chce mi się wierzyć, by wielebny Older mógł kogoś zamordować. Owszem, ma swoje słabostki, ale przecież to sługa boży.

- Sługa boży czy nie, kazałem swojemu człowiekowi go śledzić - powiedział Douglas. - Lord Beecham zrobił to samo.

Chcemy także obserwować Crowleya.

Lord Hobbs skinął głową.

- Bardzo rozsądnie. Oddeleguję jednego z moich najlepszych podwładnych do tej sprawy. Może pracować z waszymi ludźmi, dowodzić nimi, jeśli nie macie nic przeciwko temu. Bardzo zależy mi na znalezieniu mordercy. Zasztyletowanie pastora w British Museum to spektakularna zbrodnia, wymaga też więc spektakularnych środków. Mój detektyw, pan Ezra Cave, wkrótce pojawi się u państwa. Żegnam i życzę państwu miłego dnia, mimo wszystko. - Lord Hobbs wstał z miejsca, zatrzymał się jednak przed Helen. - Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, panno Mayberry. - Jego głos, zwykle tak zimny i oficjalny, nagle stał się łagodny i ciepły niczym wiosenny dzień. Przekłety podrywacz, pomyślał lord Beecham. - Zatrzymała się pani w Londynie na dłużej?

Helen, pogrążona w myślach, pokręciła tylko głową i odrzekła:

- Nie, przyjechałam tylko po to, by spotkać się z lordem Beechamem.

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o pani odkryciu.

Mogę panią odwiedzić?

To obudziło czujność Helen.

- Nie wiem, gdzie się zatrzymam, milordzie.

- Zostaniesz u nas - zdecydowała za nią Aleksandra.

- Więc do zobaczenia, panno Mayberry. - Lord Hobbs obdarzył ją przeciągłym spojrzeniem, po czym wreszcie ruszył do drzwi.

- Nie będziesz spotykać się z lordem Hobbsem sama - oświadczył lord Beecham, kiedy komisarz zniknął już za drzwiami. - Z jakiegoś powodu on próbuje cię usidlić.

- Jak to „z jakiegoś powodu”? Czyżbym była trollem?

- Z pewnością nie, trolle są małe. I nie próbuj łapać mnie za słówka. Tak mi się po prostu powiedziało. Nie spotykaj się z nim sam na sam. Nalegam na to.

- Na miłość Boską, Spenserze, kogo to obchodzi? - Helen zerwała się z miejsca i pomachała mu pięścią przed nosem. - Martwisz się Hobbsem, kiedy wszystko dokoła wali się w gruzy? - Otarła czoło wierzchem dłoni. - Nie mogę uwierzyć, że prowadzimy takie idiotyczne rozmowy. Wielebny Mathers nie żyje z powodu tego przeklętego pergaminu. Nie żyje! Co my teraz zrobimy?

- Helen, nie wpadaj w histerię - wtrąciła się Aleksandra tonem matki przełożonej. - Weź się w garść.

Helen zamrugwała gwałtownie, wzięła głęboki oddech i wyprostowała ramiona. Zdjęła czepek i wsunęła zabłąkany kosmyk na miejsce, do warkocza.

- Proszę bardzo - oświadczyła. - Już się pozbierałam.

- Dobra robota - pochwalił ją lord Beecham z uśmiechem. - A teraz powiedz nam, co się stało.

Patrzył, jak Helen przechadza się po pokoju. Długie kroki, długie silne nogi. Widział te nogi tak wyraźnie, czuł, jak zaciskają się na jego bokach. Nie, nie wolno mu było o tym myśleć. Nie mógł się tak rozpraszać.

- Mój Boże. - Helen westchnęła. - To naprawdę straszne.

Cokolwiek by o tym mówić, ten człowiek zginął przeze mnie.

- Helen, znów się rozklejasz - zganiła ją Aleksandra.

- Weź się w garść. To nie ty wbiłaś nóż w plecy wielebnego Mathersa.

Zrobił to jakiś zły człowiek. To nie twoja wina.

Lord Beecham, który zdołał jakoś powściągnąć swą wyobraźnię, podszedł do Helen i ujął jej dłonie. Potem spojrział w jej oczy, błękitne niczym letnie niebo. Wyczuwał teraz jej lęk, zdenerwowanie i niedowierzanie. Musiał jej pomóc. To była naprawdę poważna sprawa.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział. - A teraz opowiedz nam wreszcie, co stało się w domu.

- Ktoś próbował się włamać do Shugborough Hall. Udałoby mu się, gdyby nie Flock. Chodził po domu przez całą noc, żeby pokazać Teeny, że ma złamane serce i wzbudzić jej litość.

Miał nadzieję, że wtedy Teeny machnie ręką na kwestię nazwiska.

- Sprawę nazwiska? - zdziwił się Douglas.

- Teeny Flock.

- To brzmi zupełnie jak „teeny flock”, małe stado - mruknęła Aleksandra.

- Wolalabyś Teeny Bloodworm? - spytał lord Beecham.

- Mała krwi warta? Nie, oba są nie do przyjęcia.

- Otóż to. - Helen przytaknęła. - Tak czy inaczej, Flock krążył po domu, zapewne po to, żeby mieć jeszcze większe cienie pod oczami, kiedy dojrzał jakąś postać za oknami salonu.

Ktoś próbował otworzyć drzwi i wejść do środka. Flock podniósł alarm. Włamywacz uciekł, ale niewiele brakowało, by dopiął swego. Gdyby Flock go nie wystraszył, ukradłby pergamin. - Helen wzięła głęboki oddech. - Spenser, ktoś poznał naszą tajemnicę.

- To mógł być zwykły złodziej. Może szukał tylko złota i kosztowności - zasugerował Douglas.

- Może - zgodziła się uprzejmie Helen. - Ale nie sądzę.

Zwykli złodzieje nie zagląдают do Shugborough Hall. Cieszymy się wśród nich nie najlepszą reputacją, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

- O tak, doskonale rozumiemy. - Lord Beecham uśmiechnął się. - Przykro mi, że tak się stało, Helen. Dobrze, że Flock stał na straży. Czy po tym wszystkim Teeny jest mu bardziej przychylna?

Helen uśmiechnęła się szeroko.

- Skarżyła się, że jej przyszłe dzieci nie będą chciały wymawiać nazwiska swojej matki.

- Nikt nie zna szczegółów tej sprawy - rozmyślał głośno Douglas, wracając do tematu. - Pokusa ukrytego bogactwa jest jednak na tyle silna, że ktoś próbuje włamać się do waszego domu, a ktoś inny zamordował pastora.

- To zaś oznacza - przyłączyła się Aleksandra - że ktoś dowiedział się o udziale Helen w całej historii i postanowił działać.

- Nie podoba mi się to, oj nie - Douglas kręcił głową. - Wydam polecenie, by Kelly natychmiast zaczął śledzić lorda Crowleya. Kelly to mój najsilniejszy i najsprytniejszy służący.

- Jego zmiennikiem będzie Crimshaw - dodał lord Beecham. - Wychował się w slumsach. Poradzi sobie w każdej sytuacji. Poprosimy też tego policjanta, Ezrę Cave'a, o dodatkowych ludzi. Będziemy potrzebowali jeszcze, co najmniej dwóch.

- Zaraz się tym zajmę. - Douglas wstał i podał rękę żonie. - Moja droga, pojedziesz ze mną. Helen i Heatherington na pewno mają sobie wiele do powiedzenia.

- Tak - przyznała Helen. - Chyba masz rację.

- Będziecie nas o wszystkim informować - rzucił na od chodnym Douglas i wyprowadził żonę z salonu.

Lord Beecham odwrócił się do Helen. Wpatrywała się weń tak intensywnie, jakby chciała przejrzeć go na wylot.

- Zdecydowałem właśnie, że wrócimy razem do Court Hammering. Najpierw jednak odwiedzimy Starego Clothheada Mathersa, brata wielebnego Mathersa.

Stary Clothhead był pijany, kiedy przybyli do małej miejskiej rezydencji wielebnego Mathersa w pobliżu Russell Square. - Zaraz zwymiotuje na mój dywan, mówię państwu - jęczała pani Mappe, gospodyni wielebnego Mathersa, którą lord Beecham poznał tydzień wcześniej. - Och, mój biedny pan, zabity przez jakiegoś łajdaka.

- Już pani o tym wie, pani Mappe? - zdziwił się lord Beecham.

- O tak, milordzie, wiem. No proszę! - wykrzyknęła, uśmiechając się do Helen. - Ale z pani ślicznotka!

- Był tutaj lord Hobbs?

- O tak, co za dziwny człowiek, cały na szaro, jakby chciał, żeby wszyscy na niego patrzyli.

Pani Mappe rozgadała się na dobre i dopiero po jakichś dziesięciu minutach zaprowadziła ich do Starego Clothheada.

- Zabiłem mojego brata - zawodził, zwinięty w kłębek na dywanie. - Mówiłem każdemu, kto postawił mi kufel piwa, o tym, co robił. Zabiłem mojego brata. Zawsze ostrzegał mnie, że trafię do

piekła. Teraz już na pewno mnie to nie ominie.

Lord Beecham przyklęknął obok Starego Clothheada, drobnego, chudego mężczyzny, który wyglądał tak, jakby od kilku tygodni nie zjadł porządnego posiłku.

- Podaj mi nazwiska ludzi, którym o tym mówiłeś, ale nie zwykłych pijaczków, tylko ludzi z pieniędzmi.

Musiał powtórzyć prośbę trzy razy, nim wreszcie stary go zrozumiał:

- Wielebny Older, choć tego pieniądze się nie trzymają.

Titus postawił mi brandy, nie piwo, pewnie wydał na to ostatniego pensa, ale był okropnie podniecony tym pergaminem, ciągle mnie o niego wypytywał. Potem był lord Crowley, James Arlington i...

Stary Clothhead nie zwymiotował na dywan pani Mapped. Po prostu zasnął w połowie zdania.

Lord Beecham wstał i spojrzał na nieprzytomnego mężczyznę.

- Jest żalony. - Helen skrzywiła się. - I ma rację. To on odpowiada za śmierć swojego brata. - Wysunęła nogę, jakby chciała kopnąć go w żebra, powstrzymała się jednak i zakryła twarz dłońmi. - Och, nie, ja jestem równie odpowiedzialna jak on. To ja znalazłam ten przeklęty pergamin. Spenser, kim są ci ludzie?

Położył jej ręce na ramionach i łagodnie przyciągnął do siebie. Pocałował ją w skroń.

- Helen, wszystko będzie dobrze. Opowiem ci o nich. Nie wiedziałem, że James Arlington też jest w to wmieszany.

Godzinę później dowiedzieli się, że lord James Arlington, czwarty syn diuka Hailshama, nie żyje. Podobno został zastrzelony w pojedynku z lordem Crowleyem, który przyłapał go na oszustwie. Pojedynki były w Anglii prawnie zabronione, ponieważ jednak nikt nie mówił o tym otwarcie, nie wszczynano śledztwa w tej sprawie. Podobno diuk, ojciec lorda Jamesa, na wieść o śmierci syna wzruszył tylko ramionami i powiedział:

- Zawsze oszukiwał. Nauczył się tego od matki. Najwyraźniej tym razem oszukał niewłaściwego człowieka.

Jakiś czas potem lord Beecham wybrał się wraz z Helen w drogę powrotną do Court Hammering. Jechali konno, popołudnie było bowiem ciepłe i słoneczne, rozkwitały kwiaty, drzewa pyszniły się świeżą zielenią.

- Zapomniałem ci powiedzieć - przemówił lord Beecham - że mamy dwoje nowych partnerów.

- Douglasa i Aleksandrę?

Skinął głową, pochylił się i poklepał swego konia po karku. Kiedy się wyprostował, patrzył prosto przed siebie, na drogę.

- Zanim przyjechałaś, miałem inne plany na wieczór - oświadczył.

Nie wydawała się nawet zainteresowana.

- Hm...

- Chciałem kochać się z jakąś aktoreczką, wziąć ją trzy razy w ciągu piętnastu minut.

- Hm.

Spoglądał na nią z coraz większą frustracją.

- Byłaś dla mnie po prostu kimś nowym, egzotycznym, to wszystko.

Teraz nie odpowiedziała mu już nawet pomrukiem.

- Gdybyś została na noc u Aleksandry i Douglasa, pewnie zakradłbym się do twojego pokoju przez okno i znów się z tobą kochał. Co o tym myślisz, do diabła?

- Wybacz, Spenserze. Zapatrzyłam się na te śliczne kwiaty.

Mówiłeś coś do mnie?

- Helen, chcesz, żebym spuścił ci lanie?

- Źle by się to dla ciebie skończyło, wiesz o tym. Co się z tobą dzieje? Znaleźliśmy się w okropnej sytuacji. Nie wiemy o lampie nic ponad to, co wiedzieliśmy już dwa tygodnie temu, kiedy wyjechałeś do Londynu. Dodam tylko, że z Londynu do Court Hammering jest ledwie półtorej godziny drogi, ale ty ani razu nie przyjechałeś mnie odwiedzić.

Tak, teraz nadeszła właściwa pora. Musiał to zrobić, jeśli nie chce być przegrany. Ignorując jej skargę, powiedział:

- Posłuchaj mnie, bo to bardzo ważne. Postanowiłem, że będę wyłącznie twoim partnerem, nikim więcej. Zawsze.

Nie potwierdziła w żaden sposób, że go zrozumiała. Zachowywała się tak, jakby znów odbiegła gdzieś myślami i w ogóle go nie słyszała. Po prostu jechała w milczeniu aż do samego Court Hammering.

Przez ostatnie pół godziny padał deszcz.

19

Nettle jechał w powozie za swoim panem. Kiedy lord Beecham odwracał się do niego, Nettle wystawiał głowę przez okno, nie zważając na siąpiący z nieba deszcz.

- Nie może się już doczekać, kiedy zobaczy Teeny, swoją boginię - powiedział do Helen, która i tak się doń nie odzywała, a na dodatek jechała o jakieś dwadzieścia metrów z przodu.

Ku rozpaczycy swego lokaja, lord Beecham postanowił zatrzymać się w „Lampie Króla Edwarda”. Nie chciał mieszkać w domu Helen; wystarczyło, by ujrzał ją w koszuli nocnej, a z pewnością zapomniałby o swym postanowieniu i zupełnie straciłby głowę. Gospoda była miejscem znacznie bezpieczniejszym. Tutaj Helen nie chodziła rozebrana ani nie obrzucała go kokieterijnym spojrzeniem.

Potem pomyślał o altance i o starej, zrujnowanej chacie. W chacie była przemoczona, wcale nie próbowała go prowokować. Co do altanki... oboje dobrze wiedzieli, co się tam stanie. I, oczywiście, nie pomylili się.

Miał nadzieję, że zatrzymując się w gospodzie, postępuje właściwie, że dzięki temu uda mu się zachować ten dobrowolny celibat.

Będzie jej partnerem. Nie kochankiem. Nie pozwoli, by żądze znów zwiodły go z raz obranej, słusznej drogi.

Helen zaprowadziła go do największej sypialni w gospodzie, przestronnego pokoju na pierwszym piętrze, z widokiem na miasto. POSTANOWIŁ też przynieść tam składane łóżko dla Nettle'a. Służący wciąż nie mógł pogodzić się z myślą, że nie zobaczy Teeny.

- Wszystko będzie dobrze - mówiła Helen, poklepując go po ramieniu. - Znajdziesz inną dziewczynę równie słodką jak Teeny. Zapomnij o niej, Nettle. Po prostu nie była ci przeznaczona.

Lord Beecham posłał wreszcie Nettle'a na dół, by sługa mógł utopić smutki w piwie. Przedtem przypomniał mu, że panna Helen nie pozwala sprzedać jednemu mężczyźnie więcej niż trzy kufle jednego wieczoru.

- Napij się i zapomnij wreszcie o Teeny - zawołał za nim. - Przynajmniej na chwilę - dodał ciszej.

Ledwie Nettle wyszedł, Helen stanęła w drzwiach sypialni, oparła ręce na biodrach i spytała:

- I co teraz?

- Jesteś moją partnerką - odparł Beecham, po czym podszedł do niej, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. - Helen - wyszeptał, a potem wziął ją na ręce i zaniósł na wielkie łóżko pośrodku pokoju. Lekki wietrzyk poruszał zasłonami w oknach.

Dokoła panowała cisza, o tej porze bowiem większość ludzi jadła kolację we własnych domach.

A on był tutaj, z Helen. Leżała na plecach, a on pieścił ją, wyjmował szpilki z jej pięknych włosów, całował jej nos, uszy, brodę.

- Mój Boże, tak bardzo za tobą tęskniłem - zdołał wyszeptać między kolejnymi pocałunkami. - Twoje piersi. Nigdy nie widziałem twoich piersi. To znaczy, widziałem je w chacie, kiedy zdjęłaś mokre ubranie, ale tak naprawdę prawie nie patrzyłem. Dotykałem ich raz, ale nie tak, jakbym chciał. Wyobrażałem sobie twoje piersi, wyobrażałem sobie, jak je całuję i pieścę, moje dłonie, moje usta... o Boże, Helen. - Odszedł dwa kroki od łóżka. - Twoja suknia, Helen, twoja przeklęta suknia dojazdy konnej. I wszystkie te ubrania, które zakładacie tylko po to, by wystawić na próbę męską cierpliwość. - Zdjął z niej spódnicę w ciągu trzydziestu sekund, po czym uświadomił sobie, że on sam wciąż jest ubrany, że nie zzuł nawet butów. - Chcę zrobić to, jak należy! - krzyknął, ale po prostu nie mógł czekać, nie był w stanie. Rzucił się na nią, zerwał z niej halkę, zostawiając ją tylko w pończochach i butach. Rozpiął spodnie i wbił się w nią z krzykiem. Helen krzyknęła wraz z nim.

Przez moment myślał, że zrobił jej krzywdę. Zdołał unieść się na łokciach i spojrzeć na nią, na zamknięte oczy i rozchylone usta. Oddychała ciężko. Wbiła palce w jego plecy i wila się pod nim tak gwałtownie, że omal nie zrzuciła go z siebie.

Patrzył, jak wstrząsają nią dreszcze rozkoszy. Gdy uniosła powieki, spojrzała nań ze zdumieniem, on zaś dołączył do niej, zapomniał się całkowicie w upojeniu. Nie, żaden mężczyzna nie mógłby tego wytrzymać. Próbował ją jeszcze pocałować, lecz ciało odmówiło mu posłuszeństwa i opadł na nią bezwładnie.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedział i wreszcie odetchnął spokojnie. Przekręcił się na bok i pocałował ją w czubek nosa. Wciąż był w niej. Wiedział, że musi z niej wyjść, natychmiast, albo wszystko zacznie się od nowa, a przecież tego nie chciał. Jeśli na to pozwoli, jego postanowienie legnie w gruzach.

Zamknął oczy i powoli, bardzo powoli wysunął się z niej.

Opadła ponownie na plecy. Otworzyła oczy, czując, jak łóżko ugina się mocniej, a potem prostuje. Beecham stał obok niej, w rozpiętych spodniach, z potarganymi włosami. Wciąż oddychał ciężko, jakby ukończył właśnie długi bieg.

Wyglądał tak pięknie.

Patrzyła, jak zapina spodnie i wygładza ubranie. Potem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, na pusty o tej porze plac targowy.

Leżała na plecach, z rozłożonymi nogami. Wciąż miała na sobie pończochy i buty. Roześmiała się, nie mogła się powstrzymać, gdy uświadomiła sobie, że cały czas ma na głowie kapelusz do jazdy konnej.

- To zdumiewające - zauważyła, podnosząc się na łokcie. - Czy zauważyłeś, że tym razem zdążyłeś ściągnąć ze mnie suknię?

- Tak - odparł, odwracając się powoli. - To rzeczywiście zdumiewające. Pomyślałem o tym samym, kiedy było już po wszystkim. Przede wszystkim jednak chciałem zobaczyć twoje piersi. Helen, muszę je jeszcze zobaczyć, popatrzeć na nie.

Tak o tym marzyłem. Dobrze, że przynajmniej udało mi się ściągnąć z ciebie suknię. Nawet już nie pamiętam, jak to się stało. Potrzebowałem na to prawie trzydziestu sekund. Po wstrzymywałem się przez całe trzydzieści sekund. - Znow zaczął głośniejsz oddychać. Spojrzał na jej rozłożone nogi i oczy mu pociemniały. - Dość tego - powiedział głośnie. - Będę nad sobą panował.

Odwrócił się ponownie do okna.

- Gdzie jest pergamin?

Helen zamrugwała. Próbował trzymać się od niej z daleka. Cóż, doceniała te szlachetne zmagania, kiedy jednak na niego patrzyła, czuła tylko jego żar i siłę, i pragnęła go jeszcze mocniej niż przedtem.

- Schowałam go tutaj, w gospodzie. Nikt go nie znajdzie. - Wstała i przeszła za parawan, by doprowadzić się do porządku.

Kiedy wyszła, halka była już na swoim miejscu, wygładzona i wyprostowana. - Nie chciałam narażać na niebezpieczeństwo mojego ojca i służby. Teraz nikomu nic już nie grozi, a pergamin jest bezpieczny. - Włożyła suknię i podeszła do lustra. Wyglądała jak obłąkana. Przekrzywiony kapelusz ledwie trzymał się na głowie, usta czerwone były od pocałunków, oczy rozmarzone.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na swe odbicie, kompletnie wstrząśnięta. Oczy panny Mayberry nie bywały rozmarzone. Była właścicielką tej gospody, rządziła tutaj, trzymała wszystko w garści. Zawsze pierwsza dowiadywała się o wszystkim i pierwsza podejmowała właściwe decyzje.

Oto wykorzystała bez skrupułów tego mężczyznę, zrobiła to szybko i sprawnie. Cóż, może on wcale nie czuł się wykorzystany. Wyprostowała się, poprawiła włosy i kapelusz. Nadal jednak wyglądała jak ktoś, kto przed chwilą dał się ponieść namiętności. Każdy, kto na nią spojrzy, od razu się tego domyśli. Poklepała się po policzkach, a potem odwróciła do Beechama.

- Helen, dzięki pomocy wielebnego Mathersa udało mi się odczytać kolejny fragment tekstu z pergaminu. Nie było to wcale łatwe. Chciałabyś zobaczyć, co już wiemy?

Obudziła się w niej dawna fascynacja, nieco jeszcze przytłumiona, ale dość silna. Namiętność to dziwna rzecz, pomyślała. Wysysa z człowieka siły i zostawia go leżącego w chmurach, z pustym umysłem, pełnym sercem i rozkosznie zmęczonym ciałem.

- Tak - odparła. - Ale może najpierw zjemy kolację?

A więc muszą wyjść z sypialni. Przeniosą się do prywatnej jadalni w pobliże służących i innych gości. Nie będzie mógł rzucić Helen na stół, pomiędzy pieczonego zająca i gotowanego łososia i zedrzyć z niej sukni. Nie będzie musiał obawiać się jej, a ona jego. Jeśli ma choć trochę charakteru, nie zamknie drzwi na zasuwkę i nie rzuci się na nią. Nie będzie stwarzał takiej pokusy.

- Tylko raz - powiedział, wychodząc za nią z sypialni. - To ogromny postęp.

- To prawda, ale byłam wściekła, kiedy mnie zostawiłeś.

Chciałam cię jeszcze raz.

Te słowa uderzyły go niczym pięść, przepelniły żarem. Nie mógł jednak nic zrobić. Musiał zejść z nią do jadalni.

Podwładni Helen byli zajęci, pracowali na podwórzu, przygotowując gospodę na przybycie gości, których spodziewali się wieczorem. Helen porozmawiała z Gwen, z panią Toop i z panem Hyde'em, który próbował właśnie, jak mu wyszło piwo. Kiedy Gwen wносиła do pokoju tace z jedzeniem, lord Beecham stał przy kominku i grzał zziębnięte dłonie, w powietrzu czuć już było bowiem wieczorny chłód.

Spojrzał na stół, zobaczył tam jednak nie tylko jedzenie, ale i Helen leżącą na plecach. Oczyma wyobraźni widział, jak całuje jej usta, jak rozsuwa jej nogi i wchodzi w nią. Krzyczał, oboje

krzyczeli - i w tym momencie drzwi otwierały się z trzaskiem, trzej pomocnicy Helen patrzyli, jak wykorzystuje ich panią, ich władczynię, która ich karała, której się bali i którą jednocześnie tak uwielbiali, że gotowi byłiby dla niej zabić.

- Spenserze, co ci się stało? Wyglądasz tak, jakby ktoś do ciebie strzelił.

- Niewiele się pomyliłaś. Może kolacja pomoże mi o tym zapomnieć.

Ugryzł kawałek „pasterskiego ciasta”, specjalności pani Toop, lecz z trudem je przełknął, choć było naprawdę wyborne.

Nie, nie mógł już dłużej tego ciągnąć. Wziął głęboki oddech i powiedział to, co musiał powiedzieć:

- Odłóż widelec, Helen, i posłuchaj mnie uważnie. Prawda wygląda tak: nie mogę przebywać w twoim towarzystwie, po prostu nie mogę. Myślałem, że to możliwe. Myślałem, że tutaj, w gospodzie, kiedy dokoła kręci się tyłu... twoich ludzi... że będę w stanie się kontrolować.

Patrzyła przez chwilę na jego usta.

- Spenserze, ja także myślałam, że będę w stanie się kontrolować, ale kiedy mnie dotknąłeś, pragnęłam cię bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Zadrżał, usłyszawszy te słowa. Potem potrząsnął energicznie głową.

- Nie słyszałem tego. Nie przeżyłbym, gdybym usłyszał to, co właśnie powiedziałaś. Nie wiem, co się ze mną stało, ale czuję się pokonany. Po prostu nie mogę sobie z tym poradzić. - Podniósł na nią wzrok i pomimo cierpienia, uśmiechnął się lekko. - Może powinnaś mnie ukarać, zakuwając mnie w dyby.

Zakrzuszyła się szparagiem. Otworzyła szeroko oczy, wyobrażając sobie, jak aplikuje mu karę z Poziomu Siódmego. Na moment znieruchomiała.

- Powiedz mi, jak karzesz swoich ludzi, kiedy wsadzasz ich w dyby?

- Jeśli winowajca odbiera karę z Poziomu Piątego, zostaje rozebrany do pasa. Jego ręce i głowa zamknięte są w dybach, a kilka kobiet dręczy go przez dłuższy czas.

- Jak?

- To zależy od tego, jakie przestępstwo popełnił. Jeśli opieszale obsługiwał gości, kobiety będą go biczować wiązkami malwy.

- Rozumiem. Czy ukarany mężczyzna nie popełnia potem celowo tego samego przestępstwa?

- O nie. Uderzenia nie są może zbyt bolesne, ale plecy swędzą po nich przez dobry tydzień. To naprawdę skuteczna kara. Prawdę mówiąc, wymyśliła ją żona byłego pastora.

- O Boże - westchnął i zerwał się z miejsca, przewracając krzesło. - Naprawdę chciałem być twoim partnerem, tylko partnerem. - Pochwycił wielki kawał chleba i uciekł z jadalni, zostawiając Helen samą. Siedziała w bezruchu, zastanawiając się, jak wyglądałby w tych dybach nagi, zupełnie nagi. Nie dopuściłaby doń nikogo innego i nie dręczyłaby go pękiem jakiegoś zielska. Nie, używałaby ust, języka i... Westchnęła ciężko, po czym wstała i przeszła do kuchni, by pomóc pani Toop obierać jabłka do szarlotki.

Lord Beecham pomaszerował prosto do stajni. Nie bawił się w zakładanie siodła czy uzdy, po prostu uczepił się grzywy Luthera i wskoczył mu na grzbiet. Pogryzając chleb, jechał stępą do Shugborough Hall. Otworzył mu Flock.

- Milordzie, czy coś się stało? Co to jest? Chleb?

Lord Beecham w milczeniu połknął ostatni kęs chleba.

Milordzie, wygląda pan naprawdę dziwnie. Napadli pana bandyci? Coś się panu stało?

- Tak. Gdzie jest lord Prith?

Lord Beecham podążył za Flockiem do jadalni, niemal deptając mu po piętach.

- Proszę mi pomóc, sir - zwrócił się do ojca Helen, który siedział za suto zastawionym stołem, z nieodłączną lampką szampana w dłoni. Flock stanął za plecami swego pana, w każdej chwili gotów napełnić kieliszek. Jednocześnie przysłuchiwał się uważnie temu, co mówił lord Beecham: - Jestem w rozpaczliwej sytuacji, sir. Musi mi pan pomóc.

- O Boże - odezwał się nagle zaniepokojony Flock. - Chyba nie przywiózł pan ze sobą tego łajdaka Nettle'a? Nie mam przy sobie pistoletu.

- Flock, nie widzisz, że lord Beecham jest sam? Że cierpi?

Wkrótce zapewne dowiemy się, co jest przyczyną jego cierpienia. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że przede wszystkim jest głodny. Proszę usiąść, milordzie. Flock, podaj jego lordowskiej mości kawałek pieczonego bażanta z morelami.

- Owszem, sir, jestem bardzo głodny - przyznał lord Beecham, siadając. W tej chwili jednak wcale nie chciało mu się jeść. Chciało mu się płakać. Miał już tego dość. Walczył z tym, walczył do upadłego. Przypominał sobie swojego ojca i znów stawał do walki, lecz nawet mrok wspomnień nie zmienił w niczym tego, co się z nim stało, czemu nie był w stanie się oprzeć.

Wstał gwałtownie z krzesła, omal nie przewracając go na podłogę, i zaczął krążyć nerwowo po pokoju.

- Lordzie Prith - zaczął, stawiając ciężkie kroki, pod którymi ugięły się dębowe deski podłogi. Bogu dzięki, że nie zdjął wtedy butów. Pewnie całkiem by o nich zapomniał i przyjechałby tu boso. Cóż by to było za upokorzenie!

Nie, na szczęście miał buty na nogach, kiedy kochał się jak szalony z tą kobietą. Nigdy wcześniej nie robił tego w butach, tylko z Helen. A czy przy niej choć raz pamiętał o tym, by je zdjąć? Nie, to było naprawdę nie do zniesienia. Wziął głęboki oddech i zaczął raz jeszcze:

- Lordzie Prith, zostawiłem właśnie pańską córkę w gospodzie.

- Tak? Moja mała Helen jest świetną gospodynią. Czyżby mimo to był pan z czegoś niezadowolony?

- Owszem, z siebie i całej tej przekłętej sytuacji. Sir, sprawa wygląda beznadziejnie. Poddałem się. Chyba po prostu muszę ożenić się z pańską córką. Nie planowałem żenić się aż do bardzo późnego wieku, bo moi rodzice skutecznie obrzydzili mi instytucję małżeństwa. Przykład mojego ojca, sposób, w jaki traktował swoje kolejne trzy żony, sprawił, że sam chciałem tego uniknąć. Teraz jednak widzę, że to nie ma nic wspólnego ze mną czy Helen. To sprawa innych ludzi, nie nas.

Teraz nie ma to już znaczenia. Muszę mieć Helen. Nie mogę bez niej żyć. To szaleństwo, wiem, i muszę położyć temu kres, inaczej rzucę się w przepaść, i co się wtedy ze mną stanie?

- Przypuszczam, że umrzesz, mój chłopcze.

- Wcale mi się to nie podoba. Proszę, sir. Czy pozwoli mi pan adorować i poślubić pańską córkę?

Lord Prith patrzył nań przez chwilę.

- Słyszałem o pańskim ojcu. Nazywał się Gilbert Heatherington, prawda?

- Tak.

- Moja najdroższa Matylda przyjaźniła się z jego drugą żoną. Biedna Marianna umarła po pięciu latach małżeństwa.

- Tak, sir, byłem przy tym. Mój ojciec obsesyjnie pragnął stworzyć dynastię. Ja jednak jestem jedynym jego dzieckiem, któremu udało się przeżyć. Nie troszczył się wcale o swoje kobiety ani też o dzieci, zależało mu tylko na tym, by żyły.

Cóż, powiodło mu się tylko w moim przypadku. - Lord Beecham umilkł. Nie chciał dłużej o tym opowiadać. Jego ojciec nie żył, nie żyły jego trzy żony i ich liczne potomstwo. - Ja nie jestem taki jak ojciec - dodał po chwili.

- Mówi pan jednak o małżeństwie tak, jakby była to pańska ostateczna klęska. Dlaczego uważa pan małżeństwo za zło tylko dlatego, że ojciec dał panu niedobry przykład?

- Upokarzał moją matkę. Co roku czynił ją ciężarną, aż błagała go, by jej do tego nie zmuszał, czując, że umrze przy następnym porodzie. Ale ojciec śmiał się tylko i robił swoje, i rzeczywiście, umarła przy porodzie, przeklinając go w godzinie śmierci. Wcale się tym nie przejął, w tym czasie zresztą był u swojej kochanki. Ja jednak byłem wtedy w domu, słyszałem, co mówiła matka. Słyszałem, jak umierała. Gardziłem nim.

Poprzysiągłem sobie, że nigdy nie uczynię kobiety ciężarną, potem jednak zrozumiałem, że muszę mieć dziedzica. Po stanowiąm więc poczekać z tym do czasu, gdy będę już bliski śmierci.

- Ile miał pan lat, kiedy umarła pańska matka?

- Dziesięć. - Wpatrywał się w lorda Pritha, zdumiony, że powiedział mu to wszystko. Cóż, nie mógł już tego odwrócić.

Czekał.

Lord Prith wyprostował się na krześle.

- To musiało być wstrząsające przeżycie. Współczuję ci, mój chłopcze.

Lord Beecham nadal patrzył na człowieka, który miał zostać jego teściem. Odłonił przed nim swą duszę, powiedział mu o wszystkim, co go dręczyło. Teraz zapewne lord Prith uzna, że nie jest odpowiednim mężczyzną dla jego ukochanej córki. Czuł się upokorzony i rozgoryczony. Nie był godzien kogoś tak czystego i prawego, jedynej kobiety, którą chciał błagać o rękę, z którą pragnął spędzić resztę życia.

Nie był jej wart. Tak wyglądała prawda. Teraz czekał tylko, aż na jego szyję spadnie topór.

- Na szczęście nie jest pan niski - przemówił wreszcie lord Prith. - To dobrze wróży. Helen odrzuca zaloty niskich mężczyzn.

Zamrugnął gwałtownie ze zdumienia. Lord Prith gotów był go zaakceptować? Nie odrzucał go, mimo wszystkiego, co przed chwilą usłyszał? Lord Beecham odchrząknął niepewnie i oświadczył:

- Nie, jestem o pięć centymetrów wyższy od Helen. Ona twierdzi, że tak nie jest, ale to prawda. Pięć centymetrów, może nawet więcej.

- Mielibyście wspaniałe dzieci. Jak dobrze wiesz, mój chłopcze, niełatwo kochać się z kobietą i nie uczynić jej przy tym ciężarną. Nie zabijesz mojej córki zbyt licznymi porodami, prawda?

- Nie, nie zrobię tego - zapewnił go lord Beecham, kręcąc energicznie głową. Jednocześnie przypomniał sobie, że Helen nie może mieć dzieci. Była bezpłodna. Ta myśl przejęła go głębokim bólem, szybko się jednak opanował. Mógł przecież przekazać tytuł kuzynowi, kapitanowi okrętu, mieszkającemu w koloniach, w mieście zwanym Baltimore. Był to człowiek prawy i inteligentny, z pewnością nie przyniósłby ujmy herbowi Heatherington'ów.

Jednak, prawdę mówiąc, lord Beecham wcale nie dbał o to, jakim człowiekiem jest jego kuzyn. Chciał Helen, chciał jej na zawsze. Nie mógł się temu nadziwić. Stał w jadalni lorda Pritha, świadom, że w cieniu za jego plecami kryje się Flock, który nie śmiał nawet głośniej oddychać, by

nie zdradzić swej obecności, i wcale go to nie obchodziło. Czuł się cudownie. Czuł, że wreszcie jest sobą.

- Będę chronił Helen przez całe życie. Nie jestem biedakiem.

Będzie miała wszystko, czego zapragnie. Mam piękną posiadłość w Devon. Paledowns. Jestem pewien, że jej się tam spodoba, że pokocha te zielone wzgórza, lesiste doliny i skalne urwiska nad brzegiem morza. - Zamilkł raptownie, bojąc się, że poetycka wena poniesie go zbyt daleko. Naprawdę tracił rozum. Musi podsumować to wszystko w kilku słowach, zgrabnie i rzeczowo. Odchrząknął, zebrał się na odwagę, otworzył usta i oświadczył: - Nigdy nie spotkałem damy podobnej do pańskiej córki, sir. Jest naprawdę niezwykła.

Miałem niewyobrażalne szczęście, że skoczyła na mnie ze swego konia w Hyde Parku i przygniotła mnie do ziemi. - Przełknął nerwowo ślinę. Dlaczego to powiedział? - Ach, Paledowns, sir, będzie tam szczęśliwa. Będzie również szczęśliwa w Londynie. Mam też jeszcze trzy inne domy, wszystkie na północnym wybrzeżu. Na pewno także będą jej się podobały.

Jeśli nie, zdyscyplinuje zarządców i zmieni wszystko według swojego upodobania. Będę się o nią troszczył i wielbił ją do końca moich dni, sir.

- Nie musisz martwić się o takie rzeczy, mój chłopcze - odparł swobodnie lord Prith. - Moja droga Nell wszędzie czuje się dobrze. Z tego, co mówisz, wnoszę, że twój dom na pewno przypadnie jej do gustu. Wiesz, dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że Helen była dziwnie cicha, kiedy wyjechałeś. Hm, mogę chyba nawet powiedzieć, że była przygnębiona. Flock, jesteś tu jeszcze?

- Tak, milordzie, przyglądałem się tej paterze i zastanawiałem, jak wyczyścić te rowki między gronami. Nawet nie słyszałem, o czym panowie rozmawiali.

- To dobrze. Zgodzisz się ze mną, że panna Helen była przygnębiona, czy też jest to zbyt mocne określenie?

- Panna Helen była przygnębiona, i ja byłem przygnębiony. Ośmielę się powiedzieć, że nauczyłem ją, jak należy się smucić. Nie, z pewnością nie jest to zbyt mocne określenie.

- Tak, ja też tak sędzę. Była też roztargniona. Czasami patrzyła w dal, błędziła gdzieś myślami. Jeden z jej chłopców w gospodzie nie dopilnował stajni i ktoś ukradł cugle. Ukarła go, ale robiła to bez przekonania, wszyscy to widzieli. Schudła, co z pewnością jej nie służy, bo i tak miała już doskonałą figurę.

- Tak, sir, jest naprawdę ideałem.

- Hm... - mruknął lord Prith, pociągnął kolejny łyk szampana i zapatrzył się w obraz na ścianie. Lord Beecham również zerknął w tę stronę; obraz przedstawiał szesnastowieczną kuchnię z kilkoma królikami zawieszonymi na sznurze, przy gotowanych do gotowania. Nie lubił tego rodzaju malowideł, choć cieszyły się ogromną popularnością. Można je było znaleźć niemal w każdej londyńskiej jadalni. Tracił apetyt, kiedy na nie patrzył.

- Helen nie jest ideałem, mój chłopcze - oświadczył wreszcie lord Prith. - Muszę być z tobą szczerzy, bo wydaje mi się, że widzisz w niej samą słodycz. Jest kobietą niezależną. Czasami można by ją nawet nazwać upartą, a niekiedy, bardzo rzadko, zawziętą. Te słowa nie są chyba zbyt mocne, prawda, Flock?

- Powiedziałbym, że przemawia przez pana ojcovska wyrozumiałość, milordzie.

- Robi dokładnie to, co chce, i kiedy chce. Ma silną wolę i ciężką rękę. Widziałem, jak jednym uderzeniem powaliła pewnego zalotnika, który ją obraził. Nie złamała mu niczego, ale biedak przez tydzień chodził z podbitym okiem. Ma swoje zdanie na każdy temat, mój chłopcze, i często nie są to

opinie, które pokrywałyby się z opiniami jej ojca. Interesuje się wieloma rzeczami, jak wiesz. Jest mistrzynią dyscypliny. Tak, nawet ja wiem, co potrafi moja mała Helen. Jej chłopcy ZAWSZE starają się jej przypodobać, lecz kiedy coś przeskrobia, karze ich z całą surowością. Owszem, czasem sami się tego dopraszają, ale ona jest sprawiedliwa i nie zawsze daje im to, czego chcą.

Nie pozwoli, byś nią pomiatał i traktował ją z góry. Krótko mówiąc, moja słodka Helen jest narowista, podobnie jak jej nieodżałowana matka, moja najdroższa Matyllda. - Lord Prith spojrzął na Flocka, unosząc brew w niemym pytaniu.

- Bardzo trafne określenie, milordzie.

- Dziękuję ci, Flock.

Lord Beecham nie mógł się powstrzymać.

- Czy widział pan, jak więzi kogoś w dybach? - spytał.

- Oczywiście. Inni mieszkańcy miasta pożyczają od niej dyby, by karać swoich ludzi. W Court Hammering Helen uchodzi za boginię sprawiedliwości. Kobiety ją uwielbiają, bo nie pozwala im mężom przepuszczać wszystkich pieniędzy w gospodzie.

- Ona jest kimś więcej niż boginią. - Lord Beecham westchnął. - Muszę ją mieć.

- Tak, właśnie widzę. Zgoda, masz moje pozwolenie. Mam nadzieję, że wiesz, w co się pakujesz. Nie jesteś całkowicie zaślepiiony żądzą i dostrzegasz te drobne i bardzo nieliczne słabości, jakie okazuje czasem moja słodka córeczka?

- Prawdę mówiąc, nie miałem jeszcze okazji poznać tych słabości, ale mam nadzieję, że zdążę zrobić to w ciągu następnych pięćdziesięciu lat. Może nawet poślubię ją jeszcze raz, jeśli nadarzy się okazja.

- Czarująca uwaga, mój chłopcze. Doskonale. Flock, przynieś nową butelkę. Aha, dla mojego przyszłego zięcia butelkę brandy, tego paskudztwa. Nie będziemy przecież zmuszać go do picia szampana, żeby potem zwymiotował na pantofle Helen, prawda?

21

Geordie wysypał dziesięć kilo owsa do wielkiej kałuży. Wiedział, że zostanie ukarany, pojękiwał cicho w kącie, czekając na wyrok, ale panna Helen jakby w ogóle się tym nie interesowała. Patrzyła tylko w dal i milczała. Nie mogła przestać myśleć o tym, dlaczego Spenser złapał kawałek chleba i wybiegł z gospody. Wreszcie wyrwała ją z odrętwienia uwagą Gwen:

- Panno Helen, ten głupi oferma zasługuje co najmniej na Poziom Szósty.

Geordie zadrżał z podniecenia i strachu.

- Co? Poziom Szósty, Gwen? Nie jesteś dlań zbyt surowa?

- Dziesięć kilo owsa, panno Helen. Nakarmił nimi błoto, a nie konie.

- Dobrze, niech będzie Poziom Szósty. - Helen odwróciła się i weszła z powrotem do gospody.

Dochodziła już dziewiąta wieczorem.

Księżyc świecił jasno, wszyscy chętni mogli więc bez przeszkód obserwować kaźń Geordiego. Usłyszawszy jego krzyk, a potem głośny jęk, Helen pokręciła tylko głową i wróciła do małej, prywatnej jadalni. Dołożyła dREW do ognia. Potem wzięła do rąk kubek z gorącym cydrem, usiadła w bujanym fotelu przed kominkiem i wpatrzona w ogień wciąż wspominała, jak Spenser wybiega z gospody.

- Helen.

Odwróciła się powoli. Stał w drzwiach.

- Uciekłeś.

- Tak, ale wróciłem.

- Czego pan chce, lordzie Beecham?

- Na dziedzińcu jest nagi mężczyzna, związany i powieszony za ręce na gałęzi tego ogromnego wiązu. Gwen go biczuje.

Widziałem też, że w kolejce czekają inne kobiety. Trzymają w rękach wierzbowe witki, nie malwę.

- Tak. Geordie wysypał do kałuży dziesięć kilo owsa. Gwen uznała, że zasłużył na karę z Poziomu Szóstego.

- Rozumiem. Wyjdiesz za mnie, Helen?

Wypuściła z dłoni kubek z cydrem. Siedziała, osłupiała, patrząc jak cydr sunie wąską strużką po dębowej podłodze, w stronę drogiego perskiego dywanu. Zerwała się na równe nogi i rozejrzała dokoła.

Lord Beecham rozwiązał piękny biały fular i wręczył go jej. Potem patrzył w milczeniu, jak Helen pochyła się i ściera cydr. Robiła to jeszcze długo, choć podłoga była już całkiem sucha.

- Helen, nie ma już czego ścierać - powiedział wreszcie, wyciągając do niej rękę. - Zniszczysz podłogę.

Nie skorzystała z jego pomocy. Sama podniosła się na nogi, zachwiała się, nieco jeszcze oszołomiona, i opadła ciężko, na bujany fotel.

- Nie uciekłem. Pojechałem do Shugborough Hall. Właśnie stamtąd wracam. Twój ojciec pozwolił mi starać się o twoją rękę. Czy uczynisz mi ten zaszczyt i zostaniesz moją żoną? Z podwórka dobiegł kolejny wrzask, potem głośny jęk.

- To pewnie panna Millbark - powiedziała Helen z roztargnieniem. - Zauważyłeś, że jęk był głośniejszy niż krzyk? Panna Millbark zawsze droczy się z ofiarą, nim ją uderzy.

- Helen, w tej chwili nie obchodzą mnie zwyczaje panny Millbark ani kara Geordiego. Ile uderzeń otrzyma?

- Tylko dziesięć. Potem przez trzy godziny musi stać, nagi, przed gospodą, trzymając w rękach lampę. Jeśli pada, kara zostaje przełożona na pogodny dzień.

- Rozumiem. Więc wyjdiesz za mnie?

Pokręciła głową.

- To nie ma sensu. Pożadasz mnie, to prawda, ja czuję to samo do ciebie, ale mnie nie kochasz. Jak mógłbyś mnie kochać? Nie znasz mnie.

- Nie znam cię? Dziewczyno, jeśli nie jest to początek i wspaniałego związku, to nie wiem, co nim jest.

- To coś, czego wciąż nie rozumiem. Zaczynam wierzyć, że jesteś czarownikiem. Wystarczy, że mnie dotkniesz, a zupełnie tracę rozum.

- Tak, to całkiem przyjemne, prawda?

Milczała, dziwnie zagubiona.

Natychmiast znalazł się przy niej i uklęknął przed jej fotelem.

- Helen, wiem, że poznaliśmy się ledwie miesiąc temu.

Wiem, że nigdy nie chciałem się żenić. Ale teraz wszystko się zmieniło. My się zmieniliśmy. Wyjdź za mnie, Helen. Będziemy razem pracować. Znajdziemy tę lampę i być może będziemy razem rządzić światem, jeśli naprawdę okaże się magiczna. Co o tyra myślisz? Czy to ci wystarczy? Na świecie jest jeszcze wiele zagadek i tajemnic, które czekają na odkrycie. Możemy odkrywać je

razem. Helen, powiedz „tak”.

- Jestem równie silna jak ty.

- Możliwe. - Uśmiechnął się szeroko.

Z podwórka dobiegł kolejny, tym razem bardzo długi krzyk i krótki jęk.

- Kto to?

- Żona pastora, pani Possett. Bardziej lubi zadawać ból, niż sprawiać przyjemność. Podejrzewam, że widzi na miejscu Geordiego swojego męża. To człowiek o bardzo sztywnych, surowych zasadach. Słyszałam, jak pani Possett zgrzyta zębami, kiedy o nim mówi.

- Helen, powiedz „tak”.

- Byłam już kiedyś mężatką. - Zrobiła długą, złowróżbną pauzę. - I wcale mi się to nie podobało.

- Byłaś młoda, twój wspaniały umysł nie zdołał się jeszcze w pełni ukształtować. Tamten mężczyzna z kolei był głupcem.

Ale teraz nie ma to znaczenia. On nie żyje już od wielu lat.

Nasza sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie jesteśmy już dziećmi. Wiemy, czego chcemy.

- Nie.

Lord Beecham zachwiał się gwałtownie, jakby wymierzyła mu potężny cios. Potem podniósł się powoli z klęczek i spojrzał na nią z góry. Blask ognia rozświetlał jej blond włosy, tworząc złotą aureolę wokół głowy. Wyglądała jak anioł. A jednak miała czelność odrzucić jego ofertę.

Nie mógł w to uwierzyć. Czuł, jak rośnie w nim wściekłość i rozgoryczenie.

- Dlaczego tak mówisz? Przecież wciąż chcesz się ze mną kochać.

- Tak, zdaje się, że to jest silniejsze ode mnie. Proszę posłuchać, lordzie Beecham...

- Do diabła, mów do mnie po imieniu.

- Dobrze, Spenserze. Musisz przyznać, że to, co do mnie czujesz, i co ja czuję do ciebie, to tylko niepohamowana, bezrozumna żądza, nic więcej. Tylko żądza. A co się stanie, jeśli się pobierzemy, i po sześciu tygodniach przestanieś mnie pożądać? Co wtedy zrobisz? Będziemy związani na zawsze. Nie, nie chcę tego.

- Mówi pani zdumiewające rzeczy, madame. Wymyśliła pani bajkę, która nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Modłę się tylko, by ta żądza osłabła choć odrobinę, inaczej bowiem nie uda nam się niczego osiągnąć. Będziemy tylko kochać się ze sobą, krzyczeć na siebie, śmiać się i walczyć.

Jak się to pani podoba?

- Brzmi nie najgorzej - odparła, odwracając wzrok.

- Miała pani innych kochanków, madame? Innych mężczyzn, którzy dawaliby pani taką rozkosz?

- Nie.

Zamilkł na moment, nie wiedząc, jak ją przekonać. Po chwili przemówił ponownie, tym razem ciszej, spokojniej:

- Dlaczego mnie odrzucasz, Helen? Czego nie mogę ci dać?

Ta historia o pożądaniu, które minie po sześciu tygodniach, to bzdura. Jestem przekonany, że chciałabyś zostać moją żoną.

Bylibyśmy partnerami i kochankami do końca życia.

Trzymała ręce splecione na kolanach. Nie poruszała się, wpatrzona w płomienie.

- Nie chcę następnego męża. Nie chcę stracić tego, co mam, czym jestem.

- Na miłość boską, za kogo mnie uważasz? Niczego bym ci nie zabrał. Pragnę tylko twojego

szczęścia i starałbym się zapewnić ci je wszelkimi dostępnymi środkami.

Nie spojrziała nań, pokręciła tylko głową.

Był tak skonfundowany, tak zdumiony, że mu odmówiła, i to bez żadnej konkretnej przyczyny, że aż zaniemówił. Kiedy wreszcie odzyskał mowę, oświadczył:

- Żałuję teraz, że nie jest tak, jak mówisz, że to wszystko nie sprowadza się tylko do żądy.

Opadł na fotel obok niej, wyprostował nogi i oparłszy brodę na dłoniach, zapatrzył się w ogień.

- Kiedy właśnie tak wygląda prawda. Czyste zwierzęce pożądanie, nic więcej.

- Helen, masz klapki na oczach. Najwyraźniej ten człowiek, za którego wysłaś, kiedy byłaś jeszcze dzieckiem, nastawił cię bardzo źle do mężczyzn i do małżeństwa. Zapewniam cię, że między nami będzie inaczej. Zastanów się nad tym.

Pokręciła tylko głową.

- Ja też miałem bardzo złe mniemanie o małżeństwie, bo widziałem, jak mój ojciec niszczył życie kolejnych trzech kobiet. Wszystko to jednak traci znaczenie, kiedy myślę o nas, kiedy wyobrażam sobie ciebie u mojego boku, w moim łóżku, przy moim stole. Dlaczego nie chcesz zapomnieć o tamtych złych doświadczeniach?

Kręciła głową, nim jeszcze skończył mówić. Miał ochotę ją udusić. Wstał, podszedł do drzwi i zatrzasnął je. Na szczęście w zamku tkwił klucz, przekręcił go dwukrotnie, po czym odwrócił się do niej.

Wypuściła głośno powietrze, wstała, zrobiła krok w stronę drzwi, jakby gotując się do ucieczki, potem jednak przystanęła i zacisnęła dłonie w pięści.

- Nie, Spenser, nie chcę się z tobą kochać. Nie przekonasz mnie w ten sposób. To podłe.

- Potrafię posunąć się do jeszcze gorszych rzeczy, jeśli okoliczności tego wymagają.

Po chwili Helen leżała już na stole, a on przysuwał ją powoli do krawędzi. Próbowwała go złapać, przyciągnąć do siebie, pocałować, on jednak rozsunął powoli jej nogi i patrzył na nią, starając się zapanować nad pożądaniem. W następnej sekundzie był już w niej, i napierał na nią, potem usłyszał jej krzyk, głęboki gardłowy krzyk, który przenikał go na wskroś, rozpalał jeszcze mocniej, choć przed momentem wydawało mu się to niemożliwe. Opadł na nią i całował ją do utraty tchu. Czuł, jak zaciskają się na nim jej mięśnie, czuł ogromną siłę jej orgazmu, kiedy wiła się i przyciskała do niego z całej siły. Roześmiał się, odchylił głowę do tyłu i krzyknął, dając upust swej rozkoszy. Jego krzyk zlał się w jedno z potężnym wrzaskiem Geordiego.

- To było ostatnie uderzenie - zdołała wyszeptać Helen, po czym ugryzła go w ramię. Zdyszana, z trudem łapała oddech.

Beecham, odczekał chwilę i znów zaczął się w niej poruszać.

- Twoje piersi - powiedział. - Tym razem panuję nad sobą.

Chcę posmakować twoich piersi.

Zaczął ściągać z niej suknię, okazało się jednak, że nie ma na to dość czasu. Uniosła biodra, a on nie mógł już dłużej się powstrzymać. Helen ugryzła go w szyję, sprawiając mu ból i rozkosz jednocześnie. Tym razem zagłuszył jej jęki pocałunkiem, potem przywarł ustami do jej szyi, tłumiąc w ten sposób własny krzyk.

- No właśnie - powiedział po chwili, ogromnie z siebie zadowolony. Wyprostował się, stojąc między jej nogami, wciąż zamknięty w jej wnętrzu, i oparł dłonie na jej udach. - Otwórz oczy, Helen. Spójrz, ciągle jestem w tobie. Jestem częścią ciebie. Wystarczy już tego bezsensownego uporu. Wyjdiesz za innie. Jestem jedynym mężczyzną, do którego należysz.

Tworzymy jedność. Należymy do siebie. Razem znajdziemy tę przeklętą lampę. Razem zbudujemy życie, które da nam siłę, jakiej nie mamy w pojedynkę. Być może za jakieś pięć lat nauczę się panować nad sobą na tyle, bym mógł całować twoje piersi. - To powiedziawszy, wysunął się z niej powoli, nie odrywając od niej wzroku.

Tylko dzięki niezwyklej sile woli Helen zdołała usiąść prosto. Spojrzała za niego, na dogasający ogień w kominku.

Omam się nie przewróciła, kiedy spróbowała stanąć. Odzyskawszy równowagę, wyprostowała i wygładziła suknię. Tym razem przynajmniej nie miała na głowie kapelusza. Tego już by chyba nie zniosła.

- Helen, jesteś moja.

Zesztywniała na moment.

- Zobaczymy się jutro, lordzie Beecham - oświadczyła zimnym tonem i podeszła do drzwi.

- Będziesz myśleć o nas? O tym, jak będzie nam ze sobą dobrze, już zawsze?

Nie odpowiedziała. Gdy wyszła z gospody, zobaczyła, że Geordie stoi w blasku księżyca, w otoczeniu kilku kobiet i mężczyzn. W związanych dłoniach trzymał lampę. Był zupełnie nagi.

Skinęła mu głową. Usłyszała jego jęk, lecz nie wydało jej się, by bardzo cierpiał.

Służący osiodłał dla niej Eleanor i dwadzieścia minut później była w domu. Ojciec i Flock na szczęście wyszli właśnie na wieczorny spacer. Słyszała, jak ojciec wrzeszczy na pawie. Słyszała, jak Flock wzdycha do Teeny. Wybrali się dziś wyjątkowo późno. Przyczyną tego zapewne była wizyta Spensera.

Teeny, dziwnie milcząca tego wieczoru, pomogła jej się rozebrać, a kiedy Helen położyła się do łóżka, okryła ją szczelnie kołdrą. Wychodząc, zatrzymała się jeszcze przy drzwiach i powiedziała:

-: Panno Helen, Flock powiedział mi o rozmowie lorda Beechama z pani ojcem. Flock twierdzi, że lord Beecham jest w bardzo kiepskim stanie. Gdyby pani ojciec tego zażądał wypiłby nawet szampana. Powinna pani za niego wyjść, panno Helen, uratować go, przywrócić mu humor. On nie jest za niski, panno Helen.

Teeny wyszła.

Tej nocy Helen myślała o biednym Mathersie i zastanawiała się, kto mógł go zabić. Potem, we śnie, widziała, jak jakiś człowiek, odwrócony do niej plecami, pochyła się nad wielebnym Mathersem i wbija mu nóż w plecy. Ach, gdyby mogła zobaczyć jego twarz...

Nazajutrz nie pojechała do gospody. Została w domu, pogrążona w rozmyślaniach. Ojciec milczał, za co była mu wdzięczna. Flock wzdychał ciężko, gdy tylko ją widział, starała się jednak nie zwracać na to uwagi.

Lord Beecham nie przyjechał do Shugborough. Helen powygrażała chwilę w kierunku Court Hammering i poczuła ulgę.

Następnej nocy, kiedy księżyc zaczął już powoli zniżać się nad horyzontem, za oknami sypialni Helen rozległy się jakieś szelesty. Ocknęła się, potem jednak ponownie zapadła w spokojny, pozbawiony marzeń sen.

Po chwili w oknie zamajaczyła jakaś ciemna sylwetka. Lekko uchylone okiennice otwierały się powoli, bardzo powoli i bezgłośnie, aż tajemniczy cień przełożył nogę przez parapet i wsunął się do sypialni.

porwać obiekt swych uczuć. Stał obok łóżka Helen i patrzył na nią z uśmiechem. Jej piękne blond włosy leżały rozsypane na poduszce. Delikatny blask księżyca obmywał jej twarz. Nie był głupcem, wiedział, że jeśli przebudzi ją nagle i rozgniewa, może uczynić mu krzywdę, nasączył więc białą chustkę, którą trzymał w dłoni, zawartością niewielkiej fiołki. Zatkanął fiołkę korkiem, potem pochylił się nad łóżkiem i przyłożył chustkę do nosa i ust Helen.

Obudziła się, próbowała wstać, on jednak przycisnął ją mocno do łóżka i zdołał utrzymać tak przez następne dziesięć sekund. Potem nie miała już szans, bo straciła siły. Patrzyła na czarny cień nad sobą, czuła, jak ciężki słodki zapach wypełnia jej nozdrza, sączy się do ust, przenika ją całą. Nie zdążyła się przestraszyć. Powoli, łagodnie osuwała się w niebyt. Westchnęła i zamknęła oczy.

Lord Beecham odczekał jeszcze chwilę, potem wyprostował się, złożył chustkę i schował ją do kieszeni. Spojrzał na kobietę, którą zamierzał poślubić, i uśmiechnął się do siebie męskim, twardym uśmiechem, w którym kryła się determinacja i nieugięte postanowienie, że zaprowadzi ją do ołtarza.

Kiedy ją ubierał, tylko dwukrotnie zrobił krótką przerwę, by pocałować wreszcie jej piersi i podziwiać je w nikłym blasku księżyca. Po prostu nie mógł się powstrzymać. Były cudowne, jędrne i białe, pełne i krągłe. Musiał też pocałować jej brzuch - zamknął przy tym oczy, wiedząc, że inaczej nie oprze się pokusie.

Kiedy jęknęła cicho pod jego dotykiem, omal się na nią nie rzucił.

Kolejne dziesięć minut zajęło mu spakowanie jej rzeczy. Mnóstwo koronkowych i jedwabnych ubrań. Wiedział, że nie może zaprowadzić jej do kościoła tylko w halce, wybrał więc jasnożółtą suknię, która podobała mu się najbardziej, a do tego halkę i koszulkę. Znalazł także pantofle i pończochy. Radził sobie całkiem dobrze, był bowiem człowiekiem doświadczonym i zdecydowanym. Pończochy pasowały nawet do pantofli i sukni. Nie zamierzał szukać czepka. Zdecydował, że oboje pójdą do ślubu z gołymi głowami.

Wczorajszy dzień był zdecydowanie jednym z najbardziej pracowitych w jego życiu.

Postanowił, że wyniesie swoją wysoką dziewczynę i jej kufer na plecach. Najpierw przejdzie na drugą stronę okna, na szeroką murowaną półkę, którą dotrze do mocnej kraty oplecionej pędami róż, i po niej zejdzie bezpiecznie na ziemię.

Tak, kiedy myślał o tym wczoraj, wszystko wydawało się proste i łatwe, teraz jednak wcale nie był pewien, czy zdoła sobie poradzić z podwójnym ciężarem, i czy się nie pozabijają. Pomyślał o liście, który zostawił na poduszce, i uśmiechnął się do siebie. Ojciec Helen na pewno będzie zachwycony takim romantycznym postępkim. Jeśli Helen zechce, mogą kilkakrotnie brać ślub podczas ich długiego wspólnego życia.

To był naprawdę niezwykły wyczyn, wymagający ogromnej siły, zręczności i skupienia. Kiedy wreszcie zakończył spuszczenie się po kracie i stanął bezpiecznie na ziemi, wznosił oczy ku niebu i złożył Bogu podziękowania.

Miał swoją dziewczynę. Nie próbowała go zabić, bo była nieprzytomna. Uświadomił sobie, że nie zostało mu już tak dużo czasu. Nie chciał jej wiązać, przynajmniej jeszcze nie teraz.

Przeniósł ją przez szeroki trawnik, do karety ukrytej w cieniu drzew. Jeden z pawi wrzeszczał przeraźliwie, wyrwany ze snu. Lord Beecham dyszał ciężko ze zmęczenia.

Zamykając Helen w karecie, pomyślał, że jest niezwykłym człowiekiem, obdarzonym zarówno wielką siłą woli, jak i mięśni. Jeszcze raz sprawdził, czy Helen jest bezpiecznie ułożona - owinał ją w trzy koce i poobkładał ze wszystkich stron poduszkami, by mieć pewność, że w czasie jazdy nie spadnie z ławeczki - po czym cicho zatrzasnął drzwiczki. Wciąż oddychał ciężko, kiedy wspiał się na

kozioł i szarpnął lekko cugłami, podrywając siwego ogiera do biegu. Eleanor i Luther zostali w stajniach Shugborough Hall.

Pogwizdując cicho, jechał przez noc do odległego o dziesięć mil domku myśliwskiego, który wynajął poprzedniego ranka od lorda Marchhavena. Kiedy gospodarz tego przybytku zapytał go, czy planuje urządzić polowanie połączone z przyjęciem, pokręcił tylko głową i uśmiechnął się.

- Ach... - Lord Marchhaven pokiwał ze zrozumieniem głową. - Zapewniam pana, że to bardzo przyjemny domek.

- Będę go potrzebował przez jakiś tydzień - odrzekł Beecham.

Lord Marchhaven ponownie skinął głową, kiedy zaś ściskali sobie dłonie, powiedział:

- Nauczyłem się już, że czasami człowiek zmuszony jest robić rzeczy graniczące z przestępstwem, by osiągnąć to, co dla niego niezbędne. Miłej zabawy, milordzie.

Lord Marchhaven najwyraźniej przypuszczał, że Beecham szykuje się na tydzień szalonej rozpusty. Może powinien był mu powiedzieć, że będzie to małżeńska rozpusta. W jednym miał jednak rację: Helen była mu niezbędna. Wierzył także głęboko, że i on jest jej niezbędny. Dlaczego mu odmawiała? To nie miało sensu.

Chata myśliwska Marchhavena była w rzeczywistości uroczym georgiańskim domem z czerwonej cegły, zbudowanym na planie kwadratu. Ściany tego piętrowego budynku pokryte były gęstwiną winorośli, co czyniło go jeszcze bardziej przytulnym. Ukryty na skraju lasu Houghton, należącego w znacznej większości do rodziny Marchhavenów, służył jako miejsce spotkań i przyjęć dla myśliwych. W tej chwili nikt w nim nie mieszkał.

Kiedy wynosił Helen z karety do domu, nadal pogwizdywał pod nosem i rozmyślał o tym, jak prosił i błagał biskupa Hortona - wypił z nim nawet lampkę szampana - o specjalną dyspensę, i jak w końcu dopiął swego. Zaczął gwizdać głośniejsze, tak z siebie zadowolony, że omal nie upuścił Helen na schody. Bolała go trochę głowa, ale starał się to ignorować.

Układ domu był prosty i przejrzysty. Na górze mieściły się cztery sypialnie, największa na końcu korytarza. Była przestronna i przyjemna dla oka. Pośrodku stało łóżko tak duże, że mogłoby pomieścić sześć osób naraz. Tak, Helen z pewnością nie będzie mogła narzekać na brak miejsca. Poręcze u wezłowia i w nogach wykonane były z pojedynczych listewek, co bardzo ucieszyło lorda Beechama.

Ułożył Helen na pościeli, odwinął ją z koców i zdjął płaszcz. Wciąż pogwizdując, zapalił świece i rozpałił ogień w wielkim kominku.

Rozejrzał się po sypialni. Była doskonała, w sam raz dla porwanej kobiety, która musi nauczyć się jednego - że nie może odrzucać oświadczyn mężczyzny, którego wcześniej rozpałiła do szaleństwa.

Beecham dobrze to wszystko przemyślał. Helen nie była oferumą; gdyby mogła, rozbiłaby mu głowę przy pierwszej okazji. Nie mógł jej stwarzać takich okazji, co nie było sprawą łatwą.

Wrócił do karety, przyniósł dwa kufry, swój i Helen, potem zaprowadził siwego ogiera do stajni i nasypał mu owsa. Po powrocie do sypialni wyjął z kufra cztery fulary.

Wiedział, że Helen wkrótce się obudzi. Ach, ten cudowny środek, który dała mu pani Toop. Błagał ją o to niemal ze łzami w oczach, i nie musiał błagać długo, bo pani Toop bardzo podobał się ten romantyczny plan.

- Proszę sobie tylko wyobrazić - mówiła, przykładając ręce do swego obfitego biustu. - Moja pani nauczy się czegoś więcej o dyscyplinie. O Boże, tak będzie, prawda, milordzie? Obiecuję pan?

Ponieważ wydawało się, że ta kwestia jest dla niej niezwykle ważna, lord Beecham przytaknął i zapewnił ją solennie, że żaden inny mężczyzna w Anglii nie może nauczyć panny Helen tylu rzeczy co on i że panna Helen na pewno będzie się doskonale bawić. Kiedy już to obiecał, pani Toop dała mu fiolkę chloroformu i powiedziała, jak go używać, by nie skrzywdzić jej słodkiej pani.

Kiedy odjeżdżał, pani Toop wyszła na podwórze, by go pożegnać. Jej oczy lśniły jasno w blasku lampy, którą Geordie tak wytrwale trzymał poprzedniego wieczoru.

Wydawało się, że wszyscy chcą, by poślubił Helen. Teraz musiał tylko przekonać do tego ją samą. Gotów był zrobić wszystko, co konieczne, by osiągnąć ten cel.

Uśmiechnął się szeroko, dołożył kilka drewno do kominka, odwrócił się na pięcie i podszedł do łóżka.

Helen budziła się powoli, co ją nieco zdziwiło, zazwyczaj bowiem od razu otwierała oczy, gotowa natychmiast wyskoczyć z łóżka. Dziś jednak unosiła powieki z najwyższym trudem. Kiedy w końcu udało jej się ta sztuka, przekonała się, że jest już dzień, a słońce świeci prosto w okna po lewej stronie.

Dziwne. Przecież okna w jej pokoju były po prawej, po lewej była ściana. Czowała dziwny zamęt w głowie, jak po chwilach spędzonych ze Spenserem, kiedy była tak zmęczona, że mogła się tylko głupio uśmiechać.

Próbowała usiąść prosto, lecz nie mogła się ruszyć. To już było bardzo dziwne. Spróbowała raz jeszcze. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ma ręce związane nad głową.

Zamrugnęła, słysząc głos Spensera.

Odwrócił ją do siebie i delikatnie pocałował w usta.

- Dzień dobry, Helen. Mam nadzieję, że czujesz się już trochę lepiej. Przez ostatnie kilka godzin jęczałaś.

- Spenser?

- Tak? - Przesunął czubkami palców po jej policzku, po chylił się i ponownie pocałował ją w usta.

Machinalnie oddała pocałunek i dopiero potem zastanowiła się nad tym, co robi. Otworzyła szerzej oczy i spojrzała nań pytająco.

- Dlaczego mam związane ręce?

- Żebyś nie próbowała mnie zabić. Choć nie sądzę, by nawet tobie, moja najdroższa, udało się tego dokonać.

- Dlaczego miałabym chcieć cię zabić?

- Bo cię porwałem. Jesteśmy tu zupełnie sami. Przywiązałem cię do łóżka. Krótko mówiąc, moja słodka, jesteś zdana na moją łaskę i nielaskę.

Rzeczywiście, chciała w tej chwili uderzyć go w nos, lecz więzy trzymały ją mocno. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Beecham przywiązał jej ręce do poręczy łóżka swymi pięknymi łańcuchami.

Stopy. Próbowała poderwać nogi do góry i kopnąć go w plecy. Niestety, nogi także miała skrupowane łańcuchami.

Przestała się szamotać i wbiła weń wściekłe spojrzenie.

Uśmiechał się, wyraźnie zadowolony i radosny jednocześnie. Helen nie wiedziała, co o tym myśleć, wiedziała jednak, że nie może na to pozwolić.

Starła się nie zgrzytać zębami, nie było to jednak łatwe. Musiała od czegoś zacząć, powiedziała więc:

- Natychmiast mnie rozwiąż.

- Nie ma mowy, moja droga. Próbowalabyś przegryźć mi gardło.

- Nie, przysięgam, że tego nie zrobię. Nie zrobię ci krzywdy.

Tylko natychmiast mnie wypuść.

- Helen, nieładnie tak kłamać. Dobrze, nim przejdziemy do rzeczy, musimy rozwiązać pewien problem. Nie jest to łatwa sprawa, ale udało mi się coś wymyślić. Kiedy będziesz chciała się załatwić, rozwiążę ci obie nogi i rękę bliższą krawędzi łóżka, nocnik postawię tuż obok. Jakoś sobie poradzisz. Chciałem się przekonać, czy to możliwe, i zrobiłem to sam dziś rano. Udało mi się. Spałaś bardzo długo. Zanim podam ci śniadanie, które zresztą sam przygotowałem, rozwiążę ci nogi i jedną rękę. I nie próbuj żadnych sztuczek, Helen. Załatw swoje potrzeby, to wszystko.

Nie powiedziała ani słowa. Prawdę mówiąc, wciąż była zbyt oszołomiona. Wściekła, ale oszołomiona.

- Porwałeś mnie?

- Tak, to właśnie zrobiłem. Wyniosłem cię na plecach przez okno twojej sypialni, razem z twoim kufrem. Nawet się nie zachwiałem. Nadal stoję prosto i jestem co najmniej pięć centymetrów wyższy od ciebie.

- Ale dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłeś?

- Pani Toop chce, bym nauczył cię dyscypliny.

Uwolnił jej prawą rękę i stopy, natarł je szybko, przywracając zdrętwiałym członkom krążenie.

- Nie wyjdę z pokoju, bo wiem, że natychmiast spróbowałabyś uwolnić drugą rękę. Będę tutaj.

Poklepał ją lekko po policzku i podszedł do kominka.

Skorzystała z nocnika. Kiedy się odwrócił, próbowała rozplatać węzeł przy drugim nadgarstku. Pochwycił jej wolną rękę i przeciągnął ponownie nad głowę.

- Połóż się, Helen. Nie walcz ze mną.

Równie dobrze mógłby mówić rozwścieczonemu tygrysowi, by nie atakował poruszającego się w pobliżu stworzenia. Helen krzyczała, próbowała go kopnąć i wyrwać rękę. Lord Beecham dostał kilka solidnych kopniaków, w końcu jednak zdołał przytrzymać jej rękę przy poręczy i ponownie ją skrępować.

Staął nad nią.

- Trzeba przyznać, że bardzo się starałaś. Chcesz już zjeść śniadanie?

- Zabiję cię, Spenser.

Pochylił się i pocałował ją w usta, a potem odskoczył szybko do tyłu, nim zdążyła go ugryźć.

Wyglądził koszulę nocną na jej nogach. Potem, jakby od niechcenia, przyciągnął jej prawą nogę do poręczy i, nim zdążyła zareagować, przywiązał ją kilkoma sprawnymi ruchami.

- Doskonale. Teraz pozwól, że przywiążę ci lewą nogę.

Próbowała go kopnąć, nie miała jednak dość swobody ruchu.

Już po chwili obie jej nogi były ponownie uwięzione.

- Po śniadaniu, moja droga, będzie deser - oświadczył i pogwizdując wesoło wyszedł z sypialni.

Słyszał, jak krzyczy za nim, obrzuca go obelgami, w których pojawiały się nie tylko odniesienia do jego bliższej i dalszej rodziny, ale i do różnych części ciała. Uśmiechnął się.

Nie miała żadnych szans.

z moreli i dzbanek herbaty, którą sam przed chwilą zaparzył.

- Rogaliki nie są już najświeższe. Pani Toop zrobiła je wczoraj wieczorem w gospodzie, specjalnie na tę okazję. Rozpaliłem jednak w piecu i ogrzałem je trochę. Są teraz mięciutkie i gorące.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o deserze?

Uwielbiał ją za to, za tę bystrość umysłu.

- Dyscyplinę, moja słodka. Wszystkim bardzo zależy na tym, byś zgłębiła ten interesujący temat. Może stałaś się już zbyt przewidywalna, może zabrakło ci wyobraźni. Czas na nowe pomysły, nową perspektywę.

- Jak to, wszystkim?

- Nie mogę zdradzać moich źródeł. Te osoby obawiają się twojej zemsty.

- Spenserze, musisz mnie natychmiast wypuścić. Obiecuję, że jeśli to zrobisz, nie skrzywdzę cię.

- To miłe, że znów mówisz do mnie po imieniu. Czy to oznacza, że nie próbujesz już trzymać mnie na dystans?

Szarpnęła rękami, raz i drugi. I nic. Robiła się coraz bardziej czerwona na twarzy.

Poklepał ją po policzku, usiadł na krześle obok łóżka i powiedział:

- Zjesz rogalika z masłem i z dżemem?

- Wolałabym jeść sama.

- Proszę bardzo.

Uwolnił jedną rękę. Patrzył, jak zaciska i prostuje palce, przywracając normalne krążenie.

- Zjesz rogalika z masłem i z dżemem?

Skinęła głową. Choć przez chwilę myślała o jedzeniu, a nie o tym, jak go zabić. Zjadła dwa rogaliki, opadła na poduszki i westchnęła.

- To było wyśmienite. Dziękuję ci. Pani Toop robi najlepsze rogaliki w całym Essex. No dobrze, chciałabym wrócić do domu przed lunchem. Mogę już iść?

- Masz ochotę na filiżankę herbaty? Z mlekiem? Cytryną?

Jej oczy wyglądały tak samo jak w chwili, gdy ujrzała tych młodych ludzi z Cambridge w swojej gospodzie. Płonęła w nich żądza zemsty.

Nie powinien był dawać jej herbaty, szczególnie z mlekiem. Chlusnęła mu nią prosto w twarz. Potem skrzywiła się ze złością.

- Ojej, nie pomyślałam. Powinnam była najpierw się napić.

- Pewnie tak - odparł i poszedł w róg pokoju, gdzie stała umywalka z ciepłą wodą. - Helen, to zasługuje na karę. Jak myślisz? Poziom Piąty?

- Nie żartuj. To na pewno się nie kwalifikuje na Poziom Piąty. - Zamknęła szybko usta, zrozumiałszy, że dała się sprowokować.

- W porządku. - Skinął głową. Był tak zgodny, tak układny, że aż robiło jej się od tego niedobrze. Gdyby mogła, skrzyłaby mu kark. - Więc na co zasługuje, twoim zdaniem, taki postępek? Poziom Trzeci?

- Nie będziesz sobie ze mnie kpił, Spenser.

- Dobrze, że wciąż mówisz do mnie po imieniu.

- Gdybym zwracała się do ciebie lordzie Beecham, czułabym się jeszcze gorzej. Leżę tu tylko w koszuli nocnej, związana, z rozłożonymi nogami.

Beecham obliznął nerwowo wargi. Potem zamknął na moment oczy i przeciągnął dłonią po twarzy. Kiedy otworzył je ponownie, wyjął moką koszulę ze spodni i rozpiął ją.

Wiedział, że patrzy na niego. Nie mylił się. W jej oczach zobaczył pożądanie.

Zdjął koszulę i powiesił ją na oparciu krzesła, by szybciej wyschła, a potem ponownie podszedł do łóżka.

- Podobam cię się, Helen?

- Jesteś mężczyzną. Co tu się może podobać?

- Patrzyłaś na mój tors. Teraz też nie możesz utrzymać spojrzenia na mojej twarzy. Co myślisz?

Podoba ci się moja sylwetka?

- Chce mi się pić.

- Obiecujesz, że jeśli podam ci następną filiżankę herbaty, nie wylejesz jej na mnie?

Widział, jak zмага się ze sobą, w końcu jednak odparła:

- W porządku, obiecuję.

Pocałował ją w usta, podniósł się i nalał jej herbaty. Tym razem nie dodał cukru ani mleka.

Pomógł jej usiąść prosto i podał filiżankę.

Piła powoli, nie patrząc na niego. Kiedy skończyła, oddała mu filiżankę.

- To szaleństwo, Spenser. Nie możesz trzymać mnie tutaj wiecznie, przywiązanej do tego przeklętego łóżka.

- Czemu nie?

Omam się nie roześmiał, ujrzawszy jej zakłopotaną minę. Po chwili, wciąż patrząc na niego, powiedziała:

- Nie wiem. Tak po prostu nie powinno być. Poza tym nie ma już nic, czego mógłbyś mnie nauczyć, przynajmniej w kwestii dyscypliny.

Zdumiewające, z jaką pewnością siebie potrafiła przemawiać.

- Naprawdę tak uważasz?

Zawahała się; widział to i był tym rozbawiony. Jeszcze miesiąc temu nawet nie wiedział, że istnieje ktoś taki jak panna Helen Mayberry. Teraz nie potrafił wyobrazić sobie życia bez niej.

Odchrząknęła, oblizwała wargi i spytała:

- Czyż nie mówiłeś, że chcesz mi dać wszystko, czego tylko zechcę?

- Nie przypominam sobie.

- Owszem, powiedziałeś coś podobnego, pamiętam, bo było to bardzo romantyczne i bardzo irytujące. Powiedziałeś też, że moglibyśmy razem pracować. Ja teraz nie pracuję. Jestem związana.

Nie podoba mi się to.

Uśmiechnął się leniwie.

- Wystarczy, że przyjmiesz moje oświadczenia, a za godzinę będziemy już w drodze do pastora Lockleera Gilliama.

- Mogłabym się zgodzić, a potem uciec sprzed ołtarza.

- Owszem, ale wtedy bardzo byś mnie rozczarowała, Helen.

Twój ojciec opowiedział mi o wszystkich twoich niedoskonałościach, wszystkich wadach, nieistotnych słabostkach, jak je nazywał. Nie mówił jednak, że jesteś kłamczucha.

- Bo nie jestem.

- Doskonale. Wyjdiesz za mnie?

Przygryzła dolną wargę. Zauważył, że jej wargi są popękane i zmarszczył brwi, zatroskany. Podszedł do toaletki i przeskubał szuflady. Znalazł krem.

Usiadł obok niej na łóżku, nabrał odrobinę kremu na czubek palca i zaczął wcierać go w jej

wargi. Patrzyła tylko na niego, nieruchoma. Miała wolną rękę, trzymała ją jednak przy boku.

- Dziękuję - powiedziała, kiedy skończył.

- Proszę bardzo - odparł i znów ją pocałował. - Więc wyjdiesz za mnie?

- Nie.

- Dobrze. Za to, że wylałaś na mnie herbatę, otrzymasz karę z Poziomu Trzeciego. Jesteś na to gotowa?

- Coś takiego zasługuje na Poziom Pierwszy.

- A jak wygląda kara z Poziomu Pierwszego?

- Winowajca zostaje zamknięty na dwie godziny w ciemnym pomieszczeniu bez picia i jedzenia.

Zazwyczaj wykorzystuję do tego pokój na tyłach stajni. Jest całkiem ciemny.

Lord Beecham westchnął.

- Cóż, nie jest to zbyt ekscytujące, ale będę sprawiedliwy.

Zaciągnął zasłony na oknach. Potem przywiązał jej wolną rękę do poręczy. Okrył ją kołdrą, poklepał po policzku i pocałował. Stał, patrząc na nią i pogwizdując. Wreszcie zabrał tacę i wyszedł. Słyszała, jak gwizdże pod nosem, schodząc na parter.

Nie wracał.

Po jakimś czasie Helen uznała, że ta prosta kara jest znacznie bardziej dolegliwa, niż jej się dotąd wydawało. To był co najmniej Poziom Trzeci. Będzie musiała zrewidować swoją skalę.

Zapewne minął cały dzień, nim znów otworzyły się drzwi sypialni. Powrót Beechama sprawił jej taką radość, że gdyby mogła, rzuciłaby mu się na szyję.

Przysunął krzesło do łóżka, usiadł i złączył czubkami swe rozcapierzone długie palce. Po chwili zaczął stukać nimi o siebie, powoli, rytmicznie. Helen zapatrzyła się na te palce, przypominała sobie, gdzie jej dotykały... Zadrżała lekko. Spenser na szczęście niczego nie zauważył, ona jednak jeszcze przez i chwilę nie mogła się opamiętać. I dlaczego właściwie jeszcze się na nią nie rzucił? Zwykle nie mógł się doczekać tej chwili.

Leżała przed nim niczym ofiara na ołtarzu, a on siedział i nic.

Co się z nim działo?

- Jedną z najbardziej skutecznych technik miłosnej tortury, jakie kiedykolwiek poznałem, jest metoda nazwana przeze mnie „niedokończona ekstaza”.

Serce Helen zaczęło bić mocniej, na jej twarzy pojawił się rumieniec podniecenia. Spenser odchrząknął.

- Widzisz, Helen, odkąd cię poznałem, moje życie zupełnie się zmieniło. Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek spotka mnie coś podobnego. Wystarczy, że cię dotknę, a zupełnie tracę nad sobą kontrolę. Przypuszczam, że właśnie dlatego nie: wykorzystuję swej doskonałej techniki, choć ty i tak tego nie zauważasz, bo pragniesz mnie równie mocno, jak ja ciebie.

Zastanawiałem się nad tym i odkryłem, że mnie to bawi, wręcz rozśmiesza. Nie uważasz, że to dziwne?

- Ponieważ nigdy nie miałam okazji ujrzeć tej twojej doskonałej techniki, nie wiem, czy śmiech jest tutaj czymś dziwnym, czy też nie.

Usiadł prosto, przygotowując się do kolejnej prowokacji.

- Widzisz, najdroższa, jesteś taka... waham się, czy użyć tutaj tak prostego, by nie rzec prostackiego określenia, ale prawdę mówiąc, doskonale opisuje ono tę sytuację. Jesteś bardzo łatwa, Helen. Określenie „uległa” też dobrze tu pasuje.. Może nawet... chętna? Nie jesteś dla mnie żadnym

wyzwaniem.

Wystarczy, że na ciebie spojrzę, a ty już zaczynasz oblizywać i usta. Wystarczy, że cię pocałuję, a ty już gotowa jesteś rzucić się na łóżko i ściągnąć mnie na siebie. Krótko mówiąc, nie dajesz mi okazji wykorzystania mojej mistrzowskiej techniki.

To trochę smutne, ta twoja uległość, brak wyzwania. Uważam, że człowiek nie powinien marnować swoich talentów i zdolności. - Westchnął. - Ale ponieważ tak bardzo cię podziwiam, moja droga, staram się dostosować.

Czekał. Lubił te chwile niepewności, oczekiwanie na jej reakcję. Uwielbiał jej gniew, a właśnie to mógł teraz oglądać. Twarz jej poczerwieniała, oczy błyszczały, zaciśnięte usta zbiegły się w wąską, bladą linię. Miał ochotę ją pocałować, posmakować tych rozgniewanych ust, siedział jednak na miejscu, ze złączonymi palcami. Nie zamierzał ich rozłączać, ulec słabości i dotykać jej. Czekał.

Wreszcie Helen spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Masz całkowitą rację. Jestem kobietą pozbawioną woli i w ogóle się nie kontroluję. Może każdy mężczyzna mógłby wzbudzić we mnie takie uczucia jak ty. Co o tym myślisz?

Patrzył na nią w milczeniu. Czuł, jak narasta w nim złość, jak sięga mu do gardła, niemal zmusza do krzyku.

- Mówisz bzdury, Helen - oświadczył wreszcie spokojnie. - O niczym nie masz pojęcia. Wyłowilem cię gdzieś z dalekiej prowincji i pokazałem ci, jaka jesteś łatwa, ale tylko przy mnie.

Nie reagujesz w ten sposób na żadnego innego mężczyznę.

Gdyby ktoś próbował wziąć cię siłą, pewnie rozbiłabyś mu głowę. Jesteś idiotką. Inaczej dawno byś już zrozumiała, że jestem jedynym mężczyzną, przy którym czujesz się tak swobodnie, przy którym możesz robić wszystko, na co masz ochotę.

Ziewnęła głośno.

- Cóż, kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że wszystkie te gwałtowne uczucia, o których opowiadasz, nigdy nie istniały. Były bez znaczenia, ot, chwilowa słabość.

- Naprawdę tak uważasz?

- O tak, zdecydowanie. Nic, kompletne zero. - Pstryknęła palcami.

- Cieszę się, że to powiedziałaś.

Wstał, zdjął buty i spojrzał na nią przez ramię.

- Może wkrótce zrobisz to dla mnie?

- Być może - odparła, a on zadrżał. Była to najtrudniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek musiał dokonać, starał się jednak panować nad sobą.

- A potem - dokończyła - nabiję cię na miecz mojego ojca.

Słyszał podniecenie w jej głosie, widział podniecenie w jej oczach, nie mogła tego przed nim ukryć. Być może była w tym także odrobina złości, bo uczynił ją bezradną. Ach, ta kobieta została stworzona specjalnie dla niego. Znów zaczął gwizdać. Podeszedł do okna i rozsunał zasłony. Pokój wypełnił się blaskiem słońca. Spojrzał na Helen i uśmiechnął się.

- Widzisz, moja droga, teraz nadszedł czas na kolejny element naszej zabawy.

Usiadł obok niej. Pochylił się nad nią i zaczął powoli rozwiązywać wstążeczki jej koszuli nocnej. Widział, jak mocno bije jej puls na szyi. Starał się nie myśleć o własnym podnieceniu. Gdyby to zrobił, prawdopodobnie wszystko skończyłoby się tak jak poprzednio; szybko, niemal brutalnie, bez finezji. Nie, teraz był skupiony na swoim zadaniu. Zamierzał ukarać Helen, a nie kochać się z nią - przynajmniej jeszcze nie teraz.

Rozsunął koszulę nocną, odsłaniając jej piersi.

- Ach, teraz mogę nacieszyć się uczcią, jaką dla mnie przy gotowałaś.

- Ty świnio. Niczego dla ciebie nie przygotowałam.

Przesunął czubkiem palca po jej ustach, potem pochylił się i pocałował jej piersi. Próbowwała trwać w absolutnym bezruchu, szybko jednak zrozumiała, że nie wytrzyma długo takiej próby - nie dłużej niż dziesięć sekund. Ufała mu, widział to w jej oczach, dlatego też mogła oddać się całkowicie tej rozkosznej torturze. Tak, była coraz bardziej podniecona, nie mogła tego ukryć, przynajmniej nie przed nim.

Lord Beecham być może nie byłby w stanie utrzymać na wodzy swej żądz, gdyby nie fakt, że godzinę wcześniej, stojąc przed lustrem, przyrzekł sobie, że nie weźmie jej ani razu, dopóki nie zostanie jego żoną. Wiedział, że może to być prawdziwa próba sił, walka na granicy wytrzymałości, zamierzał jednak dotrzymać słowa.

- Czas na twoją karę. Ponieważ jesteś związana i nie możesz mnie zaatakować, dam ci próbkę mojej niezwykłej techniki.

Słyszał, jak wciąga głośno powietrze, kiedy zaczął całować jej piersi i pieścić ją, aż była bliska spełnienia. Wtedy odsunął się i rozdarł jej koszulę nocną na całej długości. Leżała z rozłożonymi nogami, z rękami skrepowanymi nad głową, piękna i bezbronna, cała jego. Wzniósł oczy do nieba i odmówił krótką modlitwę dziękczynną.

Przyglądał jej się przez chwilę, nucąc pod nosem jakąś melodię. Podniósł ręce, zatrzymał je nad jej brzuchem, potem ponownie opuścił. Oddychał nierówno, zmęczony wewnętrzną walką. Nagle wstał i podszedł do tacy z herbatą, którą zostawił na stoliku przed kominkiem. Napełnił filiżankę i popijając leniwie gorący napój, podszedł ponownie do łóżka. Stał obok Helen i spojrzał na nią czule.

- Spenser?

- Tak, moja słodka?

Oddychała ciężko, jej piersi falowały przy tym miarowo, a Beecham nie mógł oderwać od nich oczu; nie spodziewał się aż tak cudownego widoku. Po chwili spróbowała też unieść biodra.

- To była pierwsza część twojej kary. Podobało ci się?

Doceniłaś jej subtelną moc? Niedokończona ekstaza. Czy nazwa wydaje ci się trafna?

Patrzyła nań w milczeniu.

Odstawił filiżankę z herbatą, usiadł obok niej, pochylił się nisko, i pocałował jej brzuch. Jęknęła głośno. Lord Beecham uśmiechnął się i wyszeptał:

- Teraz pora na część drugą.

Przesunął głowę w dół brzucha, i przylgnął doń ustami. Po chwili podniósł głowę i spojrzał na Helen.

- Spenser - jęczała, jakby przeszyta ogromnym bólem.

Powoli, pochylił głowę i wiedząc, że chce, by ją pieścił, że czeka, wstrzymując oddech, wpił usta w najintymniejszą część jej ciała.

Krzyknęła.

Należała teraz wyłącznie do niego, zdana była na jego łaskę i niełaskę, jego uparta, duża dziewczyna. Czuł, jak wstrząsają nią dreszcze rozkoszy, jak rośnie w niej napięcie, jak zbliża się do ekstazy. Podniósł głowę.

- Helen.

Nie słyszała go.

- Helen.

Próbowała skupić wzrok na jego twarzy. Pragnęła, by ją tam całował, by dał jej rozkosz, jakiej nie dał jej jeszcze nikt. Nie chciała się wyrzec tego cudownego doznania, tego upojnego szaleństwa. Teraz już wiedziała, jakie to uczucie, i miała ochotę krzyczeć do utraty tchu, do całkowitego wyczerpania.

Znów poczuła jego usta, jego gorący język, który doprowadzał ją do obłędu. I nagle ją zostawił.

Leżała na łóżku, wiła się i szarpała, wyginała w łuk tak mocno, na ile tylko pozwalały jej więzy, aż rozkoszne uczucie powoli zaczęło słabnąć, przygasać. Spojrzała w bok. Lord Beecham siedział na krześle przed kominkiem, popijał herbatę i czytał gazetę.

Nawet na nią nie patrzył. Chciała krzyczeć, ale tego nie zrobiła. Chciała go zabić, ale w tej chwili tego również nie mogła zrobić. Chciała obrzucić go przekleństwami, lecz z jej ust nie wydobyły się żadne słowa. Po prostu leżała, czując, jak opuszczają rozkoszny żar, i jak zostaje... pusta, zimna i spragniona zemsty. Więc to była ta jego dyscyplina. Nazwał to niedokończoną ekstazą. Łajdak.

Obiektywnie rzecz biorąc, ten rodzaj kary był nieporównanie gorszy od jej kar. To był co najmniej Poziom Dziesiąty. Nie mogło się z tym równać żadne biczowanie.

Miała ochotę wbić mu nóż w serce. Szarpnęła lewą ręką. Nagle, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, stwierdziła, że jedwabny fular po prostu zsunął się z nadgarstka. Leżała przez moment, oszołomiona i tylko mrugała. Potem szarpnęła drugą ręką. Cóż, pewnie nie będzie miała aż tyle szczęścia... Usiłowała sobie przypomnieć, w jaki sposób poruszyła nadgarstkiem, zanim węzeł sam się rozwiązał?

Pokręciła ręką i gwałtownie szarpnęła. Udało się. Spróbowała podobnie poruszyć nogą, potem drugą. Po chwili była wolna. Beecham był zasłonięty gazetą. W ogóle nie zwracał na nią uwagi.

Rosła w niej furia i podziw dla jego metod. Doprowadził ją niemal do szaleństwa, a potem zostawił. Tak, to było bardzo skuteczne, ale potem powinien był się jej przyglądać, może nawet rozpalać na nowo jakąś nową pieśczętą. Tymczasem ten przekłety drań po prostu sobie czytał. Helen usiadła powoli, przykucnęła i bez słowa, bez najmniejszego ostrzeżenia, skoczyła na Spensera i przewróciła go z krzesłem do tyłu. Stronice gazety rozsypały się po podłodze. Lord Beecham wylądował na plecach, ona zaś siadła na nim okrakiem.

24

Pochwyliła go za włosy i kilkakrotnie uderzyła jego głową o podłogę. Zaklęła, widząc, że jej wysiłki nie przynoszą żadnego rezultatu - dywan był wyjątkowo gruby i miękki. Spróbowała jeszcze raz.

- Ty łajdaku! - wrzeszczała, pochylając się nad nim. - Ty przekłety draniu! Uważam, że twoja kara była beznadziejna.

Wolałabym, żeby ktoś przywalił mi deską w głowę. Wolałabym zjeść gotowaną rzepę bez soli, jak w Poziomie Trzecim. Ale ty wymyśliłeś sobie tę wstrętną niedokończoną ekstazę. Była okropna. Słyszysz mnie, Spenser? Wcale mi się nie podobała.

Śmiał się.

Wciąż rozwścieczona, jeszcze raz uderzyła jego głową o podłogę. A on wciąż się śmiał. Z niej.

- Rozpaliłeś mnie, a potem miałeś czelność mnie zostawić. - Złapała go obiema rękami za szyję. Rozerwana koszula nocna wisiała luźno na jej ramionach.

- Ty prostaku! Zostawiłeś mnie i przyszedłeś tutaj czytać sobie gazetę i popijać herbatkę.

Zgniotę cię na miazgę, ty robaku! - Zaczęła od szyi. Próbowwała go udusić. Mogło jej się to udać - miała bardzo silne ręce.

Pochyliła się nad nim tak nisko, że piersiami niemal dotykała jego twarzy.

Oderwał jej ręce od swej szyi i uśmiechnął się radośnie, niczym człowiek, który ukradł worek srebra, a znalazł w nim czyste złoto.

- Przyznasz teraz, że jestem mistrzem dyscypliny? Że nie możesz się ze mną równać? Helen, spójrz tylko na siebie, próbujesz zabić człowieka, który tak doskonale cię karcił.

Znieruchomiała. Milczała przez chwilę, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią, on zaś z upodobaniem przyglądał się jej obnażonym piersiom.

- Masz rację - powiedziała wreszcie. - Ta tortura była więcej niż skuteczna. Była druzgocąca. - Pochyliła się i pocałowała go.

Potem ugryzła, a wreszcie polizała zaczerwienione miejsce. Czują na plecach jego ręce, którymi przyciągał ją do siebie. Ponieważ nie miał na sobie koszuli, jej piersi przylgnęły do jego ciepłego torsu.

Przez dłuższą chwilę całował ją namiętnie, szaleńczo.

- Nie... - zdecydował w końcu, złapał ją za ramiona i odsunął od siebie. Oczy miała zasnutę mgłą pożądania, usta lekko rozchylone.

- Helen, zostań tutaj, gdzie jesteś, choć wbijasz mnie w podłogę. Najdroższa, muszę to powiedzieć. Wprowadziłaś mnie w błąd. Myślałem, że jesteś jednym z najcieplejszych umysłów w Anglii, teraz jednak muszę zrewidować tę opinię. Zapomniałem, że jesteś w końcu tylko kobietą, z wszystkimi wadami, słabościami i brakami właściwymi twojej czarującej, choć czasami niekompetentnej płci.

Pochyliła się, by znów go pocałować, lecz słysząc to, znieruchomiała zdziwiona.

- O czym ty mówisz?

Pokręcił głową, wyraźnie rozczarowany, i westchnął.

- Widzisz, zajęło ci to o wiele za dużo czasu.

Oparła dłonie na jego piersiach, twardych męskich piersiach pokrytych twardymi włosami.

- Co zajęło mi o wiele za dużo czasu?

Wiedziała już jednak, o tak, wiedziała. Uwielbiał, kiedy go dotykała. Wydawało jej się, że jego serce bije coraz szybciej.

- Wystarczy obrócić rękę nadgarstkiem do środka i szarpnąć, tylko tyle. Więzy same się wtedy rozwiązują. Tak, potrzebowałaś sporo czasu, żeby na to wpaść. - Podniósł ręce i położył je na jej nagich piersiach. - Jesteś piękna. - Westchnął. - A teraz, zanim zrobisz ze mną to, co chcesz zrobić, powiedz: wyjdiesz za mnie?

Siedziała na nim, półnaga, z rozwichrzonymi włosami, i wciąż nie mogła uwierzyć w to, co z nią zrobił. Nigdy nie знаła mężczyzny piękniejszego niż on.

- Mówię poważnie, Helen, koniec z szaleńczą miłością, koniec z dziką rozkoszą. Nie będę się z tobą kochał, dopóki nie obiecasz, że za mnie wyjdiesz.

Siedziała nieruchomo, opierając się na rękach. Spenser obejmował dłońmi jej piersi.

- Nie mogę. - Jednym ruchem zsunęła się z niego, i położyła na plecach, na środku dywanu. Beecham położył się na niej i przygwoździł ją do podłogi. Nachylił się nad nią i krzyknął:

- Dlaczego nie, do stu diabłów?! Powiedz mi prawdę, Helen, bo znów cię zwiążę, i tym razem

nie pozwolę ci uciec.

Przełknęła głośno.

Ze zdumieniem patrzył, jak spod jej powiek wymykają się łzy i spływają po policzkach. Wstał. Zaklął głośno. Uwolniona Helen zwinęła się w kłębek i rozplakała na dobre. Jakby zawstydzona, przyłożyła pięść do ust, łzy jednak nadal ciekły jej z oczu.

Mistrzyni dyscypliny z Court Hammering leżała na podłodze i łkała jak dziecko.

Zaklął ponownie, pochylił się i podniósł ją z podłogi.

- Nie wiem, czy moje plecy to wytrzymają - mruknął, biorąc ją na ręce. Podszedł do bujanego fotela przed kominkiem, usiadł na nim i posadził sobie Helen na kolanach. Przytulił ją czule.

- No już, najdroższa, nie płacz. Łamiesz mi serce. Wiesz, że duża dziewczynka nie powinna płakać. Niech duża dziewczynka natychmiast powie mi, co ją dręczy. Mogę załatwić każdą sprawę, Helen, rozwiązać każdy problem, poradzić sobie z każdym człowiekiem, który sprawia ci kłopoty. Oczywiście, najpierw musisz mi zaufać.

Kołysał się wraz z nią, miarowo, powoli. Wreszcie się uspokoiła. Dostała czkawki. Lord Beecham uśmiechnął się i pocałował jej włosy.

- On żyje - wymamrotała, z twarzą wtuloną w jego pierś.

Zmarszczył brwi.

- Co powiedziałaś, najdroższa? Dziwisz się, że jeszcze żyję, choć podniosłem cię z podłogi i zniosłem na ten fotel, który, na szczęście, utrzymał ciężar nas obojga?

Czuł, jak Helen oddycha głęboko, starając się uspokoić rozedrgane nerwy. Naciągnął koszulę nocną na jej nagie ramiona i spytał:

- Co się stało, Helen? Nie podobała ci się moja zabawa?

- Skądże - mruknęła. - To było bardzo ekscytujące. Ta sztuczka z fularami... bardzo sprytna.

Gdybym nie poruszyła ręką w taki właśnie sposób, nigdy bym tego nie odkryła.

Czułabym się bardzo głupio, gdybyś w końcu musiał sam mi to pokazać.

- Wyjdź za mnie, Helen. Wymyślę nowe węzły i wyjątkową torturę miłosną specjalnie na naszą noc poślubną.

Odwróciła się doń, a rozerwana koszula nocna znów opadła z jej ramion. Starał się patrzeć tylko na jej twarz. Miała czerwone od płaczu oczy i nos, a na policzkach widniały ślady łez. Czubkami palców musnął tę ukochaną twarz.

- Nie kocham się z tobą, nie rzucam się na ciebie jak zwierz.

Nie, staram się nad sobą panować. Po prostu trzymam cię na kolanach, spokojny i opanowany, choć koszula znów ci się zsunęła, a moje palce są tuż przy twoich pięknych piersiach.

Uśmiechnęła się, był to jednak uśmiech blady, bolesny. Nagle całkiem spoważniała i oświadczyła:

- Powiedziałam, że on żyje.

Lord Beecham milczał. Miał okropne przecucie. Miał ochotę poprosić, by nie mówiła już nic więcej, ale nie zrobił tego. Czekał, aż topór spadnie na jego szyję.

- Mój mąż żyje. Jakies sześć miesięcy temu dostałam od niego list. Nie wiem, gdzie jest. List został wysłany w Breście, na zachodnim wybrzeżu Bretanii.

Lord Beecham jęknął. Był w tym malowniczym mieście przed siedmiu laty, kiedy obowiązywał jeszcze traktat z Amiens.

- O ile pamiętam, nie ma tam nikogo prócz rybaków.

Dlaczego zatrzymał się właśnie tam? Dlaczego tu nie wrócił?

Co się z nim stało? Jesteś pewna, że to jego charakter pisma?

Jak on się w ogóle nazywa?

- Gerard Yorke, drugi syn pierwszego sekretarza Admiralicji, sir Johna Yorke'a.

A to ci dopiero.

- Zdaje się, że pierwszy sekretarz jest równie stary jak ten dąb za oknem.

- To prawda, może nawet jeszcze starszy.

Próbował zachować spokój, trzeźwość umysłu. Musiała istnieć jakaś droga wyjścia z tej sytuacji.

- Napisałaś do niego? Czy odwiedziłaś go osobiście, kiedy byłaś w Londynie?

- Zawiadomiłam sir Johna o tym liście. Nie odpowiedział.

Napisałam ponownie i dołączyłam kopię listu Gerarda. Znow nie odpisał. W dzień po ślubie Graya i Jack pojechałam do

Admiralicji. Nie chciał mnie przyjąć. Powiadomił mnie przez sekretarza, że jego syn zginął śmiercią bohatera i że on nie ma mi nic do powiedzenia. Nie rozumie, po co przysłałam mu jakiś idiotyczny list, który nie został nawet napisany przez jego syna. Powiedział, że skoro nie dałam swemu mężowi syna, nic nie łączy mnie z jego rodziną ani z nim samym.

- I przekazał ci to wszystko przez sekretarza?

- Tak. Biedak był tak zawstydzony, że nawet nie śmiał na mnie spojrzeć.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego przedwczoraj w gospodzie, kiedy otworzyłem przed tobą duszę?

- Bo wtedy nie chciałam wychodzić za ciebie ani za żadnego innego mężczyznę, nigdy w życiu. Ten jeden, którego po ślubie z czystej miłości, wraca po latach, by mnie prześladować, choć już po dwóch tygodniach małżeństwa ani go nie kochałam, ani nawet nie lubiłam. - Wzdrygnęła się, przejęta jakimiś ponurymi wspomnieniami, westchnęła i spuściła oczy. - Może to nie były nawet dwa tygodnie.

- Rozumiem. Dlaczego więc nie powiedziałaś mi tego przed chwilą, kiedy leżałaś przywiązana do łóżka i wściekałaś się na mnie?

Zakłęła. Był tak zdumiony, że przez moment nie mógł wydobyć z siebie słowa.

- Dlaczego? - wykrztusił wreszcie.

- No dobrze już. Widzę, że nie dasz mi spokoju, dopóki wszystkiego ode mnie nie wyciągniesz.

Proszę bardzo: chciałam się przekonać, co ze mną zrobisz.

Ta kobieta doprowadzi mnie do szaleństwa, pomyślał, patrząc na nią. Pragnął jej bardziej niż czegokolwiek i kogokolwiek w życiu. Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Jesteś taka delikatna. Podobało ci się to, co z tobą robiłem?

- Nie wiem, czy powinnam ci powiedzieć prawdę.

Przytulił ją mocniej.

- Mam przeczucie, że jeszcze kiedyś do tego wrócimy, że będziemy wracać wiele razy. Czy powiedziałaś o tym liście swojemu ojcu?

Pokręciła głową.

- Po co? Niczego by to nie zmieniło. Nigdy zresztą nie lubił Gerarda. Nie chcę go niepotrzebnie martwić. Co do sir Johna... cóż, może nie znał dobrze charakteru pisma swojego syna, ale ja znałam. To było jego pismo albo doskonałe, genialne fałszerstwo. Chciałam skontaktować się z sir Johnem głównie dlatego, że jest pierwszym sekretarzem Admiralicji, człowiekiem bardzo wpływowym. Z

pewnością mógłby się dowiedzieć, co właściwie stało się z Gerardem.

- A mimo to nie chciał o tym słyszeć. Nie chciał się z tobą zobaczyć. To dosyć dziwne, nie uważasz?

- Tak, i nie rozumiem tego. Nigdy nie odnaleziono ciała jego syna.

- Jak zginął?

- Na pokładzie okrętu odległego o ćwierć mili od północnego wybrzeża Francji. Jedna z armat wybuchła i wznieciła pożar.

Nie mogli ugasić ognia. Wszyscy wyskoczyli za burtę, także Gerard, który był tam pierwszym oficerem. Nikt nie został na pokładzie, nawet kapitan. Problem w tym, że Gerard nie umiał pływać. Czy to nie dziwne? Oficer marynarki wojennej, który spędza pół życia na wodzie, nie umie pływać? Później dowiedziałam się, że to normalna rzecz, że wielu marynarzy nie umie pływać. Tak czy inaczej, wkrótce potem nadeszła wielka burza, nie dość szybko jednak, by ugasić pożar. Podobno tylko kilku marynarzy dotarło do brzegu.

To sir John poinformował mnie o śmierci Gerarda. Od tamtego czasu nie miałam z nim żadnego kontaktu. Nie obchodziłam go. Ponieważ uważałam go za starego zrzędę, wcale się tym nie przejmowałam. Mój ojciec był zdumiony, że ktoś może nie lubić jego córki. Tak czy inaczej, jeśli Gerard rzeczywiście przetrwał jakoś tę katastrofę, jeśli naprawdę żyje, to ja wciąż jestem mężatką. Nie mogę wyjść za ciebie ani za kogokolwiek innego.

Wiedział o tym bardzo dobrze, i był to dlań prawdziwy cios. Siedział w milczeniu, tuląc ją do siebie i zastanawiając się, jak życie, które jeszcze przed chwilą, kiedy ją pieścił, wydawało się takie proste i cudowne, mogło się nagle aż tak skomplikować.

Zaklął głośno. Przez moment poczuł się dzięki temu lepiej.

Helen przywarła doń mocniej, wtuliła twarz w jego szyję.

- A gdyby nie żył, gdyby to wszystko okazało się fałszerstwem, wyszłabyś za mnie?

Odpowiedziała, wciąż wtulona w jego szyję. Jej głos wydawał mu się cieplejszy i słodszy niż kiedykolwiek dotąd.

- Tracę zmysły na samą myśl o tym, że mogłabym się obudzić któregoś ranka z rękami związanymi nad głową i pod twoją kontrolą. Musiałbyś mi jednak obiecać, że już nigdy więcej nie wypróbujesz na mnie techniki niedokończonej ekstazy.

Roześmiał się.

- Nie, nigdy już cię tak nie ukarzę. - Zapatrzył się w białą ścianę obok kominka.

- O czym myślisz?

- Zastanawiam się, jak się pozbyć tego człowieka - odparł. - Widzisz, to trochę bezsensowne, przysyłać ci list, a potem nie odzywać się przez pół roku. Dzieje się tutaj coś dziwnego. - Znów umilkł. Próbował coś wymyślić, lecz Helen gładziła jego piersi, co go rozpraszało. Ujął jej dłoń i położył ją sobie na udzie, lecz to okazało się jeszcze gorsze. Westchnął ciężko i zamknął oczy. - Wiem, co zrobimy.

- Już wiesz? Wymyśliłaś coś w ciągu pięciu minut, choć ja miałam na to sześć miesięcy i nadal nie mam planu działania?

- Cóż, skoro nie próbowałaś go wymyślić, to nic dziwnego, że wciąż nic nie masz. To dość aroganckie podejście, moja droga, nie uważasz? Myślę, że zasłużyłaś sobie na karę z Poziomu Szóstego.

Pochyliła się i ugryzła go w szyję. Potem polizowała to miejsce, wreszcie obsypała je pocałunkami.

Uwielbiał to.

- Myślę, że Poziom Szósty spodobałby się bardziej tobie niż mnie, milordzie.

Lord Beecham odchrząknął, zbity z tropu.

- Nie wymyśliłaś przez ten czas niczego, bo mnie tutaj nie i było, nie miałaś odpowiednich bodźców.

- Więc jak wygląda twój plan?

Z powagą popatrzył jej w oczy.

- Otóż ogłosimy nasze zaręczyny we wszystkich gazetach Londynu i okolicy. Wyślemy nawet oświadczenie do Paryża.

- Sprawy towarzyskie są ważniejsze od wojny, sama rozumiesz, Podamy datę ślubu, dajmy na to, w przyszłym miesiącu.

Będziemy wydawali przyjęcia i bale. Wszyscy będą mówić o naszych zaręczynach. Jeśli Gerard York nadal żyje, wróci do ciebie. Nie będzie miał wyjścia. Helen spojrzała nań z uznaniem.

- To świetny pomysł. Z drugiej jednak strony, wcześniej nie mogłam na niego wpaść, bo nie zamierzałam nikogo poślubiać.

Uśmiechnęła się do niego, on zaś mocno ją przytulił. - Wyjdiesz za mnie, Helen?

Zesztywniała. Wiedział, że się martwi, oceniając swoją sytuację.

- A jeśli on przyjedzie do Londynu?

- Wtedy zrobimy to, co będziemy musieli zrobić - odparł lord Beecham, zastanawiając się w duchu, co to właściwie będzie.

- Spenserze, nie chcę być jego żoną. Może lepiej niczego nie zmieniać, nie wsadzać kija w mrowisko? Może on już więcej się do mnie nie odezwie?

- Helen, pobierzemy się. Nie będziemy wiecznymi kochankami.

- Jeśli on żyje, nie będziemy się mogli pobrać, chyba że się z nim rozwiode. A to byłby okropny skandal.

- Porozmawiamy o tym wtedy, gdy ten twój Gerard w ogóle się pojawi. Jeśli żyje, na pewno tu przyjedzie. Jeśli nie, pobierzemy się bez przeszkód. Może przybędzie później, po naszym ślubie. Wtedy załatwimy tę sprawę inaczej. Jeśli okaże się, że nie ma innego wyjścia, to się z nim rozwiedziesz. Gdyby rzeczywiście wywołało to tak wielki skandal, przeprowadzimy się do Włoch. To piękny kraj. Zamieszkamy w pięknej willi w Toskanii. Kupisz jakąś miejscową gospodę i będziesz ją prowadzić. Znam włoski i szybko mogę cię nauczyć wszystkich przekleństw. Co o tym myślisz?

- Myślę, że jesteś cudowny, ale nie o to chodzi. Jest jeszcze coś, sprawa, którą całkowicie ignorujesz, a nie powinienes.

- Co to takiego, moja droga?

- Twój tytuł, Spenser. Musisz mieć dziedzica, a ja jestem bezpłodna.

- Myślałem już o tym. Jeśli nie będę miał potomka, tytuł odziedziczy mój kuzyn, który mieszka w koloniach, w Ameryce.

To dobry człowiek. Nie przejmuj się tym. Nie ma dla mnie nic ważniejszego niż ty. Uwierz mi.

- Nie, to niesprawiedliwe - próbowała się sprzeciwić.

Potem nagle aż podskoczyła. - O Boże, zapomniałam o lampie.

Jak mogłam o niej zapomnieć?

- Jestem tu z tobą i bez ustanku gładzę twoje piękne plecy.

Jak mogłabyś myśleć o czymś innym?

- Rozumiem. Dziękuję ci za to wyjaśnienie. - Odwróciła głowę, by go pocałować, on jednak przytrzymał ją w miejscu.

- Nie, Helen, nie będę się z tobą kochał, dopóki nie zostanie my małżeństwem. Potem będę wyłącznie twój, do końca życia.

Nie mam zamiaru... Spojrzał na jej piersi i przełknął ciężko.

- Musisz mi w tym pomóc. Podjąłem szlachetne zobowiązanie, ale potrzebuję pomocy.

- A jeśli Gerard nie pojawi się przed datą naszego ślubu?

- To się pobierzemy, już ci mówiłem. Może list został sfalszowany z jakiegoś nieznanego nam powodu, może dowiemy się, o co chodzi, po ogłoszeniu zaręczyn. Helen, wszystko się ułoży. Zaufaj mi.

- Wiesz, Spenser, on nie był dobrym człowiekiem. Nie wiedziałam o tym, kiedy go poznałam, w tysiąc osiemset pierwszym roku. Miałam wtedy osiemnaście lat, on co najmniej trzydzieści, może więcej, nigdy mi tego nie powiedział. Uwielbiałam go, a jemu się to, oczywiście, podobało. Był bohaterem, wiedział wszystko, a ja słuchałam go z nabożną czcią, spijałam każde słowo z jego ust. Przysięgał, że mnie uwielbia, że jest we mnie zakochany. Nie przeszkadzało mu to, że byłam wyższa od niego, nie miało to znaczenia. Był bohaterem wojennym, dumą Admiralicji. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym ósmym walczył z Napoleonem. Lord Nelson odznaczył go za odwagę, i Oczywiście, przekonałam się wkrótce, że zaślepiła mnie jego sława bohatera. Nie wiedziałam wcale, jakim jest człowiekiem.

Potem miałam sporo czasu, by przeanalizować te dwa lata, które spędziliśmy razem. On mnie nie kochał. Pożądał mnie, ale wcale nie dbał o to, czy ja coś do niego czuję.

- Nigdy nie zaznałaś przy nim prawdziwej rozkoszy.

- Już o tym wiesz? Ale chciał mieć dziecko, bardzo tego pragnął.

- Chwileczkę, mówiłaś, że był młodszym synem sir Johna i Yorke'a, nie starszym.

- Zgadza się.

- Więc dlaczego tak bardzo zależało mu na tym, byś urodziła chłopca? Nie zależał od tego ani jego tytuł, ani majątek.

- Nie wiem. Yorke'owie to bogata rodzina, ale rzeczywiście nie odziedziczyłby żadnego tytułu.

Lord Beecham westchnął ciężko.

- To zagadkowa sprawa, niemal równie zagadkowa jak historia z tą przeklętą lampą króla Edwarda. Nie wiemy, gdzie król ją schował i dlaczego w ogóle to zrobił, skoro miała taką wielką moc. I dlaczego Burnell nie napisał nigdzie, że lampa znajduje się w metalowej szkatule wraz z pergaminem równie starym jak ona?

- Cóż, król zapewne nigdy nie odkrył do końca jej mocy.

A co do Burnella... Nie mam zielonego pojęcia.

Lord Beecham oparł brodę na dłoni i zapatrzył się w podłogę. Zawsze to robił, kiedy się mocno się nad czymś zastanawiał.

- Skoro Gerard Yorke żyje, to dlaczego napisał do ciebie dopiero teraz, po tylu latach? Nie możesz dać mu dziecka, dobrze o tym wie. Więc dlaczego to zrobił? Czego od ciebie oczekuje?

- Nie wiem.

- Jeszcze jedna sprawa. Dlaczego wybrał właśnie ciebie, Helen? Nie mów mi, że byłaś najpiękniejszą dziewczyną w całej Anglii, kwiatem młodej arystokracji, bo to nie miało dla niego

znaczenia. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Może myślał, że skoro jestem taka duża i silna, to będę rodzić mu chłopca za chłopcem, że zaludnię Anglię jego potomstwem. Naprawdę zależało mu na dzieciach.

- Być może tak właśnie było, nie wiem. Czy twój ojciec jest bardzo bogaty?

- Nie powiedziałabym. Nie musi się troszczyć o przyszłość, ale też nie opływa w bogactwa.

- Minęło osiem lat, od czasu gdy po raz ostatni widziałas Gerarda Yorke'a, tak?

- Tak. Wyjechał w roku tysiąc osiemset trzecim, tuż po podpisaniu traktatu z Amiens. Jakaś sekretna misja, czy coś i w tym rodzaju. Pamiętam, jak szeptał mi o tym w nocy, był i bardzo podekscytowany. Potem jednak wydarzyła się ta historia z okrętem. Nie rozumiem, cóż mogło być ekscytującego w takiej podróży?

- Może to był dopiero początek misji, może miał ją potem kontynuować na lądzie. Często cię okłamywał?

- Nie wiem. W ciągu tych dwóch lat naszego małżeństwa spędziłam z nim nie więcej niż pięć, sześć miesięcy. Właściwie prawie się nie znaliśmy. Dlaczego on do mnie napisał? Dlaczego, do diabła?

- Dowiemy się, kiedy odnajdzie nas w Londynie, by nie dopuścić do naszego ślubu.

Wtuliła twarz w jego szyję.

- Nie chcę, żeby to zrobił.

- Czasami nie mamy wyboru, moja słodka. Trzeba posprzątać stare śmieci, by móc iść dalej.

- Musimy dowiedzieć się czegoś jeszcze.

Pocałował ją lekko w usta i spytał: - Czego?

- Musimy dowiedzieć się, kto zabił wielbnego Mathersa.

- Tak - odparł, gniewnie. - Musimy.

- Widziałam we śnie jego śmierć, nie widziałam jednak twarzy mordercy, tylko jego plecy. To zły człowiek, Spenserze.

- Znajdziemy go - zapewnił lord Beecham i mocno ją przytulił.

25

Tulił ją do siebie, ale nie robił nic więcej, choć był tak rozpalony, że wystarczyłby jeden nieprzemyślany gest Helen, jedna nieostrożna zachęta z jej strony... Nie mógł wprost uwierzyć, że ma tak silną wolę. Był z siebie bardzo dumny.

Musiał zapiąć jej koszulę nocną, lecz nawet to nie wyprowadziło go z równowagi. Pochylił się, ucałował jej ramię, ale zaraz przygryzł wargę.

- Nie - powiedział głośno, patrząc w sufit. - Dotrzymam przyrzeczenia.

- Za kogo ty się uważasz, za Galahada?

Była zła. Bo nie chciał się z nią kochać, nie wziął jej trzy razy w ciągu piętnastu minut? Uśmiechnął się tylko.

- Za miesiąc będziemy mogli robić to dopóty, dopóki nie padniemy ze zmęczenia.

- Pewnie masz rację - powiedziała wreszcie dwie godziny później, kiedy wracali do Court Hammering w wynajętej przez niego karecie. Kiedy spojrzał na nią pytająco, dodała: - Po czekamy. Znajdziemy lampę. Dowiemy się, czy Gerard Yorke naprawdę żyje. Wytropimy mordercę wielbnego Mathersa.

Krótko mówiąc, zrobimy wszystko, co musimy zrobić. A po to, by tego dokonać, musimy mieć

świeże i sprawne umysły.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy się z tobą Kocham, tracisz rozum?

- Całkowicie - odparła i dźgnęła go w ramię. - A ty dobrze o tym wiesz i jesteś z tego dumny.

Kiedy przyjechali do Shugborough Hall, lord Prith i Flock przywitani ich w drzwiach. Obaj wręcz promienieli radością. Lord Prith nie przestawał się uśmiechać, kiedy weszli do holu. Zachowywał przy tym absolutne milczenie.

Wreszcie przemówił Flock.

- Jego lordowska mość chciałby poznać rezultaty szalonej strategii lorda Beechama. Proszę tylko pomyśleć, panno Helen.

By nakłonić panią do zmiany zdania, porwał panią z domu.

Proszę nam wszystko opowiedzieć, panno Helen.

Zwróciła się do ojca.

- Pół roku temu otrzymałam list od Gerarda Yorke'a.

Dopóki nie dowiemy się, czy on naprawdę żyje, nie możemy się pobrać. Postanowiliśmy jednak, że wyznaczymy datę ślubu na przyszły miesiąc. Powiemy całemu światu o naszych zaręczynach. Jeśli Gerard żyje, będzie musiał coś zrobić, a wtedy sprawa się wyjaśni.

Lord Prith z uznaniem pokiwał głową.

- Bardzo dobry plan. Teeny pokazała mi ten list jakieś trzy miesiące temu. Uważała, że powinienem o tym wiedzieć.

Mądra dziewczyna. Omal nie powiedziałem o tym Spenserowi tamtego wieczoru, kiedy zdradził mi stan swojej duszy. Potem pomyślałem jednak, że ty sama powinnaś rozwiązać ten problem. Obmyśliłaś naprawdę dobry plan, mój chłopcze.

- Dziękuję. - Lord Beecham uśmiechnął się lekko.

- Teeny to wspaniała dziewczyna. - Flock posmutniał. - Nie powiedziała mi o tym liście.

- Wszystko się ułoży - zapewnił ich lord Beecham. - Będzie dobrze.

- Zgadza się z tym. Flock, przynieś szampana.

- Ojciec, gdzie tu powód do picia szampana?

- Trzeba myśleć pozytywnie, Neli. Jeśli wzniesiemy toast teraz, z pewnością będziemy wznosić go jeszcze raz, kiedy się pobierzecie.

- Czy mój służący jeszcze żyje, sir?

- Owszem, miewa się całkiem dobrze. Flock i Nettle zwykle patrzą na siebie jak dwa psy walczące o terytorium, ale Teeny poskromiła ich mordercze zapędy.

- Jak jej się to udało?

- Poinformowała ich, że zamierza wyjść za Waltera Jonesa.

Prywatnie jednak powiedziała mi, że Walter to łajdak i że będzie mu musiała pokazać, gdzie jest jego miejsce. Podobno zapamiętała sobie wszystkie kary wymyślone przez Helen i wybrała z nich najodpowiedniejsze w przypadku Waltera. Ma zamiar stosować je w razie potrzeby.

Helen wybuchnęła śmiechem i długo nie mogła się opanować.

Później tego samego popołudnia, kiedy Helen była w swojej gospodzie w Court Hammering, gdzie sprawdzała księgi rachunkowe i wymierzała kary tym, którzy na nie zasłużyli, lord Beecham pracował w jej gabinecie nad tłumaczeniem tekstu z pergaminu. Nucił przy tym jakieś wesołe melodie. Dzięki pomocy wielebnego Mathersa praca szła mu teraz znacznie lepiej niż przed wyjazdem. Biedny Mathers. Beecham zamyślił się na moment. Postanowił, że napisze do lorda

Hobbsa, by dowiedzieć się, czy Ezra Cave poczynił w tej sprawie jakieś postępy.

Z zamyślenia wyrwało go głośne chrząknięcie Flocka, który już od jakiegoś czasu stał w drzwiach gabinetu.

- Tak?

- Milordzie, lord Crowley chciałby się z panem widzieć.

- Ten diabeł, powiadasz? Ciekawe, czego on może chcieć?

Dobrze, Flock, zaraz zejść.

Jason Fleming, baron Crowley, stał w salonie przy kominku, wpatrzony w puste palenisko. Odwrócił się powoli, kiedy do pokoju wszedł lord Beecham.

- Zastanawiasz się pewnie, dlaczego tu jestem - powiedział bez zbędnych wstępów.

- Rzeczywiście.

Lord Crowley wzruszył ramionami.

- Wszyscy uważają, że to ja zabiłem wielebnego Mathersa.

Nie zrobiłem tego.

- Po co tu przyjechałeś?

- Chciałem przekonać się, czy wiesz już coś więcej. Zamordowano go ze względu na pergamin, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- Daj spokój, Heatherington, wiesz dobrze, o czym mówię. Wszędzie chodzą za mną jacyś ludzie, jeden z nich pewnie nawet w tej chwili stoi pod oknem i podsłuchuje naszą rozmowę. Lord Hobbs nie daje mi spokoju; wciąż mnie nachodzi, zadaje ciągle te same pytania. Rozmawia ze wszystkimi moimi znajomymi. On też jest przekonany, że to ja zabiłem wielebnego Mathersa. Ale ja tego nie zrobiłem.

- Uważasz więc, że to wielebny Titus Older wbił mu sztylet w plecy?

- Niestety, nie. Ten stary głupiec nie miałby odwagi.

- Prócz was dwóch nie widzę innych podejrzanych.

- Ja też, i to mnie właśnie przeraża. Mówię ci, lord Hobbs chce zaprowadzić mnie na szubienicę, i to jak najszybciej.

Rozmawiał już ze wszystkimi. Nikt mnie już nie zaprasza, nikt mnie nie przyjmuje. Pewna aktoreczka rozpoznała mnie wczoraj wieczorem i nie chciała wpuścić mnie do łóżka, wyobrażasz to sobie?

Lord Beecham bez trudu mógł to sobie wyobrazić, nie powiedział jednak nic i wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Crowley przyszedł do niego po pomoc? Może chciał ukraść pergamin, a rozmowa była tylko pretekstem? Ale czy nie ukraść już kopii pergaminu? Nie potrzebował oryginału.

Lord Beecham strzepnął z rękawa jakiś niewidzialny pyłek.

- Wcale nie jestem przekonany, że ty tego nie zrobiłeś.

Masz fatalną reputację. Jesteś bezwzględny. Zadajesz się z szumowinami. Jesteś hazardzistą i do tego kiepskim, zawsze przegrywasz, ZAWSZE potrzebujesz pieniędzy. Pewnie już kiedyś zabiłeś, więc czemu nie miałbyś jeszcze raz? Nie widziałem, żebyś zadreślał się kiedykolwiek wyrzutami sumienia. Wręcz przeciwnie, podejrzewam, że zrobiłbyś wszystko, byle tylko napęłnić sobie kieszenie.

- Do diabła, nie przeczę, jestem człowiekiem, który nie przepuszcza okazji, kiedy pieniądze same

pchają mu się w ręce.

Ale to nie ja zabiłem Mathersa. Może to ty wbiłeś mu nóż w plecy?

- Cóż, to możliwe - powiedziała Helen od drzwi. - Tylko po co lord Beecham miałby kogokolwiek zabijać, lordzie Crowley? On ma już ten pergamin. To nie miałoby sensu.

- Ach, panna Mayberry, miło mi panią widzieć. - Crowley złożył jej wytworny ukłon. - Wygląda pani doskonale. Powie działałbym nawet, lepiej niż doskonale.

- Dziękuję - odparła Helen krótko. - Lordzie Beecham, Flock powiedział mi, że na zewnątrz czeka bardzo miły człowiek, niejaki Ezra Cave. Zdaje się, że to nasz policjant i że pilnuje lorda Crowley a.

- Popełniłem błąd, przyjeżdżając tutaj - oświadczył lord

Crowley, ruszając do drzwi. - Nie uwierzycie mi, choćbym zaklinał się przed wami na wszystkie świętości.

- Podaj nam jeden dobry powód, dla którego mielibyśmy ci uwierzyć - zawołał za nim lord Beecham. - Chociaż jeden.

Crowley przez chwilę wodził wzrokiem od Helen do Beechama, wreszcie wyrzucił z siebie:

- A może wielebny Mathers nie został zamordowany z powodu pergaminu?

- Hm, to dość oryginalne spojrzenie na tę sprawę - mruknął lord Beecham.

I - Słyszałem, że jego brat, Stary Clothhead, jak nazywał go Mathers, wciąż się z nim kłócił. Może chciał ten pergamin, może i nie. Może był zazdrosny o swojego brata, może w końcu puściły mu nerwy i zabił go w wybuchu złości, a dopiero potem pomyślał o tym, by ukraść pergamin. Może wiedział już, że to cenna rzecz.

Ten człowiek też ciągle potrzebuje pieniędzy. Nie uwierzycie, ale jego żoną jest bardzo młoda dziewczyna, która ciągle każe mu kupować jakieś błyskotki i ubrania. Tak, Stary Clothhead jest zdesperowany, to całkiem dobry kandydat na podejrzanego.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego wszystkiego panu Cave?

- Już to słyszałem, milordzie - oświadczył Ezra Cave, który pojawił się właśnie w salonie. - Moim zdaniem, to bzdura, ale przekażę wszystko lordowi Hobbsowi, a on już zdecyduje, co zrobić z tym dalej.

- Do diabła, nie zamordowałem wielebnego Mathersa. Nie wiedziałem nawet, że spotykasz się z nim w British Museum!

- Niech się pan tak nie denerwuje, bo pęknie panu wątroba.

Lord Crowley wyglądał tak, jakby gotów był właśnie kogoś zamordować. Złapał swój płaszcz i laskę, a potem wypadł bez słowa z salonu.

- To dziwne - mówił lord Beecham, gładząc się po brodzie. - Ale ja mu wierzę. On się boi. Naprawdę się boi.

- Ale brat wielebnego Mathersa? Stary Clothhead?

- To też nie wydaje mi się prawdopodobne, ale kto wie?

No dobrze, Helen, może napijemy się wszyscy herbaty, a pan Cave powie nam, jak wyglądają postępy w śledztwie.

Okazało się, że postępów praktycznie nie ma. Godzinę później Ezra Cave szykował się już do wyjazdu.

- Moi ludzie są wszędzie, milordzie, mam informatorów w każdym zakątku Londynu, zbieram wszystkie informacje, nawet te, które wydają się całkiem bez znaczenia. Wcześniej czy później

wpadniemy na jakiś trop.

Gdy tylko zostali sami, Spenser i Helen spojrzeli po sobie, dzieląc to samo uczucie, to samo przymożne pożądanie. Zostali na swoich miejscach, choć niewiele brakowało... Gdyby nie to, że w tej chwili do salonu wszedł lord Prith, pewnie rzuciliby się na siebie.

- Muszę powiedzieć ci coś, o czym nigdy nie mówiłem mojej małej Helen - zwrócił się do lorda Beechama. - Gdybym miał jednym słowem opisać Gerarda Yorke'a, powiedziałbym, że to oszust. Och tak, wiem, wtedy był bohaterem, wszyscy uważali go za prawą rękę lorda Nelsona. I być może rzeczywiście kiedyś tak było. Lecz kiedy poznałem go w tysiąc osiemset pierwszym, byłem przekonany, że to oszust, który stroi się w piórka bohatera wojennego. Ten list, który od niego dostałaś, Helen, to swego rodzaju wstępne rozpoznanie. On czegoś od ciebie chce, nie wiem tylko jeszcze czego. Przykro mi, Spenserze, ale Gerard żyje. Czuję to. Gdybyś chciał skręcić mu kark i potrzebował pomocy, daj mi tylko znać, a chętnie się przyłączę. Gdzie jest Flock? Flock! Ach, tutaj jesteś. Chcę, żebyś rozmasował mi ramiona. Aż ścierpłem z tych emocji.

Lord Prith wyszedł z salonu, prowadząc za sobą Flocka. Słyszeli jeszcze, jak mówił:

- Ciekawe, czy można by wymieszać szampana z jakimś słodkim kremem. Może taka substancja nadawałaby się do wcierania w zeszywniałe ramiona?

- O Boże. - Helen westchnęła. - Nic z tego nie rozumiem.

- Ja też, ale chyba czas już, byśmy wrócili do Londynu.

Potrzebujemy pomocy Douglasa Sherbrooke'a. On zna wszystkich w Admiralicji. Musimy dotrzeć jakoś do ojca Gerarda, sir Johna Yorke'a. Wyślę wiadomość do Douglasa, upewnię się, czy jest w Londynie.

Lord Beecham podszedł do Helen, podniósł ręce, by jej dotknąć, potem jednak szybko je opuścił i cofnął się o krok.

- Nie - pokręcił głową. - Powinienem chyba pokazać ci przekład tekstu z pergaminu.

Oboje przeszli do gabinetu Helen. Lord Beecham wyjął z szuflady kilka zapisanych kartek papieru.

- Nie jest to dosłowny przekład, raczej opowiadanie stworzone na jego podstawie. W oryginalnym tekście wciąż pozostaje wiele luk, pojedynczych słów i fraz, z którymi wielebny Mathers nie mógł sobie poradzić. Jednak to, co przetłumaczyliśmy do tej pory, powinno nam wystarczyć. Nie, usiądź tam, proszę. - Wskazał na fotel odległy od niego co najmniej o dwa metry.

Usiadła na skraju fotela, złożyła ręce na kolanach i spojrzała nań wyczekująco. Lord Beecham odchrząknął:

- Posłuchaj...

26

W Afryce żył pewien potężny czarownik. Dzięki swym magicznym zdolnościom odkrył kiedyś, że pewien mały chłopiec może sprowadzić dlań z Persji cenny przedmiot, którego czarownik bardzo pożył. Podstępem zwabił chłopca do kryjówki w górach i powiedział mu, że jeśli wykona jego polecenie, zdobędzie ogromne bogactwa. Potem wysłał go pod ziemię, po starą lampę strzeżoną przez potężne duchy. Duchy znały czarownika i nigdy nie pozwoliłyby mu zbliżyć się do lampy, przepuściły jednak chłopca. Chłopiec zabrał lampę, ale powiedział czarownikowi, że nie odda mu jej, dopóki ten nie pomoże mu wyjść z jaskini. Rozgniewany czarownik zamknął wejście do jaskini i wrócił do Afryki. Chłopiec umarłby pod ziemią, gdyby nie lampa. Gdy dzięki jej pomocy wydostał się z jaskini, był już innym człowiekiem. Otaczała go potężna moc, wszyscy widzieli tę moc i padali

przed nim na kolana. Podobno lampa zniknęła na jakiś czas, a potem znów się pojawiała. Kiedy chłopiec dożył swych dni i umarł, lampa zniknęła na dobre. Wszyscy byli przekonani, że zabrał ją ów czarownik z Afryki. Lecz było inaczej. Czarownik od dawna już nie żył. To ja, Jaquar, doradca starego króla, zabrałem tę lampę. W chwili gdy piszę te słowa, wiem już, że zamknę tę przeklętą lampę w metalowej szkatule. Ukryję ją wraz z tą historią. Niech pozostanie w ukryciu już na zawsze, głęboko, z dala od światła. - Lord Beecham umilkł i podniósł wzrok na Helen.

- A potem lampa trafiła w ręce templariuszy i pozostawała pod ich pieczęcią, dopóki jeden z nich nie podarował jej królowi Edwardowi - powiedziała Helen. - Czytaj dalej, Spenserze. Co robiła tam lampa? Dlaczego ten Jaquar nazywa ją przeklętą?

Dlaczego ukrył ją głęboko, w ciemności? Pergamin chyba mówi także coś na ten temat?

- W tekście nie ma już żadnych istotnych informacji, tylko zakończenie i kilka słów ostrzeżenia dla tych, którzy zechcą posługiwać się lampą. Ale to tylko ogólniki, jak już powie działem, nic istotnego. Ten tekst to po prostu historia lampy, napisana może nieco bardziej oficjalnym językiem niż przekład, który ci przedstawiłem, nie zmienia to jednak istoty sprawy.

Powstała w drugim wieku przed Chrystusem, w Persji.

- Ta historia jest bardzo podobna do bajki o czarodziejskiej lampie Aladyna, różni się tylko zakończeniem i ostrzeżeniem tego Jaquara.

- Tak. Wydaje mi się, że opowieść ta była dobrze znana na Wschodzie, powtarzana tak często, że w końcu trafiła do Baśni z tysiąca i jednej nocy. Wiemy już z całą pewnością, że chodzi o lampę, przetłumaczyliśmy tekst, ale nadal nie mamy pojęcia, gdzie jej szukać. Cóż, najprawdopodobniej ktoś po prostu zabrał ją z tej szkatuły. Kiedy? Może kilkaset lat temu.

Może szkatuła nie została w końcu wcale zakopana. Tak czy inaczej, wiemy, że lampa istniała, że była potężna i, według tego Jaquara, niezwykle niebezpieczna.

Helen nuciła coś pod nosem, jak zawsze, kiedy mocno się nad czymś zastanawiała.

- Ciekawe... - odezwała się po chwili. - Ile lat liczyła sobie ta lampa, kiedy zainteresował się nią afrykański czarownik?

Może miała sto lat, a może tysiąc, kto wie? Jak długo leżała zakopana w tej jaskini, ukryta w ciemności? Dlaczego ten Jaquar nie napisał wprost, że lampa jest niebezpieczna? I jak trafiła do skarbcza templariuszy?

Lord Beecham wstał i podszedł do niej. Ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie, potem zaś wyszeptał do ucha:

- Zapomnij o tej przeklętej lampie. Jakie to ma znaczenie, kiedy chodzi o naprawdę ważne sprawy? Wszyscy dawno już przestali się nią interesować, i niech tak zostanie. Posłuchaj, Helen. Pragnę cię, pragnę cię bardzo mocno. Powstrzymuję się resztką sił. Pocałuj mnie, a potem uciekaj.

- Dobrze - skinęła głową. - Jeśli jesteś pewien, że tego właśnie chcesz. - Pocałowała go w usta, w ucho, w brodę. - Zobaczymy się przy kolacji - rzuciła przez ramię i podbiegła do drzwi gabinetu. - Kiedy wychodziła, lord Beecham stał na środku pokoju, dysząc ciężko, niczym człowiek dręczony wielkim pragnieniem.

Miała ochotę wrócić tam, powstrzymała się jednak. Znała go już na tyle dobrze, że wiedziała, jak ważne jest dla niego dotrzymanie zobowiązania.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że więcej uwagi poświęca jemu niż lampie. Nie zmieniło się to nawet teraz, kiedy poznali nowe fakty. Cóż, lampa zniknęła, nikt się już nią nie interesował, jak powiedział Spenser. Helen przemknęło przez myśl, że chyba powinna jej wystarczyć pewność, że

lampa naprawdę kiedyś istniała, co potwierdza ten stary tekst. Tak, była usatysfakcjonowana i gotowa zrezygnować z dalszych poszukiwań Niech lampa powróci do legendy.

Myślała o mężczyźnie, którego pokochała całym sercem, którego pragnęła poślubić. Potem pomyślała również o Gerardzie Yorke'u. Nabrała pewności, że on żyje i że nie da jej spokoju. Nie wiedziała tylko dlaczego.

Potem płakała cicho w swojej sypialni i przeklinała osiemnastoletnią dziewczynę, która była na tyle głupia, że uwierzyła w miłość takiego nędznika. Spenser zapewniał ją, że wszystko się ułoży, ona jednak nie widziała wyjścia z tej sytuacji.

Wczesnym wieczorem lord Prith wkroczył do salonu i przerywając rozmowę, którą toczyli ze sobą Helen i lord Beecham, oświadczył:

- Mam dla was niespodziankę. Flock, możesz to wnieść.

Do salonu wszedł Flock ze srebrną tacą w rękach.

- Oto moje najnowsze dzieło.

- Tato, ten szampan jest fioletowy.

- Tak, Helen, dodałem do niego trochę soku z winogron, dzięki czemu uzyskałem ten miły dla oka kolor. Wszyscy możecie spróbować.

- Tato, jestem tu tylko ja i Spenser, a on nie pije szampana.

- Lord Prith machnął ręką.

- Poczekamy, Flock, na wdzięczniejsze audytorium. - Usiadł w fotelu i uśmiechnął się do nich. -

Zdecydowaliście już, co zrobicie z Gerardem Yorkiem?

- Właśnie zaczynamy się zastanawiać - odparł Spenser. - A jedzenie bardzo by nam w tym pomogło.

- Kucharka ma doskonałe wyczucie czasu - oświadczył Flock od drzwi. - Właśnie podajemy kolację.

Przy wyśmienitej kolacji, złożonej z polędwicy wieprzowej z grzybami, ryb i kaparów w maśle oraz niezliczonych przystawek - znalazła się wśród nich specjalność kucharki, jajka au miroir - postanowili, że następnego ranka wszyscy wyjadą do Londynu. Helen wraz z ojcem miała zatrzymać się w miejskiej rezydencji lorda Beechama. Londyński dom Heatheringtonów nie widział gości od trzech lat, kiedy to stara ciotka lorda Beechama przyjmowała tam swoje przyjaciółki, równie stare damy, które bez przerwy plotkowały i zostawiały wszędzie niedokończone robótki ręczne. Spenser doskonale się bawił podczas tych dziwacznych dwóch tygodni.

- Flock i ja będziemy gotowi do wyjazdu przed dziesiątą rano - zwrócił się lord Prith do Spensera. - Sherbrooke'owie na pewno będą wam towarzyszyć przez cały dzień, moja mała Helen pozostanie więc pod dobrą opieką. Nie będę się musiał martwić, że ją wykorzystasz, mój chłopcze.

Odpowiedziała mu martwa cisza.

- A potem - przemówił po chwili lord Beecham, nieco skonsternowany - pojedę w towarzystwie Douglasa Sherbrooke'a do Admiralicji. Mam nadzieję, że uda mi się spotkać tam sir Johna Yorke'a.

- Musisz być ostrożny, Spenserze - uprzedziła Helen. - Sir John to człowiek surowy, pozbawiony skrupułów. Wiem, że Gerard bardzo się go bał. Sir John rządził nie tylko nim, ale i całą rodziną. Był podobno bezwzględny i nie tolerował sprzeciwu. Ciekawa jestem, czy uda ci się coś od niego wyciągnąć.

Późną nocą lord Beecham leżał w łóżku i rozmyślał o swoim życiu. Było bardzo skomplikowane, a jednocześnie zwyczajne jak wiosenny deszcz. Uśmiechnął się w ciemności. Przypomniawszy sobie

rozmowę, którą prowadzili z lordem Prithem, nim rozeszli się do swoich sypialni.

- Postanowiłem, że w mojej miejskiej rezydencji zamieszka pan w Pokoju Tańczącego Niedźwiedzia - oświadczył.

- Cóż za dziwna nazwa, mój chłopcze. Skąd się wzięła?

- Jakieś pięćdziesiąt lat temu mój dziadek kupił i wytresował niedźwiedzia. Trzymał go w domu, w tej właśnie sypialni.

- Jak się nazywał ten niedźwiedź?

- Guthry, o ile dobrze pamiętam. Uwielbiał tańczyć z moim dziadkiem. Podobno zdechł wkrótce po jego śmierci.

- Mam nadzieję, że nie pochowano ich razem - mruknął lord Prith.

- Podobno był taki pomysł, ale chyba nie doszło do jego realizacji. Choć często miałem okazję przekonać się, że członkowie mojej rodziny dokonywali naprawdę zdumiewających rzeczy. - Prócz mojego ojca, pomyślał, utracjusza i łajdaka.

Tym razem jednak ta myśl nie sprawiła mu przykrości. Po prostu odsunął ją od siebie. Poczł się nagle znacznie spokojniejszy, wyciszony, niczym dom, z którego przegoniono duchy.

Zapadając w sen, pomyślał jeszcze, że życie jest fascynujące, że było takie przed laty i będzie w przyszłości. Ciekawe, kto jeszcze trzymał w domu tańczące niedźwiedzie?

*Miejska rezydencja lorda Beechama
Londyn*

Claude, główny lokaj lorda Beechama, nazwał Kwaterą Wojenną wielki, zacieniony gabinet na tyłach domu.

W piątkowy poranek panował tam nieopisany gwar, wszyscy mówili jednocześnie, próbując przedstawić swój punkt widzenia. Kiedy do towarzystwa dołączyli nieoczekiwanie Ryder i Sophie Sherbrooke'owie, Ryder stanął w drzwiach i przemówił, a właściwie ryknął, tym samym tonem, którego używał czasem w stosunku do swoich piętnaściorga dzieci:

- Uciszcie się wszyscy, bo nie będzie deseru!

Pomysł okazał się skuteczny; wszyscy umilkli i spojrzeli na Rydera ze zdumieniem.

- Ryder, Sophie, witajcie w Londynie - przywitał ich Douglas. - Przyłączcie się do nas. Wiem, że oboje lubicie zagadki, więc na pewno was to zainteresuje, Ryder, czy znałeś oficera marynarki wojennej nazwiskiem Yorke, Gerard Yorke? Zginął rzekomo w tysiąc osiemset trzecim roku, u wybrzeży Francji. Ryder Sherbrooke zmarszczył brwi, zamyślił się, potem pogładził po brodzie.

- Mam nadzieję, że nie sprawię nikomu przykrości, jeśli powiem, że ten człowiek oszukiwał przy grze w karty. Kiedyś w mojej obecności omal nie poderżnięto mu za to gardła.

Pamiętam, jak jęczał, że ojciec nigdy nie daje mu dość pieniędzy i że jest w bardzo trudnej sytuacji. Spytałem go, co to za trudna sytuacja, a on odparł, że już od trzech miesięcy nie płaci swojej kochance. Pamiętam też, że był strasznie marudny, ciągle na coś narzekał. Tak, rzeczywiście, podobno utonął. A dlaczego o niego pytasz? Jakie to ma znaczenie?

W pokoju znów zapanował hałas, który stopniowo przybierał na sile, dopóki pani Glass, gospodyni Heatheringtona, nie stanęła w drzwiach i nie gwizdnęła głośno, niczym jakiś łobuziak.

- Claude jest przeziębiony i w ogóle nie może mówić - wyjaśniła, gdy wszyscy odwrócili się w jej stronę. - Kto chciałby herbaty i ciastek? Nie, proszę nie mówić, proszę podnieść ręce. Najpierw panie.

Jedna księżna, jedna bratowa księżnej i panna Mayberry posłusznie podniosły ręce.

- Dziękuję. Teraz panowie.

Tym razem zgłosił się jeden hrabia i dwóch wicehrabiów. Lord Prith poprosił nieśmiało o szampana. Sophie Sherbrooke zwróciła się do Helen:

- Nie miałyśmy jeszcze okazji się poznać, ale sporo o pani słyszałam. Aleksandra chciała panią udusić, potem jednak uznała, że tego nie zrobi, dopóki będzie się pani trzymała z dala od Douglasa. Czy to prawda, że zamierza pani wyjść za lorda Beechama?

- Tak, ale najpierw, jak już pewnie pani słyszała, musimy się dowiedzieć, czy mój pierwszy mąż żyje, a jeśli tak, to co knuje. To bardzo dziwne uczucie, kiedy człowiek dostaje nagle list od kogoś, kto rzekomo nie żyje już od ośmiu lat. W moim przypadku sprawa jest szczególnie skomplikowana ze względu na to, co łączy mnie ze Spenserem.

- Rozumiem - odparła Sophie Sherbrooke bez mrugnięcia okiem. Cóż, musiała być naprawdę silną kobietą, skoro radziła sobie z piętnaściorgiem dzieci. - Proszę opowiedzieć mi o tym coś więcej.

Pół godziny później, kiedy wszyscy jedli pyszne ciastka, które upiekła kucharka lorda Beechama,

Ryder oświadczył:

- Patrzycie na nowego członka Izby Gmin. Dlatego właśnie przyjechaliśmy z Sophie do Londynu. Bez trudu pokonałem w wyborach uzupełniających pewnego brzuchatego krzykacza nazwiskiem Redfield. Będę reprezentował w parlamencie Górny i Dolny Slaughter i okolice. - Uśmiechnął się promiennie do wszystkich zebranych.

- Proszę, proszę - powiedział z uznaniem lord Prith i wznosił lampkę szampana. - Jesteś pewien, że właśnie tym chcesz się zajmować, młody człowieku?

- Ryder chce zreformować to okropne prawo, które pozwala wykorzystywać do pracy małe dzieci, sir - odparła w imieniu męża Sophie. - Jestem pewna, że mu się to uda.

Przez chwilę rozmawiali o podopiecznych Rydera, dzieciach, które uratował ze straszliwych sytuacji i sprowadził do swego domu.

Potem układano różne plany, zmieniano je, przerabiano. Ryder i Sophie postanowili zatrzymać się u Douglasa i Aleksandry. Mieli już wychodzić, kiedy do salonu wkroczył lord

Prith. Za nim podązał i Flock z tacą zastawioną kieliszkami szampana.

- Co to jest, ojczu?

- Ach, moja droga, mój eksperyment doczekał się wreszcie odpowiedniej liczby gardeł. Och, Sophie, nie rób takiej prze rażonej miny. To tylko szampan.

- Ale on jest fioletowy, sir.

- Owszem. To mój wynalazek. Widzi pani, dodałem do szampana odrobinę soku z winogron, nadając mu ten wdzięczny kolor. Wspaniały, nie uważa pani? Wszyscy mogą spróbować, jeśli mają ochotę. Oprócz ciebie, Spenserze, ty mógłbyś wszystko zepsuć.

Nikt właściwie nie miał ochoty na ten dziwny napój, wszyscy jednak starali się być uprzejmi i wychylili po lampce szampana z sokiem winogronowym. Spenser przyglądał im się z nieskrywanym obrzydzeniem.

Aleksandra odstawiła kieliszek po dwóch łykach i przekrzywiła lekko głowę, mówiąc:

- Bardzo dziwny smak, sir. Prawdę mówiąc, to nie nadaje się do picia. Może spróbuje pan wymieszać szampana z czymś innym.

Lord Prith spojrzał z nadzieją na Douglasa, ten jednak pokręcił tylko głową, więc bliski łez odwrócił się do Sophie. Odchrząknęła, spojrzała z rozpaczą na swego męża i oświadczyła:

- Bardzo mi przykro, sir. Może to kwestia winogron. Może powinien to być sok z winogron znad Morza Śródziemnego.

- Tato, idziesz w dobrym kierunku, ale Aleksandra ma rację - wtrąciła Helen. - Nawet gdybym była umierająca, a ten napój miałby przywrócić mnie do zdrowia, nie wypiłabym więcej niż dwa łyki.

- Nawet ty, moja mała Helen? - Lord Prith westchnął. -

Wiedzą państwo, że moja córka mnie uwielbia, a skoro nawet ona krytykuje tę mieszankę, to rzeczywiście musi być wyjątkowo niesmaczna. Ale poczekajcie. Ryder, pan nie powiedział jeszcze, co o tym sądzi.

- Sir, w ciągu wielu lat małżeństwa przekonałem się już, że kiedy nie zgadzam się z moją żoną, to ona nie chce się do mnie nawet uśmiechać, nie mówiąc już o innych rzeczach.

Przykro mi, ale nie mogę.

- Rozumiem pańskie wahanie. - Lord Prith skinął głową. - Ach, Flock, jak nazwaliśmy ten śliczny fioletowy napój?

- Gra pan, milordzie.

- Bardzo mi się podoba ta nazwa. Ma w sobie coś. Hm...

A co byście powiedzieli na szampana z sokiem morelowym?

Najwyraźniej nikt nie miał na ten temat nic do powiedzenia, w pokoju zapadła bowiem cisza.

Oba małżeństwa Sherbrooke'ów wyszły wkrótce potem, gotowe przystąpić do wykonania powierzonych im zadań.

27

Dochodziła północ, kiedy ktoś zapukał do drzwi sypialni lorda Beechama.

Lord Beecham był nagi. Leżał na plecach w swym ogromnym łóżku, przykryty do pasa kołdrą, i marzył o tym, jak będzie całował delikatną skórę pod kolanami Helen, czego do tej pory nie udało mu się zrobić.

- Proszę - zawołał.

Helen wpłynęła do środka - tak właśnie pomyślał, patrząc w osłupieniu, jak idzie w jego stronę. Miała na sobie czerwoną koszulę nocną, okrytą nieco ciemniejszym purpurowym szlafrokiem, i to połączenie wcale nie wyglądało źle. Patrząc na to, człowiek nie wiedział nawet, jakie skarby kryją się pod spodem.

- Odejdź, Helen. Mówię poważnie.

- Zaraz. Podeszła do łóżka i okręciła się w miejscu. Gdyby nie to, że już leżał, delikatny szelest tkaniny rzuciłby go zapewne na kolana. - I jak, podoba ci się?

- Jeśli nie odejdiesz, zerwę to z ciebie i sprawdzę, czy mi się podoba. Odpowiem ci jutro rano.

- Włożyłam to, żeby cię ukarać. To specyficzny rodzaj tortury. Spenser, jakbyś to ocenił? Poziom Czwarty?

- Helen, tak bardzo chcę cię rozebrać, że widzę tylko nadmiar czerwonej tkaniny, której natychmiast powinnaś się pozbyć.

- Aleksandra powiedziała mi, że tak ubiera się kochanka, kobieta, która chce uwieść przystojnego, ekscytującego i bogatego mężczyznę. Powiedziała też, że właśnie takie ubranie włożyłaby dla Douglasa, choć przecież jest jego żoną. Sophie z kolei stwierdziła, że Ryder wybuchnąłby śmiechem, gdyby zobaczył ją w czymś takim, ale zaraz potem by z niej to ściągnął. Zastanawiałam się nad tym i pomyślałam... Cóż, nie jesteśmy małżeństwem, a byliśmy ze sobą bardzo blisko. Czy to czyni mnie kochanką?

- Nie. To znaczy, nie w takim sensie, o jakim mówiła Aleksandra. Gdybyś nie miała pieniędzy, byłabyś moją utrzymanką, ale to nie ma z tym nic wspólnego. A teraz wyjdź, proszę.

Uśmiechnęła się do niego, odwróciła i podeszła do drzwi. Oparłszy się jedną ręką o futrynę, rzuciła jeszcze przez ramię:

- Nie chciałam, żebyś myślał, że o tobie zapomniałam.

Nagle opadła z niej maska uwodzicielki. Pochyliła się i ukryła twarz w dłoniach.

Lord Beecham natychmiast znalazł się przy niej i mocno ją przytulił.

- Nie, kochanie, nie płacz, proszę. Chętnie płakałbym z tobą, ale mężczyźni płacz nie przystoi. Mężczyzna musi zachować pewne standardy. Pozwól mi się przytulać, nie myśl jednak o niczym zmysłowym. Tak, przestań już płakać. Poradzimy sobie z tym wszystkim. Jesteśmy bardzo inteligentni, mamy też równie utalentowanych pomocników. Teraz do naszej małej armii dołączyli jeszcze Ryder i Sophie. To bardzo dzielni ludzie. Muszą tacy być, skoro radzą sobie z piętnaściorgiem dzieci. Teraz co najmniej dziesięć osób wie o lampie i o twoim przeklętym mężu,

który zupełnie niepotrzebnie powrócił do życia. Znacznie więcej ludzi wie o śmierci wielbego Mathersa. Wkrótce plotki przenikną do szerszego grona i zdarzą się różne rzeczy. Nigdy nie wierzyłem w absolutną dyskrecję. Na tym nam zresztą zależy, by wszyscy wiedzieli o wszystkim. Wcześniej czy później prawda wyjdzie na jaw. Przekonasz się, najdroższa. Proszę, nie płacz już.

Pociągnęła nosem i podniosła głowę. Ich spojrzenia się spotkały.

- Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy po prostu ogłosić przed całym światem, że pergamin potwierdza istnienie lampy i że prawdopodobnie została ukryta wraz z nim. Co o tym myślisz?

- Jesteś nagi.

Nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz gdy mu to uświadomiła, w ciągu kilku sekund był gotów do dzieła.

- A niech to... Wracaj do łóżka, najdroższa. Mamy jutro bardzo dużo pracy.

Nagle Helen wyrzuciła z siebie to, co tak bardzo ją dręczyło:

- Kochałam się z tobą, wiedząc, że on żyje. Oszukałam cię.

Postąpiłam jak człowiek bez honoru. Nie zasługuję na ciebie.

Nie chcę mówić nikomu o lampie.

Przesuwał dłońmi po jej plecach. Dotyk i szelest jedwabiu przyprawiłyby o drżenie człowieka dysponującego potężniejszą siłą woli niż on. Pokręcił głową, opanował się i powiedział:

- No tak, rzeczywiście mnie oszukałaś. I co z tego? Ten niktzemnik zostawił cię przed ośmioma laty. Widocznie nie mogłaś się powstrzymać, czując że musisz mnie mieć, bez względu na to, czy ten łajdak żyje, czy nie. Nie jesteś bez honoru, wręcz przeciwnie, nie znam nikogo, kto ceniłby sobie honor bardziej niż ty. A wracając do lampy... Jeśli powiemy o niej wszystkim, cała historia zostanie uznana za bajkę, bo dlaczego mielibyśmy to rozgłaszać, gdyby to była prawda, gdybyśmy naprawdę chcieli ją odnaleźć? Może kilku zapaleńców nadal będzie jej szukać, kopać dołki tu i tam, nie znajdą jednak niczego prócz robaków i w końcu dadzą sobie spokój. Zapewne niewiele osób uwierzy, że pergamin naprawdę miał coś wspólnego z lampą. To zbyt nieprawdopodobne. Helen pochyliła głowę.

- Wydaje mi się, że to jednak ja cię uwiodłam, i że nie miałaś w tej kwestii żadnego wyboru.

Interesujące, pomyślał, przypomniawszy sobie tamten dzień, kiedy przemoczeni siedzieli obok siebie w zrujnowanej chacie.

- Tak, uwiodłaś mnie, a ja nie miałem żadnego wyboru.

Pamiętam, jak mówiłem ci, że cię nie chcę, ale ty po prostu nie dawałaś mi spokoju. Przestań już, Helen, nie potrzebnie zadręczasz się wyrzutami sumienia. Zastanawiam się jednak nad jedną sprawą: czy kochałbym się z tobą, gdybym wiedział o Gerardzie? Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem.

- I dlatego właśnie nie chcesz mnie teraz?

Objął jej piękne ramiona i potrząsnął nią lekko.

- To nieprawda i dobrze o tym wiesz, Helen. Pragnę cię nieustannie, ale chcę, byś była moją żoną, nie tylko kochanką czy partnerką. Chcę cię całej, Helen. Chcę, byśmy spełniali się razem, już jako małżeństwo. Nie kryje się za tym nic więcej.

Tworzymy coś bardzo ważnego, coś, co będzie nas łączyć do końca życia. Rozumiesz to? - Dotknął czołem jej czoła.

- Może, ale...

- Przestań - powiedział cicho, przykładając palec do jej ust. - Powiedziałaś, że na mnie nie

zasługujesz. To bzdura.

Nie mogę także zaakceptować przyczyn, dla których to powie działała. To bzdura, powtarzam, i to bzdura, która bardzo mnie złości. Natychmiast o tym zapomnij. A co do lampy... cóż, skoro sobie tego nie życzysz, na razie nie będziemy mówić o niej nikomu więcej.

- Dobrze. Pocałuj mnie tylko raz. Obiecuję, że potem ucieknę.

Pocałował ją, i rzeczywiście uciekła. Tymczasem on stał na środku pokoju, dysząc jak maratończyk. Zastanawiał się, co właściwie robi z nim ta niesamowita kobieta. I był jej za to bardzo wdzięczny.

Sir John Yorke był kompletnie łysym, zasuszonym starcem, o przerażających, bezbarwnych oczach. Lewa powieka od czasu do czasu drgała mu nerwowo, jakby powodowana własną wolą.

Wciąż miał ogromną władzę. Potrafił być bezwzględny i okrutny, kiedy chodziło o interesy.

Uderzał o siebie czubkami rozcapierzonych palców. Jego pomarszczone dłonie pokryte były starczymi plamami.

Przywitał trzech dżentelmenów skinieniem głowy. Znał ich wszystkich, nie jako przyjaciół, lecz ludzi wpływowych i bogatych - tylko dlatego zgodził się ich przyjąć. Nie miał pojęcia, czego od niego chcą. Spojrzał na nich spod półprzymkniętych powiek. Wszyscy byli młodzi i zdrowi. Wszyscy nosili też tytuły szlacheckie i byli od niego bogatsi. Tak naprawdę obawiał się jednak tylko jednego z nich, hrabiego Northcliffe, któremu ministerstwo powierzało od czasu do czasu misje niezwyklej wagi. Znał dobrze wszystkich ważniejszych członków rządu. Jego brat, Ryder Sherbrooke, został właśnie członkiem Izby Gmin. Nie cierpiał ich wszystkich. Musiał ich przyjąć, miał jednak nadzieję, że wkrótce sobie pójdą. Przywołał na twarz fałszywy uśmiech.

- Co mogę dla panów zrobić? - spytał, nie wstając z miejsca.

Lord Beecham uśmiechnął się uprzejmie.

- Przyszliśmy tutaj, by zapytać, czy pański syn, Gerard Yorke, rzeczywiście zginął w tysiąc osiemset trzecim roku u wybrzeży Francji.

Ryder Sherbrooke obserwował z uwagą Johna Yorke'a. Dostrzegł nerwowe drżenie jego powiek. Mamy cię, pomyślał, i rozsiadł się wygodniej, składając ręce na brzuchu.

- Oczywiście, że zginął - odparł sir John, podnosząc głos. - Był bohaterem. Gdyby żył, zająłby moje miejsce w Admiralicji.

Pańskie pytanie jest absurdalne.

- Jak więc wytłumaczy pan to? - spytał lord Beecham, wręczając sir Johnowi list.

- Ach, teraz już rozumiem. Moja była synowa wciągnęła panów w tę historię. Zastanawiałem się właśnie, czego mogą ode mnie chcieć trzej dżentelmeni. Domyślam się, że działacie w jej imieniu. Cóż, załatwmy szybko tę sprawę. To nie jest pismo mojego syna. Ona o tym wie. Mój syn nie żyje.

- Panna Mayberry uważa, że to jest pismo Gerarda Yorke'a - oświadczył Douglas, prostując się i patrząc wprost w bezbarwne oczy sir Johna. - Powiedziała nam, że nie zna pan dobrze charakteru pisma swego syna.

Za ich plecami poruszył się sekretarz sir Johna, nikt jednak nie spojrzał w tamtą stronę.

- Bzdura. Oczywiście, że znam charakter pisma mojego syna. Panna Mayberry kłamie. Potrzebuje zapewne pieniędzy i dlatego stworzyła całą tę idiotyczną historię. Nie dała mojemu synowi dziecka i dlatego nie zasługuje na moją uwagę. Proszę jej powiedzieć, że jeśli nadal będzie mnie zadrećcać, podejmę odpowiednie kroki.

- Obawiam się, że zaszło tu jakieś nieporozumienie - oświadczył lord Beecham wielce

uprzejmym tonem. - Chcę pojąć pannę Mayberry za żonę. Ten list zdaje się świadczyć, że wcale nie jest wolna, jak sądziła od ośmiu długich lat. Potrzebujemy dowodu, że pański syn naprawdę nie żyje. Jeśli go nie dostaniemy, ogłosimy to we wszystkich gazetach. Będziemy rozmawiać z jego przyjaciółmi i znajomymi, by poznać prawdę. Sir John wstał powoli, bardzo powoli, okropnie bowiem bolało go biodro. Żaden lekarz nie mógł jednak znaleźć konkretnej przyczyny tego bólu, bo też nie było żadnej prócz starości, tej przeklętej starości. Ale krew wciąż jeszcze mocno pulsowała w jego żyłach, czuł to wyraźnie.

- Mój syn już od dawna nie żyje. Może pan się żenić z panną Mayberry, lordzie Beecham, ma pan moje błogosławieństwo.

- Zrobię to, sir. Zrobię także wszystko, by mieć pewność, że Gerard Yorke naprawdę nie żyje.

Kiedy wszyscy trzej znaleźli się już na ulicy przed gmachem Admiralicji, lord Beecham pokręcił głową, zatroskany.

- Ten starzec jest przebiegły. Nie ufam mu.

- A do tego kłamie - dodał bez wahania Ryder.

- Możesz zaufać Ryderowi - powiedział Douglas, widząc, że Spenser nie jest do końca przekonany. - Naprawdę świetnie zna się na ludziach.

Lord Beecham stanął przy metalowym płocie okalającym budynek ministerstwa, czekając, aż podjedzie po nich karetka.

- Chcesz powiedzieć, że jego syn ciągle żyje?

- O tak. - Ryder pokiwał głową. - A on o tym wie. Co dziwne jednak, nie chce, by wiedział o tym ktokolwiek inny.

Dlaczego, jak myślicie?

- Nie zapominajmy, że jego syn jest bohaterem - rozmyślał głośno Spenser. - Gdyby żył, zająłby miejsce sir Johna w Admiralicji. Do diabła, jeśli naprawdę żyje, to nie mogę poślubić Helen. Co teraz zrobimy?

- Poczekamy na właściwy moment. A na razie zamieścimy ogłoszenia we wszystkich gazetach - zdecydował Ryder.

- To rzeczywiście intrygujące - mruknął Douglas. - Tak, będziemy musieli poczekać.

Spenserowi wcale nie podobało się takie rozwiązanie, nie widział jednak innego. Jeszcze niedawno miał nadzieję, że Gerard Yorke jednak nie żyje. Teraz musiał pogodzić się z myślą, że jest inaczej.

Trzej dżentelmeni udali się do White'a, by przedyskutować szczegółowo dalszy plan działania i wypytać przebywających w klubie panów o Gerarda Yorke'a. Wiedzieli, że nazajutrz jego nazwisko będzie już na ustach wszystkich londyńczyków. Lord Beecham przygotował także ogłoszenia, które zamierzał zamieścić we wszystkich londyńskich gazetach. Najdłuższe, najlepiej opracowane i najbardziej szczegółowe miało trafić do „Gazette”. Wysłał także do wszystkich gazet list z prośbą o wszelkie informacje dotyczące Gerarda Yorke'a, syna sir Johna Yorke'a z Admiralicji. Obiecywał nagrodę w wysokości pięćdziesięciu funtów za najcenniejsze wiadomości. Zakończywszy wszystkie te przygotowania, zatarł ręce i uśmiechnął się do siebie, zadowolony niczym diabeł, który zagarnął właśnie całą armię grzesznych dusz.

Douglas i Ryder dołączyli swoje pomysły, potem zaś rozesłali gońców do redakcji londyńskich gazet.

Kiedy wrócili do domu lorda Beechama, czekał tam na nich lord Hobbs. Komisarz siedział tak

blisko Helen, że Beecham ze złości aż zgrzytnął zębami. Jestem zazdrosny, pomyślał ze zdumieniem. Oczami wyobraźni ujrzał Helen w tym niesamowitym, czerwonym stroju, i wydało mu się, że lord Hobbs także próbuje zobaczyć ją właśnie taką. Ogarnęła go nagle taka wściekłość, że omal nie rzucił się na komisarza. Zazdrość... jaka to dziwna rzecz.

Lord Hobbs jak zwykle ubrany był na szaro. Helen słuchała go z podejrzanym dużym zainteresowaniem. Beecham czuł, że zachowuje się jak wariat. Wiedział, że musi się opanować. Nie mógł sobie pozwolić na zazdrość.

Lord Hobbs wstał, przywitał się ze wszystkimi i został przedstawiony Ryderowi Sherbrooke'owi.

- Słyszałem, że zajął pan właśnie miejsce posła z Górnego i Dolnego Slaughter. Moje gratulacje.

Ryder skinął głową.

- Ja też lubię szarości - powiedział.

Lord Hobbs zerknął ukradkiem na Helen, a Ryder mógłby przysiąc, że zaczerwienił się przy tym lekko. Gdy tylko wszyscy usiedli, Helen oznajmiła:

- Podobno Ezra Cave uważa, że to lord Crowley jest mordercą.

- Tak - potwierdził lord Hobbs. - Byłem zdumiony, dowiedziawszy się, że lord Crowley pojechał do Court Hammering, by przekonać pana o swojej niewinności.

- Owszem, zrobił to - odparł lord Beecham. - I muszę przyznać, że mu wierzę.

Douglas Sherbrooke zaklął cicho.

Lord Hobbs nie wyglądał na zadowolonego.

- To podły człowiek. Potwierdzają to wszyscy, z którymi rozmawiałem.

- Tak, wiem. Crowley powiedział mi, że, jego zdaniem, nie mógł tego zrobić także wielebny Older, że nie miałby odwagi.

Warto jednak zainteresować się bratem wielebnego Mathersa, Starym Clothheadem, który nie tylko często kłócił się z Mathersem, ale też ma młodą żonę, ciągle spragnioną nowych ubrań i biżuterii. Może to właśnie on zabił swojego brata i zabrał mu pergamin, przekonany, że dzięki temu stanie się bogaty?

- Nie wiem. Sprawdzimy dokładniej jego i jego młodą żonę.

Czy w grę wchodzi ktoś jeszcze?

- Lordzie Hobbs - zaczęła Helen, podając mu filiżankę z herbatą. - Może zrobił to ktoś, o kim nawet nie wiemy, a kto działa z ukrycia? Ktoś, kto śledzi każdy nasz krok i czeka, aż znajdziemy lampę, by potem nam ją odebrać?

Lord Hobbs obdarzył Helen uśmiechem, który lord Beecham skwitował zgrzytnięciem zębów tak głośnym, że usłyszał je Ryder. Spojrzał na swą żonę, ta zaś szybko pochyliła głowę, by ukryć uśmiech.

- To doskonała koncepcja, panno Mayberry. Jakiś ukryty złoczyńca, który obserwuje i czeka na właściwy moment.

- Właśnie - przytaknęła Helen.

- To absurdalne - oświadczył głośno lord Beecham. Zerwał się na równe nogi i zaczął krążyć po pokoju. - Helen, nigdy nie mówiłaś, że wierzysz w coś podobnego. Tajemniczy złoczyńca, który kryje przed nami swoją tożsamość? Który pociąga za sznurki, my zaś poruszamy się pod jego dyktando, jak marionetki na scenie? Bzdura. Pewnie przeczytałaś o tym w jednej z tych głupich powieści dla kobiet?

Aleksandra westchnęła. Wstała, wygładziła suknię i podeszła do Helen.

- Wiesz, rozboleła mnie głowa. Proszę, powiedz Teeny, żeby przygotowała mi wodę różaną i okłady.

- Ja przekażę to Teeny - zaproponował Flock, stojący przy drzwiach. - I sprawdzę, czy w pobliżu nie kręci się Nettle. Po tym łajdaku można się wszystkiego spodziewać.

- Wydaje mi się, że atmosfera nie sprzyja dalszej dyskusji - odchrząknął niepewnie lord Hobbs.

- Do kogo pan mówi?

- Do pana, lordzie Beecham. To pański dom, prawda?

- Tak, a panna Mayberry jest moją narzeczoną.

- Ach, rozumiem. Szkoda. - Lord Hobbs wstał. - Będę kontynuował śledztwo. Rozumiem, że wszyscy państwo znają tę sprawę?

Wszyscy przytaknęli.

- Czy dowiedzieli się państwo czegoś nowego o tej tajemniczej lampie, która ma podobno niezwykłą, magiczną moc?

Lord Beecham otworzył usta, potem jednak szybko je zamknął. Nie, nie będzie o tym mówił. Spełnił życzenie Helen.

Pokręcił tylko głową.

Kiedy lord Hobbs opuścił dom, Helen odwróciła się do lorda Beechama i krzyknęła, patrząc mu prosto w oczy:

- Zachowałeś się jak dziecko, jak niezdolny mały chłopiec.

Zasłużyłeś na Poziom Ósmy.

- Co to jest Poziom Ósmy? - zdziwił się Ryder Sherbrooke.

- Kara - wyjaśnił Douglas. - Poziom Ósmy to poważna sprawa. Jak to wygląda, Helen?

- Nie powiem ci, Douglas. Ale powiem Aleksandrze, żeby mogła cię ukarać, kiedy na to zasłużyysz.

- Ja też chcę wiedzieć - wtrąciła Sophie Sherbrooke. - Chcę poznać wszystkie poziomy, żeby móc torturować Rydera.

Będzie mnie błagał o litość.

Aleksandra zatarła ręce z zadowolenia.

- Tak, chcę dowiedzieć się nowych rzeczy o sznurach, węzłach i tym podobnych rzeczach. Douglas jest bardzo duży i bardzo silny. Chciałabym, żeby był bezradny, zdany wyłącznie na to, co zechcę z nim robić. Czy to możliwe?

- Och, tak, oczywiście - odparła Helen. - Dobrze, drogie panie, zapraszam was do gabinetu Spensera. Wyjaśnię wam, na czym polegają kary z różnych poziomów. Możemy także wymyślić nowe, jeśli zechcecie.

- A niech to - mruknął Ryder Sherbrooke, odprowadzając żonę wzrokiem. - Czego możemy się po tym spodziewać, Spenserze?

- Różnorodnych tortur miłosnych, od których robi ci się naprawdę gorąco.

- Muszę spytać Helen, jak nazywa się ta tortura, którą moja żona zastosowała w zeszłym tygodniu. Gorąco zrobiło mi się na samym początku, potem było coraz przyjemniej.

- To wspaniałe. - Ryder Sherbrooke zatarł ręce. - Bardzo się cieszę, że wstąpiliśmy tutaj. Spenser, nie wiem, czy będę w stanie się skupić, ale może opowiesz mi coś więcej o tej lampie, nim wrócą nasze damy, z ogniem w oczach i głowami pełnymi nowych pomysłów.

- Chce, żebym był bezradny, tak? - powiedział do siebie Douglas, po czym skrzyżował ręce na piersiach i zapatrzył się gdzieś w dal.

- Zanim porozmawiamy o lampie - zaczął Spenser - mogę podać wam kilka przykładów kar stosowanych przez Helen.

- Świetnie - ożywił się Douglas. - A potem ja powiem wam, co wymyśliłem w ostatnią sobotę.

- Nie spodziewałem się, że ta wizyta będzie taka przyjemna - oświadczył Ryder i jednym haustem dopił herbatę, nie zważając na to, że była już zimna.

Spenser zasępił się nagle.

- Właśnie uświadomiłem sobie, że powinniśmy urządzić oficjalny bal zaręczynowy. Chciałbym zaprosić całe londyńskie towarzystwo.

- Tak, tak, zajmiemy się tym - zbył go Ryder. - Najpierw jednak porozmawiajmy o ważniejszych sprawach.

-

28

Nadszedł wieczór poprzedzający oficjalny bal zaręczynowy lorda Beechama i panny Mayberry. Imię Gerarda Yorke'a było na ustach wszystkich. Powróciły stare plotki, dołączyły do nich nowe.

Salon lorda Beechama wypełniony był gośćmi od rana do wieczora. Wszyscy chcieli rozmawiać o Gerardzie Yorke'u, magicznej lampie i morderstwie wielebnego Mathersa, choć zdecydowanie najpopularniejszym tematem była magiczna lampa. Spenser i Helen dziesiątki razy opowiadali tę samą historię. Lampa była bajką, czarującym mitem niemającym, niestety, potwierdzenia w faktach. Nie, pergamin w niczym im nie pomógł.

Do drzwi miejskiej rezydencji lorda Beechama pukały także codziennie dziesiątki osób, które liczyły na pięćdziesięciofuntową nagrodę za informacje o Gerardzie Yorke'u lub zabójcy wielebnego Mathersa. Przy każdej takiej wizycie Helen wstrzymywała oddech, gdyż informatorami byli zazwyczaj podejrzani osobnicy z kapeluszami suniętymi nisko na oczy, w brudnych spodniach, a zza cholewy często wystawała rękojeść noża.

Pliny Blunder, sekretarz lorda Beechama, od rana do nocy przesłuchiwał te indywidua, by przekonać się, czy rzeczywiście mają jakieś cenne wiadomości.

Niestety, trzy dni po opublikowaniu ogłoszeń w gazetach Helen i lord Beecham wciąż nie natrafili na żaden obiecujący trop. Choć niemal wszyscy łowcy nagród zarzekali się, że widzieli właśnie Gerarda Yorke'a w Gospodzie Pod Białym Koniem czy na drodze za miastem, żaden z nich nie mówił prawdy. Nikt nie wniósł też niczego nowego do sprawy zabójstwa wielebnego Mathersa.

W Londynie plotkowano także bez ustanku o magicznej lampie. Choć nikt nie wierzył w jej istnienie, stanowiła doskonały temat do rozmowy, zwłaszcza że w całą tę historię zamieszany był lord Beecham, ten niepoprawny i interesujący arystokrata. Dzięki Beechamowi cały Londyn miał od kilku dni naprawdę dobrą zabawę.

Jego narzeczona, panna Helen Mayberry, była po prostu cudowna - wszyscy zgadzali się co do tego, nawet te zazdrosne damy, które szeptały po kątach, że jest za wysoka.

Jutro wieczorem, pomyślała Helen, układając się na łóżku w swej sypialni, odległej od sypialni Spensera zaledwie o jakieś dziesięć metrów, a niech go... Jutro wieczorem ogłoszą oficjalnie swoje zaręczyny. Gdzie, do diabła, był Gerard Yorke? Jeśli żyje, z pewnością nie będzie czekał do ostatniej chwili, tylko uderzy już wkrótce. To dziwne, ale nie przypominała sobie, by wykazał się kiedyś przy niej odwagą. Cóż, może nie miał do tego okazji.

Wszystko odbyło się tak szybko, że Helen nie zdążyła nawet krzyknąć. W jednej sekundzie spała głęboko, spokojnie, a w następnej, ktoś wsadził jej w usta chusteczkę i uderzył w twarz, pozbawiając przytomności. Wydawało jej się jeszcze, że słyszy męski głos:

- Dobrze, mamy ją.

Potem straciła świadomość.

Czuła potężne, głębokie pulsowanie, które wypełniało całe ciało, przenikało je bólem. Nie chciała tego przyjąć do wiadomości, zaakceptować, w końcu jednak musiała. Wydawało jej się, że lada moment pęknie jej głowa, ale nie mogła nic na to poradzić. Zachłysnęła się powietrzem.

- Aha, więc wreszcie się budzisz, Helen?

Ten głos... Znała ten głos, choć słyszała go już dawno temu, tak bardzo dawno temu, całe życie temu. Teraz wydawał jej się też trochę inny, jakby głębszy, bardziej chrapliwy, nie była jednak tego pewna.

- Otwórz oczy, Helen.

Zrobiła to i ponownie jęknęła z bólu. Patrzyła na Gerarda Yorke'a, starszego Gerarda Yorke'a, który miał za sobą lata wyczerpującego życia. Wiedziała, jak wyglądają ludzie, którzy oddają się hulankom i rozpuście, i była pewna, że Gerard Yorke nie spędził ostatnich ośmiu lat na dążeniu do świętości.

- Jak się czujesz, moja droga?

- Wiedziałam, że żyjesz, wiedziałam. Gdzie się chowałeś przez cały ten czas? Zapadłeś się pod ziemię?

- Chcesz, żebym cię jeszcze raz uderzył? Jeśli masz mnie obrażać, to lepiej trzymaj język za zębami. Wolalabyś, żebym nie żył, prawda, Helen? Wtedy mogłabyś wyjść za tego łajdaka, za tego kobieciarza, Beechama. Właściwie nie planowałem spotkać się z tobą tak szybko, nie chciałem jednak czekać do tego przekłętą balu. Chciałaś mnie wypłoszyć, co? No i udało ci się. Czekałem tak długo, jak tylko mogłem, w nadziei, że towarzystwo zapomni o mnie i o tej lampie, ale robił się koło tego coraz większy szum. Ukryłem się tak dobrze, że nie odnaleźlibyście mnie do końca świata. Ale koniec już z tą maskaradą. Nie wszystko poszło po twojej myśli.

- Przychodzisz nocą, jak złodziej, a nie jak człowiek honoru, który powraca z niewoli wroga.

- Wiesz, Helen, jesteś nawet ładniejsza, niż byłaś dziesięć lat temu.

- Jak to się stało, że żyjesz, Gerardzie?

Usiadł obok niej. Teraz widziała go lepiej. Uświadomiła sobie, że nie może się ruszyć. Była związana. Wciąż miała na sobie koszulę nocną. Choć Gerard okrył ją do pasa kocem, było jej zimno w bose stopy. Pokoju, w którym przebywali - choć nie miała pojęcia, gdzie są - nie ogrzewał widocznie żaden kominek.

Dotknął czubkami palców jej ust. Nie poruszyła się, nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Chętnie wbiłaby zęby w jego palce, nie chciała go jednak denerwować, bojąc się, że znów ją uderzy.

- Tak - powiedział, przypatrując się jej z bliska. - Nie mogłem w to uwierzyć, ale to prawda. Jesteś jeszcze piękniejsza.

Bała się, ale nie chciała tego okazać.

- Siedziałem tu, patrzyłem na ciebie i zastanawiałem się, jakby to było znów się z tobą kochać. Ach, zawsze miałaś tyle miejsc do pieszczona i całowania. Teraz masz dwadzieścia osiem lat, jesteś poważną kobietą, by nie rzec, starą panną.

Nie, nie, to nieprawda. Jesteś wdową, moja ty biedulko. Czy kochałaś mnie tak bardzo,

najdroższa Helen, że żaden mężczyzna po mnie nie mógł się równać z tym, co miałaś przez tak krótki czas?

- Było mi smutno, kiedy dowiedziałam się o twojej śmierci, ale będę z tobą szczerą. Nie kochałam cię bardziej niż ty mnie już po miesiącu naszego małżeństwa. O ile dobrze pamiętam, byłam mocno rozczarowana już po dwóch tygodniach. Nie byłeś tym człowiekiem, za jakiego cię uważałam. Chciałeś ode mnie tylko dziecka, nic więcej cię nie obchodziło.

- To prawda, a ty nigdy mi tego dziecka nie dałaś. A jak myślisz, dlaczego cię w ogóle poślubiłem? Żyło mi się całkiem dobrze i bez ciebie, ale nie miałem wyboru. Musiałem się z tobą ożenić. Ale potem okazało się, że jesteś bezpłodna. Czy ten twój lord Beecham wie, że jesteś bezpłodna, że nigdy nie dasz mu potomka?

- Wie.

Milczał przez chwilę, przyglądając się jej badawczo.

- Nie powiedziałaś mu tego, prawda? Okłamałaś go. Tak jak okłamałaś mnie. On nie ma pojęcia, że nie możesz dać mu dzieci.

- Wie o tym.

Uderzył ją w twarz, nie mocno, lecz boleśnie.

- Zaczęłaś bić kobiety, Gerardzie?

- To był tylko lekki klaps, Helen. Nie próbuj robić ze mnie potwora. Nigdy nie dotknąłem cię w gniewie, kiedy byliśmy razem.

- Nie, dotykałaś mnie tylko po to, by mnie zapłodnić, co było trochę bezduszne, nie uważasz? Poza tym, jak mogłam cię okłamać, skoro sama nie miałam pojęcia, że jestem bezpłodna.

Nie chciał przyjąć tego do wiadomości.

- Gdybyś wiedziała, i tak byś mnie okłamała.

Pomyślała, że takie podejście doskonale oddaje jego charakter, powiedziała jednak tylko:

- Nie było cię przez osiem lat. To szmat czasu. Gdzie się podziewałaś, Gerardzie? Co robiłaś? Twój ojciec jest przekonany, że nie żyjesz. Pokazałam mu twój list, ale on powiedział, że to nie twój charakter pisma. I żebym więcej go nie dręczyła.

Nigdy nie lubiłam twego ojca. Jest równie podły teraz, jak był przed laty.

Gerard milczał, po chwili więc Helen zaczęła mówić dalej:

- Lord Beecham z przyjaciółmi poszedł do niego. Przysięgał, że nie żyjesz, ale oni są pewni, że kłamał. To dziwne. Twój ojciec wie, że żyjesz, lecz nie chce, by się o tym ktokolwiek dowiedział. Dlaczego?

- To mój ojciec jest potworem, nie ja. Zawsze był potworem.

Okręt zatonął u wybrzeży Francji osiem lat temu. Nie umiem pływać, to prawda, udało mi się jednak ucześć pustej beczki.

Jakieś cztery godziny później fale wyrzuciły beczkę na brzeg.

Przeżyłem i w dodatku dotarłem tam, gdzie chciałem dotrzeć, gdzie byłem bezpieczny.

- O czym ty mówisz? Byłeś we Francji. Przecież to nasi wrogowie.

- Moi nie.

- Rozumiem - odparła powoli, i rzeczywiście rozumiała. - Wszyscy mówili, że jesteś bohaterem. Twój ojciec powtarza to do dziś jak litanię. Dlaczego zostałeś zdrajcą, Gerardzie?

Och, teraz rozumiem wszystko. Byłeś zdrajcą, nim jeszcze zatonął ten okręt.

Znów ją uderzył. Tym razem nic nie powiedziała. Zaczęła poruszać rękami, by rozluźnić więzy,

powoli, bardzo powoli, by Gerard niczego nie zauważył.

Nagle zaczął się śmiać.

- Zmieniłaś się, Helen. Kiedy cię poznałem, miałaś ledwie osiemnaście lat, byłaś ciekawa życia, pełna energii i entuzjazmu.

Ale nie mogłaś przekazać tej energii innym, prawda? Chciałem od ciebie jedynie dziecka, ty mnie jednak zawiodłaś. Zmieniłaś się bardziej niż ja. Nie jestem pewien, kim właściwie teraz jesteś, ale obserwuję cię od trzech miesięcy i widziałem, jak sama prowadzisz gospodę, jak nadal usługujesz swojemu ojcu. A potem wzięłaś sobie kochanka, choć wiedziałaś, że żyję. To znaczy, że mnie zdradziłaś, że byłaś niewierna swojemu mężowi. Świadomie cudzołożyłaś.

Spojrzała prosto w jego piękne, brązowe oczy, które kiedyś tak jej się podobały.

- Nie możesz wiedzieć, czy zostałam kochanką lorda Beechama czy też nie. Czyż nie spałam sama, kiedy przyszedłeś mnie porwać?

- Tak, to prawda - przyznał. - Ale lord Beecham jest podobno mężczyzną o nieodpartym uroku. Dlaczego więc byłaś sama? Kochał się z tobą, a potem cię zostawił, bo woli spać sam? Wielu mężczyzn tak postępuje. Na pewno się z tobą kochał. Słyszałem, że potrafi uwieść nawet świętą. Naprawdę nie dopuściłaś go do siebie? Trudno mi w to uwierzyć.

- On mnie kocha.

- Nie wierzę. Mężczyzna taki jak on czuje tylko pożądanie, nic więcej. Zresztą nic poza pożądaniem nie istnieje. Przez jakiś czas sprawiasz mu przyjemność, potem się tobą nudzi i adoruje inną kobietę. Tak, mógłbym domagać się rozwodu, postawić cię przed Izbą Lordów. Cudzołóstwo. Mógłbym zniszczyć cię, zrujnować twego ojca, a wszyscy i tak byliby po mojej stronie.

- Więc czemu tego nie zrobisz, Gerardzie? Wtedy wszyscy mogliby cię zobaczyć, przekonać się, kim się stałeś albo kim zawsze byłeś. Tak, myślę, że byłeś zdrajcą już wtedy, prawda Gerardzie? Tak, zabierz mnie do Izby Lordów i zobaczymy, co się stanie. Po pierwsze, porzuciłeś swoją żonę. Ale to nic w porównaniu z faktem, że zostałeś zdrajcą. Czeka cię szubienica, Gerardzie. - Patrzyła mu prosto w oczy, jednocześnie bez ustanku poruszając rękami, by rozluźnić więzy.

Wstał. Została sama na wąskim łóżku. Patrzyła jak chodzi od ściany do ściany niewielkiego pomieszczenia. Deski głośno skrzypiały pod jego stopami. Był dobrze ubrany, wysoki, szczupły. W jego włosach pojawiły się pierwsze siwe pasma, twarz pocięły głębokie bruzdy. Co robił przez te osiem lat?

Odwrócił się i patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Jesteś piękna, bardzo piękna, ale nie mogę zabrać cię ze sobą, Helen. Zostawię cię jednak przy życiu, jeśli powiesz mi, gdzie ukryłaś tę lampę. To wszystko, czego od ciebie chcę.

Lampa. Chciał tej przeklętej lampy? Więc o to chodziło? Uśmiechnęła się do niego.

- Chcesz powiedzieć, że nigdy byś nie wrócił, gdybyś nie dowiedział się o lampie?

- Najpierw myślałem o szantażu, myślałem, że będziesz mi dawać pieniądze, bylebym tylko usunął się na dobre z twojego życia. Potem jednak doszedłem do wniosku, że nie masz powodu, by to robić. Nie wyszłaś ponownie za mąż. Nie chciałaś żadnego innego mężczyzny. Więc zapomniałem o tobie.

I wtedy dowiedziałem się o lampie króla Edwarda, a potem o twoim związku z lordem Beechamem. Tego mi właśnie było trzeba. Oddaj mi lampę, Helen, a obiecuję, że już nigdy mnie nie zobaczysz. Będziesz mogła wyjść za tego swojego fireyka.

Czuła, że to dla niego bardzo ważne. Przez długi czas patrzyła nań w milczeniu, wreszcie

oświadczyła spokojnym tonem:

- Gerardzie, naprawdę wierzę, że ta lampa kiedyś istniała.

Gdy znalazłam pergamin, miałam nadzieję, że dotyczy on lampy, i tak było. Tekst z pergaminu to baśń o Aladynie, opisana w nieco inny sposób. Autor dodaje na końcu, że lampa została zakopana, bo była niebezpieczna. Tak czy inaczej, w szkatule nie było lampy. Ktoś zabrał ją wcześniej. Kiedy?

Nie mam pojęcia. Zapomnij o niej. Prawdę mówiąc, ja już to zrobiłam.

- Wielebny Mathers został zamordowany.

- Tak, a człowiek, który to zrobił, był pewien, że pergamin mówi, gdzie ukryta jest lampa. Zabił biednego Mathersa na darmo.

Powiedziała mu całą prawdę. Nic więcej nie mogła zrobić.

- Zabiję i ciebie, i lorda Beeehama, jeśli nie dasz mi tej lampy.

Mówił całkiem poważnie. Nie uwierzył jej. Cóż, próbowała. Ogarnął ją lęk, nie o siebie, lecz o Spensera, ale zaraz uświadomiła sobie, że nie powinna się obawiać. Spenser był przecież przygotowany na pojawienie się Gerarda Yorke'a. Czekał na niego.

Uśmiechnęła się do swego oprawcy.

- Dobrze, Gerardzie. Zabiorę cię do lampy. Ale uwierz mi, to zwykła stara lampka, która nie ma nic wspólnego z magicznym przedmiotem z legendy, ot, kawałek pozłacanego żelaza.

Znalazłam ją na strychu w domu pastora. Pastor zapisał cały swój majątek mojemu ojcu. A teraz pomyśl tylko: gdybym naprawdę znalazła tę magiczną lampę, to czy siedziałabym tutaj z tobą, związana, zdana na twoją łaskę i niełaskę? Czy nie sądzisz, że cały czas nosiłabym ją przy sobie, pocierała i całowała, byle tylko poznać wszystkiej jej sekrety? Ale nie ma żadnych sekretów. Nie ma żadnej mocy. Nie ma żadnej magii.

- Okłamałaś wszystkich tych głupców w Londynie, ale mnie nie okłamiesz. Jestem przekonany, że masz tę lampę, tyle tylko, że nie wiesz jeszcze, jak korzystać z jej mocy. Gdybyś to wiedziała, byłabyś już najpotężniejszym człowiekiem na ziemi.

Ja odkryję tę moc, zobaczysz. Nie chodzi o to, że ci nie ufam, po prostu nie jestem głupcem. Porwałem nie tylko ciebie, ale i twoją drogą przyjaciółkę, Aleksandrę Sherbrooke. Leży po drugiej stronie korytarza, związana i uwięziona, tak samo jak ty.

Och nie, nie...

- Jak ci się udało porwać Aleksandrę? Ona śpi z mężem.

Gerard uśmiechnął się chytrze.

- Rzeczywiście, nie bardzo wiedziałem, jak to zrobić. Gotów byłem już ogłuszyć jej męża, nie widziałem innego wyjścia, ale kiedy już miałem zakraść się do ich pokoju, Aleksandra wyszła do biblioteki, by nalać sobie szklaneczkę brandy. Pewnie nie mogła zasnąć. Nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Porwałem was obie, a ty nie możesz nic na to poradzić, moja droga.

Douglas na pewno się obudził, pomyślała Helen, musiał się obudzić. Zobaczył, że nie ma Aleksandry, zaczął jej szukać, a potem wszczął alarm.

- Helen, próbowałaś mnie okłamać, ale ja wiem jedno: znalazłaś magiczną lampę. Jeśli znów spróbujesz mnie oszukać, jeśli mnie zawiedziesz, ta śliczna mała księżna umrze.

- Jestem tylko w nocnej koszuli. Chyba nie pójde po lampę tak ubrana?

- Zabrałem trochę męskich ubrań dla ciebie i dla księżnej.

Łatwiej będzie wam się poruszać. Przebierzesz się teraz, a ja pójde zobaczyć, jak czuje się twoja przyjaciółka. Ona ma już na sobie męskie ubranie. Muszę przyznać, że wcale nie wygląda w nim źle.

Przebrałem ją, kiedy była jeszcze nieprzytomna.

Niestety, ty ocknęłaś się, zanim zdążyłem to zrobić. Pospiesz się, chcę jak najszybciej ruszyć w drogę.

Pochylił się i rozwiązał jej ręce. Nawet nie zauważył, że już prawie sama się uwolniła.

- Nogi możesz rozwiązać sobie sama, tylko szybko. Ja idę po twoją przyjaciółkę.

Po chwili Helen była już wolna. Przebrała się w ciągu trzech minut, próbując jednocześnie obmyślić jakiś fortel. Aleksandra. Nie może pozwolić, by coś jej się stało, uznała. Wzięła głęboki oddech i stanęła tuż za drzwiami, trzymając w ręku nocnik.

Wrócił, pchając przed sobą Aleksandrę.

- Wyjdź, Helen, albo ją zastrzelę - powiedział groźnym tonem. - Nie próbuj żadnych sztuczek, bo twoja przyjaciółka zginie. Widzisz, trzymam pistolet przy jej głowie. Przestań się chować.

Helen wzięła szeroki zamach i uderzyła go w głowę ciężkim, metalowym nocnikiem, najmocniej, jak potrafiła.

Runął na ziemię jak kłoda.

- Ejże, co też panienka narobiła? Walnęła go pani w głowę, tak? Biedak ledwie zipie - przemówił niespodziewanie mężczyzna ukryty dotąd za plecami Gerarda.

- Kim pan jest? - spytała Aleksandra z zadziwiającym spokojem.

- Sługą tego pana, wynajął mnie za dwie gwinee.

- Dobrze. Więc teraz ja cię wynajmę. Dam ci pięć gwinei, jeśli odwieziesz nas bezpiecznie do naszych domów w Londynie.

Mały, chudy człowieczek spojrzał na Gerarda Yorke'a, a potem na Helen, która była od niego wyższa o dobre dziesięć centymetrów.

- Pewnie nie mam wyboru.

Ruszyli do drzwi małego domku. Helen położyła już rękę na klamce, kiedy drzwi otworzyły się same. W progu stał sir John Yorke z pistoletem w dłoni.

- Wiedziałem, że przechytysz Gerarda. Nigdy nie doceniał kobiet. Co zrobił, zostawił cię samą? Tak, na pewno tak właśnie zrobił. A ty go ogłuszyłaś, prawda? Patrzyłem na ciebie, kiedy miałaś osiemnaście lat, i wiedziałem, że jesteś bardzo silna.

Wiedziałem też, że kiedy dorośniesz, staniesz się jeszcze silniejsza. I niebezpieczna. Proszę się odsunąć, panno Mayberry.

A może powinienem raczej powiedzieć, pani Yorke?

29

Gerard Yorke wszedł do małego frontowego pokoju, w którym stały jedynie dwa chybottliwe krzesła i stół. Trzymał się za głowę i cicho pojękiwał. Chwiejnym krokiem podszedł do ściany, oparł się o nią i stał przez chwilę w bezruchu, próbując pozbierać myśli.

- Ty bezużyteczny głupcze - powiedział jego ojciec. - Nie potrafiłeś poradzić sobie nawet z jedną kobietą.

- Oczywiście, że potrafiłem. Porwałem nawet dwie kobiety, nie jedną. Widzisz je obie, stoją tu przed tobą. Tylko potem stało się coś złego. Kiedy pojawia się Helen, zawsze dzieje się coś złego. - Gerard potrząsnął głową i spojrzał na ojca, który przez cały czas mierzył z pistoletu do Helen i księżnej Northcliffe. Rzezimieszek wynajęty przez Gerarda za całe dwie gwinee krył się teraz za plecami sir Johna.

Sir John spojrzał na syna tak, jakby chciał go kopnąć. Gerard nie był zaskoczony; ojciec zawsze

tak na niego patrzył.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytał powoli, próbując ogarnąć myślami nową sytuację. - Śledziłeś mnie?

- Oczywiście. Znalazłem cię wreszcie dwa dni temu. Czekałem, aż podejmiesz decyzję w sprawie Helen, i doczekałem się, ale była to zła decyzja. Zresztą, czego innego można się po tobie spodziewać? Powinieneś być zostać martwy, z dala od Anglii, zapisać się w pamięci rodziny jako bohater, lecz tego nie zrobiłeś. I popatrz tylko, co się stało. - Sir John odwrócił się i uśmiechnął do Helen. Nie miała pojęcia, dlaczego się do niej uśmiecha, wiedziała jednak, że nie wróży to nic dobrego. Co się tutaj działo? Gerard potrząsnął pięścią przed twarzą Helen, a potem ponownie opadł na ścianę.

- Ojczy, to nie moja wina. Musiałem zostawić Helen samą, żeby mogła się przebrać. Musiałem też przyprowadzić księżną z innego pokoju, a kiedy wróciłem, pchałem ją przed sobą, trzymałem nawet pistolet przy jej głowie. W pokoju było ciemno. Spójrz, dopiero świta. Zobaczyłem, że coś leży na łóżku, myślałem, że to Helen. Skąd mogłem wiedzieć, że trzyma ten nocnik i że schowała się za drzwiami? Nikomu nie przysłoby to do głowy. Nie miałem szans.

- Co to wszystko ma znaczyć? - spytała Aleksandra, wodząc wzrokiem od starca do syna, który wciąż cicho pojękiwał i trzymał się za głowę. - Kim pan jest?

- Ach, milady, więc to pani jest żoną Douglasa Sherbrooke'a. - Starzec uklonił się lekko. - Podziwiam pani męża, choć nie mogę powiedzieć, że bym go lubił. To genialny strateg, udowodnił to wielokrotnie w ciągu ostatnich lat. Przypuszczam, że mój syn przywiózł panią tutaj, by móc łatwiej szantażować Helen?

- Tak - powiedział Gerard, odpychając się od ściany i stając wreszcie prosto. -1 było to dobre posunięcie. Helen bardzo ją lubi, przyjaźni się z nią. Wystarczy, że przystawię pistolet do głowy księżnej, a Helen zaprowadzi nas do magicznej lampy.

Kiedy zagroziłem, że skrzywdzę jej przyjaciółkę, natychmiast obiecała, że to zrobi.

- Do lampy - powiedział sir John, spoglądając ze zdumieniem na swego syna. - Wierzysz w te bzdury, o których mówi cały Londyn? Jesteś aż tak głupi? Nie ma żadnej magicznej lampy. To wszystko bajka, opowieść zrodzona przez bujną wyobraźnię Helen. Wszyscy o tym mówią, powtarzają idiotyczne plotki. Nie rozumiesz, że gdyby naprawdę miało to jakieś znaczenie, gdyby rzeczywiście istniał przedmiot o jakiejś nadnaturalnej mocy, nikt by o tym nie wiedział, bo byłaby to ściśle strzeżona tajemnica?

Helen spojrzała na niego i uśmiechnęła się w duchu. Spenser miał rację. Jak można było uwierzyć w magiczną moc czegoś, o czym wszyscy mówili?

Aleksandra podeszła do Helen i stanęła obok niej. Sir John roześmiał się na ten widok.

- Spójrz tylko na siebie, Helen. Jesteś olbrzymką, dziwolągiem, wybrykiem natury.

Uśmiechnęła się.

- Za to nie jestem taka stara jak ty, nie mam pomarszczonej skóry i zepsutych zębów.

Zbliżył się do niej, podniósł rękę, potem jednak opuścił ją powoli. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Nie byłaś taka bezczelna, kiedy miałaś osiemnaście lat - powiedział powoli.

- A ty nie byłeś taki gburowaty, choć już wtedy byłeś przeraźliwie stary. Pamiętam, jak na mnie patrzyłeś. Nie podobało ci się to, że twój ukochany syn się ze mną żeni.

Sir John wzruszył ramionami.

- Wiedziałem, że go nie utrzymasz. Wiedziałem, że nie urodzisz mi natychmiast dziecka, choć on twierdził co innego.

- Jak to, „nie utrzymam”?

- Już wtedy mój syn szukał jakichś nowych źródeł pieniędzy.

Kupiłem mu patent oficerski, miałem nadzieję, że się zmieni, modliłem się o to. Mógł pójść w moje ślady, ale nie zrobił tego. Dostał świetny posag od twojego ojca, lecz roztrwonił go w ciągu miesiąca. A co ty robiłaś? Nic. Wierzyłaś w każde jego kłamstwo. Ale ja wiedziałem, że się zmienisz. Wiedziałem, że jest w tobie pazur, silna wola, tyle że nie zmieniałaś się dość szybko, by mi się do czegoś przydać. Tak, miałem rację. Spójrz tylko, co z ciebie wyrosło.

- Nie, ojciec - wtrącił się Gerard. - Straciłem posag Helen dopiero po dwóch miesiącach. Być może nie straciłbym go wcale, gdyby nie ten podlec. Oszukał mnie Jason Fleming, lord Crowley. Chciałem go zabić, ale ten łajdak wyjechał na polowanie do Szkocji i nie mogłem mu nic zrobić. A Helen wciąż nie zachodziła w ciążę. - Gerard spojrzał z nienawiścią na swą żonę. - Chciałem od ciebie tylko dziecka, nic więcej, przynajmniej po tym, jak straciłem twój posag. Ale ty mi dziecka nie dałaś.

- Bardzo się z tego cieszę - odparowała Helen. - Miałam tylko osiemnaście lat - zwróciła się do sir Johna. - Gdybym miała wtedy tyle rozumu co teraz, nigdy nie związałam się z twoim synalkiem. Okazał się łajdakiem, ale wolę nawet nie myśleć, co by było, gdyby był podobny do ciebie.

Gerard, w odróżnieniu od swego ojca, nie potrafił nad sobą panować.

- Nie obrażaj mojego ojca, ty głupia babo!

Rzucił się w jej stronę, z ręką wzniesioną do ciosu. Helen błyskawicznie podniosła kolano i kopnęła go prosto w krocze, potem zaś uderzyła w szyję.

Gerard zawył, zgiął się wpół i upadł na podłogę. Nie wiedział, czy rozcierać krocze czy szyję, rażony bólem z obu stron. Przelykał tylko ciężko i jęczał, kołysząc się na boku. Wreszcie wyszeptał:

- Ojciec, spójrz tylko, co ona mi zrobiła. Zabij ją. Nie: zrań ją tylko. Możesz zabić ją później, kiedy już dostanę lampę.

Nie, może jednak nie. W końcu to moja żona. Zastanowię się nad tym. Zresztą, jeśli będzie wiedziała, że ją zabijesz, i tak nie zaprowadzi nas do lampy. A zapewniam cię, że magiczna lampa istnieje i że Helen wie, gdzie ona jest. Przyznała się w końcu, że ją ma. Muszę ją mieć. Helen mówi, że nie ma żadnej magicznej mocy, że gdyby tak było, już dawno by mnie zabiła. Ale to tylko kobieta. Jedyne, co potrafi dobrze robić, to kłamać. O Boże, zaraz umrę. - Dyszał ciężko. Wreszcie podniósł się z podłogi, wciąż zgięty wpół.

- Nie wiem, jak możesz jeszcze mówić po tym uderzeniu - zdziwiła się Helen, obserwując efekty swego dzieła. - Do tego na tyle wyraźnie, byśmy cię zrozumieli.

- Nieźle mu pani przywaliła - powiedział z podziwem mały łajdak. Aleksandra zrobiła krok w jego stronę i pogroziła mu pięścią.

- Chciałbyś być następny, ty mały pętaku?

- Takie słowa z ust księżnej? To nie wypada.

- Cicho bądź. Proszę wrócić na swoje miejsce, milady. Jak się nazywasz?

- Aleksandra Sherbrooke.

- Nie, nie pani, wiem, kim pani jest. On, ten mały rzezimieszek.

- Nazywam się Bernie Ricketts. Pański syn mi zapłacił, żebym pomógł mu porwać te damy. Znam się na zamkach, każdy otworzę. Wpuściłem pańskiego syna do jednego i drugiego domu, a potem

stałem na czatach i pilnowałem, żeby nas ktoś nie nakrył. Robiłem wszystko, jak trzeba, wiadomo, ale ten pański synalek dał mi za mało pieniędzy. Ta blondyna tutaj, wielka i piękna, to prawdziwy zabójca.

- Tak, zdążyłem się już o tym przekonać. - Sir John skinął głową. - To wszystko wydaje mi się coraz bardziej zabawne, ale mam jeszcze sporo rzeczy do zrobienia przed świtem.

- Już świta - powiedział Gerard, próbując się wyprostować.

Jego głos był teraz niewiele mocniejszy od szeptu, coraz bardziej bowiem bolała go szyja. - Co chcesz zrobić? Sir John zmierzył syna wzrokiem.

- Wiesz, Gerardzie, już raz próbowałem cię zabić, ale niestety, nie udało mi się.

- Nie, to niemożliwe. - Gerard kręcił głową. - Jesteś człowiekiem bezwzględny, to prawda, wiem też, że pobiłeś na śmierć moją matkę, ale przecież jesteś moim ojcem. Nie zabiłbyś chyba własnego syna?

- Nie pobiłem twojej matki na śmierć, idioto. Wypadła z balkonu w naszym domu. A ty byłeś moim synem, pokładałem w tobie wielkie nadzieje, ale ich nie spełniłeś. Jesteś darmozjadem, bezwartościowym nikczemnikiem. Zdradziłeś własny kraj. Nie ma nic gorszego od zdrajcy. To oczywiste, że nie pozwoliłbym ci zhańbić naszego nazwiska, udało ci się jednak przetrwać jakoś katastrofę okrętu i dopłynąć do brzegu.

- Ale to nie ty, ojcze, zatopiłeś okręt. Nawet ty nie mógłbyś tego zrobić.

- Nie, zapłaciłem suto jednemu z marynarzy, miał uderzyć cię w głowę i wyrzucić za burtę, bez świadków. Wtedy już na zawsze uchodziłbyś za bohatera, a rodzina nie okryłaby się hańbą. Wszystko pewnie potoczyłoby się po mojej myśli, gdyby nie ten pożar na okręcie. Mój człowiek nie zdążył cię dopaść, a ty trafiłeś do swoich mocodawców i odtąd byłeś bezpieczny.

Helen i Aleksandra wymieniły spojrzenia. Sir John planował zabicie własnego syna?

- Naprawdę chciałeś go zabić, bo odkryłeś, że jest zdrajcą? - spytała Helen z niedowierzaniem.

- Tak. Gerard chciał pieniędzy i zdobył je w jedyny dostępny mu sposób. Zdradził swój kraj. Z własnej, nieprzymuszonej woli przeszedł na stronę Francuzów. Nie wiem, ile sekretów im sprzedał, ale musiało być tego sporo, bo jako mój syn miał dostęp do tajnych dokumentów Admiralicji. Odkryłem jego zdradę zupełnie przypadkowo. Ten idiota zostawił w kieszeni surduta dokumenty, które ukradł z ministerstwa. Znalazł je jego służący i przyniósł do mnie. Wtedy nie miałem już wyboru. Dotąd robiłem dla niego wszystko. Fałszowałem depesze od admirała, wykreowałem go na bohatera, ale kiedy przekonałam się, kim jest naprawdę, postanowiłem go zabić. To było jedyne honorowe wyjście. Ale on przeżył. A teraz powiedz mi, Gerardzie, czy rzeczywiście tylko dla pieniędzy zdradziłeś swój kraj i rodzinę, wszystko, co drogie twemu ojcu? Gerard stał z pochyloną głową. Nie spojrzał na sir Johna. Patrzył na Helen, a w jego oczach płonęła nienawiść.

- To było tylko kilka nieważnych planów bitewnych, rozlokowanie kilku jednostek wojska i okrętów, nazwy miast, w których znajdowały się magazyny, nie sprzedałem im nic naprawdę istotnego. Podałem im też nazwiska kilku angielskich szpiegów. Nic wielkiego, nie musiałem się wcale starać. Oczywiście, że potrzebowałem pieniędzy. Miałem żonę. Musiałem ją utrzymywać. Musiałem udawać, że nadal mi na niej zależy, kiedy już straciłem cały posag. Gdyby zaszła w ciążę, dałbyś mi moje dziedzictwo. Obiecałeś mi to.

Helen zmierzyła go morderczym spojrzeniem.

- To jedyny powód, dla którego chciałeś mieć dziecko?

Żeby dostać pieniądze od ojca?

- To były bardzo duże pieniądze, dziesięć tysięcy funtów.

Helen patrzyła na niego, przejęta bólem i współczuciem dla oszukanej, naiwnej dziewczyny, którą kiedyś była.

- Przecież mój posag wynosił tyle samo, dziesięć tysięcy funtów. Wydałeś go w dwa miesiące. Co by ci przyszło z kolejnych dziesięciu? Nic, ty żałosny robaku. - Wydawało się, że go uderzy, ale tylko machnęła ręką. - Żałuję, że twój ojciec nie przyszedł do mnie, kiedy dowiedział się, że jesteś zdrajcą. Pomogłabym mu cię zabić. Sama wyrzuciłabym cię za burtę.

- Nie mogłabyś tego zrobić - odparł Gerard. - Jesteś kobietą.

Nie wpuściliby cię na pokład.

- Pański umysł - mówiła powoli Aleksandra, zwracając się do męża Helen - zupełnie mnie zdumiewa.

Gerard wyprężył się dumnie.

Sir John obdarzył Helen dziwnym, nieprzeniknionym spojrzeniem. Czy był to wyraz podziwu? Nie, z całą pewnością nie.

- To wszystko prawda, Gerardzie - przemówił powoli - ale Helen jest bezpłodna. A potem, ponieważ nie masz honoru, zostałeś zdrajcą. Dlaczego napisałeś do Helen po ośmiu latach?

- Do diabła, potrzebowałem pieniędzy. Kiedy usłyszałem o tej lampie, postanowiłem poczekać, aż ją znajdzie. W tej głupiej prowincjonalnej dziurze, Court Hammering, wszyscy mówią o lampie. Wszyscy wierzą, że Helen ją znajdzie, i to wkrótce. Ja jestem pewien, że już ją znalazła. Wyniosła z jaskini tę metalową szkatułę. Wiedziałem, że lampa jest w środku, musiała tam być. Potem przyłączył się do niej lord Beecham.

Oboje utrzymywali wszystko w tajemnicy, a potem lord Beecham wyjechał do Londynu. Wiem, że znaleźli lampę.

- Posłuchaj mnie, idioto. Gdybym znalazła tę lampę i gdyby rzeczywiście miała ona magiczną moc, zniszczyłabym cię jednym pstryknięciem. - Helen pstryknęła palcami przed nosem Gerarda. - Ale nic się nie stało, prawda? Niestety, nie mogę tego zrobić. Posłuchaj mnie uważnie, Gerardzie. Nie ma żadnej magicznej lampy.

- Przecież powiedziałaś mi, że jest - odparł Gerard. - Obiecałaś mi przed chwilą, że mnie do niej zaprowadzisz.

- Skłamałam.

- Dość tych bzdur - wtrącił się sir John. - Oczywiście, że cię okłamała, Gerardzie. Chciała ci uciec i zrobiłaby to, gdybym tu nie przyszedł. Jest już całkiem jasno, muszę się spieszyć. Helen, przykro mi, ale ty i twoja przyjaciółka musicie zginąć. Miałem zamiar zabić tylko Gerarda, ale nie udało mi się dopaść go na osobności.

- Zabije pan troje ludzi? - spytała Aleksandra z niedowierzaniem. - Tylko potwór mógłby zrobić coś podobnego, monstrum przeżarte złem do szpiku kości. Chce pan zabić własnego syna? To straszne, powinien pan się smażyć w piekle, sir.

- Ta paniusia ma rację. Kiepski z pana ojciec, szkoda też takich ładnych pańienek, mówię panu.

- Zamknij się, Ricketts. Niech pomyśle, jak to zrobić?

Aleksandra jęknęła, złapała się za brzuch i upadła na podłogę, nieprzytomna. Przez sekundę nikt się nie ruszał, potem Helen krzyknęła i przypadła do swej przyjaciółki.

- O Boże, Aleksandro, co się stało? Ocknij się, błagam.

- Dobra robota, Aleksandro. Możesz już wstać.

Sir John zamknął na moment oczy, a potem odwrócił się powoli. W drzwiach stali hrabia Northcliffe, wicehrabia Beecham i dwóch nieznanych mu mężczyzn.

- Myślałem, Ricketts, że trzymasz straż - wycedził sir John przez zęby, omal nie krztusząc się z wściekłości.

- Nie, nie trzymam, odkąd pan przyszedł i narobił takiego zamieszania.

- Helen, nic ci nie jest?

- Nie, ale coś się stało Aleksandrze. Nagle złapała się za brzuch i upadła. Co jej jest?

- Nic, absolutnie nic. - Aleksandra wstała z podłogi i uśmiechnęła się promiennie do męża. -

Witaj, milordzie. Jak zawsze przybywasz w samą porę.

- Świetnie się spisłaś, Aleksandro, naprawdę. Odwróciłaś uwagę wszystkich, dzięki czemu mogliśmy niepostrzeżenie wejść do środka. Jestem z ciebie dumny. Nie ruszaj się, dopóki nie unieszkodlimy tych zbójów.

Douglas podszedł do sir Yorke'a i wyjął mu z dłoni pistolet. Potem wyciągnął rękę do Rickettsa, a ten, przeklinając głośno, oddał mu swoją broń.

- Nóż też - zażądał Douglas.

- Za dużo pan widzi, do diabła.

Douglas podał Spenserowi oba pistolety i nóż.

- Idź, uściskaj swoją żonę, Douglas. Te wspaniałe okazy nigdzie nam nie uciekną - zaproponował Spenser.

Sir John odwrócił się do syna, który wyglądał jednocześnie na uradowanego i przestraszonego - co prawda uniknął śmierci, ale został złapany.

- Powiniennem być wynająć kogoś, żeby cię zabił - powie dział starzec. - Patrz tylko, co narobiłeś, ty ofermo. Nie umiałeś nawet porwać dwóch kobiet, nie ciągnąc przy tym za sobą całej armii.

- Twój ojciec ma rację - oświadczył lord Beecham swobodnym tonem. - Natychmiast trafiliśmy na twój ślad. Powstrzymaliśmy się, kiedy zobaczyliśmy, że i pan podąża jego śladem - dodał, tym razem zwracając się do sir Johna. - Chcieliśmy się dowiedzieć, o co tu właściwie chodzi.

- On chciał zamordować nas wszystkich - wyjaśniła Helen. - Aleksandra ma rację. To potwór.

- Kłamliwa suka, nikogo nie chciałem zabić! - Sir John rzucił się w stronę Aleksandry. Syn podstawił mu nogę. Kiedy starzec padał na ziemię, Gerard odepchnął Spensera, a potem skoczył na stare okno o przegniłych ramach, które rozleciało się z trzaskiem, i zniknął.

Lord Beecham wyprostował się, otrząsnął i powiedział spokojnie:

- Panie Cave, czy zechciałbym pan wraz ze swym partnerem sprowadzić tu z powrotem Gerarda Yorke'a? Dziękuję panu.

- Oczywiście, milordzie. Chodźmy, Tom - Ezra Cave rzucił do swego partnera. - Zaraz złapiemy tego śmierdzącego zdrajcę.

Lord Beecham poczekał, aż obaj mężczyźni wybiegną z chaty, i zwrócił się do Rickettsa.

- Panie Ricketts, proszę położyć się na podłodze i założyć ręce za kark.

Bernie Ricketts bez słowa wykonał jego polecenie.

Tymczasem sir John podnosił się powoli z podłogi. Trzymał się za lewe ramię.

Douglas wypuścił z objęć żonę, podszedł do sir Johna i chwycił go swymi wielkimi dłońmi za szyję.

- Chciałeś zabić moją żonę. Aleksandra ma rację. Jesteś potworem. To ty zasłużyłeś na śmierć. Twoje dumne nazwisko okryje się hańbą. Zostaniesz zapamiętany jako bezwzględny morderca,

człowiek bez honoru i ojciec zdrajcy.

- Douglas, nie zabijaj go jeszcze - poprosił łagodnie Spenser. - Ja też mam mu parę słów do powiedzenia.

- Nie, nie zabiję go. Chcę, żeby stanął przed Izłą Lordów.

Chcę też, żeby wszyscy zobaczyli, jakie zło gnieździ się na najwyższych stanowiskach w rządzie.

- Douglas pchnął sir Johna na ścianę.

Ten odrzucił głowę do tyłu i krzyknął:

- Nie, nie możecie powiedzieć o tym nikomu! Przez całe życie walczyłem o honor Anglii!

W tej samej chwili do chaty wszedł Ezra Cave z nożem w jednej dłoni i pistoletem w drugiej. Przed sobą pchał Gerarda Yorke'a. Sir John spojrzał na syna, bladego, brudnego, okrwawionego. Wydał z siebie okrzyk wściekłości i rzucił się na Douglasa. Ten próbował go złapać, lecz starzec, szybszy od węża, wymknął mu się, wyrwał z rąk Ezry Cave'a pistolet i nóż, a potem odwrócił się Gerarda.

- Powiniennem był cię zabić już dawno temu. Twoja matka była idiotką, a ty się w nią wdałeś. - To powiedziawszy wbił nóż w serce swego syna.

Potem wyrwał nóż z jego ciała i wykorzystał je jako tarczę.

Ezra Cave chwycił broń swego partnera i wystrzelił. Chybił, kula uderzyła w ścianę za głową sir Johna. Starzec pozwolił, by ciało syna osunęło się na podłogę, sam zaś wymachiwał przed sobą pistoletem.

- Nie, niech nikt z was nie śmie się do mnie zbliżać.

Zostańcie na swoich miejscach. - Odrzucił głowę do tyłu i krzyknął ku niebiosom, głosem pełnym wściekłości i goryczy. - Spełniłem swój obowiązek względem kraju. Zabiłem zdrajcę. To nieważne, że w jego żyłach płynęła moja krew.

Poświęciłem swe życie dla Anglii. Historia to doceni, zostanę uznany za człowieka honoru, który oddał życie dla ojczyzny.

Sir John przystawił sobie pistolet do skroni i pociągnął za spust. Jego głowa eksplodowała krwią, czerwona fontanna pokryła jego twarz, podłogę i ściany. Nie wydawszy już żadnego dźwięku, upadł martwy na ciało swego syna.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie poruszał, wszyscy patrzyli na martwego starca i jego syna.

Wreszcie Helen oświadczyła słabym głosem:

- Tego już za wiele, Spenser. Tego już za wiele.

Zobaczył w jej oczach straszliwy smutek. Przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił.

W rzeczywistości myślał jednak tylko o tym, że Gerard Yorke nie żyje, teraz już z całą pewnością. Zastanawiał się też, czy kiedykolwiek zostanie wpuszczony do nieba, skoro czyjaś śmierć napawa go raczej radością niż smutkiem.

30

Spenser Heatherington, siódmy baron Valesdale i piąty wicehrabia Beecham oraz panna Helen Mayberry wzięli ślub w katedrze św. Pawia. Na uroczystość przybyły setki gości. Wielu z nich wciąż powtarzało z ożywieniem plotki o fantastycznej lampie, która oczywiście nie istniała, która była tylko żartem, jaki splątał londyńskiemu towarzystwu lord Beecham. Ach, ale cóż to była za wspaniała opowieść - tajemnicza lampa, własność króla Edwarda, który z niewiadomych przyczyn ukrył ją przed światem. Wszyscy o tym mówili, próbowali zgadywać, gdzie znajduje się owa kryjówka, jakie magiczne właściwości ma lampa. Doprawdy, był to doskonały temat do rozmowy.

Co najmniej pięćdziesięciu gości naprawdę lubiło lorda Beechama i wierzyło, że śliczna Helen Mayberry będzie dlań wspaniałą żoną.

Ojciec panny młodej, lord Prith, był w swoim żywiole. Sophie Sherbrooke powiedziała Helen, że lord Prith częstował ukradkiem wszystkich wchodzących do katedry swoją nową mieszanką szampana o lekko niebieskawym zabarwieniu. Helen śmiała się tylko i kręciła głową. Zastanawiała się, co też tym razem ojciec dodał do szampana. Sok z jagód? I jak go nazywał? Bluepangne?

Uroczystość odprawiał biskup Bascombe. Jego głęboki, melodyjny głos niósł się echem po ogromnej przestrzeni katedry, dotykał wszystkich obecnych, sprawiał, że nawet ci najbardziej cyniczni nie zastanawiali się, jak ubrani są ich przyjaciele, lecz zwracali swe myśli ku ważniejszemu sprawom.

Wszyscy mówili potem, że był to wspaniały ślub. Równie wspaniałe było przyjęcie weselne wydane w miejskiej rezydencji lorda Beechama. Zdumieni obfitością jedzenia i picia goście pytali się nawzajem, oczywiście tylko w żartach, czy lord Beecham nie korzystał z pomocy magicznej lampy. W końcu zwykli śmiertelnicy przygotowują tak piękną uroczystość i tak cudowne przyjęcie przez cały rok, a nie w ciągu jednego zaledwie miesiąca.

Tak, z pewnością trzeba mocy magicznej lampy, by w tak krótkim czasie zgromadzić tyle wspaniałości.

Ryder Sherbrooke rozmawiał z Grayem St. Cyre'em i jego nową małżonką.

- Jack czy mąż mówił ci o mojej małżeńskiej radzie? - spytał.

- Tak - odparła Jack, stanęła na palcach i pocałowała Rydera w policzek. - Jesteś wspaniałym człowiekiem. Rozumiem już teraz, dlaczego Sophie tak cię uwielbia, nawet kiedy ucieka się do dyscypliny.

- O co chodzi z tą dyscypliną? - Spytał Gray St. Cyre, unosząc lekko brwi.

- A jakiej to wspaniałej rady udzielił wam Ryder? - wtrącił lord Beecham, który od pewnego czasu przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Śmiech. - Jack puściła oko do męża. - Mężczyzna zawsze może uwieść swoją żonę śmiechem.

Lord Beecham musiał się z nią zgodzić. Spojrzał na Helen, która rozmawiała właśnie z Aleksandrą Sherbrooke. Nawet nie zerknął dzisiaj na imponujący dekollet Aleksandry. Nie, widział tylko swoją żonę. Swoją żonę. W wieku trzydziestu trzech lat był wreszcie mężczyzną żonatym.

Helen Heatherington. Bardzo podobała mu się ta aliteracja, pasowała do jego wybranki. Helen była piękniejsza, niż mógłby sobie zamarzyć. Miała na sobie kremową suknię z jedwabiu, wstążki tej samej barwy zdobiły jej włosy. Nosiła naszyjnik z brylantami, który podarował jej poprzedniego wieczoru, i dopasowane doń maleńkie kolczyki. Po prostu nie mógł oderwać od niej wzroku, nie mógł nacieszyć się myślą, że jest jego i będzie jego już na zawsze. Jego żona, tak wysoka, tak szczupła i zgrabna, a do tego taka silna. Patrząc na Helen i Aleksandrę zastanawiał się, czy znów rozmawiają o dyscyplinie. Miał nadzieję, że Aleksandra podsuwa jego żonie nowe, ekscytujące pomysły. Obie damy miały naprawdę bujną wyobraźnię. Ryder mówił mu o tym w zeszłym tygodniu, uśmiechając się przy tym dwuznacznie. Powiedział, że Sophie aż kipi energią i nowymi pomysłami, które chce na nim wypróbować. Kobiety wprowadziły w tajniki dyscypliny nawet Jack St. Cyre. Gray będzie wkrótce jęczał z rozkoszy. Sophie twierdziła z kolei, że Ryder zawsze chętnie poddaje się jej eksperymentom, wręcz zachęca ją do większej surowości i stosowania nowych kar.

Co do Gerarda Yorke'a, dzięki pomocy niebios wszystko potoczyło się gładko. Jego ciało znaleziono w ciemnej uliczce portowej dzielnicy. Ktoś zadźgał go nożem i okradł. Wcześniej lord

Beecham zastanawiał się wraz z przyjaciółmi, czy po prostu nie pogrzebać go ukradkiem i zapomnieć o nim, wiedział jednak, że wtedy do końca życia będą pojawiać się pytania o byłego męża Helen, niezdrowe domysły i podejrzenia - zwłaszcza że sami szukali go wcześniej, nie do końca pewni jego śmierci. Lord Beecham nie chciał, by szeptano za jego plecami, że nie powinien żenić się z wdową, jeśli istnieje choćby najmniejsza szansa, że jej mąż wciąż żyje. Nie, Gerard musiał umrzeć dla wszystkich, policja musiała znaleźć jego ciało.

Czy lord Beecham był odpowiedzialny za jego śmierć? Mało kto brał nawet pod uwagę taką możliwość, z czego Spenser bardzo się cieszył. Douglas, Ryder i Gray St. Cyre często bywali w towarzystwie po tym, jak znaleziono ciało Gerarda, i sami chętnie poruszali ten temat. Ich rozumowanie wyglądało następująco: lord Beecham mógł po prostu zabić Gerarda i pochować go pod jakimś drzewem na odludziu, a wtedy nikt by się nie dowiedział o jego śmierci. Lord Beecham nie zostawiłby swojej ofiary w mieście, gdzie wcześniej czy później ktoś musiał znaleźć ciało. To nie miało sensu. I wszyscy się z nimi zgadzali. W dzielnicy portowej aż roiło się od morderców i złodziei. Widocznie biedny Gerard Yorke padł ofiarą jednego z nich.

Śmierć ojca Gerarda, sir Johna Yorke'a, sekretarza Admiralicji, wywołała jednak powszechny szok. Podobno był tak bardzo poruszony śmiercią swego syna, którą przeżywał już przecież po raz drugi, że sam odebrał sobie życie. Przyłożył pistolet do skroni i pociągnął za spust. Ojciec i syn pochowani zostali obok siebie, w ten sam dzień, żegnani przez zszokowaną i pogrążoną w żałobie rodzinę Yorke'ów.

Przez następny tydzień ludzie nie mówili o niczym innym, tylko o samobójstwie sir Johna Yorke'a. Jego rodzina zachowywała milczenie.

Potem znów tematem numer jeden londyńskich plotek stała się magiczna lampa.

Mało kto mówił jeszcze o śmierci wielbnego Mathersa. Z pewnością był to dobry człowiek i szkoda, że ktoś wbił mu nóż w plecy, ale kim właściwie był ten Mathers?

Sprawa morderstwa wielbnego wciąż jednak była bardzo ważna dla lorda Hobbsa i lorda Beechama. Ten pierwszy nie potrafił dowieść, że mordercą był lord Crowley, nie wydobył też żadnych istotnych zeznań od brata wielbnego, Starego Clothheada. Helen była przekonana, że to Gerard zabił wielbnego Mathersa, nie miała jednak na to żadnych dowodów. Lord

Beecham nie mógł pogodzić się z faktem, że zabójca nie został ukarany, ale nie był w stanie tego zmienić.

- Chciałbym wznieść toast!

Pięćset par oczu zwróciło się ku ojcu panny młodej. Lord Prith, człowiek obdarzony niezwykle wysokim wzrostem i równie wielkim poczuciem humoru, dumny ze swej córki i najwyraźniej zadowolony ze swego nowego zięcia, stał na podwyższeniu, przed orkiestrą.

Podniósł wytworną lampkę szampana i oświadczył:

- Moja piękna Helen poślubiła wspaniałego mężczyznę, który odda jej się cały. Będą ze sobą szczęśliwi teraz i wtedy, gdy przyszłość stanie się teraźniejszością. Chciałbym, żebyśmy wszyscy wypili za ich zdrowie i za szacunek, którym darzą się nawzajem, szacunek, który zdumiewa nawet ich starego ojca.

Helen roześmiała się, nie mogła się powstrzymać. Ojciec był naprawdę wyjątkowy. Żałowała, że nie stoi dość blisko, by mogła go ucałować i uściskać, i powiedzieć mu, jak bardzo go uwielbia. Stała jednak obok swego nowego męża, śmiała się więc tylko i machała do ojca, który z upodobaniem odgrywał rolę współgospodarza i wodzireja.

Tłum przyjął ten niezwykle toast oklaskami i pełnym uznania śmiechem. Służący ekscentrycznego lorda Pritha roznosił wśród gości lampki szampana, z trudem hamując przy tym łyż. Nikt nie wiedział, że Flock nie płacze wcale z radości, lecz z żalu po swej Teeny, która dwa dni wcześniej poślubiła w Court Hammering niejakiego Waltera Jonesa.

Jeszcze przez wiele dni wspomniano w towarzystwie ten toast oraz łyż wzruszenia w oczach służącego lorda Pritha.

Dokładnie o trzeciej pięćdziesiąt siedem nad ranem, długo po tym, jak dom opuścili ostatni goście weselni, lord Beecham leżał na swojej żonie i zastanawiał się, czy przeżyje noc poślubną, która nie dobiegła przecież jeszcze końca. Bał się, że nim jego biedne serce wyskoczy z piersi, po prostu zabraknie mu tchu. Przyłożył czoło do czoła swej ukochanej.

- Helen, to już koniec.

Właśnie skończyli się kochać po raz czwarty.

- Doskonale cię rozumiem. - Zdołała jakoś podnieść głowę i ucałować go w szyję.

- Zrobiłem to. Udało mi się. - Podniósł się powoli na łokcie, tak wyczerpany, tak nasycony rozkoszą i miłością do tej prawie nieprzytomnej kobiety leżącej pod nim, tej pięknej bogini, że mógłby zapłakać z radości, dać ujście wszystkim tym cudownym uczuciom, które kłębiły się teraz w jego sercu.

- Helen, to było naprawdę wspaniałe osiągnięcie. Zrobiliśmy to.

- Hmmmm?

- Cztery razy, Helen, nie trzy. Udało mi się wyrwać z tej rutyny, przełamać ten potrójny cykl, z którego nie mogliśmy się wyzwolić.

- Mogliśmy przestać po dwóch razach. To także przerwałoby ten cykl. Mogliśmy też poprzestać na jednym razie.

- Nie, to byłaby obraza dla mojej męskości. Mężczyzna zawsze musi dążyć do wyższych celów. Dziś osiągnąłem ten cel. Obawiam się jednak, Helen, że nie zrobię już nic więcej.

Opadł na łóżko obok niej i przytulił ją do siebie. Pocałował jej włosy, a w następnej sekundzie spał już głębokim, kamiennym snem. Helen Heatherington, lady Beecham, leżała przytulona do swego męża i gładziła go czule po piersiach. Nie miała siły, by robić cokolwiek więcej.

Położyła dłoń na jego piersiach.

- Muszę ci coś powiedzieć, Spenserze.

Parsknął przez sen, zdołał jakoś unieść głowę i pocałować ją w ucho. Potem ponownie upadł na plecy, nie zasnął jednak. Czekał.

- Chciałam powiedzieć ci o tym wcześniej, ale byłeś tak zajęty poszerzaniem naszych miłosnych horyzontów, że wolałam cię nie rozpraszać.

- Nie mogłabyś mnie rozproszyć. Żaden mężczyzna nie mógłby się rozproszyć w twojej obecności, najdroższa.

- Owszem, rozproszyłabym cię. Byłbyś tak zaskoczony, że spadłbyś z łóżka.

Podniósł się na łokciu, pochylił nad nią i pocałował ją w usta.

- Dobrze, powiedz mi. Zaskocz mnie, jeśli potrafisz.

- Nie jestem bezpłodna. Po prostu nie mogłam zająć w ciążę z Gerardem. Spenserze, będziemy mieli dziecko.

Spojrzał na nią, zamrugnął gwałtownie i opadł na plecy. W następnej sekundzie ześliznął się z łóżka i spadł na podłogę.

Obudził go delikatny pocałunek Helen. Uwielbiał to i coraz bardziej się do tego przyzwyczajał. Było to już prawie uzależnienie. Gdyby nie pocałowała go rano, cierpiałby przez cały dzień. Pewnie błagałby ją o ten pocałunek na kolanach.

Westchnął i odwrócił się do niej. Chciał się odwrócić.

Ale nie mógł się ruszać. Nie, to niemożliwe. Pocałowała go jeszcze raz, jej ciepłe delikatne usta dotknęły jego brody. Natychmiast poczuł przyływ nowych sił, lecz to nie było nic nowego. Próbował ją objąć, nie mógł jednak poruszyć rękami.

Otworzył oczy. Zobaczył uśmiechniętą twarz swej żony, jej słodkie usta, które znów złożyły pocałunek na jego policzku.

- Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego - powiedział powoli, próbując zebrać myśli, co w tych okolicznościach wcale nie było łatwe.

- Wiem, milordzie. - Pocałowała go w lewe ucho. - Jesteś teraz moim więźniem.

Mówiła prawdę. Leżał na plecach, zupełnie nagi, z rękami związanymi nad głową i rozłożonymi nogami, przywiązany do łóżka.

Przełknął ciężko.

- Przeznaczenie to ciekawa rzecz. Helen, moja najdroższa, co by się stało, gdybyś mnie nigdy nie zobaczyła? Gdybym jakimś dziwnym zrzędzeniem losu nigdy nie zobaczył ciebie?

Gdybyś nie postanowiła mnie uwieść? Gdybym ja nie po stanowił uwieść ciebie? Żadna inna kobieta nie zrobiłaby mi tego. Och, Helen, pocałuj mnie jeszcze albo najpierw mnie ogól, a potem pocałuj, ale zrób to.

Lecz ona nie pocałowała go ani nie ogoliła. Stała obok łóżka, z rękami wspartymi na biodrach, i śmiała się głośno.

- O, nie. To jest zemsta, milordzie. Pamiętasz, jak ty mnie związałeś? Chciałam ci teraz odplacić.

- Ach, więc jeśli odpowiednio poruszę rękami, rozwiążę więzy i będę wolny?

- Nie, nie umiem wiązać takich węzłów. Obawiam się, że jesteś zdany na moją łaskę i niełaskę, milordzie. Nie uciekniesz, dopóki ja ci na to nie pozwolę.

Pomyślał, że do tego czasu umrze z nadmiaru niezaspokojonego pożądania. Spojrzał na nią pytająco:

- Będziesz mnie biczować malwą?

Uśmiechnęła się doń promiennie. Dopiero wtedy zauważył, że ma na sobie jedwabną koszulę nocną, niezwykle cienką i delikatną. Była jasnokremowa. Patrzył, jak Helen powoli rozwiązuje jedną wstążkę na ramieniu.

Przełknął ciężko, czując, że jego ciało natychmiast reaguje na ten widok.

- Który to poziom?

- Nie przypisałam temu jeszcze żadnego poziomu. Najpierw muszę przeprowadzić eksperyment, potem będę oceniać rezultaty. - Opadła druga wstążka, a koszulka zsunęła się powoli z jej piersi i zatrzymała w talii. - Może okaże się, że ta kara wcale nie jest skuteczna. Może po prostu zamkniesz oczy i uśniesz. Może nawet będziesz chrapał.

- Ja umieram, Helen.

- To dobrze. Cierpliwości. Pozwól, że jeszcze trochę się z tobą podroczę. - Przysiadła obok niego na łóżku i zaczęła go całować.

Beecham wygiął się w łuk, wciągnął głośno powietrze, serce waliło mu młotem.

- Helen, musisz natychmiast przestać. To prawda, że nie jestem bardzo młody, że po trzydziestotrzyletnim mężczyźnie można by się spodziewać większej samokontroli, ale nic na to nie poradzę.

Musisz przestać albo umrę, a nie chciałbym robić tego tak pięknej kobiecie, która w dodatku jest moją żoną. Przestań, Helen. Ach, twoje usta są takie ciepłe... - Jęknął i szarpnął więzy krępujące mu ręce. Poluzowały się lekko, nadal jednak był uwięziony.

Wtedy Helen rzeczywiście przestała, a on omal nie zapłakał. Jego umysł był otumaniony, oczy przesłaniała mgła pożądania. Widział, jak Helen znów staje przy łóżku, jedwabna koszulka zsuwa się z jej bioder i ląduje u stóp. Była cała jego, ta piękna, oddana kobieta. Chciał żyć z nią do końca swych dni i umrzeć u jej boku.

- Helen, żywię do ciebie tyle uczuć, że wszystkie pomieszały się już w mojej biednej głowie. Wiem tylko tyle, że czekałem na ciebie przez całe życie. Aż wreszcie skoczyłaś na mnie w parku i uratowałaś mnie. Kocham cię, Helen. Nigdy o tym nie zapominaj, dobrze?

- O nie - odparła. - Nigdy nie zapomnę. Czyż nie wiesz, że cię uwielbiam? Że zrobię wszystko, by cię uszczęśliwić? - Pochyliła się i dotknęła więzów na jego nadgarstkach i kostkach.

Po sekundzie był wolny, a Helen siedziała na nim okrakiem. Był w niej, w środku, i nim jeszcze stracił resztki panowania nad sobą, zastanawiał się, ile lat takiej rozkoszy może przeżyć człowiek, nim obróci się w proch.

- To jest co najmniej Poziom Dziewiąty - wyszeptła mu do ucha. - Co najmniej.

Lord Beecham zaczął się zastanawiać, jak wygląda Poziom Dziesiąty.

31

*Osiem miesięcy później
Shugborough Hall.*

Był środek nocy z wtorku na środę. Jordan Everett Heatherington leżał na rękach swego ojca i płakał tak głośno, że lekarz śmiał się, zacierając ręce.

- Dobra robota, milady, naprawdę dobra robota. A panu, milordzie, gratuluję wspaniałego syna, choć wcale nie podoba mi się, że przebywa pan w tym samym pokoju, gdzie pańska żona wydała go na świat. Nalegał pan jednak tak mocno, że musiałem się zgodzić. Nie pochwalam też tego, co zrobił pan przed chwilą. Nie może być tak, że ojciec odpycha lekarza od pacjentki i sam przyjmuje dziecko. Mógł je pan upuścić. I co by się wtedy stało? Nie, nie, to ja powinienem był odebrać pańskiego syna. Dobrze, że przy najmniej pozwolił mi pan przeciąć pępowinę i usunąć łożysko, co wcale nie jest przyjemne, lecz jako lekarz nie miałem wyboru.

Lord Beecham spojrział na swego syna, potem na lekarza, wreszcie krzyknął:

- Flock, chodź tutaj. Ach tak, czaiłeś się za drzwiami.

Zaprowadź doktora Coolleya na dół i daj mu lampkę najnowszej mieszanki lorda Pritha.

- A co to takiego?

- Szampan z sokiem jabłkowym. Zdaje się, że nazywa to applepague. Chciał stworzyć coś nowego na tę wyjątkową okazję. Ciężko nad tym pracował. Mam nadzieję, że jest jeszcze przytomny.

- He? Co pan powiedział, milordzie? Applepague?

- Wkrótce sam się pan przekona, co to takiego.

Helen patrzyła spod półprzymkniętych powiek, jak mąż ostrożnie podaje dziecko czekającej w pobliżu położnej, a potem wraca do jej łóżka.

- Moja kochana - westchnął lord Beecham, siadając obok żony. - Wyglądasz pięknie, może nawet jeszcze cudowniej niż wczoraj.

Helen nie zamierzała się z nim spierać. Wykąpana przez Teeny i ubrana w nową koszulę nocną, zapadła w głęboki sen i przespaała resztę nocy.

Nad ranem zerwał się wiatr, od morza nadciągnęła straszliwa burza, która wyrывała drzewa z korzeniami, niszczyła domy, zrzucała kamienie z urwiska. Helen tak mocno spała, że ani razu nie otworzyła nawet oczu.

Dwa tygodnie później, kiedy lord Beecham i Helen wybrali się ponownie do jaskini, odkryli, że jedna ze ścian niemal zupełnie zapadła się do środka. W głębi powstałego w ten sposób otworu błyszczało jakieś dziwne światło.

Helen patrzyła zafascynowana, jak delikatny żółty blask pulsuje miarowo, bez ustanku. Wydawało się, że sięga głęboko w ścianę, przenika kamień.

- Co to jest?

- Nie wiem.

Lord Beecham sięgnął po tajemnicze światło. Jego palce zamknęły się na twardej, ciepłej powierzchni. Miał wrażenie, że ów przedmiot się porusza, choć wiedział, że to niemożliwe. Czuł jednak jego miarowe pulsowanie.

- Helen - powiedział cicho. - Znalazłem coś, czego nie powinno tutaj być, coś niepodobnego do żadnej rzeczy, jaką znamy. - Powoli, bardzo powoli wziął tajemniczy przedmiot w obie dłonie i przyciągnął do siebie.

Była to stara brudna lampa.

Oboje wpatrywali się w nią w milczeniu. Helen oderwała wąski pasek materiału od halki, a lord Beecham zaczął delikatnie pocierać lampę. Po pewnym czasie spod brudu wyjrzała wgnieciona złota powierzchnia. Lampa była nieduża, lord Beecham mógł ją zamknąć w dwóch dłoniach. Była za to niezwykle ciężka.

Podał lampę żonie.

Helen ujęła ją ostrożnie. Teraz nie wydawała się już taka ciężka.

- Lampa - powiedziała wreszcie ze łzami w oczach. - Nie mogę uwierzyć, że przez cały czas była tutaj. Ale dlaczego nie leżała w szkatule?

- Nie mam pojęcia, jednak to właśnie musi być ta lampa, którą król Edward I dostał od templariusza. Może początkowo leżała w szkatule, a potem sama przesunęła się w głąb ściany.

Jest bardzo ciepła, jakby kryło się w niej jakieś życie. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale tak właśnie czuję. Nie umiem tego wyjaśnić, lecz może jest na tym świecie ktoś, kto to potrafi.

Lampa była ukryta w ciemności - kontynuował. - Głęboko w ścianie. Może ktoś po prostu nie chciał, by kiedykolwiek została znaleziona. - Nagle pożałował, że tu przyszli, miał ochotę odłożyć lampę na miejsce i zapomnieć o niej. Wiedział już, że nie pochodzi ona z tego świata, że nie powinno jej tu być, że choć wygląda całkiem niewinnie, ma w sobie niepojętą moc.

- Helen, to nie jest prawdziwe.

Głaskała lampę. Przysiadła na skalnej półce i przysunęła bliżej świecznik, który przynieśli ze sobą do jaskini. Próbowwała podważyć złote wieko w kształcie cebuli, ale ono nawet nie drgnęło. Wydawało się, że tworzy z lampą jedną całość, choć oddzielał je wąski, czarny pasek.

- Jak to, nie jest prawdziwe?

- Nie wiem. Tak mi się powiedziało. Co chcesz z tym zrobić?

Odparła bez wahania:

- Pamiętaj, jak król Edward włożył lampę w ręce królowej, kiedy była bardzo chora? Królowa przeżyła. Chcę się przekonać, czy pomoże też pani Freelady. Byłam u niej wczoraj, biedaczka bliska jest śmierci.

Lord Beecham nie sądził, by był to dobry pomysł, lampa należała jednak do Helen i to ona podejmowała decyzję w tej kwestii. Pani Freelady spędziła tę noc z lampą w ramionach. Czuwali w sąsiednim pokoju. Kiedy zajrzeli do niej następnego ranka, stara dama już nie żyła.

Helen nie skomentowała tego w żaden sposób, zabrała tylko lampę z powrotem do Shugborough Hall. Tymczasem po okolicy rozeszła się już wieść o tym niezwykłym odkryciu.

Późnym wieczorem, trzy dni później, lampę próbowało ukraść trzech zamaskowanych mężczyzn. Lord Beecham obudził się, słysząc przeraźliwy wrzask Flocka. Zdołał postrzelić jednego ze złodziei w ramię, jego kompani pomogli mu jednak uciec.

Zapalił świece i przyjrzał się tej przeklętej lampie, która stała sobie spokojnie na kominku w salonie - zwykła stara lampa. Zgasił świece i wrócił do łóżka.

Odkąd ją znaleźli, lampa nie przejawiała w żaden sposób swych niezwykłych właściwości. Nie pulsowała ani nie świeciła. Nie znikwała i nie pojawiała się ponownie, nie wyczyniła nic niezwykłego. Lord Beecham zaczął podejrzewać, że lampa straciła już swą magiczną moc. Jeśli nawet kiedyś taką mocą dysponowała, to nic z niej już nie zostało.

Dwa dni później lampę próbowała ukraść jakaś stara kobieta, która wrzeszczała bez ustanku, że lampa jest zła i że trzeba ją zniszczyć.

Tyle lat, myślała Helen, głaszcząc lampę. Szukała jej tyle lat, a teraz zdawało się, że rację mieli jednak sceptycy i że lampa nie jest niczym więcej niż starym, zniszczonym przedmiotem. Nie znikwała, nie zmieniała kształtów. Po prostu stała na kominku, zawsze taka sama. Skąd więc wszystkie te opowieści i ostrzeżenia? Dlaczego król Edward ją zakopał? Naprawdę nie mogła doszukać się w tym żadnego sensu.

Nie poznała żadnych odpowiedzi, tak jak nie poznał ich król Edward. Lampa wciąż stała na kominku, choć próbowano ją ukraść jeszcze dwa razy.

32

Dwa miesiące później.

Był a wczesna wiosna, rozkwitały pierwsze kwiaty, powietrze przesycone było zapachem soli i drzew sosnowych. Lord Beecham stał za żoną na urwisku, trzymał ręce na jej płaskim już brzuchu i patrzył na morze, na zbliżający się sztorm. Fale biły o brzeg, pióropusze wody strzelały w górę przy zderzeniu ze skałami, ptaki wrzeszczały piskliwie, krążąc nad ich głowami.

Pocałował ją w ucho.

- Czy mówiłem ci, że kupiłem ci już prezent na gwiazdkę?

- Przecież do gwiazdki jest jeszcze dziewięć miesięcy.

- Ja już teraz myślę o tym, jak będziemy siedzieć przed kominkiem i otwierać prezenty. Może znajdziemy tam jakiś nowy gatunek szampana. Może twój ojciec przygotowuje specjalną bożonarodzeniową mieszankę. Może będzie to szampan z ja godami ostrokrzewu. Piękny, czerwony

kolor.

Wciąż się śmiała, kiedy pochylił się do jej ucha i wyszeptał:

- Czy mówiłem ci ostatnio, że cię kocham?

Odwróciła się powoli w jego ramionach i pocałowała go w usta. Jej oddech był ciepły i słodki.

- Mówiłeś mi o tym dziś rano, nim ponownie zasnąłeś, choć nie jestem pewna, czy to pamiętasz.

Całkiem wyzułam cię z sił, milordzie.

- Robisz to, odkąd cię poznałem. Doszedłem do wniosku, że człowiek, który znalazł kobietę spełniającą wszystkie jego marzenia, wymagania i potrzeby, a do tego znającą się na dyscyplinie, jest największym szczęściarzem na ziemi.

- Zgadza się - odparła i znów go pocałowała, cały czas gładząc go po plecach.

Przyciągnął ją do siebie, zamknął oczy i potarł policzkiem o jej włosy.

- Jordan śpi już przez całą noc, to prawdziwe szczęście.

Twoje oczy znów lśnią pełnym blaskiem. - Uśmiechnął się do niej promiennie. - Wiesz, kochanie, Jordan jest naprawdę wspaniały, nawet jego wrzaski wydają się inteligentne. Przynajmniej tak twierdzi pastor, który przerwał w zeszłą niedzielę kazanie, żeby ich posłuchać. Pomyślałem, że może Jordan potrzebuje brata lub siostrzyczki. Co o tym myślisz, Helen? - Pocałował ją w usta, a potem dodał, nie czekając na jej odpowiedź: - Nie, nie od razu. Nawet gdybyś błagała mnie teraz o następne dziecko, nie zgodziłbym się na to. Poczekamy jeszcze co najmniej dwa lata, dobrze? Ile chciałabyś mieć dzieci?

Oddała mu pocałunek, sycąc się jego dotykiem, jego smakiem. Kochała go dziś nawet bardziej niż dotychczas. To było zdumiewające.

- Ile dzieci, Spenserze? Nie wiem. Mój ojciec marzy o szóstce wnuków, mówił mi o tym. Co o tym sądzisz? Możemy to zrobić?

Poczuła, jak zadrżał. Wiedziała, że przypomniał sobie tamtą bardzo długą noc, którą spędził przy jej łóżku, gdy rodziła Jordana. Po chwili powiedział:

- Nie wiem, czy przeżyję jeszcze tyle porodów, Helen. To było naprawdę bardzo trudne. Może z czasem wspomnienia wyblakną i nie będę się już tak tego obawiał. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość. Chciałbym, żeby następnym razem była to córeczka, taka śliczna jak ty. Może będzie miała też mój umysł i stanie się istotą niemalże idealną. Och, poczułem właśnie pierwszą kroplę deszczu na twarzy.

- Deszcz... jaki cudownie ciepły. Ale za chwilę nadejdzie burza, a wtedy już nie będzie nam tak przyjemnie.

Lord Beecham zamyślił się na moment, a potem uśmiechnął się, rozradowany.

- Chodźmy do twojej jaskini, tam przeczekamy deszcz. Może zdołam cię namówić, byś uczyniła mnie przez chwilę jeszcze szczęśliwszym. Poczekaj moment, przywiąż konie do drzewa.

Była to ta sama jaskinia, w której znaleźli szkatułę i lampę. Nie przychodzili tutaj od tamtej pory. Stali przy wejściu do pieczary, patrząc na nacierającą burzę. Deszcz lał gęstymi strumieniami, tworząc ścianę wody, która oddzielała ich od świata zewnętrznego. Słyszeli huk fal uderzających o brzeg. Prócz szumu deszczu i morza do pieczary nie dochodziły żadne dźwięki. Wszystkie ptaki ucichły i pochowały się w swych gniazdach.

- Zimno ci?

Helen stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Nie, nawet nie.

- Dziękuję ci za Jordana. Jest do mnie bardzo podobny.

- To prawda, choć to trochę niesprawiedliwe - przyznała. - Ponieważ jednak jesteś najprzystojniejszym mężczyzną w północnej Anglii, to chyba powinnam być zadowolona. Odwróciła się w jego ramionach.

- Kiedy nosiłam Jordana, nie czułam się źle nawet przez jeden dzień. Pani Toop powiedziała mi, że to ty przejąłeś na siebie całe cierpienie, tylko że byłeś zbyt dumny, by się do tego przyznać. Powiedziała też, że to cudowna tortura, której jak dotąd nie odkrył nikt inny.

- Tak właśnie było. Myślałem, że wypluję z siebie wnętrze, podczas gdy ty spokojnie przybierałaś na wadze i kierowałaś moim życiem. A propos tortur... podobno musiałaś ukarać wczoraj Geordiego i to na Poziomie Szóstym.

- Tak, ten idiota upił się i próbował dobierać się do służącej jednego z gości.

- A czy ona chciała tego, czy też nie?

- Powiedziała, że jeszcze się nad tym zastanawia.

- Rozumiem. A jeśli uzna, że jednak nie chciała, pozwolisz jej osobiście go ukarać?

- O tak. Oczy jej błyszczą na samą myśl o tym. Obawiam się, że uzna go za winnego tylko dlatego, by móc to zrobić.

Chce go ukarać i, jak sędzę, sprawdzić dokładniej, czym właściwie się do niej dobierał.

- Biczowanie małwą? Rozbierzesz biednego Geordiego zupełnie do naga?

- No pewnie. Całe miasteczko będzie brało w tym udział.

Zdaje się, że pastor i jego żona chcą urządzić przy tej okazji przyjęcie. Pastor uwielbia paszteciki z homara i zapowiedział już, że przyrządzi je dla wszystkich chętnych. Oczywiście, tylko kobiety będą mogły biczować Geordiego. Robią to z większą fantazją niż mężczyźni. Łączą ból z pieszczotami, a biedny Geordie będzie jęczał i krzyczał jeszcze głośniejszym głosem niż ostatnio.

Lord Beecham przewrócił oczami. Paszteciki z homara i przyjęcie urządzane przez pastora, którego żona zapewne osobiście będzie biczować ofiarę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ekscytujące może być życie na wsi.

Lord Beecham zdjął surdut i rozłożył go na ziemi, by mogli usiąść. Przez chwilę przytulali się do siebie, rozmawiali, całowali się. Nagle Helen zmarszczyła brwi.

- Wiesz, Spenser, coś mi tu nie pasuje.

- Co takiego?

- Właśnie zauważyłam, że na ziemi jest wosk. Skąd się tu wziął?

- Hm, rzeczywiście... Mam pomysł. Ty zostaniesz tutaj i będziesz obmyślać nowe tortury, a ja wejdę głębiej i sprawdzę, czy ktoś tam nie śpi.

Słyszał, jak Helen mruczy coś do siebie, kiedy wszedł w głąb jaskini. Zatrzymał się. Nie widział nawet własnych rąk. Nie miał świecy. Roześmiał się i wrócił do żony.

Stał się w pół kroku, widząc obok Helen wielebnego Titusa Oldera.

Wielebny ociekał wodą, miał jednak triumfalną, wręcz radosną minę. Co się tutaj działo?

- Wielebny Older - przywitał go lord Beecham, podchodząc bliżej. - Okropnie pada. To chyba nie najlepsza pogoda na spacer. Tak bardzo chciał się pan z nami zobaczyć? To dość dziwna wizyta, chyba pan przyzna. Może zechciałby nam pan powiedzieć, co robi tutaj, w tej jaskini?

Wielebny Older wyjął z przepastnej kieszeni surduta pistolet i wycelował go w Helen.

- Miło znów cię zobaczyć, mój chłopcze. Chodź tutaj, przyłącz się do swojej ślicznej żony. O tak właśnie, usiądź obok niej. Nie byłem pewien, czy powinienem wam się pokazywać. Bałem się, że

będziecie w intymnej sytuacji, jeśli wiesz, co mam na myśli. Oczywiście, nie uważam, by było w tym coś złego, nie zrozum mnie źle.

Helen spojrzała na broń w dłoni wielebnego, potem przeniosła wzrok na jego twarz.

- Co pan tu robi? Chyba nie chce pan powiedzieć, że spał w tej jaskini?

- Owszem, moja droga, przez ostatnie trzy dni. Widzisz, moja niedoszła żona, Lilac, wyrzuciła mnie ze swojej sypialni.

Już mnie nie chce. Rozgłosiła już nawet wśród swoich przyjaciół, że nie chce za mnie wychodzić. Dlatego też zmuszony byłem przyjechać tutaj, do Shugborough, gdzie, jak słyszałem, mieszkacie od jakiegoś czasu.

Umilkł na moment, rozejrzał się po jaskini i westchnął.

- Nie jest to zbyt wygodne miejsce. Nawet pod sześcioma kocami było mi w nocy zimno. Tak, jaskinia to z pewnością niezbyt miła sypialnia. Ale przybyłem tutaj, bo słyszałem, że znaleźliście magiczną lampę. Miałem nadzieję, że znajdę jeszcze jedną. Co o tym myślicie?

Patrzyli na wielebnego. Oldera z najwyższym zdumieniem.

- Oczywiście, nic nie znalazłem. Dlaczego właściwie jesteście tutaj, mój chłopcze, a nie w Londynie?

- Obojgu nam się tu podoba. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy przenosić się do Londynu lub do mojej posiadłości w Devon. Lord Prith także bardzo się cieszy, że jesteśmy tutaj, razem z nim. Dlaczego lady Chomley nie chciała za pana wyjść, sir?

Wielebny Older westchnął ciężko i potarł palcami czoło.

- Ta słodka dama odkryła, że hm... pożyczyłem na pewien czas jedną broszkę z jej pudełka na biżuterię, i tak już zresztą przepelnionego. Przegrałem zakład, rozumiesz, i jako dżentelmen musiałem uregulować dług. Właściwie Lilac przekładała już nasz ślub kilkakrotnie w ciągu ostatnich miesięcy. Może mi nie ufała. - Westchnął.

- Cóż, mogę tylko powiedzieć, że postąpiła bardzo rozsądnie - rzekła Helen, a lord Beecham zauważył w jej oku drapieżny błysk. Dobrze znał ten błysk. Wiedział, że Helen zaatakuje wielebnego w ciągu dwóch najbliższych minut. Był rozbawiony i zadowolony jednocześnie, nie mógł jednak na to pozwolić. Gdyby stała jej się jakaś krzywda, nigdy by sobie tego nie wybaczył. Była jego żoną i matką Jordana.

- Czego pan od nas chce, sir?

- Lampy, milordzie. Nic poza tym, wezmę tylko lampę, którą tutaj znaleźliście. O tak, ta przeklęta jaskinia stała się już sławna.

Wiem, że inni próbowali ukraść lampę z Shugborough Hall, ale ja jestem od nich sprytniejszy. Zaczaiłem się na was, czekałem, aż będziecie sami. Teraz jedno z was zostanie tutaj ze mną jako zakładnik, a drugie przywiezie mi lampę.

- To prawda, mamy lampę - potwierdził lord Beecham. - Ale ona nie ma żadnej magicznej mocy. To zwykła stara lampa.

- Jestem sługą bożym. Lampa przeznaczona była dla kogoś takiego jak ja, nie dla zwykłych Filistynów. Ja mam duchową głębię i umysł prawdziwego człowieka Kościoła. Lampa po może mi osiągnąć prawdziwą wielkość. Lampa mnie do niej poprowadzi.

- Nie rozumiem. - Lord Beecham zmarszczył brwi.

- To proste. Ludzie nie doceniają mojej wielkości, choć na to zasłużyłem. Lampa pomoże mi jednak otworzyć im oczy, dokona rzeczy, których nawet nie jesteście w stanie sobie wyobrazić.

Helen ziewnęła, przekrzywiła lekko głowę i spojrzała na wielebnego Oldera.

- Przyznam, że nie kojarzy mi się pan z żadną wielkością.

Jest pan złoczyńcą, zwykłym złodziejem, wystarczy zapytać o to lady Chomley. Jak to się właściwie stało, że nie złapaliśmy pana tutaj, w tej kryjówce, tylko nadszedł pan z zewnątrz?

- Obserwowałem was, kiedy staliście na urwisku. Gdy przyszliście tutaj, żeby schować się przed burzą, poszedłem za wami. Wiedziałem, że tę burzę niebiosy zesłały dla mnie, że będziecie musieli schować się tutaj i zmuszę was do oddania lampy. To ja jestem jej prawowitym właścicielem.

Helen znów ziewnęła.

- Paskudna pogoda, prawda, wielebny? A pan jest już starszym człowiekiem. Może się pan poważnie rozchorować.

Lepiej wracajmy do domu. Pan wróci do Londynu. Nie dostanie pan lampy. Proszę stąd odejść. Wielebny Older zmarszczył brwi.

- Nie podoba mi się to - powiedział powoli, wodząc wzrokiem od Helen do lorda Beechama. - Nie przypuszczałem, że będziecie dla mnie tacy niemili. Milordzie, pojedziesz teraz do Shugborough Hall i przywieziesz mi lampę. Lady Beecham zostanie tu ze mną. Nie skrzywdzę jej, jeśli szybko wrócisz.

Oboje patrzyli nań w milczeniu.

- Muszę mieć tę lampę, inaczej znajdę się w bardzo trudnej sytuacji.

- Tak w życiu bywa. - Lord Beecham westchnął. - Przykro mi, ale nie dostanie pan tej lampy. Żegnam.

- Zmuszasz mnie do użycia siły, czego bardzo nie lubię. - Podniósł pistolet i wycelował prosto w głowę Helen.

- Co się tu dzieje, do diabła? Kim jest ten starzec, który ma czelność mierzyć z pistoletu do mojej córki?

Na widok teścia lord Beecham omal nie krzyknął z radości. Uśmiechnął się i wziął Helen za rękę.

- Dzień dobry. Ten starzec to wielebny Older. Przyjechał z Londynu, żeby ukraść nam lampę.

- Tę samą, którą przez ostatnie miesiące próbowało ukraść co najmniej tuzin innych złodziei? Tę, która prawdopodobnie nie jest warta złamanego szylinga?

- Tak, ojczu, właśnie tę. Powiedzieliśmy mu, że nie możemy jej oddać i że lampa nie ma żadnej magicznej mocy. Byliśmy szczerzy.

- Czy to pan, lordzie Prith? - spytał wielebny Older, odwracając się powoli. - Skąd się pan tu wziął? Jest pan przemoczony do suchej nitki, sir. To prawda. Muszę mieć tę lampę. Dzięki niej zdziałam cuda. Proszę tu przejść i stanąć obok swojej córki i zięcia.

- Och, nie sądzę - odparł lord Prith i zawołał przez ramię: -

Flock, miałeś rację. Mamy tu kolejnego rzezimieszka. Trzyma w ręku pistolet i mierzy do mojej ukochanej córki. Co mam z nim zrobić?

- Zabić łajdaka - zaproponował Flock, wychylając się zza pleców lorda Pritha.

- Dość tego. - Lord Beecham podszedł do wielebnego Oldera.

- Nie ruszaj się!

- Proszę mnie posłuchać. Nie może pan zabić czworga ludzi. Twierdzi pan, że jest sługą bożym, człowiekiem Kościoła.

Proszę dowieść swojej wielkości. Powiedzieliśmy panu prawdę.

Lampa nie ma żadnej magicznej mocy. Teraz proszę stąd odejść.

Wielebny Older wyglądał tak, jakby lada moment miał wybuchnąć płaczem.

- To niesprawiedliwe. Tak trudno być dobrym człowiekiem, ogólnie szanowanym. Ach, jedna głupia brosza, a ta stara krowa wylała na mnie wiadro pomyj. I ta historia z wielbnym Mathersem. Nie chciał nawet słyszeć o moim wspaniałym planie. Nie miałem wyboru. Och, jestem skończony.

Zimny dreszcz przebiegł po plecach lorda Beechama. Minęło już tyle miesięcy, a wciąż nikt nie wiedział, kto zabił wielbego Mathersa. Lord Hobbs już dawno się poddał. Czyżby zrobił to jednak wielbny Older?

Helen patrzyła nań w osłupieniu, nie wierząc własnym uszom.

- To pan wbił nóż w plecy biednego Mathersa? To pan go zamordował?

Wielebny Older nie odpowiedział od razu. Patrzył na swe przemoczone buty i kręcił głową. Wreszcie wyszeptał:

- Lubilem wielbego Mathersa. Byliśmy kiedyś przyjaciół mi, dawno temu. Ale on nie chciał mi niczego zdradzić. Co miałem zrobić?

33

W jaskini zapadła martwa cisza. Lord Prith po prostu zacisnął ręce na szyi wielbego Oldera i podniósł go nad ziemię.

- Ty żałosna kreaturo. Ty mały, głupi człowieczku. Popatrz tylko, co narobiłeś. Flock, co mam zrobić z tym nędznikiem?

- Już panu powiedziałem, milordzie. Zabić łajdaka.

- Nie, ojczy, pozwól, że zabiorę mu broń. Nie ściskaj go tak mocno, zrobił się już siny na twarzy.

- Helen wyjęła pistolet z bezwładnej dłoni wielbego.

- Flock, zwiąż go - rozkazał lord Prith.

- Czym, milordzie?

- Nie wiem, Flock, wyteż swój leniwy umysł.

W końcu to jednak lord Beecham zdjął fular i związał ręce wielbego Oldera. Potem spojrzął na niego i spytał:

- I cóż my teraz z panem zrobimy?

- Pewnie trafię na szubienicę, milordzie.

- Zabił pan wspaniałego człowieka - stwierdziła Helen. - Wbił mu pan nóż w plecy. Jest pan nikkzemnikiem.

- Tak, milady, to prawda, nie mam nic na swoją obronę.

- Zabijmy tego łajdaka.

- Ja jestem sędzią w tym okręgu - oświadczył głośno lord Prith, sadzając wielbego na ziemi. - Nie ruszaj się, albo zrzucę cię z urwiska.

- Nie będę się ruszał. Zresztą chyba nawet nie mogę.

- Zamkniemy go w mojej piwnicy - zaproponował lord Prith. - W pobliżu nie ma żadnego więzienia. Potem zadecydujemy, co z nim zrobić.

Jakiś czas później, gdy wrócili do Shugborough Hall, Flock dał wielbnemu trzy koce, jedzenie, wodę, świecznik i nocnik, po czym zamknął go w piwnicy z winem. Na odchodnym ostrzegł wielbego, że jeśli wypije więcej niż jedną butelkę wina, lord Prith powiesi go osobiście, bez procesu.

- Odstawię tego człowieka do Botany Bay - powiedział później lord Prith, wręczając Helen i Flockowi swoją najnowszą mieszankę szampana. - Nie sądzę, by pożył tam długo, nawet jeśli

przetrwą podróż. Hej, chłopcze, naprawdę nie chcesz spróbować?

Lord Beecham spojrział na kryształową lampkę z szampanem o przedziwnej barwie i wzdrygnął się.

- Nie, dziękuję, ale ciekaw jestem, co powie moja żona.

Helen obdarzyła go spojrzeniem, które mówiło mu wyraźnie, że najchętniej wykopałaby go teraz za drzwi. Wzięła jednak kieliszek.

Lord Beecham patrzył, jak żona pociąga niepewnie łyk napoju. Oblizła wargi i skosztowała jeszcze raz. Potem uśmiechnęła się i poprosiła o dolewkę. Usłyszał też, jak Flock pojękuje z zachwytu. Boże, co lord Prith wlał do tego szampana?

- Ojej, tato. - Helen opróżniła cały kieliszek. - To jest cudowne. Najlepsza mieszanka, jaką kiedykolwiek stworzyłeś.

Co tam wlałeś?

- Coś, czego wcześniej nie brałem nawet pod uwagę, moja droga. Nawet mnie wydawało się to okropne. Ale wyszło całkiem niezłe, prawda?

- To ambrozja - orzekł Flock i nalał sobie następny kieliszek.

- Z czym zmieszał pan tego szampana, sir?

- Cóż, mój chłopcze, to tylko sok pomarańczowy. Cieszę się, że w końcu udało mi się stworzyć napój doskonały. Tak, sok pomarańczowy i szampan. Jak myślisz, jak powinniśmy nazwać tę nową mieszankę?

- Oranpagne? - podsunął lord Beecham.

- Pomarpagne? - zaproponowała Helen.

- Nie - odparł lord Prith, kręcąc głową. - Potrzebujemy nazwy, która będzie pobudzała zmysły.

Wcale nie musi być związana bezpośrednio ze składnikami.

Flock patrzył na zewnątrz.

- Drzewa są takie piękne. Wkrótce okryją się zielenią.

Wiem, że szampan nie ma nic wspólnego z drzewami, kiedy jednak piję tę mieszankę, czuję się jednocześnie spokojny, zadowolony i lekko oszołomiony, zupełnie jak wtedy, gdy patrzę na te drzewa i myślę o tym, jakie będą piękne za kilka miesięcy. Może wykorzystamy nazwę jakiegoś drzewa?

- Chcesz nazwać ten napój jak drzewo? Na przykład, dąb? - spytał lord Beecham, unosząc lekko brwi.

- Albo sosna? - przyłączyła się Helen.

- Nie. - Rozmarzył się Flock. - To musi być bardziej poetyczne. Jakie drzewo jest poetyczne?

- Wiem. - Lord Prith ożywił się. - Wierzba.

Lord Beecham zastanawiał się nad tym przez pełne trzy minuty; wreszcie powoli pokręcił głową.

- Blisko, ale to jeszcze nie to. Inne drzewo, Flock.

Flock z namysłem wpatrywał się w dalekie korony drzew.

- Mam. To będzie doskonała nazwa dla tego wspaniałego napoju, milordzie. Jak się panu podoba mimoza?

- Nie - odrzekł bez wahania lord Prith. - To się nie przyjmie.

- Będziemy jej używać do czasu, dopóki nie wymyślimy lepszej - zaproponowała Helen i wystawiła pusty kieliszek. - Jeszcze jedną mimozę, jeśli można.

Tej samej nocy znów próbowano ukraść lampę. Wczoraj dopuścili się tego trzej miejscowi chłopcy. Następnego ranka Helen oświadczyła:

- Nie mogę żyć spokojnie, wiedząc, że za każdym rogiem czai się złodziej. Tym razem byli to tylko mali chłopcy.

A gdyby któremuś z nich coś się stało? Musimy z tym coś zrobić.

- Zastanawiałem się, czy nie powiesić jej przed twoją gospodą - odparł lord Beecham.

- Świetny pomysł. - Rozpromieniła się. - Przecież ta gospoda nazywa się Lampa Króla Edwarda. To byłoby dla niej najlepsze miejsce. Ach, gdyby tylko ludzie nie wiedzieli, że ją znaleźliśmy. Teraz już na to za późno, ale sam pomysł jest doskonały.

- Cóż, Helen, nie mamy innego wyboru. - Oboje spojrzeli na lampę. Stała spokojnie na swoim miejscu, nie biło od niej żadne światło, nie pulsowała. Czyżby to wszystko im się przyśniło?

Czy to możliwe, by ta stara, pocięta lampa była magicznym przedmiotem z bajki o Aladynie?

Owinęli ją starannie w grubą, ciepłą tkaninę i włożyli do metalowej szkatuły. Spenser nie schował tam jednak pergaminu. To było historyczne znalezisko, którym powinni zająć się naukowcy.

Zakopali szkatułę na polanie, o milę na wschód od Shugborough Hall. Zakopali ją bardzo głęboko. Nie oznaczyli miejsca ukrycia.

Nie chcieli, by ktokolwiek i kiedykolwiek ją znalazł.

Później przypominali sobie o lampie tylko wtedy, gdy otrzymywali listy od naukowców pragnących zbadać starożytny pergamin. Albo kiedy Helen odwiedzała cmentarz i przechodziła obok grobu pani Freelady.

Mieszkańcy Court Hammering snuli opowieści o lampie podczas długich zimowych wieczorów. Lecz nawet oni zapomnieli po jakimś czasie, że lampa stała kiedyś na kominku w Shugborough Hall. Lampa przeszła do legendy.

Lord Prith przestał eksperymentować z szampanem, uznawszy, że mimoza jest perfekcyjna i że nie stworzy już lepszego napoju, choć wciąż nie podobała mu się jego nazwa.

W miarę upływu lat w rodzinie lorda i lady Beecham pojawiały się kolejne dzieci, a ich ulubioną bajką zawsze była ta o Aladynie i czarodziejskiej lampie.